

Joanna Chmielewska

Całe zdanie nieboszczyka

Alicja dzwoniła do mnie do pracy codziennie w porze śniadania, bo tak nam obu było najwygodniej. Akurat w ten poniedziałek miała coś do załatwienia, wychodziła na miasto, potem zajął ją szef, potem śpieszyła się na pociąg i na spotkanie z Thorkildem, w rezultacie zaniedbała telefonu i zadzwoniła dopiero we wtorek.

Na informację Fritza, że mnie nie ma, spytała, kiedy wrócę. Mówiła już po duńsku zupełnie dobrze i bez trudu mogła się porozumieć, nawet używając wyszukanie uprzejmych form. Fritz oświadczył, że nie wie, i na tym prawdopodobnie zakończyłaby się ich konwersacja, gdyby nie to, że, wbrew duńskim, zwyczajom, dodał coś więcej. Sama z siebie Alicja o nic by więcej nie spytała; bo już przywykła do Duńczyków.

- Obawiam się, czy nie jest chora - powiedział Fritz mianowicie. - Wczoraj też jej nie było.

To już ją zastanowiło i wdała się w rozmowę, z której wynikało, że moja nieobecność jest co najmniej dziwna, bo primo, przed weekendem byłam zdrowa jak byk, secundo, nikogo o niczym nie zawiadomiłam, tertio, wiedziałam, że jest mnóstwo roboty, i nawet zobowiązałam się skończyć parę rysunków w ciągu trzech dni, a zawsze byłam pod tym względem szalenie porządna i słowna.

Tymczasem rysunki leżą na stole nie dokończone, a mnie nie ma. Nad wyraz dziwne.

Nieco zaniepokojona Alicja zadzwoniła do mnie do domu, gdzie nikt nie odbierał telefonu, co jeszcze o niczym nie świadczyło. Mogłam wyjść nie wiadomo dokąd, a moja gospodyni była w pracy. Zadzwoniła więc późnym wieczorem i dowiedziała się, że mnie nie ma, gospodyni nie widziała mnie na oczy od niedzieli, w moim pokoju zaś panuje normalny bałagan.

Nazajutrz znów zaczęła dzwonić, zaniepokojona znacznie więcej. Nie było mnie nigdzie. Na noc do domu nie wróciłam. Nikt o mnie nic nie wiedział. Zainterpelowana Anita okazała zdziwienie i zdenerwowanie, bo na wtorek byłam z nią umówiona, nie przyszłam, nie dałam znaku życia, a tłumaczyła moją książkę, na której mnie zależało jeszcze bardziej niż jej. Cały wieczór tłumaczyła sama, była wściekła, dzwoniła nawet do mnie, ale mnie, oczywiście, nie było.

Alicja zaczęła się zastanawiać.

W wyniku rozważań przyszła do mnie w czwartek wieczorem, po pracy.

Pokonwersowała z gospodynią, obejrzała moje rzeczy, wbrew samej sobie przeczytała tkwiący w maszynie kawałek listu do Michała, nic jej to nie dało, bo kawałek zawierał głównie wątpliwości, czy Florens przyjdzie z dystansu 120 metrów, napiła się kawy, posiedziała przy stole i nic nie wykryła. Gach wydawał jej się wątpliwy ale na wszelki wypadek wołała jeszcze nie alarmować Diabła. Zakwitły w niej natomiast podejrzenia, że mogłam zniecka oszaleć i w przyływie szoku pojechałam do Polski, tak jak stałam, bez rzeczy, bez pieniędzy, bez dokumentów, które leżały w szufladzie biurka, bez deklaracji celnej, bez niczego, wyłącznie z gołym paszportem. Obdzwoniła wszystkie szpitale, pogotowie, straż pożarną i policję. Nikt o mnie nic nie wiedział, kamień w wodę.

Ostrożnie i dyplomatycznie zadzwoniła do Warszawy, do swojej przyjaciółki, polecając jej zbadać, czy mnie tam przypadkiem nie ma. Nie było. Przeciwnie, moja rodzina dostała właśnie list, w którym zawiadamiałam, że wracam za kilka miesięcy. Przeczekała jeszcze jeden dzień i wreszcie zdecydowała się, zawiadomić kopenhaską policję, że jej przyjaciółka, rodem z Polski, zginęła.

Policja się uprzejmie zainteresowała, najpierw łagodnie, a potem nieco żywiej, wieść doszła bowiem do inspektora Jensena, który mnie znał osobiście. Niezbyt blisko, ale dostatecznie, żeby wiedzieć, że miewam głupie pomysły. No i zaczęła dociekać, kto też mnie ostatni widział i gdzie.

Jako ostatnia ze znajomych osób widziała mnie gospodyni. W niedzielę przed południem wychodziłam z domu akurat, jak ona czyściła dywan w przedpokoju. Na pytanie, dokąd też się mogłam udać, Alicja bez sekundy wahania powiadomiła gliny, że nigdzie indziej, jak tylko do Charlottenlund. Gliny ruszyły moim śladem do Charlottenlund, przy czym znacznym ułatwieniem był dla nich fakt, że właśnie znów nastąpiła niedziela i wytworzyły się warunki dokładnie takie, jak tydzień wcześniej. Innymi słowy znów leciały konie i tor był zapchany tłumem.

Najpierw złapano Małego Łysego w Kapeluszu, który, czas jakiś temu odsiedziawszy swoje, wyasygnował pewną kwotę tytułem kary i od dawna już cieszył się wolnością. Żadnej niezyczliwości ku mnie nie przejawiał, co było dziwne, ale niezbitie stwierdzone. Bez śladu oporów oświadczył, że owszem, widział mnie tydzień temu, rozmawiał ze mną, robiłam wrażenie osoby zadowolonej z życia, wygrałam bowiem nieco pieniędzy. Parę patyków. O ile pamięta, cztery tysiące szesnaście koron. Każdy by był zadowolony. Rozmawiałam z innymi osobami, oczywiście, sam widział, tu jest nawet

takich dwóch, z którymi bardzo często rozmawiam. Rozmawiałam i tym razem, a co dalej, to on nie wie.

Złapano więc dwóch, obu rodem z Francji. Potwierdzili, że istotnie, coś tam wygrałam, możliwie, że dużo, rozmawiałam z nimi, mamy przecież wspólny język, a co dalej, to nie wiedzą. Udzielali informacji skąpo i niechętnie i gliny zaczęły coś węszyć. Węsząc tak, złapano jeszcze jednego, który mnie znał wprawdzie tylko z widzenia i nie rozmawiał, ale za to zwracał na mnie uwagę, bo mu się zwyczajnie podobałam. Nie wiadomo dlaczego, lubi takie, może ma spaczony gust, podobałam się i koniec.

Ów ze spaczonym gustem zaświadczył, że z Francuzami rozmawiałam pod koniec i razem z nimi wyszłam. On też wychodził i widział, jak w ich towarzystwie wsiadałam do jakiegoś samochodu, a co dalej, to on nie wie. Bardzo żałuje, że mnie dzisiaj nie ma.

Przyciśnięci do muru Francuzi zaczęli kręcić, na zmianę twierdzili, że podwieźli mnie do stacji, że wysiadłam w śródmieściu Kopenhagi, że to był ich samochód, nie ich samochód, jednego znajomego, jednego nieznanego, i w końcu tyle na tym zyskali, że inspektor Jensen zainteresował się gwałtowniej. Gliny dostały nagłego popędu, nałapano więcej świadków, ludzie na wyścigach na ogół znają się z widzenia, a ja, cudzoziemka, dawałam się zauważyć, no i wreszcie zidentyfikowano samochód. Był to pojazd jednego takiego, na którego już od dawna mieli oko.

Pan Jensen wkroczył do akcji, osobiście, co szalenie zdziwiło Alicję, zdążyła się już bowiem zorientować, że jest on jakąś nadzwyczaj ważną figurą, a nigdy nie przypuszczała, żeby któraś z nas mogła być do tego stopnia interesująca dla duńskiej policji. O żadnym moim piramidalnym przestępstwie nic nie wiedziała, nic takiego też nie miałam w planach, więc niby skąd? Pan Jensen jednak wiedział, co robi.

Przyciśnięci znaczne mocniej tak Francuzi, jak właściciel pojazdu, wyznali wreszcie prawdę. Trudno, nie da się ukryć, rzeczywiście pojechałam z nimi do takiej jednej meliny, gdzie się nielegalnie gra w pokera i ruletkę. Wstęp zapłaciłam ze śpiewem na ustach, grałam w ruletkę, zdaje się, że nawet wygrałam, zdaje się, że nawet dość dużo, widocznie miałam szczęśliwy dzień, a potem jakoś stracili mnie z oczu. Sami przegrali i wcześniej wyszli, a ja chyba jeszcze zostałam. W końcu w takim miejscu każdy się raczej zajmuje sobą, zwłaszcza jeśli mu coś nie idzie. A gdzież to ta melina? A w takiej jednej starej chałupie na Niels Juels Gade, blisko kanału...

W tym momencie w umysłach wykonawczej władzy dokonały się wreszcie pewne

skojarzenia i panem Jensenem niewymownie wstrząsnęło.

Już od dość długiego czasu w ścisłym porozumieniu z Interpolem przygotowywał imponującą akcję likwidacji nie mniej imponującego gangu propagatorów hazardu. Uderzenie miało być załatwione jednorazowo we wszystkich miejscach naraz w paru krajach Europy, planowano wyłapanie wszystkich grubych ryb i konfiskatę całego ich mienia. Oweż to właśnie niedzieli dokonano w ramach akcji nalotu na melinę przy Niels Juels Gade. Nie było to jeszcze zasadnicze uderzenie, tylko niejako wstępna przygrywka, niemniej nalotu dokonano, melinę nakryto na gorącym uczynku, znaleziono w niej nawet jedne świeże zwłoki, lokal zamknięto, rozpusztę ukrócono i w rezultacie oni sami, policja, powinni o mnie wiedzieć najwięcej. Tymczasem chała, nie wiedzą nic, nie zostałam tam złapana. Co gorsza, akcja-nalot potwierdziła podejrzenia, iż we własnym łonie mieli członka szajki, co zresztą przypuszczali od dawna. Same przykrości. Niejaką pociechą była im myśl, że nie oni jedni. Przytomna szajka, ściśle zaś rzecz biorąc, potężna, międzynarodowa organizacja przestępcza, ze szczególnym upodobaniem działająca tam, gdzie hazard jest wzbroniony, czyli prawie wszędzie, miała swoich ludzi we wszystkich policjach wszystkich krajów, do których tylko udało się im dokopać. Pociecha to była nikła, zwłaszcza że członek szajki, na którego głównie polowano, dał nogę, wszystkie grube ryby prysnęły, a zwłoki nie chciały nic mówić. Złapane cienkie ryby oraz zwyczajni gracze wyznali, że owszem, widziano mnie tam, dało się mnie jakoś szczegółowo określić, grałam, potem nastąpiło okropne zamieszanie i co dalej, to nie wiedzą.

W ten sposób wpadłam jak kamień w wodę i wszelki ślad po mnie zaginał.

Ja oczywiście doskonale wiedziałam, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, ale w żaden żywy sposób nie mogłam nikomu dać znać o sobie. Działo się bowiem, co następuje:

W poprzedzający ową dramatyczną niedzielę piątek nabyłam sobie wreszcie od dawna wymarzony, przepiękny atlas świata za bardzo drogie pieniądze i przez głupie zapomnienie zostawiłam go w biurze. Zostawiłam też siatkę, wiszącą na wieszaku, a w siatce słownik polsko-angielski oraz do połowy wykonany szydełkiem szal z białego acrylu. Te dwa ostatnie przedmioty pochodziły stąd, że na ubiegły czwartek byłam umówiona z Anitą, która nawaliła i przełożyła spotkanie na wtorek, nie nosiłam więc tego

z powrotem do domu, tylko zostawiłam w pracy. A w ogóle miałam to dlatego, że Anita tłumaczyła moją książkę, słownik był nam potrzebny przy pracy twórczej, zaś szal robiłam sobie w trakcie. Ona miała zajęte ręce i umysł, ja tylko umysł, rękami więc posługiwałam się w innych, pożytecznych celach. Słownik był ciężki i nie chciało mi się latać z nim tam i z powrotem.

Wiszące na wieszaku szal i słownik nie obchodziły mnie wcale, natomiast pozostawienie w biurze atlasu zdenerwowało mnie nad wyraz. Właśnie przez weekend chciałam go sobie pooglądać, nie mówiąc już o tym, że tak drogą i tak intensywnie wymarzoną rzecz chciałam mieć blisko siebie, patrzeć na nią od czasu do czasu i w ogóle czuć, że to mam. Postanowiłam więc zabrać to z biura w niedzielę, po drodze do Charlottenlund i to jeszcze w dodatku jadąc tam, a nie z powrotem. Obawiałam się bowiem, że o późniejszej porze zewnętrzne drzwi budynku mogą być zamknięte.

Postanowienie wykonałam. Atlas włożyłam do siatki z wielkim trudem, ale jednak włożyłam, tyle że razem ze słownikiem stanowił już potworny ciężar. W Charlottenlund zostawiłam go więc w szatni. Bałam się, że potem znów o nim zapomnę, cały czas powtarzałam sobie: "Odebrać siatkę, odebrać siatkę" - umysł miałam tym nieco rozproszony i wyłącznie dzięki temu wygrałam.

W piątej gonitwie przewidywałam fuksa. Czekałam niecierpliwie na tę piątą gonitwę, bo przedtem przychodziły same faworyty, aż wstręt brał. Na te faworyty w drugim lobie wygrałam nawet sześćdziesiąt osiem koron, ale co to jest! Taka wygrana to wręcz hańba dla polskiej duszy. Protest mojej polskiej duszy przeciwko hańbie wyrażał się zresztą w ten sposób, że oprócz faworytów grałam też porządek 6 - 4, w każdym biegu, jak leci. Ściśle biorąc, nie wiadomo dlaczego. Chyba dlatego, że kiedyś, przed laty, obydwójce z Michałem mieliśmy okropnego pecha do porządku 6 - 4 i nigdy nie udało nam się go trafić. Postanowiłam trafić teraz i obstawiałam go niezależnie od tego, czy miał jakiś sens, czy nie. W piątym lobie typując konie zapomniałam o sześć cztery i doszłam do wniosku, że nie ma siły, muszą przyjść te z drugiej kupy. Tablica na środku pola wykazywała co prawda niezbitcie, że pół toru było takiego samego zdania, nieco mnie to mąciło, bo z jednej strony wszyscy to grają, a z drugiej ma być przecież fuks, rozum jednak upierał się przy swoim. Wybrałam sobie z drugiej kupy te najmniej grane i stanęłam w ogonku do kasy.

W ogonku zaś zaczęłam sobie na nowo powtarzać "odebrać siatkę, odebrać siatkę".

Rezultat był taki, że w momencie dotarcia do okienka zapomniałam, co miałam grać. Chwila była gorąca, konie chodziły po starcie, za mną kłębił się rozjuszony i poganiający mnie tłum, facet w kasie niecierpliwie czekał, spłoszyłam się i wrzasnęłam bezmyślnie:

- Sześć cztery!

Natychmiast potem pamięć mi wróciła i zdążyłam wyasygnować dodatkowe dewizy na uprzednio upatrzone porządki.

Siedząc pomimo lodowatego wichru na otwartej trybunie w osłupieniu patrzyłam, jak przychodzi moje sześć cztery. Zamurowało mnie na ten widok, zbaraniałam całkowicie i szcękając zębami tak z zimna, jak z emocji, dosiedziałam aż do ogłoszenia pojedynczych wypłat. Dopiero potem zesłam, w upojeniu wysłuchiwałam wychrapanej przez głośnik informacji, że wygrałam cztery tysiące szesnaście koron i zaczął ode mnie bić niewątpliwy blask.

Po drodze do kasy spotkałam Małego Łysego w Kapeluszu. Melancholijnie pokazał mi bilet opiewający na 6-12, więc wyraziłam mu swoje współczucie. Rzeczywiście, przyszło po kolei 6 - 4 - 12 i ta dwunastka była za czwórką o krótki pysk. Następnie pokazałam swój bilet, Mały Łysy, na którym, o ile wiem, żadne straty finansowe nie mają powodu robić żadnego wrażenia, wyraził mi swoje uznanie i złożył gratulacje, po czym odebrałam pieniądze.

Następnie nabyłam sobie flaszkę piwa i z tą flaszką w garści ruszyłam w tłum. Humor mi się zrobił taki więcej szampański, w sercu zaś szalała życzliwość do świata. Od razu natknęłam się na znajomych Francuzów, z których jeden był biały, a drugi czarny i z którymi konwersowałam przy każdej okazji w celu podniesienia na wyższy poziom znajomości ulubionego języka. Od razu też przypomniałam sobie, że kiedyś mówili coś o nielegalnej ruletce.

- Absolutnie wyjątkowa okazja! - oświadczyłam radośnie. - Mam pieniądze!

- Wygrała pani? - zaciekawili się Francuzi.

- Trafiłam te sześć cztery. To jak z tą ruletką? Dziś można?

- Codziennie można - mruknął bielszy, patrząc na prezentację koni. - Zagraj mi wszystko do siódemki, ona kiedyś wreszcie musi przyjść...

Czarniejszy kiwnął głową i oddalił się w kierunku kasy, a bielszy odwrócił się do mnie.

- Chce pani? Poważnie? Pani wie, że to jest nielegalne?

- Pewnie, że wiem. Chcę bezgranicznie!

- Wstęp kosztuje pięćdziesiąt koron.

Chlapnęłam sobie piwa z flaszki i też kiwnęłam głową.

- Bardzo dobrze, gdyby było darmo, to byłoby podejrzone. Dla mnie to unikalna okazja, najwyżej przegram to, co dziś wygrałam. Chcę!

- Nie wolno o tym nikomu mówić - ostrzegł jeszcze Francuz. Przysięgłam tajemnicę i uzgodniliśmy chwilę i sposób udania się do miejsca rozpusty.

Siatkę z szatni przezornie odebrałam przed ostatnim biegiem. Po biegu, w którym szczęśliwie nikt z nas nic nie wygrał, tak że nie trzeba było czekać na wypłatę, wszyscy troje, Francuzi i ja, wsiedliśmy do kobylastego forda. Prowadził jakiś całkowicie mi obcy facet, którego nie znałem nawet z widzenia. Uznałam, że musi to być zapewne jeden z duńskich milionerów, mających zarezerwowane stoliki w sali restauracyjnej, gdzie rzadko bywałam i dlatego mogłam nie znać jego gęby. Zresztą w ogóle nie zaprzętałam sobie głowy tą kwestią, co on mnie w końcu obchodził, po piwie i po jeszcze jednej, średniej wygranej byłam w stanie szczytowej euforii.

Nie zwracałam także uwagi na to, dokąd jedziemy, w słusznym mniemaniu, że w Kopenhadze trafię do domu z dowolnie obranego miejsca. Mignął mi w oczach Kongens Nytorv i zaraz potem zatrzymaliśmy się w spokojnej, cichej ulicy, przed dużym, starym, ciemnym domem. Ciekawiło mnie tylko, czy pójdziemy do piwnicy, czy na dach.

Okazało się, że ani jedno, ani drugie. Przeszliśmy przez podwórze, towarzyszący mi panowie zadzwonili do jakichś drzwi, odezwała się instalacja, powiedzieli kilka słów po duńsku, weszliśmy do jakiegoś holu i zwyczajnie wjechaliśmy windą na trzecie piętro. Tamże znów były drzwi, znów dzwonek, znów kilka słów po duńsku, chwila oczekiwania i wpuszczono nas do środka. Jakiś osobnik z uprzejmym ukłonem pobrał od nas opłatę w wysokości pięćdziesięciu koron od łba.

Środek wyglądał na oko jak zwyczajne, bardzo duże mieszkanie w starym budownictwie, tyle że goście nie rozbierali się w przedpokoju, a w pełnej odzieży wchodzili dalej, w głąb, na salony. Moja pełna odzież sprawiła, że od razu poczułam się nieco nieswojo.

Jeżdżąc do Charlottenlund byłam nastawiona na spędzenie wielu godzin na otwartej trybunie. Duński klimat nader rzadko przypomina Florydę. Ubierałam się więc we wszystko, co popadło, i tym razem miałam na sobie wełnianą spódnicę w kratkę,

bluzkę z golfem z angory, sweter z angory, za przeproszeniem ciepłe majtki, rajstopy, palto na futrze, kozaczki i wełniany szalik. Z całą pewnością nikt w całej Danii nie był tak ubrany, bo według kalendarza nadeszła już wiosna, a Duńczycy wierzą w słowo pisane. Na głowie zaś miałam platynową perukę i czarny, skórzany kapelusz.

Perukę kupiłam niedawno i dotąd jeszcze nie miałam okazji się w nią ubrać. Pobyt na wyścigach również co prawda nie był najstosowniejszą okazją, ale od rana męczył mnie pewien problem. Coś na tę głowę musiałam przecież włożyć, a do wyboru miałam tylko bułgarską, futrzaną czapę albo ten skórzany kapelusz. W samym kapeluszu byłoby mi za zimno, w futrzanej czapie czułam się nieco głupio, robiła wrażenie, jakbym się wybierała na biegun północny, a akurat tego dnia była ładna pogoda, uznałam więc, że najlepsza będzie peruka, która grzeje, i kapelusz, który na niej świetnie siedzi. No więc miałam tę platynową perukę, stosowny do niej *maquillage*, wykonany już zupełnie odruchowo, i to wszystko razem okazało się moją zgubą.

- W tym pokoju jest poker, ruletka jest w następnym - powiadomił mnie Francuz.
- Niech pani nigdzie nie zostawia swoich rzeczy, tu trzeba być przygotowanym na szybkie wyjście.

Błysnął zębami w przepraszającym uśmiechu i natychmiast znikł mi z oczu przy którymś stole. Udałam się do następnego salonu, gdzie istotnie działała ruletka, a nawet dwie. Przy jednej akurat zwolniło się miejsce, które czym prędzej zajęłam, odpięłam, co mogłam, palto zdjęłam i narzuciłam tylko na ramiona, torbę i siatkę ulokowałam sobie pod nogami i rozejrzałam się dookoła. Pomieszczenie robiło wrażenie dość dokładnie wypełnionego tak ludźmi, jak dymem. Najbardziej śmierdziały cygara, a kopciły fajki. Światło padało wyłącznie na blaty stołów, wokół panował półmrok. Publiczność stanowili prawie sami mężczyźni, staruszek naliczyłam zaledwie cztery, co, jak na Danię, było ilością zdumiewająco niską. Możliwe zresztą, że było ich więcej, ale nie zdążyłam tego stwierdzić, bo zajęłam się czym innym.

Zamierzałam poczekać i popatrzeć, jak to chodzi i które numery wygrywają. Zamiar nader chlubny, tyle że realizacja mi nieco nie wyszła. W trwającym ciągle stanie upojenia, zanim się zdążyłam obejrzeć; postawiłam dwadzieścia koron na czternaście. Teoretycznie minimalną stawką było pięć koron, ale nikt takiego czegoś nie stawiał. Najmniejsze, co widziałam, to były dwie dziesiątki, wobec czego w obawie kompromitacji zaczęłam od tych dwudziestu, postawiłam je na czternaście nie wiadomo dlaczego i

czternaście wyszło.

Natychmiast zaczęłam mieć następny problem. Aż się dziwię, że mi to nic nie dało do myślenia, cały dzień, pełen z jednej strony unikalnego szczęścia finansowego, a z drugiej idiotycznych problemów! Powinnam była przewidzieć, że coś z tego będzie.

Problem polegał na tym, że w Charlottenlund wypłacili mi wygraną setkami, bo akurat nie mieli w kasie pięćsetek, a mnie w owym momencie było wszystko jedno. Torbę miałam wypchaną pieniędzmi po dziurki w nosie, oprócz tego była wypełniona tysiącem rozmaitych śmieci i teraz nie miałam gdzie umieszczać dalszych dóbr. Gra odbywała się na gotówkę, krupier podsunął mi drobne, postanowiłam te drobne szybko przegrać i potem się zastanowić.

Udało mi się upłynąć połowę, kiedy postawiłam równocześnie na czarne, parzyste, oraz cztery numery razem. Wyszło wszystko, to znaczy z czterech numerów wyszedł oczywiście tylko jeden, bo nie było to miejsce święte i cuda się tam nie zdarzały, i znów dostałam kupę drobnych. Cztery razy z rzędu wygrałam na nieparzyste, krupier zaczął mi już wypłacać grubsze, po czym znowu szarpnęłam się na numer. Sto koron drobnymi postawiłam na ósemkę i ósemka wyszła. Nie było siły, coś z tym musiałam zrobić, zaczęłam więc wpychać pieniądze do siatki, obok atlasu. Siatka nie była siatką z siatki, tylko siatką z tkaniny i nadawała się zupełnie nieźle. Te drobne mnie ciągle denerwowały, stawiałam je, na co popadło, prawie nie licząc i uporcezywie wygrywałam. Istna klątwa!

Wreszcie wzięłam się na sposób, a przynajmniej tak mi się wydawało. Postawiłam garść tego na czerwone, potem się okazało, że było to sto dwadzieścia koron i tak zostawiłam, z nadzieją, że kiedyś wreszcie przepadnie. Czerwone wychodziło, a ja stawiałam nadal, równocześnie przeliczając to, co miałam w rękach i na kolanach, i układając setkami. Należy zauważyć, że w Danii banknot dwudziestokoronowy nie istnieje, bilon kończy się na pięciokoronówkach, potem zaś są dziesiątki, pięćdziesiątki, setki i pięćsetki. Dziesiątkami mogłam już wypełnić bez mała wór po kartoflach, grubsze banknoty plątały mi się w tym też dość obficie i razem wzięwszy uznałam, że wciąż jestem wygrana. Czerwone wychodziło z podziwu godnym uporem, zważywszy głupią sumę, jaką postawiłam, krupier wraz z grubszymi wciąż podsuwał mi i drobne, bo liczył uczciwie i w końcu zgubiłam się w tym do reszty. Zrezygnowałam z walki z drobnymi, zgarnęłam wielką kupę pieniędzy z czerwonego, które od tej chwili przestało wychodzić i

zaczęłam stawiać te dziesiątki, poukładane w setki. Dwukrotnie trafiłam numer, wypłacił mi na szczęście grubszymi, to znaczy pięćsetkami, które od razu wepchnęłam do siatki, stawiałam dalej, pilnując, żeby jednak raczej pozbywać się tych dziesiątek, podniosłam stawkę, znów wygrałam i tak byłam w tym wszystkim zagmatwana, że w ogóle nie widziałam, co się dzieje dookoła. Gorąco mi było jak piorun, kapelusz mi się przekrzywił, peruka prawdopodobnie też, cud boski jeszcze, że przynajmniej nie miałam parasolki, bo te torby pod nogami ciągle mi ktoś kopał, możliwe, że ja sama, gdybym jeszcze usiłowała pilnować parasolki, tobym już zupełnie zwariowała. Znów trafiłam numer, ściśle biorąc, to była dziewiątka, na którą postawiłam dwieście koron, schyliłam się, żeby upchnąć w siatce siedem tysięcy grubszymi i wtedy właśnie wybuchło zamieszanie.

Krzyki w okolicach drzwi usłyszałam jeszcze z głową pod stołem. Wyjęłam ją czym prędzej i ujrzałam, że wpadają jacyś faceci, dwóch albo trzech, nie byłam pewna. Gra w tym momencie uległa przerwaniu, od sąsiedniego stołu poderwał się blady osobnik z dzikim wyrazem twarzy, pianę toczył z pyska, a w oku mu szaleńczo błyskało; zrobił się nagły ruch, drugimi drzwiami wpadł oddzielnie pojedynczy facet, rozglądając się spojrział akurat na niego i on spojrział na mnie. Oblicze mu się jakby rozpromieniło i ruszył wyraźnie w moim kierunku z pewnymi trudnościami, bo ludzi była kupa, pomieszczenie, acz duże, to jednak ograniczone, a wszyscy z nagłą zaczęli latać w rozmaite strony w sposób zupełnie niezorganizowany. Sama na razie nie leciałam nigdzie, zdążyłam tylko pomyśleć, że jeśli to gliny, to odbiorą mi jeszcze te uczciwie wygrane sześć cztery z Charlottenlund, zdenerwowałam się nieco, po czym natychmiast pocieszyłam się, że w razie czego Mały Łysy zaświadczy. I w tym momencie padły strzały.

Strzelał ów blady z pianą na ustach i szaleństwem w oku. Między innymi trafił w lampę z metalowym kloszem, lampa się nie stłukła, tylko zaczęła się dziko huścić. Ci, którzy wpadli, chwycili go w objęcia, on strzelał dalej w różnych kierunkach, wrzaski się wzmogły, razem wzięwszy zrobiła się Sodomia i Gomora, większość osób rzuciła się pod stoły i zdaje się, że tylko ja jedna trwałam nieruchomo na swoim miejscu. Nie z nadmiaru odwagi, broń Boże, a wyłącznie dlatego, że zbaraniałam gruntownie i całkowicie.

Wybałuszonymi oczami patrzyłam na scenę jak z sensacyjnego filmu. Ów jeden, który uprzednio dążył w moim kierunku, nagle się zatrzymał, zrobił jeszcze dwa kroki, droga przed nim opustoszała, bo większość hazardzistów siedziała już pod meblami, chwilę postął, po czym ugiął kolana i runął łbem naprzód wprost pod moje nogi. Padł

jakoś bardzo niewygodnie, więc, pomimo zbarania, wiedziona zwykłymi, ludzkimi uczuciami, przyklęłam i usiłowałam trochę mu pomóc. Przynajmniej przemieścić mu głowę ze stołowej nogi na moją siatkę wypchaną papierem, więc miękką. On zaś łapał powietrze i wyraźnie usiłował coś powiedzieć.

- *Écoutez!*... - wycharczał, z czego wywnioskowałam, że zamierza mówić po francusku.

- Dobrze, dobrze - odparłam. - Nic nie mów, spokojnie...

- *Écoutez!* - powtórzył z jękiem i dalej ciągnął z wysiłkiem i z przerwami: - Wszystko... złożone... sto czterdzieści osiem... od siedem... tysięcy... dwieście... dwa... od be... jak Bernard... dwa i pół metra... do... centrum... wejścia... zakryte... wybuchem... powtórz...

Wydychał to z siebie jednym ciągiem, więc w pierwszej chwili nie zrozumiałam, że ostatnie słowo jest poleceniem dla mnie. On się wyraźnie zdenerwował.

- *Répétez!*... - wyjęczał tak rozpaczliwie, że o mało ducha od tego nie wyzionął do reszty.

Pamięć mam niezłą, a poza tym uznałam, że z konającym nie należy się sprzeczać. Powtórzyłam.

- Wszystko złożone sto czterdzieści osiem od siedem, tysięcy dwieście dwa od be jak Bernard wejście zakryte wybuchem dwa i pół metra do centrum.

Pomyliłam kolejność i widocznie zdenerwowało go to na nowo, bo sam zaczął powtarzać, co drugie słowo upominając mnie, żebym zapamiętała. Niepotrzebnie to czynił, i bez tego byłam zdania, że tak wstrząsających scen nie zapomnę do końca życia, ale wyrażałam zgodę na wszystko, czego sobie życzył.

- Połączenie... handlarz... ryb... Diegp... pa... dri - powiedział jeszcze i nie da się ukryć, opuścił ten padół.

Zajęta nieboszczykiem nie zważałam, co się dzieje dookoła. Nie wiedziałam; co to jest pa dri, i w ogóle z tego, co mówił, nie rozumiałam ani słowa, to znaczy słowa rozumiałam, tylko nie widziałam w nich sensu i odnosiłam mgliste wrażenie, że zdradził mi jakieś potężne tajemnice. Potężne tajemnice mają to do siebie, że nie bardzo wiadomo, co z nimi robić. Nie zdążyłam się nad tym zastanowić, bo nagle dopadł mnie jakiś inny, który wpadł tymi samymi drzwiami co nieboszczyk. Moim prywatnym zdaniem te drzwi powinny były prowadzić do pozostałych apartamentów, ewentualnie

nawet jeszcze dalej, do kuchennego wejścia i tym kuchennym wejściem wpadali kolejno osobnicy, wypchani sensacjami. Ten dla odmiany trzymał w garści spluwę, rzucił się najpierw ku zwłokom, ; pomacał je, następnie zaś zwrócił się do mnie:

- Nie żyje?! - krzyknął głupio w okropnym wzburzeniu, dla urozmaicenia po angielsku. Nie czekając na odpowiedź wrzasnął dalej: - Rozmawiał z tobą?! Mówił coś?! Co powiedział?! Mów!!!...

Równocześnie wycelował spluwę dokładnie w kierunku mojej wątroby, co mnie od razu nad wyraz zdegustowało. Nie mówiąc już o tym, że okropnie nie lubię robić czegoś pod przymusem, to jeszcze wątroba mnie niekiedy łupie i absolutnie nie uważam jej za obiekt stosowny do takich eksperymentów.

Krótkim i treściwym słowem, po polsku, powiadomiłam go, co powiedział nieboszczyk, ale żadnych innych informacji nie zdążyłam udzielić. Osobnik nagle zmienił zamiary, broń palna gdzieś zniknęła, chwycił mnie za rękę i zaczął wlec za sobą w kierunku owych drzwi w głąb. Przytomnie złapałam spod stołu torbę i siatkę. Usiłowałam mu się wyszarpać, ale zaraz z tego zrezygnowałam, ujrawszy za drzwiami policjanta w mundurze. Resztki zdrowego rozsądku powiedziały mi, że najlepsze, co w tej sytuacji mogę zrobić, to przejść na stronę policji i to możliwie szybko. Zamieszanie wzrosło, ci, którzy uprzednio siedzieli pod stołami, teraz wyleźli i na nowo zaczęli się miotać. Rzuciłam się w kierunku dostrzeżonej gliny, osobnik rzucił się wraz ze mną, co mnie jakoś mgliście zdziwiło, przepchnęłam się przez tłum i przedostałam na drugą stronę owych drzwi.

- Muszę z tobą natychmiast rozmawiać! - wrzasnęłam rozpaczliwie do gliny, po angielsku, wydierając się równocześnie z rąk trzymającego mnie łobuza. Łobuz dziwnie łatwo puścił. Policjant nie patrzył na mnie, tylko gdzieś za moje plecy.

- Tak, oczywiście, ale musimy stąd wyjść - powiedział jakby z lekkim roztargnieniem.

Obejrzałam się do tyłu i zobaczyłam cały tabun policji w mundurach. W tym momencie dopadnięta przeze mnie glina obróciła mnie nagle na powrót tyłem do przodu i zatkała mi twarz ręką w czymś, jakby wielkiej, miękkiej rękawicy. Towarzyszący osobnik znów złapał mnie za górne kończyny razem z torbą i siatką. Poczulałam nie znany zapach, który mi się w jakiś sposób skojarzył ze szpitalem.

“Narkoza!... - pomyślałam w osłupiałym popłochu. - Nie Oddychać!!!”

I prawdopodobnie odetchnęłam.

Czasem człowiek budzi się we własnym domu, we własnym łóżku i w pierwszej chwili nie wie, gdzie jest. Cóż wobec tego ma powiedzieć człowiek, który budzi się z narkozy w czymś,, czego nie umie sprecyzować?

Miękko mi było, nie powiem, to stwierdziłam jako pierwsze wrażenie. Oprócz tego trochę mi było jakby niedobrze i zaległa się we mnie myśl o wodzie mineralnej. Myśl była raczej dość oderwana, przybrała postać bulgocącego, pieniacego się, szmerzącego źródelka, którego luby szmer zagłuszał mi uporczywy, jednostajny, denerwujący dźwięk. Trwało to chwilę, nie podobało mi się, wobec czego otworzyłam oczy.

Nade mną znajdował się biały, dziwaczny, półokrągły ..sufit. Jako sufit to to właściwie było do niczego niepodobne, możliwe więc, że po prostu nie było sufitem. Czas jakiś wpatrywałam się w to bezmyślnie, po czym spróbowałam spojrzeć na boki.

Coś, co miałam z jednej strony, uznałam po zastanowieniu za oparcie kanapy, krytej czarną skórą, z tych, których cena w Kopenhadze zaczyna się od pięciu tysięcy i idzie w górę. Tak drogie oparcie jakoś mnie zadowoliło, wobec czego spojrzałam w drugą stronę. Musiałam patrzeć dość długą chwilę, żeby pojąć, co widzę, były to bowiem rzeczy, które kolidowały mi z sufitem. Stoliki, fotele, dywan i inne, tym podobne elementy powinny znajdować się, według mojego rozeznania, w normalnym pomieszczeniu, nie zaś w becze o półokrągłym sklepieniu. Z sufitem za to zgodziły mi się okna, długi rząd małych okienek w łagodnie wygiętej ścianie, które też przy okazji skojarzyły mi się z tym uporczywym, jednostajnym pomrukiem. Nad oparciem mojej kanapy też były takie okienka i wreszcie musiałem się pogodzić z faktem, że najwyraźniej w świecie znajduję się w samolocie.

Co gorsza, ten samolot najwyraźniej w świecie leciał. Charakter nie pozwolił mi dłużej spoczywać w bezruchu. Spróbowałam kolejno wszystkich części kadłuba, najpierw ostrożnie, a potem nieco śmielej, całość działała, niemiłe uczucie w środku zaczynało ustępować, zlazłam więc z kanapy, która istotnie okazała się kanapą krytą czarną skórą, przeniosłam się na fotel pod oknem i wyjrzałam.

Zobaczyłam przestrzeń. Jakaś przeraźliwą, nieograniczoną przestrzeń, która swoim ogromem obudziła we mnie w pierwszej chwili niepokój, czy przypadkiem nie

znajduję się w Kosmosie, ale zaraz potem przypomniałam sobie, że w Kosmosie powinno być ciemno i natychmiast się uspokoiłam. Przestrzeń była pełna światła i po chwili udało mi się nawet odróżnić jej poszczególne elementy. Nade mną było bezgraniczne niebo, pode mną równie bezgraniczna woda, między nimi zaś dawał się zauważyć horyzont. Gdzie, u diabła, mogłam się znajdować razem z tym idiotycznym samolotem?!

Powoli zaczęłam przychodzić do siebie tak fizycznie, jak umysłowo. Rozejrzałam się nieco przytomniej po wnętrzu i stwierdziłam, że na kanapie leży moje własne, rodzone palto, obok kanapy spoczywa kapelusz, torba i siatka, perukę zaś nadal mam na głowie. Nogi miałam bose, to znaczy tylko w pończochach, a kozaczki leżały z drugiej strony kanapy. Innymi słowy było wszystko. Strat materialnych na razie nie poniosłam.

Myśl o stratach materialnych skłoniła mnie do obejrzenia z kolei torby i siatki. Obie te rzeczy nadal były wypchane pieniędzmi.

“Cholernie uczciwi bandyci” - pomyślałam z niejakim zdziwieniem. Nie wiadomo dlaczego, w ogóle się nad tym nie zastanawiając, od pierwszej chwili nabrałam przekonania, że musieli mnie porwać bandyci. Z jakiej przyczyny mieliby to uczynić i w jakim celu, tego na razie nie rozstrzygałam. Możliwe, że było to po prostu moje pobożne życzenie, bo zawsze miałam upodobanie do sensacyjnych urozmaiceń. Zamiast się zacząć bać, zaciekawiałam się wysokością wygranej i przeliczyłam fundusze. Pewno musiałam trochę, dziwnie wyglądać siedząc na tej kanapie bez butów, w angorskim swetrze, ze straszliwą kupą zgruchmonionych banknotów na kolanach i dookoła i z otepiałym wyrazem twarzy.

Doliczyłam się piętnastu tysięcy ośmiuset dwudziestu koron, z pewnym trudem uświadomiłam sobie, że wynosi to przeszło dwa tysiące dolarów, uznałam, że jest nieźle i pod pieniędzmi znalazłam papierosy. Zapaliłam jednego i natychmiast stwierdziłam, że kategorycznie muszę teraz zrobić te dwie rzeczy: umyć się i napić wody mineralnej. Dopiero potem zacznę się zastanawiać.

W tak wytwornie wyposażonym aeroplanie musiały się znajdować niewątpliwie także urządzenia sanitarne. Postanowiłam je znaleźć. Z jakichś niesprecyzowanych powodów wydawało mi się, że lepiej będzie zachowywać się cicho, nie robić zamieszania, nie wzywać pomocy i w ogóle udawać, że nadal trwam w narkotycznym śnie. Co do tego, że oprócz mnie muszą się tam znajdować jeszcze jacyś ludzie, nie miałam najmniejszych wątpliwości. Chociażby pilot...! Nie byłam pewna natomiast, co to za ludzie, i w mojej

duży kołatała się przezorna nieufność.

Na podstawie znajomości wewnątrz normalnych samolotów ruszyłam najpierw ku tyłowi. Rozeznanie, gdzie tył, a gdzie przód, przyszło mi jakoś samo. Drzwi wyglądały zwyczajnie i nawet miały klamkę, i już ujęłam tę klamkę, kiedy coś usłyszałam. Głosy. Ludzkie głosy, dobiegające nisko właśnie zza tych drzwi.

Puściłam klamkę i przyłożyłam do nich ucho. Przykładałam to ucho do rozmaitych miejsc, aż wreszcie znalazłam takie, w którym dało się coś usłyszeć.

Ludzie za drzwiami rozmawiali po francusku, co mnie od razu ucieszyło. Niektóre fragmenty dobiegały mnie w charakterze szmeru, niektóre zaś wyraźniej, a to, co usłyszałam, od razu okazało się nad wyraz interesujące.

- Idiotyzm! - rozległo się najwyraźniej, wypowiedziane gniewnym, stanowczym tonem. - Nie przeszukasz całej Europy, centymetr po centymetrze. Nie możemy jej zabić, nic jej nie możemy zrobić, dopóki nie powie!

- Cóż za kretyńska pomyłka! - wykrzyknął ze zniecierpliwieniem drugi głos i przez chwilę słyhać było tylko szmer. Po chwili dźwięki znów się wzmożyły.

- Na pewno się zorientuje - usłyszałam. - A nawet jeśli nie, to wystarczy, że powie policji. Wystarczy to, co zobaczy!

- Po jakiego diabła ją było zabierać!...

- Nie było innej możliwości. Trudno, stało się...

Głosy przycichły, po czym znów się podniosły.

- ... to nam przecież nie powie! - zawołał któryś. - Sarn bym nie powiedział!

- Mam propozycję! - zawołał drugi - Spróbujmy ją zaangażować...

- Szef się nie zgodzi!

- Idiota! Ale ona się zgodzi, powie, a potem nieszczęśliwy wypadek...

Znów przez chwilę szemrali.

- ... udział - dobiegło mnie - a procent do omówienia... Możemy obiecać bardzo dużo...

- To jest myśl!

- ... wypuścić w żadnym razie. Pilnować jak oka w głowie aż do przybycia szefa...

- Jedyna nasza szansa to wydusić z niej przedtem...

- Jeśli nie zapomniła...

Znów ciągły, nieartykułowany szmer.

- Oczywiście, że potem zlikwidować bez śladu! - wykrzyknął z gniewem głos, który wydawał się przewodzić rozmowie. - I to nie ordynarnie, nie na chama, jak to jest twoim zwyczajem, ale rzeczywiście bez śladu! Absolutnie nie możemy ryzykować!

- Czy ona jeszcze śpi? - zaniepokoił się nagle inny głos, co sprawiło, że kangurzym wręcz skokiem znalazłam się na powrót na kanapie. Nie położyłam się, uznawszy, że siedzieć mam prawo, a symulacja całkowitego ośpienia przyjdzie mi bez trudu. Drzwi ciągle jeszcze pozostawały zamknięte, a tajemniczy osobnicy zwlekali ze sprawdzeniem mego stanu.

“Co się dzieje, do diabła? - pomyślałam z niebotycznym zdumieniem i w niejaki popłochu. - Co ja mam im powiedzieć? Pomyłka? Jaka pomyłka? Powiedzieć?... A, nieboszczyk! Rąbnął się widać... A to rzeczywiście pomyłka i faktycznie kretyńska...”

Z nadmiaru wrażeń oprzytomniałam do reszty i w skupieniu zaczęłam oceniać sytuację. Zostałam widocznie obarczona jakąś wstrząsająco ważną informacją. Zaraz, co to on mówił? Wszystko złożone sto czterdzieści osiem od siedem, tysiąc dwieście dwa od be jak Bernard, dwa i pół metra od centrum... Zaraz, coś jeszcze... Aha, wejście zakryte wybuchem. Nie, jeszcze coś. O jakimś rybaku... Nie, nie rybaku. Połączenie handlarz ryb, Diego, i coś tam. Co, u diabła? Aha, pa dri... I tego nie skończył. Ciekawe, co to może być...

“Nie przeszukasz Europy...” Chyba coś gdzieś schowali, a to był szyfr określający miejsce i ten świętej pamięci półgłówek akurat mnie o tym powiadomił. Rzeczywiście, nie miał kogo... Te jakieś tam swołocze za ścianą chcą, żebym im to powtórzyła, jeśli pamiętam... A pamiętam, pamiętam...

A niechże mnie ręka boska broni teraz cokolwiek z tego z siebie wydusić! Jasne jest przecież, że natychmiast potem trzasną mnie w ciemię i po krzyku. Nie wiem, dlaczego trzasną, ale trzasną, jak amen w pacierzu! Sami to powiedzieli... Mogliby nawet teraz, wypchną z tego samolotu, wody tu cholernie dużo... Co to właściwie za woda? I dokąd my właściwie lecimy?

Spojrzałam na zegarek, który chodził i wskazywał godzinę dwunastą piętnaście. Nakręciłam go odruchowo i zaczęłam się dalej zastanawiać. Woda i woda, jak okiem sięgnąć, a wygląda na to, że lecimy bardzo wysoko. Taka duża woda, to może być tylko jakiś ocean, morza by nie starczyło, mowy nie ma.

Z uczuciem błęgiego szczęścia, nieznacznie zmaconego niepokojem, wyciągnęłam

z siatki święty atlas. Do dyspozycji miałam dwa oceany, a start musiał nastąpić gdzieś w okolicach Kopenhagi. Nie przespałam dwóch dób, bo zegarek by nie chodził i nie wieźli mnie chyba niczym innym. Atlantyk i Pacyfik. Nad Atlantyk na lewo, nad Pacyfik na prawo. Gdyby to miał być Ocean Spokojny, to musielibyśmy przedtem przelecieć przez całą Europę i Azję i jeszcze byśmy nie zdążyli, za daleko. Nie, Pacyfik odpada. Zaraz, ale jeszcze jest mnóstwo wody poniżej Indii, między Afryką a Australią, tylko że tu też trzeba lecieć przez całą Europę. Z Kopenhagi na Sycylię leci się jednym ciągiem pięć i pół godziny... Ile to w ogóle czasu już trwa?

Po namyśle uznałam, że od dziesięciu do jedenastu godzin. Galimatias w melinie nastąpił gdzieś około północy, a może nawet blisko pierwszej. Czyli od tamtego czasu minęło przeszło jedenaście godzin. Nawet przy największym pośpiechu i nadzwyczajnych udogodnieniach nie zdołaliby chyba wystartować przed upływem dwóch godzin, w końcu nie ma lotniska na Kongens Nytorv, trzeba do niego dojechać, a w dodatku ja występowałam w charakterze bezwładnej klody i trzeba było mnie nosić. Musieli to robić ostrożnie, skoro mam na głowie perukę. Zważywszy istnienie pomyłki, nie przewidywali tego wszystkiego i stanowiłam dla nich pewne zaskoczenie. To też opóźnia... Trzy godziny można przyjąć...

Atlas okazał się niewystarczający, wyciągnęłam więc jeszcze z torby polski kalendarzyk Domu Książki, który już wielokrotnie stanowił dla mnie bezcenną pomoc naukową. Po paru minutach nader skomplikowanych obliczeń i kilkakrotnym wyglądaniu przez okno, aby się upewnić, gdzie właściwie usytuowane jest słońce, doszłam do wniosku, że znajduję się nad Atlantykiem, że w miejscu, gdzie się, znajduję, powinna być godzina dziesiąta, albo nawet dziewiąta trzydzieści, i że lecimy na południowy zachód. Ściśle biorąc więcej na południowy, niż na zachód. Jeśli ukaże się przed nami jakiś bardzo duży ląd, to to musi być Brazylia.

Moje rozważania były wprawdzie czysto teoretyczne, niemniej jednak na myśl, że miałabym znaleźć się w Brazylii w tym zimowym palcie, w futrzanych kozaczkach, w ciepłych majtkach i platynowej peruce, poczułam wyraźnie, jak ogarnia mnie na nowo nieprzeparowane osłupienie. Zamknęłam kalendarzyk, schowałam atlas i siedziałam bezmyślnie, wpatrzona wybałuszonymi oczami w blask za oknem, usiłując jakoś przystosować się duchowo do straszliwego wyniku moich obliczeń.

W tym właśnie momencie otworzyły się drzwi i wszedł jakiś facet i jeśli

zamierzałam symulować tępotę, to z całą pewnością wszedł w chwili dla mnie najkorzystniejszej. Mój wyraz twarzy musiał być całkowicie jednoznaczny i jedyny niepokój, jaki mógł się w nim obudzić, to wątpliwość, czy w ogóle jestem przy zdrowych zmysłach. Sądzę, że nieuleczalny debilizm powinien mu się wydać najbardziej prawdopodobny.

Zatrzymał się przy drzwiach i rzucił szybkie spojrzenie równocześnie na mnie i na całe wnętrze. Jego wygląd sprawił, że poczułam się do reszty skołowana. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie chudziutkiego młodzieniaszka i dopiero po bliższym przyjrzeniu się można było stwierdzić, że ma co najmniej 35 lat. Miał przy tym niewinną twarzyczkę o różanej cerze niemowlęcia, niebieskie, wytrzeszczone oczka i rozczochrany kołtun jasnożółtych kłaków na głowie. Z całą pewnością można go było uznać za blondyna!

Trzebaż nieszczęścia, że dawno temu, przed laty, pewna wróżka przepowiedziała mi, iż zasadniczym mężczyzną mego życia, takim na wieki i do grobu, będzie blondyn. Uwierzyłam w to z żywą przyjemnością, bo zawsze miałam upodobanie do blondynów. Tymczasem rzeczywistość gwałtownie przeczyła wyroczni, uporczywie obdarzając mnie szatynami i brunetami, co jednym to czarniejszym, budząc tym ciągły niepokój w głębiach mojej duszy. Z niezłomną wiarą w przepowiednię wciąż oglądałam się na boki w poszukiwaniu tego przeznaczonego i stanowiłam w ten sposób potencjalne niebezpieczeństwo dla wszystkich blondynów świata. Odruch już miałam: co blondyn to podejrzany!

I teraz oto w sensacyjnych okolicznościach, w romantycznej sytuacji objawił mi się w tych drzwiach blondyn, kurza jego twarz!

„Na litość boską! - pomyślałam w panice - wszystko, tylko nie TO!!!...”

Rozczochrane kłaki, niezbyt długie, ale za to kręcone, poruszały mu się na głowie każdy oddzielnie, jakby żyły własnym życiem i nic dziwnego, że tym bardziej siedziałam nieruchomo, wlepiając w niego osłupiały wzrok.

- *Bonjour, mademoiselle* - powiedział uprzejmie, rugając w moim kierunku.

To mnie otrzeźwiło natychmiast. Jeśli do mnie, matki dorastających synów, facet zwraca się per “*mademoiselle*”, to znaczy, że zdecydowali się rozpocząć polubowne pertraktacje. Czyli na razie nic mi nie grozi, nie trzasa mnie w ciemię i mogę sobie pozwalać.

- *Bonjour, monsieur* - powiedziałam znacznie mniej uprzejmie i natychmiast

ciągnęłam dalej: - Poproszę wody mineralnej, bardzo mocnej herbaty z cytryną, gdzie jest toaleta i chcę się umyć. Natychmiast! Potem życzę sobie porozmawiać!

Zabrzmiało to dość złowieszczo, więc dla złamania przeciwnika zatoczyłam wkoło możliwie błędnym spojrzeniem, pomajtałam głową symulując bezwład i wydałam z siebie cichy jęk. Moim zdaniem wyszło nieźle.

- Ależ oczywiście, jak pani sobie życzy! - odparł facet z żywą rewerencją. Pomógł mi zleźć z kanapy, chociaż znakomicie mogłam uczynić to sama, zostałam wzięta pod rękę i nader troskliwie przeprowadzona na tył samolotu, po drodze zaś obdarzał mnie atrakcjami. Otworzył którąś z szafek, wyciągnął wodę mineralną, napiłam się jej wreszcie, po czym obejrzałam sąsiednie pomieszczenie, to właśnie, które przed chwilą dostarczyło mi doznań akustycznych. Pomieszczenie stanowiło coś w rodzaju salonu, nader wytwornego i skrzyżowanego z gabinetem do pracy. Siedziało tam jeszcze trzech facetów, którzy na mój widok wyraźnie się wzdrygnęli i uczynili gest, jakby zamierzali zerwać się z miejsc. Zdaje się, że był to wynik nie nadmiaru uprzejmości, a zaskoczenia. Sądziłem zapewne, że jeszcze śpię i budzenie mnie potrwa nieco dłużej. Na razie nie zwracałam na nich uwagi, rzeczywiście bowiem byłam zdania, że póki się nie umyję, póty nie władam sobą, a poza tym myśl o tej majaczącej przede mną Brazylii sprawiła, że za wszelką cenę chciałam się pozbyć z siebie możliwie dużej ilości odzieży. Już teraz zaczynało mi być gorąco!

Po pół godzinie siedziałam w owym salono-gabiniecie nad szklanką herbaty nie ta sama. Zdecydowałam się już na rolę słodkiej idiotki na wysokim poziomie, zachowującej się z godnością i nieco urażonej. Zdażyłam też przyjrzeć się facetom.

Zewnętrznie nic szczególnego sobą nie reprezentowali. Jeden robił nawet nieźle wrażenie i możliwe, że byłby przystojny, gdyby nie był tłusty, drugi z miejsca obudził we mnie antypatię, bo nie miał przerwy między oczami, czego nie znoszę, trzeci zaś był wzrostu siedzącego psa.

Poza tym nie wyróżniał się niczym. Ubrani byli normalnie, garnitury, krawaty, białe koszule i w ogóle wyglądali jak zwyczajni, zamożni ludzie. Wiek oceniłam na coś pomiędzy trzydzieści pięć a czterdzieści pięć. Ja jedna między nimi wyglądałam nieco głupio z uwagi na to, że byłam bez butów.

Przez pierwsze chwile panowała cisza. Widać było, że oni czekają, co ja powiem, ja zaś zamierzałam czekać, co oni powiedzą, po namyśle jednak zrezygnowałam z tego.

Słodka idiotka nie ma prawa przejawiać żadnej bystrości umysłu i bezwzględnie powinna się z czymś wyrwać.

- Dokąd lecimy i w ogóle co to wszystko znaczy? - spytałam wreszcie z urazą, wypiwszy uprzednio pół szklanki herbaty.

- Czy nie jest pani głodna? - zatroskał się w odpowiedzi tłusty.

Zastanowiłam się nad tym.

- Nie - odparłam. - Jeszcze nie. Ale będę głodna za pół godziny.

- *A votre service, mademoiselle.* Dostanie pani wszystko, czegokolwiek pani sobie życzy.

Z satysfakcją pomyślałam, że zwłóczę, żeby mnie rozgryźć, i sięgnęłam po papierosa.

- Czekam na wyjaśnienia - oświadczyłam lodowato.

Rozczochrany poruszył się, też zapalił, po czym rzekł:

- Zdarzyła się nieprzyjemna historia. Przypomina pani sobie zapewne? Oddawaliśmy się rozrywce, która była nielegalna, i nagle wpadła tam policja...

Zatrzymał się i na chwilę popadł w zamyślenie.

- Wulgarnie - oświadczył, krzywiąc się z bezgranicznym niesmakiem, po czym ciągnął dalej: - Pani się źle poczuła. Nic dziwnego, emocje, pełno dymu, może zdenerwowanie... Byliśmy zdania, że nie można pani tak zostawić, znajdowaliśmy się przecież po tej samej stronie barykady...

Przepraszający, pełen zakłopotania uśmiech, który przywołał na tę niewinną, niebieskooką, niemowlęcą twarzyczkę, był tak szczery, że gdybym nie podsłuchiwała przedtem podejrzanej i krew w żyłach mrożącej dyskusji, z pewnością byłabym gotowa w to uwierzyć. Otworzyłam oczy maksymalnie szeroko i wszelkimi siłami starałam się z kolei przywołać na oblicze wyraz jak najśłodszego zidiocenia.

- Trzeba było zniknąć bardzo szybko - ciągnął rozczochrany. - Nie znaleźmy pani przecież, nie znaleźmy pani adresu, nic kompletnie, więc po prostu zabraliśmy panią ze sobą.

Trzej pozostali zaczęli nagle kiwać głowami wśród radosnych, również nieco zakłopotanych uśmiechów, żywo przyświadczając tej wypowiedzi. Mało brakowało, a zaczęliby klaskać. Byłam zupełnie pewna, że żadnego z nich nie widziałam w pobliżu siebie w owej melinie, nie mówiąc już o tym, że jeśli ktokolwiek się tam źle czuł, to z

pewnością nie ja.

- Bardzo panom dziękuję - powiedziałam z umiarkowaną wdzięcznością. - Obawiam się tylko, czy nie zabrali mnie panowie odrobinę za daleko...

Panowie wydali z siebie grubsze i cieńsze śmieszki dla udokumentowania, że doceniają mój ekstrordynaryjny dowcip i przez chwilę wszyscy razem mizdrzyliśmy się wśród głupawych krygów. Po czym ponowiłam pytanie, tym razem pełne ufego zaciekawienia.

- A dokąd lecimy?

- Mam nadzieję, że nie zrobi to na pani zbyt dużego wrażenia... - zaniepokoił się rozczochrany troskliwie.

- Kula ziemiska jest w końcu tak mała i tak ograniczona... - dodał pobłaźliwie tłusty.

- Drobnostka - powiedziałam życzliwie. - Uwielbiam podróże. A więc?

- Do pewnego małego miasteczka na wybrzeżu Brazylii - wyjaśnił wreszcie rozczochrany, czyniąc przy tym lekceważący gest, którym odległość do Brazylii sprowadzał do odległości między Grójcem a Tarczynem. Te jakieś upiorne tysiące kilometrów unicestwiał, wykreślał, odbierał im jakiegokolwiek znaczenie. Cóż za różnica w końcu, czy prosto z Kopenhagi leć przez ocean do Brazylii, czy przez kanał do Malmö!

Przez chwilę milczałam, głównie z podziwu dla siebie, że jednak tak dobrze zgadłam. Po czym pozwoliłam sobie okazać pewien niepokój.

- Ależ ja nie mam wizy! - zawołałam, starannie demonstrując zdziwione zmartwienie. - Nie mam żadnych rzeczy, tam jest przecież gorąco, nie będę miała w co się ubrać! Poza tym muszę przecież wrócić! Mam nadzieję, że panowie...?

Wytrzeszczyłam na nich oczy mrugając rzęsami z nadzieją, że wychodzi to dostatecznie głupio i bezradnie. W osiągnięciu wyrazu kretyńskiej ufnej słodyczy wspięłam się na szczyty swoich możliwości i zaczęłam mieć obawy, że długo w tym nie wytrwam. O drobnym fakcie, że mój paszport był ważny tylko na Europę i na kraje pozaeuropejskie nie działał, pozwoliłam sobie nie wspomnieć.

Wpatrzeni we mnie wyrapionymi gałami panowie nagle się jakby ocknęli.

- Ależ oczywiście! - wrzasnęli wszyscy czterej równocześnie. - Proszę nie mieć żadnych obaw, zaopiekujemy się panią! Wszystko pani dostanie! Ubranie, oczywiście, wiza, drobnostka, nie ma potrzeby, lądujemy bezpośrednio, nikt się nie będzie pytał!

Powrót? Jasne, w każdej chwili!...

Świat, można powiedzieć, miałam u stóp. Raczylam wyrazić zgodę na zjedzenie śniadania. Czterej panowie usiedli do stołu wraz ze mną. Serwował kelner w białym fraku. Szał ciał i upręży.

W trakcie posiłku sonda ruszyła.

- Z pewnością najbardziej wstrząsnęła panią śmierć tego nieszczęśnika - powiedział ze współczuciem tłusty. - Nic dziwnego, że pani się źle poczuła. Zmarł przecież na pani rękach.

Westchnął ciężko i wzniosł oczy ku górze, jakby zamierzał właśnie odmówić modlitwę za duszę nieboszczyka. Uznałam, że powinnam się dostosować. Odłożyłam widelec i westchnęłam niemniej przejmująco.

- Tak, to było straszne - przyświadczyłam z dreszczem zgrozy. - Straszne! Do tej pory się z tego nie otrząsnęłam!

Na wszelki wypadek postanowiłam natychmiast stracić apetyt, bo i tak się już najadłam, a w ogóle nigdy w życiu nie lubiłam obfitych śniadań. Wspomnienie wstrząsu powinno na mnie ostro podziałać.

- Dla nas jest to szczególnie przykre - westchnął rozczochrany. - Znaliśmy go, zwłaszcza pan...

I wskazał małego, który przelknął gwałtownie, kiwnął głową i przybrał bolesciwy wyraz twarzy.

- To był mój przyjaciel - powiedział. Po francusku mówił zdecydowanie gorzej niż pozostali. - Mój bardzo dobry przyjaciel. Chciałem być przy nim, zamiast pani, w ostatnich chwilach życia.

Czas jakiś wszyscy poświęciliśmy na rzewne wzdychanie i wznoszenie oczu ku górze. Po czym mały ciągnął dalej:

- Jego ostatnie westchnienie, ostatnie słowa... Chciałem je słyszeć, dać odpowiedź... On mówił do pani... Proszę, niech mi pani powtórzy ostatnie słowa mojego przyjaciela!

“Znakomicie! - pomyślałam, pełna uznania. - Gdyby im jeszcze ta boleść lepiej wychodziła, to każdy by się nabrał!”

- Nie mogę - odparłam z westchnieniem wręcz rozdzierającym. - Nie zrozumiałam ich!

Skrzyżowanie spojrzeń przez panów było prawie nieuchwytnie.

- Jak to? - wyrwał się niespokojnie ten bez przerwy między oczami, ale natychmiast zgasił go rozczochrany.

- Bredził? - spytał ze współczuciem.

- Tak sądzę - odparłam smutnie. - Jakieś słowa bez związku, prawie niedosłyszalnie...

- Proszę, niech mi pani powtórzy te słowa! - wyjęczał mały. - Mogą być bez sensu, ale to są ostatnie słowa mojego przyjaciela! Zachowam je na zawsze w pamięci.

Poczułam, że wybrana przeze mnie rola ma swoje mankamenty. Wrobiłam się. Nie ma na świecie słodkiej idiotki o dobrym sercu, a one wszystkie mają dobre serca, która by w tej sytuacji nie stanęła na głowie, żeby tej żebrzącej zołzie powtórzyć cholerne ostatnie słowa jego przyjaciela. Resztki sił umysłowych poświęciłaby, żeby sobie przypomnieć! Jak ja mam z tego wybrnąć, do licha ciężkiego?!

- Nie pamiętam - powiedziałam prawie ze łzami w oczach. - Ale ja pana rozumiem, spróbuję sobie przypomnieć. Tam był taki hałas, zamieszanie, chciałam mu pomóc, a on ledwo oddychał...

Czterej panowie patrzyli na mnie w takim napięciu, że też ledwo oddychali. Przekazany mi przez nieboszczyka szyfr musiał być dla nich co najmniej kwestią życia i śmierci! Zaczęła mnie wypełniać coraz żywsza ciekawość, którą czułam się zmuszona starannie ukrywać. Symulując przypominanie i od czasu do czasu rzewnie wzdychając, dokonywałam pośpiesznie intensywnej pracy myślowej. Wmówić w nich, że nic nie dosłyszałam i nic nie pamiętam? To chyba nie będzie dobrze, bo wówczas stracą powód utrzymywania mnie przy życiu. Kategorie słowa "zlikwidować bez śladu" tkwiły w mojej pamięci i napełniały mnie niejakim niepokojem. Pojęcia nie miałam, kim oni właściwie są, ale widocznie coś z tego wszystkiego, czego byłam świadkiem, stanowiło dla nich jakieś zagrożenie i popadłszy w histeryczną panikę mogliby mnie rzeczywiście usunąć z tego padołu... Nie, lepiej pamiętać. Mogę pamiętać część, a resztę sobie powoli przypominać...

- Wydaje mi się... - powiedziałam z wahaniem, wciąż wzdychając - Takie jakieś skojarzenia... Mam wrażenie... Mówił do mnie "słuchaj!" "Słuchaj!"

- Słuchaj... - powtórzył półprzytomnie tłusty.

- Słuchaj, co?! - wyrwał się znów ten z oczami i chyba rozczochrany kopnął go pod

stołem.

- Ja powiedziałam: "Spokojnie, nic nie mów". Bo widziałam, że umiera, i chciałam mu pomóc...

Westchnienie, które teraz wydałam z siebie, było szczytem arcyzmu. Rozczochrany nie wytrzymał.

- I co dalej?! - warknął nerwowo.

Zwolniłam tempo i postanowiłam się dławić wzruszeniem.

- Głowa mu tak niewygodnie leżała - ciągnęłam powoli i rzewnie. - Pod stołem...

Tłusty był wyraźnie bliski apopleksji. Z zamkniętych ust tego z oczami wydobyło się coś jakby przygłuszone zgrzytanie zębów. Mały złapał oddech.

- I co? I co mówił? Jakie były te ostatnie słowa mojego przyjaciela pod stołem?...

- On sobie nie zdawał sprawy z tego, że leży pod stołem - oświadczyłam z nagłą urazą i pomyślałam, że na ich miejscu już bym chyba siebie zabiła. Anielską cierpliwość do mnie mają, cóż to musiała być za piramidalnie ważna informacja!?

Pierwszy odzyskał głos rozczochrany.

- Nieszczęsny! - zawołał tragicznie. - Nie zdawał sobie sprawy z niczego! Bredził! Mówił słowa bez związku! I tylko pani je słyszała! A jego przyjaciel, najlepszy przyjaciel nie słyszał nic!...

Odniosłam wrażenie, że teraz kopnął małego, który gwałtownie zareagował. Wśród licznych jęków, stękań i westchnień na nowo zaczął mnie błagać, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że bez ostatnich słów jego ukochanego przyjaciela nie ma dla niego życia. Ta straszna myśl, że ich nie zna, zatruje mu duszę na śmierć, na amen! Koniec świata, dno i mogiła!

Stałam na wysokości zadania i moje przedstawienie było nie gorsze niż jego. Łapałam się za głowę, zamykałam oczy, łamałam ręce, składałam mu wyrazy współczucia, rozmaite rzeczy robiłam, ale wreszcie musiałam powiedzieć coś konkretnego.

- Wydaje mi się, że mówił jakieś liczby - wyznałam cichym, śmiertelnie smutnym głosem. - Jakieś liczby bez sensu, oderwane...

- Jakie? Jakie liczby? - wyszeptał rozczochrany prawie bez tchu.

- Nie pamiętam. Różne. Powtarzał je kilka razy...

- Skoro powtarzał kilka razy, to coś pani chyba zapamiętała - zawołał ten z oczyma

z nagłą irytacją. Pozwoliłam sobie natychmiast na to zaprotestować.

- Dla mnie śmierć człowieka jest ważniejsza niż jakieś tam liczby - oświadczyłam godnie urażona.

Rozczochrany znów załagodził sytuację. Jeszcze co najmniej z pół godziny trwała ta idiotyczna kołomyja i gdybyśmy mieli widownię, brawa wybuchałyby niewątpliwie po każdym występie. Musieli się wreszcie pogodzić z faktem, że tym systemem do niczego nie dojdą. Rozczochrany zaczął z innej beczki.

- Muszę pani coś wyznać - powiedział po krótkiej chwili ogólnego milczenia, porozumiewszy się wzrokiem z tamtymi. - Te oderwane liczby są dla nas bardzo ważne. Nasz przyjaciel miał dla nas pewną wiadomość, której nie zdążył przekazać, a na którą wszyscy czekaliśmy. Pani ja usłyszała. To były właśnie te liczby. Usilnie proszę, niech je pani sobie przypomni! Nie będę przed panią ukrywał, że to są najważniejsze liczby w naszym życiu! Prosimy panią o pomoc!

Niemowlęcą buzię i niewinne oczki miał pełne wzruszenia i trzeba było mieć serce z kamienia, żeby mu odmówić. Wbrew kwitnącej we mnie podejrzliwej nieufności może bym się nawet zaczęła łamać, gdyby nie to, że do takiego blondyna wolałam się nie nastawiać zbyt pozytywnie. Przepowiednie miewają nadprzyrodzoną moc. Bez trudu okazałam, również stosowne wzruszenie.

- Ach. Boże! - powiedziałam z bezgranicznym żalem. - Gdybym wiedziała! Ale ja naprawdę nie mogę sobie przypomnieć!

- Musi pani sobie przypomnieć - odparł rozczochrany z naciskiem i po chwili dodał: - Mówmy szczerze. Jesteśmy ludźmi zamożnymi. Ten wysiłek pamięci i tę przysługę wynagrodzimy pani. Bardzo wysoko wynagrodzimy. Potraktujemy to jak interes...

- Rozumiem - przerwałam mu. - Spróbuję sobie przypomnieć, postaram się, ale co będzie, jeśli nie zdołam? Oderwane liczby bardzo trudno zapamiętać...

Niebieskie oczki rozczochranego nagle zlodowaciały. W ułamku sekundy atmosfera uległa metamorfozie. Wszyscy czterej zeszywnieli, patrzyli na mnie bez słowa i gdybym była odrobinę mniej lekkomyślna z natury, powinnam się zupełnie porządnie wystraszyć.

- Tylko pani słyszała te liczby - powiedział rozczochrany powoli. - I tylko pani może je sobie przypomnieć. Z prawdziwą przykrością będziemy zmuszeni narzucić pani

nasze towarzystwo tak długo, aż odzyska pani pamięć.

- Proszę? - zdziwiłam się uprzejmie, chociaż spodziewałam się właśnie czegoś takiego. - Co to znaczy?

- To znaczy, że jest pani dla nas bezcennym skarbem. Razem z pani pamięcią... Będzie pani musiała pozostać z nami, otoczona naszą opieką, jak prawdziwy, bezcenny skarb.

Wyglądało na to, że z wolna zaczynamy odkrywać prawdziwe oblicza.

- Czy mam rozumieć, że nie pomogą mi panowie wrócić do Kopenhagi? - spytałam nadal z niewinnym, niebotycznym, uprzejmym zdziwieniem.

- Przeciwnie. Będziemy zmuszeni przeszkadzać pani wszelkimi siłami w powrocie do Kopenhagi. Nasze możliwości są dość duże...

Przez chwilę milczałam.

- To nie jest dobra metoda - oświadczyłam z łagodnym niesmakiem. - Mogłabym się przestraszyć, a ze strachu tracę pamięć już zupełnie. Dzięki poprzednim argumentom zaczęłam sobie coś przypominać i prawie wiedziałam pierwszą liczbę, a teraz mi to znowu wyleciało z głowy!

Ten bez przerwy między oczami nie wytrzymał. Zerwał się od stołu, wybulgotał z siebie jakieś nie znane mi słowa i wypadł z salonu. Pozostali również okazali pewne zdenerwowanie.

- Myślę, że przypominałabym to sobie, gdybym znalazła się w tym samym miejscu, w którym to słyszałam - ciągnęłam dalej. - W tym samym pokoju w Kopenhadze. Panowie rozumieją, takie skojarzenie optyczno-akustyczne...

Propozycję z góry uważałam za dość beznadziejną, ale co mi szkodziło spróbować. Pomimo istotnie namiętnego upodobania do podróży uznałam, że jednak znacznie prościej i wygodniej dla mnie będzie, jeśli odwiozą mnie do

Kopenhagi tą samą metodą, jaką mnie stamtąd wywlekli. I pieniędzy mi było szkoda, i zdawałam sobie sprawę, że bez wizy i z nieważnym paszportem wszelkie wojaże napotykają rozmaite głupie trudności.

- Nic z tego - powiedział rozczochrany, a niebieskie oczki ciągle miał lodowate. - Myślę, że prędzej pani sobie to przypomni nie mogąc wrócić do Kopenhagi. I myślę, że doprawdy lepiej dla pani będzie przypomnieć sobie jak najszybciej...

Dalsza konwersacja stanowiła mieszaninę gróźb, próśb, umizgów, szantażu i

przekupstwa. Stało wreszcie na tym, że przedkładamy pokojowe współistnienie nad otwartą wojnę. Zażądałam czasu i spokoju wyznając niezgodnie z prawdą, że trochę pamiętam, a trochę nie, postaram się przypomnieć sobie resztę, a potem się zastanowię. Oni zełgali, że mi wierzą, i na nowo wróciliśmy do wzajemnych rewerencji.

Nie mogąc na razie zrobić nic innego, zamierzałam spokojnie popatrzeć, co z tego wszystkiego wyniknie. Nie byłam zbyt przestraszona. Znacznie większą obawą napęłniły mnie zapewne napad pijanych chuliganów. Zaistniała sytuacja była tak dziwaczna i nieprawdopodobna, że przepełniające mnie zdumienie nie zostawiało miejsca na lęk. Wręcz przeciwnie, byłam nawet mile zaskoczona atrakcyjnością przygody, która wcale nie wydawała mi się niebezpieczna. Nie przewidywałam nawet potrzeby interwencji policji, będąc zdania, że z pewnością sama dam sobie radę. Z żywym zainteresowaniem oczekiwałam dalszego rozwoju wydarzeń, na wszelki wypadek tylko słuchając ostrzegawczego głosu duszy, która kazała mi przemilczeć słowa nieboszczyka.

Przez ten czas ulecieliśmy, wielki kawał drogi i po prawej stronie ukazał się daleko jakiś ląd. Niewątpliwie Brazylia, a ja ciągle miałam na sobie wełnianą spódnicę i angorski sweter! Pozbyłam się tylko rajstop i wystąpiłam już zupełnie boso.

Ląd zbliżył się do samolotu, po czym już całkowicie zastąpił ocean. Lecieliśmy okropnie wysoko i nic nie mogłam rozpoznać, chociaż starałam się o to wszelkimi siłami, usiłując przynajmniej odnieść z tej całej idiotycznej imprezy jakąś korzyść turystyczną. Nie miałam pojęcia, w którym miejscu Brazylii jesteśmy, i wykluczyłam tylko ujście Amazonki, uznawszy, że powinno wyglądać jakoś bardziej zielono i wilgotno, nie mówiąc już o tym, że rzeka sama w sobie jest dość duża i dałaby się zauważyć. Potem nagle zeszliśmy do lądowania, chociaż nie widziałam żadnego lotniska, ale to było u mnie normalne. Nigdy w żadnym samolocie nie umiałam zawczasu dostrzec lotniska, nawet Okęcia nie potrafiłam rozpoznać i każde zejście do lądowania stanowiło dla mnie niesłychane zaskoczenie. Zawsze mi się też wydawało, że pasy startowe są czystą imaginacją i siadamy w kartoflisku, na torach kolejowych, na dachach budynków lub też w innym, niestosownym terenie.

Tym razem usiedliśmy w miejscu, gdzie pasy startowe istniały, ale za to nie było zabudowań. Zabudowania zobaczyłam po chwili, bardzo daleko, prawie na horyzoncie. Oczekiwałam jakichś komplikacji, kontroli paszportowej, celników, czegoś w tym rodzaju, z satysfakcją przewidując melanz, jaki wywoła moja obecność, tymczasem nic

takiego nie nastąpiło. Tuż obok samolotu znalazł się nagle helikopter, górne śmigło powoli mu się kręciło, w imponującym tempie zostałam przetransportowana wraz z całym dobytkiem do nowego środka lokomocji, zdążyłam pomyśleć: “rany boskie, upiekę się!” i już znów byliśmy w powietrzu. Organizację to oni mieli sprawną, nie da się ukryć.

Siedziałam przy oknie i znów usiłowałam coś zobaczyć. Lecieliśmy nieco niżej, ale krajobraz pod spodem nic mi nie mówił. Wydedukowałam sobie tylko, nie po krajobrazie oczywiście, a po słońcu, że wracamy ku morzu.

Konwersacja toczyła się dość niemrawo, z pominięciem zasadniczego tematu. Rozczochrany zainteresował się moją znajomością języków obcych. Bez oporu powiadomiłam go, że najlepiej mówię po polsku, i to prawie od urodzenia, zaprezentowałam swoją, nieco osobliwą znajomość angielskiego, oraz mściwie oświadczyłam, że włoski jest bardzo łatwy i w ogóle romańska grupa językowa przedstawia dla mnie miętę z bubrem. Zacytowałam nawet fragment łacińskich wierszy, których uczyłam się w szkole i które nie wiadomo dlaczego do dziś dnia pamiętam. Zamierzałam zamącić im w głowach i odebrać możliwość porozumiewania się przy mnie jakimś językiem, którego bym zupełnie nie rozumiała. To, że swobodnie i beztrudnie mogliby mówić po duńsku, nie przyszło im do łba, bo też istotnie moja gruntowna nieznajomość duńskiego po tak długim pobycie w Danii była nie do pojęcia.

Do tej nieznajomości przyznałam się z całym spokojem, przekonana, że mi nie uwierzą i rzeczywiście, nie uwierzyli. Zaczęło im już brakować języków, więc spytali o niemiecki. Radośnie odparłam, że znam go znakomicie, po czym, poproszona o jakiś dowód na to, popadłam w głębokie zamyślenie.

- Ich habe - powiedziałam. Zastanowiłam się jeszcze dłużej i zakończyłam z triumfem: - Donnerwetter!

Towarzystwo w helikopterze dostało napadu wesołości i tak sobie lecieliśmy dalej miło i przyjemnie.

Miałam nadzieję, że udało mi się pobudzić ich do logicznego myślenia. Logicznie rzecz biorąc bowiem francuski znałam, po włosku od biedy mogłam się dogadać, pamiętałam łacinę, istotnie więc romańskie języki mogły przedstawić sobą pewne niebezpieczeństwo. Słowiańskie odpadały w przedbiegach. Mój długi pobyt w Danii pozwalał podejrzewać, że skandynawskie chociaż trochę rozumiem, angielski znałam nieco, chociaż widać było, że nie najlepiej i w ogóle jakoś dziwnie i w rezultacie

pozostawał im już tylko niemiecki. Chiński, japoński i rozmaite narzecza arabskie są na ogół mało rozpowszechnione, nie brałam więc ich pod uwagę. Jeśli usiłowałam twierdzić, że znam także i niemiecki, to z pewnością tylko po to, żeby oni go nie używali. Rozumowanie było proste i nader logiczne i byłam zdania, że powinni je przeprowadzić. Przyszłość wykazała, że miałam rację,

Cała zaś ta dziwna i skomplikowana kombinacja brała się stąd, że niemiecki miałam opanowany w bardzo osobliwy sposób. Mówić nim nie umiałam, ale rozumiałam prawie wszystko. Przez długi czas Alicja, której, pomimo imponujących talentów językowych, duński szedł jak z kamienia, porozumiewała się z Thorkildem po niemiecku. Spędzając w tym domu całe godziny i uczestnicząc w rozmowach, przypominałam sobie biernie cały niemiecki, jakiego uczyłam się w szkole, i oprócz tego douczyłam się jeszcze mnóstwo. Zatajanie przede mną rozmaitych wiadomości za pomocą wygłaszania ich po niemiecku stanowiłoby dla mnie samą przyjemność.

Oglądany pod helikopterem teren oceniłam jako dość skaliste pagórki, czasem wyższe, a czasem niższe. Gdzieniedzie były porośnięte zielenią, a gdzieniedzie gołe. Okropnie mi zależało na tym, żeby dopasować rzeczywistość do mapy i wreszcie dowiedzieć się, gdzie jestem, bez konieczności wypytywania o to moich prześladowców, którzy przecież mogli zełgać.

Po pewnym czasie daleko na horyzoncie pojawiło się morze, to znaczy ocean, a wkrótce potem zobaczyłam coś nad wyraz dziwnego. Pagórki wystąpiły w postaci skał o pionowych zboczach i w poprzek takiego jednego zbocza coś lazło, wijąc się nieco, jakby było przyklepione do skały. Długo usiłowałam rozszyfrować to samodzielnie, ale nie udało mi się.

- Co to jest? - spytałam ciekawie, wskazując rzecz palcem.

- Pociąg - odparł krótko rozczochrany.

“Zwariował” - pomyślałam.

- Nie rozumiem - powiedziałam z niesmakiem. - Jaki pociąg? Kolejka linowa?

- Pociąg na szynach. Droga żelazna - wyjaśnił tłusty z pobłażliwym uśmiechem. -

Idzie po takim moście wbudowanym w skałę.

Mogło w tym coś być. Zaczęłam się przypatrywać pilniej, zbliżyliśmy się do owych zboczy i nagle prawie tuż pod nami ujrzałam coś jakby wspornikową galerię, rzeczywiście zaopatrzoną w szyny. Jej dalszy ciąg dawało się zauważyć w miejscach, gdzie świeciło

słońce, w cieniu mi nikła. Fantastyczne! Przejęta podziwem i szacunkiem przyglądałam się temu z takim zainteresowaniem, że całkowicie przeoczyłam resztę terenu.

Po czym znów zaskoczyło mnie nagłe zejście do lądowania. Okazało się, że jesteśmy nad samym oceanem, zdążyłam dostrzec jakąś bardzo dużą zatokę, nad zatoką zaś miasto, wokół którego roilo się od jednostek pływających, obniżyliśmy się jeszcze bardziej i tym razem, wyjątkowo, zobaczyłam lądowisko. Taras wśród skał, nie budzący żadnych wątpliwości, że tu właśnie musimy usiąść. Przystałam mrugać oczami, żeby już nic więcej nie przeoczyć, i udało mi się dojrzeć wokół tarasu coś, co po namyśle, można było uznać za budynki. W każdym razie były to jakieś kubistyczne konstrukcje budowlane; wtopione w skały. Nic więcej nie zauważyłam, ponieważ usiedliśmy wcale nie na owym, uprzednio dostrzeżonym tarasie, który znikł mi z oczu, tylko na innym, którego, oczywiście, nie zauważyłam.

W ostatniej chwili zdążyłam cofnąć bosą nogę, którą już zamierzałam postawić na posadzce! Nawet gdyby te płyty kamienne były lodowato zimne, to też upierałabym się, że są rozpalone, bo rozpalone wydawało mi się wszystko. Bluzka z angory przegryzała mnie na wylot, spódnica grzała jak termofor! Spod peruki, której postanowiłam nie zdejmować do końca, spływał mi pot, rozmazując resztki *maquillage'u*! Dusłam się, jak gęś w rondlu, w garści ścisnęłam torbę i upiornie ciężką siatkę, na resztę mojej zimowej odzieży usiłowałam nie patrzeć i wyraźnie czułam, jak w środku narasta mi gwałtowna furia. W takim stroju mnie zawieźć do Brazylii, o chamy niemyte!!!

- *O, pardon, mademoiselle*, prosimy o wybaczenie! - wrzasnęła tłusty i już po chwili, bulgocąc niczym garnek z ukropem, przeszłam po matach słomianych do co prawda oszklonej, ale przynajmniej zadaszanej części kubistycznej konstrukcji. Maty w błyskawicznym tempie donieśli jacyś faceci, którzy pojawili się na tarasiku w chwili naszego wylądowania.

W środku natychmiast zrobiło się chłodniej, klimatyzacja działała widocznie jak w Pałacu Kultury. Zostałam doprowadzona prosto do przeznaczonych mi apartamentów. W głowie mignęła mi mglista myśl, że coś takiego nawet na kapitalistycznych filmach z życia wyższych sfer widywałam rzadko, ale nie byłam w stanie teraz się tym zajmować. Rozebrać się!!! Rozebrać się i umyć za wszelką cenę!!!

- Won stąd! - warknęłam po polsku i od razu przetłumaczyłam na francuski: - Chcę zostać sama! Która godzina?!

- Za dziesięć piąta - odparł tłusty z niejakim zaskoczeniem.
- Gdzie za dziesięć piąta?! Tu?!!!
- Tu, oczywiście...

Spojrzał na mnie nieco spłoszony, widocznie stan mojego wnętrza dawał się zauważyć, i czym prędzej się wyniósł. Resztką przytomności umysłu spytałam go o godzinę, bo po przyjściu do siebie zamierzałam przeprowadzić sobie stosowne obliczenia i zlokalizować się bez ich pomocy.

W apartamencie było WSZYSTKO. Napiłam się dodatków do whisky, to znaczy wody sodowej z lodem, bo w chrypkę też nie wierzę, dość dużo czasu zużyłam na zapoznanie się z urządzeniami technicznymi w salonach stanowiących łazienkę, w nieprzewidzianym momencie zalałam się wodą od stóp do głów, bo ze ściany trysnęła mi nagle kurtyna wodna w poziomie, rozpyliłam po całym pomieszczeniu coś jakby lodowatą mżawkę, puściłam, na szczęście nie na siebie, a obok, bicz wodny z wrzątku i wreszcie udało mi się jakoś zapanować nad tą orgią wynalazków. Za najstosowniejszy strój uznałam duży ręcznik frotte, zjadłam banana i zabrałam się do pracy.

Entourage mnie nieco rozpraszał, ale charakter zawsze miałam odporny na luksusy, bez trudu więc pogodziłam się z poziomem finansowym wnętrza. Na oko rzecz biorąc, taniej niż za pół miliona duńskich koron nie dałoby się czegoś takiego urządzić, ale w końcu nie ja za to wszystko płaciłam, nie moja rzecz. Moją rzeczą było stwierdzić wreszcie, gdzie się znajduję.

Za pomocą kalendarzyka Domu Książki, atlasu i dużego wysiłku umysłowego wyliczyłam sobie przypuszczalną trasę, ilość przebytych kilometrów i kierunek podróży. Wyszło mi, że nie ma siły, siedzę prawie na zwrotniku Koziorożca. Szczegółowe poszukiwania na mapie pozwoliły mi nawet znaleźć szalenie krętą linię kolejową, która musiała być owym dziwem, łączącym w poprzek zbroczy, bo innej linii kolejowej nigdzie w pobliżu nie było. Usytuowałam zatokę i przy niej dwa miasta. Jedno większe, nad samym brzegiem oceanu, drugie zaś małe, w głębi zatoki. Jedno według atlasu nosiło nazwę Paranagua, a drugie Antonina. Nareszcie! Nareszcie wiedziałam, gdzie jestem!

Usatysfakcjonowana sukcesem i pełna triumfu rozejrzałam się dookoła nieco szerzej. Za oknami widać było z jednej strony ocean, z drugiej zaś wyłącznie skały. Z mieszanymi uczuciami pomyślałam sobie, że zawsze na urlopie chciałam mieć pokój z widokiem na morze i nigdy jakoś nie mogłam tego osiągnąć. Pierwszy raz mi się

przytrafiło, jak ślepej kurze ziarno, przy czym nie byłam pewna, czy istotnie pobyt tutaj mogę uważać za urlop. Jeśli nawet, to w każdym razie będzie to urlop nad wyraz męczący!

Prawdę mówiąc czułam się z lekka oszołomiona, wszystko to razem było nader intrygujące, zaskakujące i niepojęte. Pojechałam sobie zwyczajnie w porządnym mieście Kopenhadze pograć w nielegalną ruletkę i ni z tego, ni z owego znalazłam się po drugiej stronie oceanu w towarzystwie całkowicie mi obcych ludzi, którzy zawlekli mnie tu nie wiadomo po co i nie wiadomo dlaczego. Na domiar złego planowali pozbawienie mnie życia z całkowitym pominięciem mojego zdania na ten temat. Zupełnie idiotyczne. Trochę mi to wyglądało na jakiś głupi dowcip i myśl, że istotnie miałyby mi grozić jakieś niebezpieczeństwo, że miałabym zostać uwięziona, nie móc powrócić do Europy, nie zobaczyć więcej własnego domu, była mi w ogóle niedostępna. Nie docierała do mnie. Prezentowana przeze mnie lekkomyślna odwaga brała się z niewiary w rzeczywistość.

Nie znany czarny bandzior o ponurym spojrzeniu gnąc się w ukłonach zaprosił mnie na obiad. Obecni byli tylko tłusty i rozczochrany. Łaskawie oświadczyłam, że dość dobre warunki bytowe wpływają pozytywnie na moją pamięć. Nieco już sobie przypomniałam, możliwe, że wkrótce odtworzę całą wypowiedź nieboszczyka, a teraz proszę mi się postarać o jakąś damską odzież.

- Wszystko będzie jeszcze dzisiaj - odparł rozczochrany sucho i na chwilę zapadło milczenie.

- Gdzie jest plaża? - spytałam znienacka, bo przyszło mi do głowy, że mogłabym dodatkowo wykorzystać ten pobyt tutaj i trochę się opalić.

Obaj, tłusty i rozczochrany, spojrzeli na mnie wzrokiem cokolwiek zbaraniałym. Widocznie branki w jasyrze rzadko myślały o opalaniu.

- Jak to... plaża? - powtórzył tłusty, jakby nie pojmując znaczenia słowa.

- Plaża - wyjaśniłam niecierpliwie. - Zwyczajna plaża. Takie miejsce nad wodą do opalania. Gdzie jest?

- Nie ma plaży - odparł tłusty, wciąż z wyrazem zdumienia. Rozczochrany przyglądał mi się, jakbym zwariowała. - Jest basen - dodał po chwili. - Życzy pani sobie popływać?

- Niech Bóg broni! - zaprotestowałam żywo. - Nie umiem pływać! Chcę się opalać nad wodą. Gdzie ten basen?

Jakoś przyszedli do siebie po wstrząsie i tłusty zaofiarował się oprowadzić mnie po posiadłości. O zamykaniu na klucz i trzymaniu pod strażą nie było mowy, co mnie nawet nieco dziwiło. Byłam zdania, że ucieczka z tego miejsca nie będzie przedstawiała sobą żadnych trudności.

Jasne jest bowiem, że myśl o ucieczce kwitła już we mnie bujnym kwieciami. Zakiełkowała od razu w samolocie, w chwili wysłuchiwania fragmentów konwersacji za zamkniętymi drzwiami. Zdawałam sobie sprawę, że może to nie być takie zupełnie proste, ale posiadałam przeszło dwa tysiące dolarów i nie zanosilo się na to, żebym miała jakieś inne perspektywy powrotu. Faceci robili wrażenie upartych. Beznadziejne sytuacje wpływają na mnie dopingująco i byłam przekonana, że na pewno coś wymyślę. Na razie nie miałam jeszcze szczegółowego rozeznania terenu, nie snułam więc żadnych konkretnych planów, zwłaszcza że nie wydawało mi się najślusniejsze uciekać w ręczniku kąpielowym i boso. Za bardzo rzucałabym się w oczy wszystkim po drodze.

Po powrocie do apartamentu znalazłam dwie potwornie wielkie walizy z pełną wyprawą. Pojęcia nie miałam, jakim cudem zdążyli tak szybko, ani też kto to wybierał, ale trafili bezbłędnie nawet z numerem obuwia. Zaczynając od kostiumów kąpielowych, poprzez spodnie z frędzlami, których poprzysięgłam za skarby świata na siebie nie włożyć, aż do wytwornych, wieczorowych toalet, było wszystko. Prawdopodobnie znaleźli po prostu jakąś ekspedientkę moich rozmiarów i kazali jej skompletować garderobę na długotrwały, ekskluzywny urlop.

Wieczorem ruszyłam wreszcie na rekonesans. Nie zauważyłam, kiedy zrobiło się ciemno, bo całość budowli była oświetlona w jakiś szalenie wymyślny sposób, tak że przez długi czas nie mogłam wykryć źródeł światła. Łagodny, rozproszony blask, kolorem zbliżony do słonecznego, panował tak wewnątrz jak i na zewnątrz. Pożałowałam, że nie mogę tego zobaczyć z daleka, bo z pewnością te przeszklone bryły, świecące w ciemnościach, wyglądały niezwykle efektownie.

Poszczególne fragmenty budynku były wzniesione na skale, połączone z nią, niektóre wtopione, niektóre zawieszono wspornikowo, wystawały mniej lub bardziej, a wszystko to razem miało kilka pięter i było niesłychanie skomplikowane komunikacyjnie. Schody znajdowały się tylko gdzieś tam i łączyły najwyżej dwie kondygnacje, a główne usługi pionowo opierały się na windach. Promenując z tłustym naliczyłam ich dziewięć, przy czym niektóre były całkowicie otwarte i chodziły bez przerwy w górę i w dół.

Wsiadało się do nich w biegu. Okropnie nie lubię takich wind i staram się z nich nie korzystać, bo zawsze jedna noga zostaje mi nie tam, gdzie powinna. Drzwi, jeśli już istniały, otwierały się samodzielnie na zasadzie fotokomórki, fragmenty przeszklonych ścian też, klimatyzacja dmuchała, ssała, chłodziła i wachlowała, a wszystko to razem działało bezszmerowo i niepojęcie sprawnie.

Basen znajdował się na jednej z niższych kondygnacji, z trzech stron otoczony był budynkiem, a z czwartej miał dziką skałę. Palmy i kaktusy rosły wokół w ilościach najzupełniej mnie zadowolających. Dookoła obficie poniewierały się dmuchane fotele z przezroczystego plastyku oraz inne zwyrodniałe meble.

Jednej rzeczy tylko nie mogłam jakoś dostrzec, mianowicie wyjścia z tej rezydencji. Zaczynałam powoli nabierać obaw, że jedynym sposobem przybycia tu, względnie oddalenia się stąd, jest ów helikopter na tarasiku. Dzika skała obok basenu wznosiła się zupełnie pionowo i z całą pewnością nie umiałabym na to wleźć. Opanowanie helikoptera też jakoś nie wchodziło w rachubę i wreszcie nie wytrzymałam.

- Pięknie - powiedziałam. - Jestem zachwycona. To prześliczny budynek, ale którędy się stąd wychodzi, dołem?

- Po cóż wychodzić dołem, skoro górą znacznie wygodniej? - odparł tłusty z wyraźną satysfakcją, ale skierował się do następnej windy i zjechaliśmy niżej. Po drodze dostrzegłam nad swoją głową, na nieco wyższym poziomie, estakadę, której przedtem nie zauważyłam, prowadzącą do większego tarasiku wśród skał, spoza skał zaś wystawały górne śmigła jeszcze co najmniej dwóch helikopterów. To był właśnie ten taras, który widziałam z góry w chwili lądowania. Rzeczywiście, komunikacje tu mieli zorganizowaną w sposób całkowicie sprzeczny ze mną.

Dolne wyjście się jednak znalazło. Wyszliśmy na mały dziedziniec, również otoczony skałami, z którego prowadziły trzy drogi w dal. Przejście na coś jakby nieduży balkonik z widokiem na morze, kamienista ścieżka gdzieś w dół i dość wąska, asfaltowa szosa też w dół, ale w inną stronę.

- Ta ścieżka schodzi nad brzeg - objaśnił tłusty uprzejmie i życzliwie. - A ta droga - idzie do miasta i dalej w głąb lądu. Zapewne pojedziemy kiedyś do miasta, ale nie szosą, tylko łodzią. Życzy pani sobie zobaczyć port?

Życzyłam sobie. Niewątpliwie liczył na to, że mnie zaskoczy, zachowałam więc kamienny spokój i okiem nie mrugnęłam, kiedy w narożniku dziedzińca najbliższym

morzu otworzyły się samoczynnie wrota windy w skale. Wyglądało to zupełnie nierealnie, coś jak "Sezamie, otwórz się!". Zjechaliśmy już na sam dół i ujrzałam maleńki port, otwarty nie na zatokę, a na ocean, prześlicznie obudowany bardzo wysokim falochronem, z basenikami, w których stały przycumowane dwie średniej wielkości motorówki. Całość była oświetlona tak samo jak budynek, łagodnym, rozproszonym blaskiem.

- Tu zaraz obok jest miasto - poinformował tłusty, starannie unikając wymieniania nazwy owego miasta. - Nie widać go, bo te skały zasłaniają, Ale widać statki, wypływające z portu, a kawałek może pani zobaczyć z balkonu na górze.

Prawdę mówiąc powoli zaczynałam mieć dość oglądania. Rezydencja trochę przeszła moje możliwości przewidywania i zaczęły mi się lęgnąć problemy. Musiałam sobie to wszystko przemyśleć, po czym obejrzeć ponownie przy świetle dziennym i bez towarzystwa. Stopniowo przestawałam się dziwić, że nie usiłują mnie trzymać pod kluczem i za kratami.

Spać poszłam z cichą nadzieją, że obudzę się w Kopenhadze, okropnie spóźniona do pracy, po czym z przyjemnością będę wspominać ten szalenie skomplikowany sen...

Chyba czułam się nieco zdenerwowana, kiedy po ponownym obejrzeniu całej posiadłości z wizytą na drugim tarasie z helikopterami i widokiem z balkoniku włącznie, ułożyłam się na wielkiej plastikowej bule nad basenem, w cieniu bujnej roślinności. Nie było dobrze. Perspektywa ucieczki przedstawiała się blado, a postawa wszystkich czterech panów wyglądała całkowicie jednoznacznie. Zostało mi to objawione przy śniadaniu. Rozczochrany zrezygnował z zabiegów dyplomatycznych i powiedział wprost:

- *Chère mademoiselle*, stała się pani jedyną posiadaczką najważniejszej dla nas wiadomości. Jest pani kobietą inteligentną i zdaje pani sobie sprawę, że tę wiadomość musimy od pani uzyskać. Nie będę przed panią ukrywał, że owa wiadomość oznacza pieniądze. Bardzo duże pieniądze. Sama pani widzi, że nie żyjemy w nędzy, ale to, co pani widzi, to jest nic w porównaniu z tym, co możemy mieć dzięki ukrywanej przez panią informacji. Jesteśmy ludźmi łagodnymi, nie chcemy stosować przymusu, zwłaszcza że przymus mógłby istotnie zachwiać pani pamięcią, jesteśmy nawet skłonni dopuścić panią do udziału w naszych interesach... To jest kwestia do omówienia. Ale niestety nie rządymy tu sami. Mamy szefa. Szef wkrótce przybędzie. Jeżeli przekaze nam pani słowa naszego świętej pamięci przyjaciela przed przybyciem szefa, zostanie pani bardzo poważnie wynagrodzona i odwieziona do Europy. Jeżeli zetknie się pani z szefem, nie

wyjdzie pani stąd nigdy. Więc jak pani woli...

Jego wypowiedź miała swój sens i może zaczęłabym się nad nią zastanawiać, gdyby nie wspomnienie słów podsłuchanych w samolocie. To wszystko wyglądało jakoś dziwnie i za dużą forszę było widać dookoła, żeby nie załatywało jakimś piramidalnym szwindlem. Wszyscy czterej patrzyli na mnie pozornie spokojnie, ale dawało się w nich wyczuć olbrzymie napięcie. Dusza kazała mi nie wierzyć. Dopóki nie powtórzę im owego szyfru, dopóty mogę być pewna życia. Powiedzieć zdążę zawsze. Jeśli zaś już powiem, to rzecz stanie się nieodwracalna, nie cofnę tego. I po jakiego diabła mieliby się ze mną użerać, jeśli stanę się im niepotrzebna?

- Rozumiem - odparłam w niejakim zamyśleniu. - Ale ja rzeczywiście nie wszystko pamiętam i mam wrażenie, że coś przekręcam. W pierwszej chwili nie pamiętałam nic, stopniowo to jakoś odtworzyłam, ale trochę mi się myli. Wcale nie żartuję, mówiąc, że przydałby mi się jakiś lokal z podobną atmosferą jak tam...

- Zorganizujemy to - obiecał zimno rozkochany. - Możemy spróbować nawet już dzisiaj...

Nie byłam pewna, czy mi wierzą. Udawali, że tak. Ja też udawałam, że im wierzę, i miałam tylko nadzieję, że nie są pewni, czy udaję.

Peruka grzała mnie potwornie, więc przed pójściem na basen umyłam głowę, ryzykując przy tym resztą życia, bo wybrałam sobie na oko jeden z szamponów stojących w łazience, nie wiadomo było, co to jest, i mogłam od tego kompletnie wyłysieć. Zakręcić włosów nie miałam na co i siedziałam na tej bule w charakterze przyzycznej Goplany, tym się tylko różniąc, że z pewnością Goplana dysponowała bujniejszymi splotami.

Obok helikopterów, w porcie na dole i w ogóle wszędzie stwierdziłam obecność ponurych, czarnych bandziorów w wielkich kapeluszach. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie czynili mi też żadnych wstrętów i interesowali się mną tylko o tyle, że od chwili pojawienia się aż do zniknięcia z ich pola widzenia nie spuszczały ze mnie oka. Ani jachtu, ani helikoptera nie zdołałabym ukraść, nie mówiąc już o tym, że nie mam zielonego pojęcia o pilotowaniu. Ucieczka na piechotę wydawała mi się w panującym upale absolutnie odstręczająca. Miałam nadzieję na jakiś samochód, ale nigdzie nie znalazłam ani śladu pojazdu, jeżdżącego zwyczajnie po ziemi, wszystko albo na wodzie, albo w powietrzu. Gdybyż chociaż rower...! Według mapy droga powinna prowadzić w dół, zjechałabym na rowerze bez trudu...

Gorąco było okropnie, więc postanowiłam się wykąpać. Włożyłam czepek na wysuszone już włosy i ruszyłam do baseniku. Nawet mi do głowy nie przyszło, że ten krok ku wodzie jest równocześnie krokiem ku wolności!

Przez całe życie miałam rozpaczliwe kłopoty z włosami. Czyniłam z nimi dziwne sztuki bez żadnego rezultatu, ciągle wyglądałam jak koczkodan albo jak wyłysiała wiewiórka i ustawiczne pilnowanie głowy, zwłaszcza w zetknięciu z wodą, weszło mi w nałóg. Po dobrym szamponie odrażające kłaki wyglądały jeszcze jako tako przynajmniej przez dwa dni i czasem nawet mogłam sobie zrobić coś w rodzaju uczesania. Zamoczenie głowy w jakiegokolwiek rzeczce, stawie, jeziorku, nie mówiąc już o słonym morzu, niweczyło wszelkie moje wysiłki. Żadne czepki mi nie pomagały, jakimś tajemniczym sposobem woda dostawała się pod najciaśniejsze. Na wznak pływałam tylko wówczas, kiedy miałam w planach mycie głowy natychmiast po kąpieli. Jeśli w ogóle przy moich umiejętnościach można użyć słowa "pływałam", umiałam bowiem przebyć odległość dwudziestu metrów nie topiąc się, ale był to widok pożałowania godzien.

Czepek, w który przyodziałam się teraz, był nieco za luźny, włosy mi świeżo wyschły po umyciu, nawet dość przyzwoicie ułożone, ostatnia więc rzecz, na jaką miałabym ochotę, to zanurzenie się z głową. Woda w basenie była kryształowo czysta, dno, wyłożone kolorową mozaiką z terakoty, wydawało się tuż tuż i w ogóle nie wiem, dlaczego byłam pewna, że w tym miejscu musi być bardzo płytko. Zapewne dlatego, że niewielka trampolina znajdowała się po przeciwległej stronie, a jak wiadomo, głęboko powinno być pod trampoliną, nie zaś naprzeciw. Wobec tego niedbale przytrzymując się ręką obramowania wskoczyłam nogami w dół.

Nie wyczułam gruntu, ręka mi się obsunęła, wrzasnęłam okropnie i poszłam pod wodę. Wrzasnęłam oczywiście na tle głowy, a nie ze strachu, że się utopię, to bowiem nie wchodziło w rachubę nawet przy moich talentach pływackich. Nie wzięłam oddechu, wrzasnąwszy napiłam się nawet nieco tej wody, w głowie miałam tylko ten luźny czepek i świeżo wysuszone włosy, czym prędzej więc wypłynęłam, wściekła na siebie i na zdradliwy basenik, miotając się jak tonący epileptyk, kaszląc i plując. Zanim jeszcze całkowicie wypłynęłam, usłyszałam plusk, coś wpadło do wody, złapałam ręką obramowanie, obejrzałam się, i osłupiałam. Wspaniałym czałem dopadał mnie właśnie facet w wytwornym, białym garniturze.

W tym momencie postanowiłam przestać się dziwić czemukolwiek. Facet chwycił

się obramowania tuż koło mnie, odrzucił w tył wspaniałą, czarną, mokrą plerezę i spojrzał na mnie wzrokiem, w którym malowała się nieopisana ulga.

- Jak pani mogła! - wykrzyknął z wyrzutem po angielsku, uprzednio rzuciwszy kilka słów niewątpliwie portugalskich. - Pani się mogła utopić! Co za szczęście, że pani żyje!

- Przepraszam, nie umiem pływać - odparłam ze skruchą. - Myślałam, że tu jest płytko. Czy pan mi skoczył na ratunek?

- Oczywiście! To był mój obowiązek!

- Tysiącne dzięki! I najmocniej pana przepraszam, zamoczył pan sobie garnitur! Trzeba się było rozebrać!

- Nie miałem czasu. Drobnostka, garnitur zaraz wyschnie...

W czasie tej wytwornej konwersacji w wodzie pomiędzy nami pływał jak tratwa imponujący, purpurowo-zielony krawat.

- A ten krawat nie farbuje? - zatroskałam się uprzejmie.

Facet spojrzał niepewnie.

- Chyba nie. Na wszelki wypadek go zdejmę.

- A skąd pan skoczył? - spytałam z zaciekawieniem, bo uprzednio nie widziałam wokół żywego ducha.

- Stamtąd - odparł krótko, machnąwszy krawatem ku górze. Spojrzałam we wskazanym kierunku. Tak ze dwie i pół kondygnacji nad basenikiem zobaczyłam małą, oszkloną galeryjkę, której jedna szyba była odsunięta. Musiało to być co najmniej dziesięć metrów. Że też w ogóle trafił z tej wysokości w tę nędzną odrobinę wody, a nie obok!

- To tu musi być bardzo głęboko! - wykrzyknęłam, patrząc na niego z podziwem.

- Dwanaście metrów - odparł uprzejmie i wylazł z wody.

Wylazłam także i pomogłam mu pięknie ułożyć krawat do wysuszenia. Usiedliśmy na plastikowych bułach, kontynuując pogawędkę, przy czym on wciąż zmieniał pozycję, susząc coraz to inne fragmenty garderoby. Poradziłam mu jeszcze, żeby zdjął marynarkę, ale kategorycznie odmówił. Schłó w tempie, niezbitcie wskazującym na tworzywo sztuczne.

W konwersacji nie wyszliśmy poza kwestie pływania. Szczerze opisałam mu swoje antytalenty w tej dziedzinie, nieco nawet przesadzając, żeby mu nie robić przykrości.

Głupio byłoby człowiekowi pomyśleć, że niepotrzebnie skoczył...

- A jak się pani czuje na łodzi? - spytał ciekawie. - Na statku?

Już chciałam powiedzieć, że znakomicie, kiedy nagle błysnęła we mnie jakaś mglista myśl.

- Okropnie! - zawołałam z przekonaniem. - Boję się dużej wody i nie znoszę kołysania! I nawet mam zmartwienie, bo tu panowie obiecali mi wycieczkę do tego miasta, tam... - machnęłam ręką, zdaje się, że w odwrotnym kierunku. - I mówili, że łodzią. Wolałabym wszystkim innym, ale wstyd mi się przyznać.

- Ależ to trzeba było powiedzieć! - wykrzyknął facet z wyraźnym współczuciem. - Po co pani ma cierpieć? Ja im to powiem!

- Nie!!! - wrzasnęłam gwałtownie. - Niech pan nie mówi! Ja to ukrywam - dodałam konfidencjonalnie. - Udaję, że wszystko w porządku. Proszę, niech pan o tym nikomu nie mówi!

- Dobrze, ale proszę mi obiecać, że nie będzie pani więcej skakać do głębokiej wody. Tam jest drabinka, tam może pani schodzić i przytrzymać się czegoś. A w ogóle lepszy będzie prysznic.

Podniósł się z buły i zademonstrował mi sposób operowania różnymi rodzajami wodotrysków, zainstalowanych obok basenu. Przyjęłam tę demonstrację z wdzięcznością i od razu wykorzystałam praktycznie. Facet obejrzał wysuszony już garnitur, obejrzał krawat, przyodział się weń, pożegnał mnie uprzejmie i oddalił się w przestrzeń.

Zdjęłam czepek, dosuszyłam na nowo włosy i właśnie zastanawiałam się, czy to był przypadek, czy też pilnują mnie trwale, kiedy nagle usłyszałam dźwięk silnika. Zwyczajnego silnika samochodowego, pracującego na wysokich obrotach, który warczał i zbliżał się po przeciwnej stronie zabudowań.

Wigor we mnie wstąpił, jak na ten upał, nadludzki. Złapałam wdzianko obszyte złotą nicią, użyłam jednej z tych wind, których tak nie lubię, i już po chwili znalazłam się na dziedzińcu. Nie było nic widać, ale dźwięk silnika narastał. Niewątpliwie był to osobowy samochód i znajdował się tuż tuż, ale droga prowadząca na górę musiała być nad wyraz kręta, bo nie pojawiał się jeszcze przez długą chwilę. Wreszcie ujrzałam czarnego jaguara, wyjeżdżającego zza skały.

Stałam w cieniu i tęsknym wzrokiem patrzyłam na coś wreszcie dobrze znanego.

Samochód, z którym umiałam się obchodzić, którym bez trudu mogłabym się stąd oddalić, bo skoro przyjechał, to może i odjechać, i z którego wysiadali teraz rozczochrani z jakimś małym, czarnym, tłustym, całkowicie mi obcym. Nie mógł to jednakże być szef, bo do rozczochranego odnosił się z szacunkiem.

Nie zauważyli mnie i weszli do budynku, a kierowca o bandyckiej gębie wjechał do garażu. Dopiero teraz dowiedziałam się, że część ściany stanowi drzwi garażowe. Oczywiście też fotokomórka albo urządzenie mechaniczne, bo otworzyły się same przesuwnie. Prawie wszędzie mieli tu drzwi przesuwne, bardzo rozsądnie.

Obejrzałam teren, w czym mi nikt nie przeszkadzał, i stwierdziłam istnienie urządzenia mechanicznego. Widać było miejsce, które wjeżdżający samochód musi nacisnąć oponami. Dość ponuro zastanowiłam się, skąd u diabła wezmę w razie czego dwa ciężary po 500 kilo, westchnęłam i postanowiłam obejrzeć coś więcej.

Na skały obok balkoniku można było wdrapać się z niewielkim trudem. Wdrapałam się więc i ruszyłam na spacer. Wbrew temu, co można było mniemać z dołu, nie był to grzebień ostry jak brzytwa, tylko coś jakby łagodnie zaokrąglony zwał, idący wzdłuż brzegu. Daleko w dole widać było ocean, wierzch zwału zaś stanowił coś w rodzaju ścieżki. Ruszyłam tą ścieżką, chwilami było łatwiej, chwilami trudniej, ale razem wzięwszy nic szczególnego pod warunkiem, że po większej części szło się na czworakach. Wkrótce dotarłam do miejsca nieco szerszego, stanowiącego rodzaj platformki posypanej piaskiem. Było tam wreszcie trochę cienia, który rzucała rozłożysta palma i kilka imponujących kaktusów. Widziałam już kaktusy, rosnące w dziwniejszych miejscach, ale palmy, moim zdaniem, nie powinno tam być. Możliwe jednak, że nie znam się na botanice.

Gdyby mi się jeszcze udało wleźć na tę palmę, osiągnęłabym swój cel, a mianowicie dokładne rozpoznanie terenu, otaczającego posiadłość. Obmacalam pień, przez chwilę wyobrażałam sobie, że zamieniam się w małpę, zrezygnowałam z tego marzenia i włożyłam na skałkę za palmą, od strony lądu. Rezultat był niezły. Szłam pod górę dość stromo i teraz ujrzałam nieco w dole część zabudowań bandyckiej rezydencji, niżej fragmenty wijącej się jak zmija drogi, a jeszcze niżej coś okropnego. Zwodzony most! Droga przechodziła przez rozpadlinę, nad którą był przerzucony nieduży mostek, właśnie w tej chwili otwarty. Z pewnością zamykają go tylko wtedy, kiedy przejeżdża ich samochód, i z pewnością urządzenie zamykające mają ukryte gdzieś w domu!

Bardzo długo siedziałam w kucki na skałce, uczepiona pnia palmy, i usiłowałam coś wykombinować. Przelatywało mi przez głowę mnóstwo rozmaitych projektów, większość zupełnie godna marzenia o zamianie w małą, aż wreszcie utwierdziłam się w przekonaniu, że bezwzględnie muszę się lepiej zapoznać z całym budynkiem. Jeśli uda mi się dokładnie zorientować, co gdzie jest i jak działa, to może coś osiągnę.

Zlazłam ze skałki i już zamierzałam wracać, kiedy zainteresował mnie płynący w pobliżu duży jacht motorowy. Na dziobie miał namalowaną wdzięczną nazwę "Stella di Mare". Płynął wolno, cichy pomruk silników był ledwo dosłyszalny. Przypatrywałam mu się bezmyślnie i ujrzałam, jak prawie dokładnie naprzeciwko mnie zmienia kierunek i zaczyna płynąć prostopadle ku brzegowi. Był coraz bliżej i bliżej i wyglądało to tak, jakby zamierzał wejść w skałę, więc coraz bardziej zainteresowana zesłam na nadwieszony występ kamienia, położyłam się na nim i ostrożnie wystawiłam głowę. Najwyraźniej w świecie pograżał się w skałę niezupełnie pode mną, a kilkanaście metrów obok.

Przypomniałam sobie, że postanowiłam niczemu się już nie dziwić. Przesuwne wrota w postaci litej skały wykluczyłam, przyjąłam za to możliwość istnienia tam jakiejś jaskini. Przyjrzałam się dokładniej miejscu zetknięcia się wody z lądem, wpatrując się w to pilnie, metr po metrze i wreszcie stwierdziłam, że między skałami musi być przerwa. Jakaś zatoczka albo coś w tym rodzaju. Górna część zbocza z kolei wykluczała jaskinię.

Bez chwili namysłu ruszyłam w tamtą stronę. Nędzna imitacja ścieżki zesłała w dół, ja również, nadal po większej części na czworakach, ścieżka zakreśliła, zesłam jeszcze kawałek i znalazłam się na czymś jakby krótkiej półce w skale. Wyjrzałam w dół i zobaczyłam trzy rzeczy: jacht, obracający się właśnie majestatycznie w zatoczce niewiele od niego większej, od strony oceanu całkowicie zasłoniętej skałami, powyżej jachtu dość duży pomost, na którym czekało trzech facetów, oraz stalową drabinę, przymocowaną do kamieni tuż obok mnie, prowadzącą pionowo wprost na ten pomost. Leżałam na swojej półeczce i przyglądałam się facetom, całkowicie spokojna, że gdyby zaczęli wlaźć po drabinie, to ja zawsze zdążę uciec.

Nie wlaźli po drabinie. Przycumowali jacht, pokręcili się jeszcze chwilę po pomoście, z jachtu zesłała załoga w postaci dwóch innych facetów i wszyscy razem zniknęli w ścianie pode mną. Niewątpliwie znów drzwi i niewątpliwie znów jakieś skomplikowane technicznie połączenie z budynkiem. Zwariować można było od tych ich zdobyczy cywilizacji!

Myśl o zejściu na pomost oczywiście zakwitła we mnie natychmiast, ale nie wprowadzałam jej w czyn wyłącznie dlatego, że okropnie nie lubię takich idiotycznych, stalowych drabinek. Postanowiłam wykonać to dopiero wtedy, kiedy uznam za absolutnie niezbędne. Na razie zaś podniosłam się i bez zbytnich trudności, tą samą drogą, dotarłam do dziedzińca.

Ze sposobu, w jaki zostałam powitana, wywnioskowałam, że musiałam im zniknąć z oczu nagle i że ich to śmiertelnie przeraziło. Na mój widok zapanowało lekkie zamieszanie, jeden czarny bandzior ruszył z kopyta w jedną stronę, drugi zaś w drugą, białe odziany osobnik rzucił się do telefonu i zaraz przy pierwszej windzie natknęłam się na tłustego, który właśnie z niej wysiadł.

- Gdzie pani była?! - wykrzyknął, wyraźnie poruszony. Na jego twarzy malowały się równocześnie niepokój i ulga.

- Na spacerze - wyjaśniłam uprzejmie. - Znalazłam sobie prześliczne miejsce nad brzegiem morza i siedziałam pod palmą. Podoba mi się to miejsce, mam stamtąd widok na Europę.

Zamrugał oczami, widocznie nie mógł sobie uprzytomnić, jaką palmę z widokiem na Europę mam na myśli, bo też istotnie palm tam było do diabła i trochę. Po chwili opanował niepokój i pozostała w nim już tylko ulga.

- Dobrze, że pani już wróciła. Zaraz po obiedzie pojedziemy do miasta. Tak jak pani sobie życzyła...

Wcale sobie tego nie życzyłam, ale nie zamierzałam wyprowadzać go z błędu. Wycieczkę do miasta postanowiłam potraktować czysto rozrywkowo. Wydawało mi się, że jak na jeden dzień dokonałam dostatecznej ilości odkryć, ale okazało się, że się myliłam. Przeznaczone mi było widać pędzić w tym miejscu upiornie urozmaicone i intensywne życie.

Popłynęliśmy motorówką i w ostatniej chwili przypomniałam sobie o swoim wstąpieniu do wody. A i to przypomniałam sobie o tym tylko dlatego, że dziwnie pilnie przyglądali mi się w chwili wsiadania. Mój wybawca w oszalałym krawacie musiał im widać zdać szczegółową relację. Ściśle rzecz biorąc, wszelką komunikację wodną uwielbiam nad życie i co dziwniejsze, pomimo antytalentu pływackiego, nie boję się wody. Uwielbiam małe łódki na dużej fali, uwielbiam kołysanie i morska choroba jest dla mnie pojęciem najzupełniej obcym. Nie byłam teraz pewna, czy moja symulacja

wypadnie dostatecznie przekonywająco.

Przypomnienie spłynęło na mnie w momencie, kiedy już przestawiałam jedną nogę z pomostu na pokład motorówki. Zawahałam się, gibnęłam się ku przodowi i cofnęłam tę nogę, omal nie tracąc równowagi. Do wody bym nie wpadła, ale za to wleciałabym do jachtu łbem naprzód, co nie leżało w moich zamiarach. Stojący obok ten z oczami podtrzymał mnie troskliwie. Nogę cofnęłam po to, żeby się móc zastanowić nad dostatecznie trwożliwym sposobem wejścia, ale razem z tym gibnięciem wypadło to prześlicznie i już się nie musiałam zastanawiać.

- Proszę, niechże pani wsiada - powiedział stanowczo rozczochrany z jachtu.

- Czy tam nie jest mokro? - spytałam niespokojnie. - Zamoczę sobie pantofle. Może lepiej jechać samochodem?

- Nie, nie lepiej. Jest sucho. Pomóż pani!

Ten z oczami usiłował wepchnąć mnie na łódź. Oparłam się temu.

- Sama wsiądę - oświadczyłam godnie.

Spróbowałam dla odmiany drugą nogą, postawiłam ją na burcie, burta się lekko ugięła, zamierzałam wydać okrzyk przestachu i znów się cofnąć, ale nie zdążyłam. Ten z oczami trzymał mnie pod rękę i był nastawiony na mój ruch ku przodowi, pchnął mnie więc nieco w najlepszej intencji. Straciłam równowagę i w sposób absolutnie autentyczny runęłam rozczochranemu na kolana.

Wyszło znakomicie, a przy tym nie poniosłam żadnej szkody. Przeprosiłam go, czyniąc przy tym pełną dezaprobaty uwagę, że jednostka wydaje mi się dziwnie chwiejna. Wyraziłam wątpliwość, czy nie jest za mała na taką dużą wodę.

- Jest najzupełniej dostateczna - odparł rozczochrany sucho. Rzucił spojrzenie na moją głowę i przestał brać udział w konwersacji.

Spojrzenia na moją głowę od obiadu rzucali wszyscy. Byłam bez peruki, świeżo umyte włosy utapirowałam sobie, wylakierowałam, wykonałam zupełnie znośną koafiurę i nie widziałam żadnego powodu, dla którego miałyby to budzić w nich takie zainteresowanie. Istniała oczywiście różnica w kolorze, ale w końcu peruki są przecież bardzo rozpowszechnione! Owe spojrzenia były pełne rozgoryczenia i wyrzutu i tego już zupełnie nie mogłam zrozumieć.

Na razie jednak musiałam się dalej wygłupiać i za najlepszą metodę uznałam siedzenie sztywno, z zaciśniętymi zębami, przez które z rzadka i niechętnie udzielałam

skąpych odpowiedzi. Fala była cudowna! Ocean oddychał gigantycznymi płucami, jachcik płynął niezbyt szybko, łagodnie wchodził na wielką bułę, a potem spływał z niej w dół. Cóż by to była za rozkosz siedzieć na samym dziobie, patrzeć w wodę i swobodnie upajać się tą zachwycającą huśtawką! Mgliste plany, które się we mnie zaległy, kazały mi konsekwentnie wyrzec się ukochanej przyjemności.

Zastanawiałam się, co będzie w mieście. W końcu miasto to miasto, jest tam przecież policja, mogłabym im uciec i udać się do tej policji. Mogłabym uciec na dworzec kolejowy i spróbować odjechać. Skoro Paranagua ma linię kolejową, to musi mieć i dworzec. Przykują się do mnie, czy jak?

Nic takiego nie nastąpiło. Wylądowaliśmy, na małej przystani na samym skraju urządzeń portowych, w dość dużej odległości od śródmieścia. Ciemno było i nędznie. Usiłowałam dokonać przy okazji jakichś odkryć turystycznych, coś zobaczyć, ale w końcu bardziej zainteresowało mnie nastawienie tubylczej ludności do moich towarzyszy. Wszyscy oddawali im ukłony, saluty i składali najrozmaitsze dowody czołobitności, w tym także umundurowani przedstawiciele władz. Nie wiem, czy byli to policjanci, równie dobrze mogli ich pozdrawiać kolejarze, straż pożarna i celnicy, nie rozróżniałam, ale wyjątków nie było. Wyglądało na to, że pierwszy policjant, do którego zwróciłabym się o pomoc, wzięłyby mnie uprzejmie pod rękę i doprowadził do rezydencji. Czarnych bandziorów w szerokich kapeluszach i o bandyckich gębach również było tam zatrzęsienie i wszyscy, w czambuł, jak leci, co do jednego, wydawali się stanowić pomocniczy personel moich ciemiężców.

Jaskinia gry, będąca naszym celem, znajdowała się bardzo blisko. Obskurna na zewnątrz restauracja o nazwie Esperanza, którą uznałam za życzliwe proroctwo, wewnątrz okazała się szczytem luksusu. Wszystkie korony już wcześniej wymieniono mi na dolary po normalnym, bankowym kursie, a wymiany na miejscową walutę nie musiałam dokonywać, bo primo grało się na sztony, a secundo dolary w gotówce też były w obiegu. W ten sposób do dziś nie wiem, jak owa miejscowa waluta wygląda.

Postanowiłam zachować przytomność umysłu i nie upłynąć w tej egzotycznej speluncie całego mienia. Usiadłam do ruletki i zaczęłam stawiać bardzo ostrożnie z dość szczęśliwym rezultatem. Upatrzyłam sobie osiemnastkę, którą wkrótce wyłapałam, stosunkowo mało na to tracąc. Po chwili tknęło mnie, postawiłam na nią ponownie i znów wyszła. Byłam w tym momencie zupełnie nieźle wygrana. Wiedziałam, że istnieje

takie coś jak prawo serii, wiedziałam, że powinnam wygrywać jeszcze przez chwilę, wiedziałam, że jeśli pozostanę przy tym stole zbyt długo, to stracę wszystko, więc po pierwszej przegranej podniosłam się i postanowiłam zmienić miejsce.

Przy sąsiednim stole grano w coś, czego nie znałam. Zatrzymałam się, żeby się temu przyjrzeć i w tym momencie usłyszałam słowa:

- Mów po niemiecku.

Oczywiście powiedziane były po niemiecku. Wygłosił je ten bez przerwy między oczami, nie zmieniając wyrazu twarzy, nie odrywając wzroku od kart na stole i zwracając się do jakiegoś drugiego, siedzącego obok. Zatrzymałam się prawie nad ich głowami. Tego drugiego dotychczas nie widziałam, był tubylczo czarny, nieco starszy, bardzo przystojny i siwiał na skroniach. Kontynuując konwersację powiedział:

- Nie rozumiem, jak mógł się pomylić.

- Ma czarne oczy, przyjrzyj się - odparł ten z oczami. - A na głowie miała platynowoblond perukę. My też myśleliśmy, że to prawdziwe włosy. Nie znał osobiście Madelaine i był pewien, że to ona.

- Dlaczego nie było Madelaine?

- W ostatniej chwili Arne zawiadomił ją o akcji. Pojechała wprost na lotnisko, żeby tam go złapać. Nie zdążyła...

- Okropne - powiedział czarny z niesmakiem. - Potworne! Jesteś pewien, że po niemiecku nie rozumie? Ja bym był ostrożny.

- Prawie pewien - odparł ten z oczyma i nagle odwrócił się do mnie. - Zna pani tę grę? Ma pani ochotę zagrać?

Nadal z zainteresowaniem wpatrywałam się w stół nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Mówił po niemiecku, więc skąd miałam wiedzieć, co mówił i do kogo? Mnie się na te plewy nie nabierze.

- *Mademoiselle* Joanna? - zawołał po chwili, na co zareagowałam natychmiast. - Pytałem, czy chce pani w to zagrać?

“Żeby mi się tylko te języki nie pomieszały” - pomyślałam z niepokojem i obdarzyłam go życzliwym uśmiechem, ponieważ przeszedł na francuski.

- Pan mówił do mnie? Przepraszam, nie słyszałam. Nie, dziękuję, wolę ruletkę.

Pełna satysfakcji przeszłam po chwili dalej, do sąsiedniego stołu. Zasłyszana wiadomość wzruszyła mnie nad wyraz. Tajemnica zaczynała się wyjaśniać, nareszcie

pojęłam, skąd się wzięła idiotyczna pomyłka i skąd w tej imprezie wzięłam się ja! Jakaś dziewczyna imieniem Ma-delaine musiała być podobna do mnie kolorystycznie i ten nieszczęsny, konający facet ostatkiem sił przekazał jej zaszyfrowaną wiadomość. Pewno pominął jakieś hasło, jeśli jej nie znał, to musieli mieć hasło. I jeśli był wyłącznym posiadaczem owej wiadomości, to właściwie nie dziwię się im, że nieco zgłupieli i zabranie mnie ze sobą uznali za jedyne wyjście. Sama bym też zgłupiała na ich miejscu... I nie dziwię się tym pełnym rozgoryczenia spojrzeniom, rzucanym na moją głowę... Gdyby nie cholerna, platynowa peruka, siedziałabym teraz spokojnie w biurze u Fritza, rysując fragmenty ratusza i delektując się wygraną na sześć cztery!

Z nadzieją usłyszenia czegoś więcej płątałam się między stołami i ludźmi, mało grając, dzięki czemu udało mi się wyjść na plus. Nie zdążyłam przegrać tego, co wygrałam, i doszłam do wniosku, że ta metoda działania może się w ostatecznym rezultacie okazać nadzwyczaj intratna.

Dokonałam kilku prób celem sprawdzenia zakresu mojej wolności, bo absorbowала mnie myśl o poczcie. Posłać wiadomość Alicji...! Nic z tego, nikt mi wprawdzie nie przeszkadzał w opuszczeniu lokalu, nikt mnie nie łapał za rękę, ale jeśli tylko usiłowałam się nieco oddalić, natychmiast słyszałam ciche gwizdnięcie i przy moim boku pojawiała się trzech czarnych bandziorów. Dwóch po bokach, a jeden z tyłu. Udawali, że nie zwracają na mnie uwagi, ale trzymali się jak przyklepieni. Z ucieczki biegiem w ciemnościach w nieznanym mieście zrezygnowałam z góry. Z wylezienia przez okno damskiej toalety również, przede wszystkim dlatego, że damska toaleta nie miała okna. Nie, co tu ukrywać, nie było najlepiej...

Późną nocą pozwoliłam się zawlec na przystań i dałam wspaniałe przedstawienie pod tytułem "jachtofobia". Poza morską chorobą, której w żaden sposób nie udało mi się w sobie wywołać, odpracowałam wszystko, cokolwiek kiedykolwiek słyszałam na ten temat i w końcu sama do siebie straciłam cierpliwość!

Działalność, którą rozpocząłam nazajutrz, była przerażająco ożywiona. Zbadałam budynek tak metodycznie, jakbym co najmniej przeprowadzała inwentaryzację, i znalazłam mnóstwo interesujących i zupełnie mi niepotrzebnych rzeczy: rozdzielnię elektryczną, pompownię wody, maszynownię wszystkich wind, kuchnię i radiowęzeł. Dopiero na końcu trafiłam na to, o co mi chodziło. Na dole, prawie na poziomie dziedzińca, znajdowało się pomieszczenie z licznymi pulpitemi, ekranem radarowym i

telewizyjnym i świetlną mapą terenu. Spędziłam tam prawie pół godziny, zanim zostałam wyrzucona, a i to, uczynili to bez przekonania. Uważali widocznie, że i tak nic z tego nie zrozumieć, i nawet byli bliscy prawdy. Nie mogli wiedzieć, że w dramatycznych chwilach życiowych wstępują we mnie nadludzkie siły umysłowe.

Nadludzkie siły umysłowe pozwoliły mi w ciągu owej pół godziny usytuować na mapie świetlnej wszystkie interesujące mnie punkty: zwodzony mostek, dostrzeżony spod palmy, podziemne przejście do pomostu nad zatoczką, do której wpłynął jacht, i jeszcze jakieś coś na samym końcu drogi. Nie widziałam tego w naturze, więc nie miałam pojęcia, co to może być, ale robiło wrażenie przeszkody na szosie. Wykryłam też, który pulpit do czego służy, ale najważniejszego szczegółu nie udało mi się sprecyzować. Innymi słowy nie wyodrębniłam wajchy od mostka.

Zaraz po wyrzuceniu mnie z owej sterowni znalazłam przejście z budynku wprost do garażu, w którym nadal stał czarny jaguar. Obejrzałam go czule, pozastanawiałam się czas jakiś, gdzie mogą trzymać kluczyki, nic nie wymyśliłam, wobec czego udałam się w teren. Obejrzałam na wszelki wypadek dwa stojące na tarasie helikoptery, zamoczyłam się w wodzie i wreszcie ustabilizowałam się pod palmą. Widziałam, jak nadleciał trzeci helikopter, z którego wysiadł mały, wczoraj nieobecny. Pogawędził z facetem w białym garniturze, przedstawicielem personelu wyższej rangi, po czym wszedł do budynku. Widziałam, jak wyjechał z garażu jaguar tylko z kierowcą, tym samym czarnym bandytą o zbrodniczej gębie. Widziałam, jak podjechała na dziedziniec ciężarówka, z której wyładowano jakieś skrzynie.

Wszystko to widziałam jak na dłoni, ponieważ oprócz rzeczy dużych znalazłam też przedmioty pomniejszych, które przywłaszczyłam sobie bez chwili namysłu. Między innymi była to przepiękna zeissowska lornetka, nóż sprężynowy, bardzo ostry, oraz dzieło literackie pod tytułem podręcznik Żeglarza-Amatora, czy coś w tym rodzaju. Dzieło było w języku angielskim, tytuł przetłumaczyłam nieco dowolnie, treść zaś zamierzałam przeczytać na wszelki wypadek. Lornetę i nóż zabrałam również na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi może w życiu przydać.

Helikopter wystartował ponownie. Oglądając przez lornetkę teren wypatrywałam dalszy ciąg przerażająco krętej drogi. Widziałam ją w promieniu chyba dziesięciu kilometrów, nie całą oczywiście, a tylko fragmenty, zwodzony mostek miałam przed samym nosem i wreszcie przyszło mi do głowy, że wajchę od niego mogę odkryć w

sposób prosty i nieskomplikowany. Wystarczy polecieć biegiem do sterowni natychmiast, jak tylko zobaczę na tej drodze jakiś pojazd mechaniczny, bo wówczas będą musieli dokonać stosownych manipulacji. Teraz mostek był otwarty, będą musieli go zamknąć, potem znów otworzyć...

Pełne niepokoju przewidywania, że przesiedzę pod palmą całą dobę gapiąc się przez lornetkę, od której ręce mdlały, nie sprawdziły się. Miałam szczęście. Najpierw wrócił helikopter, z którego wysiadło trzech obcych facetów, a wkrótce potem ujrzałam, że drogą coś jedzie. Z tej odległości nie mogłam oczywiście rozpoznać, czy to jaguar, czy coś innego, i w ogóle nie byłam pewna, czy to coś gdzieś tam nie skręci, ale na wszelki wypadek porzuciłam posterunek i popędziłam w dół. To znaczy przelazłam skałki na czworakach w możliwie szybkim tempie.

Drzwi do sterowni nie były zamknięte na klucz, i, tak jak wszystkie inne, otwierały się bezszelestnie. Z bijącym sercem patrzyłam na faceta przy pulpicie, stojąc za jego plecami. Biały garnitur wskazywał, że wchodził w skład pracowników wykwalifikowanych. Facet patrzył na mapę, po której lał świetlny punkcik i po chwili sama już nie wiedziałam, gdzie utkwic oczy. Najbardziej przydatny byłby dla mnie w tym momencie rozbieżny zez.

Punkcik znalazł się w pobliżu tego czegoś na końcu drogi i facet przy pulpicie przesunął pierwszą wajchę od góry po prawej stronie. Przesunął ją ku górze. Punkcik minął coś i facet przesunął wajchę na powrót ku dołowi. Właściwie już by mi to wystarczyło, wiedziałam swoje, ale wolałam sprawdzić. Czekałam za jego plecami w nieskończoność, punkcik lał jak zdychająca krowa i wreszcie po paru wiekach dotarł do mostku. Facet przesunął identycznie drugą wajchę od góry.

Oddaliłam się z triumfującym kwikiem w duszy. Droga ku wolności powoli zaczynała się przede mną otwierać.

Na walne zebranie natrafiłam przypadkiem.

Ożywiony ruch samochodowo-powietrzny zaistniał nie bez powodu. Przybyło jeszcze paru nowych facetów, wśród nich, na szczęście, ani jednego blondyna. Żaden też nie mógł być szefem, bo ciągle pierwsze skrzypce grał rozczochrany. Obiad zjadłam w licznym towarzystwie, razem z moimi było ich jedenastu i wszyscy rzucali pełne nienawiści spojrzenia na moją głowę. Zapewne zostali dokładnie zorientowani w sytuacji.

Po obiedzie zniknęli mi z oczu. Zaprzątnięta straszliwie intensywną pracą

umysłową wcale nie zamierzałam ich szukać. Płatałam się po budynku i usiłowałam rozstrzygnąć kolejny problem.

Każdy samochód ma dwa komplety kluczyków. Istnieją też niewątpliwie jakieś kluczyki do stacyjki helikopterów, jachtów i innych pojazdów. Pewno też po dwa komplety. Jeden kluczyk musi być używany przez tego jakiegoś kierowcę, pilota, sternika, który aktualnie prowadzi jednostkę komunikacyjną. A drugi kluczyk gdzie?!

Piloci i kierowcy mogą się przecież zmieniać, mogą być nagle wzywani, mogą się ze sobą mijać i wobec tego kluczyki powinny być zawsze dostępne dla tego, kto obejmuje służbę. Niemożliwe jest, żeby je ktoś nosił przy sobie. Nawet gdybym przyjęła istnienie jakiegoś intendenta czy magazyniera, czy klucznika, czy jak go tam nazwać, to też nie latałby chyba z potwornym pękiem żelastwa uwiązany na sobie. Na rozum rzecz biorąc, musi gdzieś być jakieś miejsce, w którym trzymają te rzeczy. Muszą przewidywać możliwość zepsucia się któregoś z urządzeń otwierających i dysponować czymś do otwierania ręcznie. Muszą mieć jakąś szafę, szufladę, tablicę, wszystko jedno co, w każdym razie jakąś przechowalnię gdzieś w budynku.

Przeszukawszy szczegółowo sterownię, w której nie było teraz żywego ducha, i nic odpowiedniego nie znalazłszy, zastanowiłam się głębiej i doszłam do wniosku, że coś takiego powinno się raczej znajdować w jakimś sanktuarium władzy, na przykład w gabinecie szefa. Skoro szef tu bywa, to musi mieć gabinet. Na gabinet, jak dotąd, nie natrafiłam, ale poprzednio przeszukiwałam budowlę pod kątem widzenia urządzeń technicznych i nie zwracałam uwagi na funkcję innych pomieszczeń, być może więc, że go po prostu przeoczyłam.

Zaczęłam nadrabiać niedopatrzenie i po drodze natknęłam się na jednego z kelnerów. Możliwe, że należałoby ich nazwać lokajami, nie mam pojęcia, usługiwali do stołu od rana do wieczora w białych frakach, istny obłęd! Ten toczył przed sobą stolik na kółkach z całą zastawą do kawy, za nim zaś ciągnęła się smuga upojnej woni. Kawę to oni tam robili dobrą, złego słowa nie można powiedzieć! Znęcona zapewne tą wonią poszłam za nim, chociaż poczynania kelnera jako takiego były mi w tej chwili obojętne i nic mnie nie obchodziło, dokąd idzie i po co. Zaczynałam widocznie miewać chwile zaćmień umysłowych, być może od upału, a być może dlatego, że przesadnie intensywne myślenie zawsze mi szkodziło.

Drzwi przed kelnerem wyjątkowo nie otworzyły się same, co mnie nawet trochę

zdziwiło. Przycisnął guzik na futrynie i czekał przez moment, dzięki czemu zbliżyłam się i stanęłam tuż za nim. Nie widział mnie i nie słyszał, bo na pokrytych dywanami posadzkach chodziło się zupełnie bezszmerowo.

Weszłam do środka też tuż za nim, całkowicie bezmyślnie, wciąż nie wiedząc, po co tam idę, i ujrzałam salę konferencyjną. Jedenastu panów siedziało dookoła stołu, oddzielonego od wejścia rabatą bujnego kwiecia, rozpiętego na pionowych prętach. Kelner potoczył stolik w kierunku konferencji, ja zaś uczyniłam krok w prawo i przykucnęłam w kwieciu.

Konieczności podsłuchania ich wcale nie uważałam za kwestię życia i śmierci. Nawet się przy tym bardzo nie upierałam, wobec czego byłam tylko zwyczajnie zaciekawiona i zupełnie spokojna i pewnie dlatego mi się udało. Uznałam, że jeśli mnie znajdą i zaraz wyrzucą, to też nic nie szkodzi i siedziałam w roślinności zadowolona z życia, oceniwszy miejsce jako bardzo przyjemne.

Kelner wyszedł nie spojrzawszy na mnie i wokół stołu potoczył się dalszy ciąg konwersacji. Rozmawiali w trzech językach równocześnie, po francusku, po angielsku i po niemiecku. Nawet dość wygodnie dla mnie.

- Według ostatnich wiadomości - powiedział rozczochrany - zdążyliśmy sprzedać udziały...

I natychmiast przestałam rozumieć, co mówi. Wymienił mnóstwo nazw, kojarzących mi się z jakimiś przedsiębiorstwami, spółkami akcyjnymi i handlem.

- Podnieśliśmy pieniądze z kont...

Kilka z podawanych przez niego banków było mi nawet znane. Landsmandsbanken i Handelsbanken w Kopenhadze, Crédit Lyonnais, Narodowy Bank Angielski... Co do reszty, zwłaszcza szwajcarskich, z którymi nigdy nie miałam do czynienia, uwierzyłam na słowo, że istnieją.

- ...i za całość zostały kupione walory...

- Konkretnie - powiedział ktoś. - Jakie?

- To wiemy z grubsza. O ile udało nam się ustalić, około osiemdziesiąt procent zostało włożone w diamenty. Reszta jest w złocie i platynie.

- Zamrożone - Oświadczył krótko inny głos. - Co nam zostało?

- Prawie nic - wyznał ponuro rozczochrany i na chwilę zapanowało grobowe milczenie.

- A dochody? - spytał niepewnie ktoś jeszcze inny.

- Mówiliśmy o tym. W obecnej sytuacji nie pokrywają nawet połowy bieżących potrzeb...

Milczenie, które znów trwało kilka sekund, było wręcz złowrogie. Coś im ta konferencja szła jak z kamienia. Zaczynałam być coraz bardziej zaintrygowana.

- Kto właściwie jest temu winien? - spytał jakiś głos złowieszczo. - Kto wymyślił ten idiotyczny sposób załatwiania sprawy?

- Szef - odparł ktoś z lodowatą uprzejmością. - Wymyślił szef. I bardzo dobrze wymyślił. Cała operacja została przeprowadzona błyskawicznie w ostatniej chwili. Wszyscy wiemy, że zablokowaliśmy konta w parę godzin po podjęciu pieniędzy. Oni działali szybko, ale my jeszcze szybciej, ponieważ szef umiał to przewidzieć. Zakupów dokonano w Paryżu, w Amsterdamie i bezpośrednio w Afryce Południowej i w ciągu dwudziestu czterech godzin Bernard miał to wszystko w ręku. Tylko Bernard miał swobodę ruchów i tylko on to mógł ukryć. Odpowiednie miejsce znalazł wcześniej i zaszyfrował...

- Ha, ha - wtrącił jakiś głos jadowicie. - Jak znakomicie zaszyfrował!...

- I gdyby Bernard przekazał wiadomość Madelaine - ciągnął poprzedni głos niewzruszenie - te diamenty i tę platynę mielibyśmy już tutaj.

Teraz znów odezwał się rozczochrany.

- Plan przewidywał przeczekanie najgorszego okresu. Tu jesteśmy bezpieczni. Mieliśmy zawiesić działalność na kilka miesięcy, a potem zorganizować wszystko na nowo. Pieniądzy jest dosyć, nie było powodów do pośpiechu, Interpol nie ma przeciwko nam żadnych konkretnych dowodów. Jeden drobiazg zepsuł wszystko. Nawalił Arne, który za późno zawiadomił o zamiarach policji. Możliwe, że był podejrzewany, ale to już w tej chwili nie ma żadnego znaczenia...

- Co się stało z Arnem? - przerwał ktoś niezyczliwie.

- Nieszczęśliwy wypadek - odparł rozczochrany krótko i obojętnie. - My musimy teraz tutaj nadrobić tę smutną pomyłkę...

Stałam się naczelnym tematem konferencji. Zdania były podzielone, jedni proponowali zastosowanie wyszukanych tortur, inni byli za metodą łagodnej perswazji, dwóch zgłosiło nawet gotowość poślubienia mnie. Wszyscy byli zgodni co do tego, że należy się pośpieszyć, nie tylko z uwagi na braki finansowe, ale też i na skutek ponagleń

szefa, który, jak się okazało, polecił wydebić ze mnie szyfr nieboszczyka natychmiast i za wszelką cenę.

Z tortur po namyśle zrezygnowano. Nikt ze zgromadzonych nie był pewien, ile i z jaką dokładnością pamiętam, i obawy, że od katuszy mogłabym zgłupieć, powstrzymały ich od tego sposobu działania. Czas jakiś rozważano podstawienie kogoś nowego, kto wzbudziłby we mnie przyjacielskie zaufanie lub też dziką namiętność. Myśl była niezła, ale zabrakło odpowiedniego kandydata. W rezultacie stanęło na tym, że trzeba się ze mną obchodzić jak ze śmierdzącym jajkiem aż do przybycia szefa albo też aż do wyznania przeze mnie tajemnicy. Potem zaś bezwzględnie należy mnie usunąć z tego padoku, ponieważ za dużo wiem.

Wątpliwość, czy istotnie zawleczenie mnie aż tutaj było najlepszym pomysłem świata, wywołała zupełnie przyzwoitą awanturę. Tłusty i rozczochrany klócił się zażarcie z całą resztą i wreszcie zwalili całą winę na owego Arnego, który, jak zdołałam wywnioskować, był policjantem dostrzeżonym za kuchennymi drzwiami. Jasne, Arne zawinił! Zamiast spokojnie wysłuchać tego, co mu chciałam na poczekaniu wykrzyknąć, zatkał mi gębę usypiającym środkiem i potem nie było już innego wyjścia, jak tylko zabrać mnie ze sobą. W narkotycznym śnie nie chciałam nic mówić. Gdybym zaś powiedziała, to można mnie było od razu zabić i byłby spokój.

Krwiożerczość zamiarów w stosunku do mnie wydawała mi się nieco przesadna aż do chwili, kiedy wyjaśnili to pomiędzy sobą. Rzeczywiście gdyby zostawiono mnie żywą na wolności, natychmiast dopadłaby mnie prawdziwa policja. W razie jakichkolwiek przeszkód, jakiegokolwiek zwłoki w wydobyciu diamentów z ukrycia, jakiegokolwiek nieprzewidzianej wpadki, mogliby na podstawie moich informacji odnaleźć to miejsce i szlag by trafił cały majątek. Nie, absolutnie nie można było ryzykować i w tym względzie musiałam przyznać im rację.

Teraz zaś wszystko przepadło ostatecznie. Znam to miejsce tutaj, znam ich wszystkich, nie mówiąc już o tym, że ciągle znam szyfr nieboszczyka, jestem świadkiem działania organizacji, stanowiąc sobą bezustanne zagrożenie, więc im prędzej się mnie utłucze, tym lepiej. I w ogóle co za pomysł! Postronna osoba, zorientowana w istnieniu przedsiębiorstwa tego rodzaju, pozostawiona przy życiu! Piramidalna bzdura!

Gdybym miała jeszcze w pobliżu gromnicę, to w tym bujnym kwieciu czułabym się już zupełnie jak na marach. Oczyma duszy wszyscy widzieli moje zwłoki, z tym że z

różnymi uczuciami. Panowie przy stole z niewątpliwą ulgą, ja zaś nad wyraz niechętnie. Zaczęłam odczuwać do tych bandytów zdecydowaną antypatię i przez zemstę tym pilniej słuchałam dalszego ciągu.

Dowiedziałam się, że szef przebywa w tej chwili na Bliskim Wschodzie, gdzie w pośpiechu zakłada nowe filie przedsiębiorstwa, licząc na podwyższenie dochodów. Starannie zapamiętałam wymieniane nazwy miejscowości, nazwiska i adresy. Omówienie rozmaitych szczegółów technicznych pozwoliło mi pojąć wreszcie, że przedmiotem działalności organizacji jest nie tylko nielegalny hazard, ale też legalny hazard, wszelki przemyt i handel narkotykami. Gdyby nie głupawe postanowienie pozbawienia mnie życia, miałabym do nich znacznie mniejsze pretensje. Przymyś, jak dla mnie, mogą pomiędzy sobą uprawiać do upojenia, a gdyby cały świat kapitalistyczny popadł w narkomanię, to, być może, okazałoby się nawet korzystne. Ale ich kretyńskie ograniczenie umysłowe i tępy upór w kwestii mojej przyszłości zgniewały mnie nieco i postanowiłam im przeciwdziałać.

Gliny, jak się okazało, już od dawna przeszkadzały wszelkimi siłami. Cała ta idiotyczna obecna sytuacja jest wynikiem dziwacznych wybryków Interpolu, do którego nie udało się wkręcić swojego człowieka. W policjach różnych krajów byli swoi ludzie, a w Interpolu nie. Imiona i pseudonimy owych swoich ludzi również postarałam się zapamiętać, po czym sama doszłam do wniosku, że teraz już istotnie trzeba mnie zabić. Chyba że doznam zaniku pamięci. Z zainteresowaniem wysłuchałam wszystkich życzeń, jakie przy tej okazji padły pod adresem Interpolu. Gdyby bodaj połowa ich się spełniła, ani jeden z jego pracowników nie pozostałby przy życiu, a większość zginęłaby śmiercią wyjątkowo niesympatyczną.

Zaczęłam już trochę drętwieć w tej roślinności, ale problemy, omawiane przez jedenastu panów, wciąż były ciekawe. Pokróctce zreferowano sobie sprawę bezpieczeństwa. Rezydencja stanowiła ostatni azyl i jakiś najazd na nią byłby zupełnym kataklizmem. Możliwość takiej klęski uznano za nieprawdopodobną, ale na wszelki wypadek w zatoce stoi jacht "Stella di Mare", którego nie dogoni żadna policja świata. Oprócz tego dwa samoloty odrzutowe są zawsze przygotowane do drogi, a obsługa lotniska jest pewna. Szef posiada jakąś ekstra kryjówkę i w ogóle wszystko by grało, gdyby nie ja.

Zesztywniałam doszczętnie, marzyłam o papierosie, pić mi się chciało, od woni

kwiecica rozbolała mnie głowa, ale twardo dosiedziałam do końca konferencji. Katusze okazały się opłacalne. Wszyscy wyszli tymi drzwiami, którymi wkradłam się za kelnerem, pozostał tylko rozczochrany z jednym z gości i gabinet szefa znalazł się sam. Obaj podeszli w milczeniu do ściany, na którą miałam bardzo dobry widok, przycisnęli guzik pod kinkietem, i w ścianie otworzyły się drzwi. Zniknęli w pokoju za nimi. Nie wiem, co tam robili, w każdym razie robili to krótko i nie zdążyłam nawet odzyskać władzy w zdrętwiałych nogach. Ledwo wyszli, natychmiast w paralitycznych podrygach wyskoczyłam z roślinności i przycisnęłam guzik pod kinkietem.

Gabinet to był niewątpliwie, a urządzenie wnętrza nieco mną wstrząsnęło. Zamiast okien miał ekrany telewizyjne. Każdy z nich pokazywał co innego, a zaraz na pierwszym ukazała się cała dyspozytornia na dole z mapą świetlną i pulpitemi włącznie. Zapalałam je sobie kolejno, nieco spłoszona, w każdej chwili oczekując wywołania jakichś straszliwych, nieprzewidzianych efektów, przyglądałam się parę sekund, po czym gasiłam. Biurko zawierało jakąś niesłychanie skomplikowaną aparaturę, której nie rozumiałam w ogóle, wobec czego wołałam nie ruszać. Jedynym jako tako zwyczajnym przedmiotem było coś w rodzaju oszklonej etażerki na kółkach, zawierającej w swym wnętrzu skośnie nachylone półki, a na nich to, czego szukałam. Mnóstwo kluczy rozmaitego rodzaju i fasonu, w tym także różne kluczyki samochodowe albo też takie same jak samochodowe. Długo i wytrwale oglądałam ten mebel, nie mogąc znaleźć sposobu otwierania i wreszcie postanowiłam, że w razie potrzeby rąbnę po prostu całą etażerkę.

Apartamenty szefa opuściłam bez przeszkód. Dziwiła mnie nieco ta łatwość poruszania się po terenie i dokonywania odkryć, ale po namyśle uznałam ją za wytłumaczalną. Wszyscy tu na miejscu stanowili przecież zarząd gangu, byli u siebie, czuli się bezpieczni, nie mieli więc potrzeby czegokolwiek przed sobą nawzajem zamykać. Jedyną osobą postronną byłam ja, ale ja i tak zostałam przeznaczona na ubój.

Po kilku dniach dokonałam licznych, cennych spostrzeżeń. Po pierwsze zauważyłam, że nieobecność rozczochranego zdecydowanie wpływa na rozluźnienie dyscypliny. Objawiało się to w ten sposób, że z chwilą jego oddalenia się, stojący na warcie przy helikopterach czarny bandzior siadał i zapalał papierosa. Bandzior od jachtów zostawiał port i wjeżdżał na górę. Wszystko się rozlazilo i kryło w cieniu, mnie zaś bez żadnego trudu udawało się zejść im z oczu.

Po drugie zwróciłam uwagę na to, że w czasie naszego pobytu w jaskini rozpusty motorówka, którą przyływaliśmy, odpływała, przyływała druga i w ogóle obie były w ciągłym ruchu. Nie wiedziałam jeszcze, czy mi to będzie potrzebne, ale na wszelki wypadek interesowałam się wszystkim, co miało związek z wodą. Ocean, leżący pomiędzy mną a Europą, nie pozwalał przestać myśleć o sobie.

Bywanie w salonach gry weszło w zwyczaj. Udawaliśmy się tam po późnym obiedzie i wracaliśmy po północy, gdzieś między pierwszą a trzecią, przy czym udało mi się wprowadzić chaos w komunikacji. Już trzeciego dnia zaparłam się zadnimi łapami i odmówiłam posłużenia się drogą wodną. Usiłowali mnie za to ukarać i pozbawić wieczornych rozrywek, ale na to z kolei zrobiłam potworną awanturę, która mnie samą wprowadziła w podziw. Wywoływanie imponujących awantur przez całe życie przychodziło mi bez najmniejszego trudu i ta też dała pożądany rezultat. Przewożono mnie helikopterem, ale ten rodzaj transportu był pewny tylko w tamtą stronę. Z powrotem, jeśli byłam wygrana, zgadzałam się płynąć jachtem, jeśli zaś nie, to nie i w ten sposób nikt nie był pewien, czym będę wracać i kiedy. Zgoda na powrót jachtem była poniekąd uzasadniona, bo po północy fala była mniejsza. Nie wiem dlaczego, być może na skutek odpływu.

Po trzecie stwierdziłam niezbicie brak jakiegokolwiek straży przy dużym jachcie w zatoce. Stał sobie spokojnie i był nie używany.

Po czwarte znalazłam rzecz najbardziej dla mnie interesującą, mianowicie kluczyki do jaguara. Podpatrzyłam kierowcę, który, jak się okazało, po wprowadzeniu samochodu do garażu najzwyczajniej w świecie wieszał je na gwoździu w ścianie! Jeśli oczywiście to coś można było nazywać gwoździem, na oko wyglądało bowiem na skrzyżowanie czubka anteny radiowej z hakiem w rzeźni.

Po tym ostatnim odkryciu droga do ucieczki stanęła przede mną otworem. Trzeba to było załatwić jak najprędzej, przed przybyciem mitycznego szefa, którym straszili mnie wszyscy zgodnie. Dzień w dzień odbywano wprawdzie ze mną rozmowy na palący temat, dzień w dzień maglowali mnie głupimi pytaniami, regularnie co wieczór, w czasie gry, usiłowali mnie zaskakiwać, licząc na moje zaabsorbowanie namiętnością, ale prawdę powiedziawszy na złe traktowanie narzekać nie mogłam. Wyglądało na to, że dopiero szef zabierze się do mnie ostrzej i nie zamierzałam na to czekać.

Na polubowne załatwienie sprawy straciłam nadzieję bezpowrotnie, bo sama

siebie bym nie wypuściła na ich miejscu. Miałam w ręku cały ich stan posiadania, jakiś potworny majątek, ukryty w miejscu, którego nikt nie znał i którego nie chciałam zdradzić. Co jakiś czas popadałam w melancholię i symulowałam załamanie, robiąc wrażenie, że tylko patrzeć, a zrezygnuję z wojny i wyznam prawdę. We wszystkich czterech wstępowało wtedy nowe życie, blask im padał na oblicza, zaczęli skakać koło mnie jak małpy w cyrku, czas jakiś łaskawie przyjmowałam ich umizgi, po czym nagle twardniałam i odmawiałam odpowiedzi. Zgrzyt zębów wywoływał wówczas echo w górach. W oczach im migał błysk szaleństwa i ogólnie biorąc dziwię się, że nie dostali przeze mnie rozstroju nerwowego.

Zasłyszane w czasie konferencji nazwiska oraz adresy nowych melin na Bliskim Wschodzie zapisałam sobie w kalendarzyku, żeby nie zapomnieć, i z satysfakcją myślałam, że za te wiadomości Interpol by mnie chyba ozłocił.

Zaczęłam przemyśliwać sprawę konkretniej. Uznałam, że muszę się dostać do Kurytyby, gdzie będę chyba względnie bezpieczna. Niemożliwe jest przecież, żeby cała policja brazylijska stanowiła personel gangu, za drogo by ich to kosztowało. Pieniądze posiadałam i z Kurytyby postanowiłam polecieć samolotem tam, gdzie znajduje się nasza ambasada. Nie byłam pewna, gdzie, czy w Brazylii, czy w Rio de Janeiro, ale zamierzałam się tego dowiedzieć na lotnisku.

Miałam przed sobą co najmniej trzysta kilometrów górskiej szosy, złożonej wyłącznie z zakrętów śmierci na spadku. Najlepiej byłoby jechać w nocy i bez świateł, ale nie znając w ogóle tej drogi pewnie bym daleko nie zajechała. Zdecydowałam się więc jechać w dzień, bo z helikoptera łatwiej zauważyć w nocy światło w dole niż w dzień drobny przedmiot w krajobrazie, a przewidywałam, że będą mnie gonić helikopterem. Przedmiot wprawdzie będzie ruchomy, ale i ten problem przemyślałam sobie szczegółowo.

Pozostało mi tylko wyczekać odpowiedniego momentu.

Mniej więcej po tygodniu nadszedł dzień, kiedy sytuacja ułożyła się nadzwyczaj korzystnie. Rozczochny z tłustym oddalili się drogą powietrzną. Bandzior na tarasiku nie tylko usiadł, ale nawet się położył i prawdopodobnie zasnął. W upiornym, południowym upale nie było widać żywego ducha, wszyscy się rozleźli i pochowali w cieniu. Zabrałam torbę i świętą siatkę, w której ciągle tkwił nie dokończony szal z białego acrylu, zeszałam do garażu, zdjęłam kluczyki z imitacji gwoźdźcia i wsiadłam do jaguara.

W głębi pomieszczenia stały kanistry z zapasem benzyny, ale wskaźnik pokazywał pełny bak, zrezygnowałam więc z zabierania dodatkowych naczyń. Uznałam, że pełny bak wystarczy. Wrzuciłam luz, przypominając sobie, że w jaguarze coś tam jest z biegami, trójka i czwórka wchodzi odwrotnie i muszę o tym pamiętać, sprawdziłam ręczny hamulec, czy nie jest zaciągnięty, wysiadłam i popchnęłam wóz ku przodowi. Ciężko szło, ale szło... Przepchałam go półtora metra i drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Wyrzałam na zewnątrz. Nadal żywego ducha! Pozostawiając otwarte wrota popędziłam do sterowni na dole. Przesunęłam dwie prawe górne wajchy ku górze, po czym wróciłam do garażu.

“Żadnych hałasów” - pomyślałam sama do siebie ostrzegawczo i zaczęłam powoli wypychać jaguara na zewnątrz. Byle dopchać do pochyłości!

Wrota za mną zasunęły się same. Pochyłość zaczynała się zaraz na skraju dziedzińca. Przeniosłam się z pchaniem od tyłu do przednich drzwiczek. Zaczynałam być zdenerwowana.

Jaguar dawał się toczyć coraz łatwiej i już czas najwyższy było wsiąść. Wsiadłam przy skałkach, stanowiących obramowanie dziedzińca. No i tu się zaczęło.

Wiedziałam, co powinnam mieć przed sobą, widziałam to przez lornetkę, sądziłam, że jestem na to przygotowana, ale rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania. Runęłam w dół na zbity pysk, nabierając szybkości jak rakietka kosmiczna! Cholerna szosa była przerażająco wąska, opony kwiknęły raz, kwiknęły drugi, zrobił się z tego ciągły wizg, wparłam nogę w jedyny użytkowany pedał, niepokój, który mnie ogarnął od samego początku, przerodził się w panikę. Ile te hamulce wytrzymają?! Przecież za chwilę szlag je trafi i mnie razem z nimi! Tu się powinno jechać na silniku, na niskim biegu, hamować silnikiem, same hamulce to za mało, rany boskie!!!

Przepaść miałam na zmianę raz z lewej, raz z prawej. Cudem ominęły mnie dwa występy skalne, kiedy na moment zmniejszyłam nacisk na pedał. Zaczęłam się gwałtownie modlić o odrobinę czegokolwiek innego, kawałeczek prostej, kawałeczek pod górę, zabrakło mi nóg! Prawej nie mogłam oderwać od hamulca, może inni umieją zapalić silnik całkowicie bez użycia gazu, ale ja nie, te hamulce nie wytrzymają, to mowy nie ma!!! Ratunku!!!...

Mogłyby mnie teraz gonić całe eskadry helikopterów, nie byłam w stanie myśleć o tym, nie w głowie miałam jakieś krycie się pod czymś. Ratować życie, to był jedyny

problem! Zwariowałam chyba, co mi do łba strzeliło, żeby tak ruszyć?!?! Samobójczyni!!!

W popłochu przypomniałam sobie, że według spostrzeżeń droga z góry zaraz za mostkiem zaczynała się podnosić. Czy ja w ogóle dotrę do tego mostka w całości?! Ile to jest kilometrów, do diabła, spod palmy nie dało się wyliczyć!

Z włosiem zjeżonym dęba na głowie, z sercem w gardle, bez tchu, usiłowałam za wszelką cenę opanować sytuację. “Jeśli wyjdę z tego żywa, jadę na rajd do Monte Carlo! - pomyślałam z determinacją. - Mięta z bubrem to będzie!!!” W ostatniej chwili wyhamowałam przed następnym nawrotem, lewe koła przeleciały mi prawie w powietrzu. Przepaść nie miała żadnego zabezpieczenia, co zwiększało grozę przedsięwzięcia. Trudno, złapią mnie czy nie złapią, wszystko jedno, ja muszę zapalić silnik! Ja chcę jeszcze żyć!!!

Przed najbliższą pętelką wyhamowałam prawie do końca, całą skórą czując niechęć hamulców do moich poczynań. Przeczolgałam się dookoła skały z szybkością pięciu kilometrów na godzinę. Do następnego wirazu miałam jakieś piętnaście metrów zwyczajnego łuku na mordę w dół. “Tu zapalę albo zginę” - pomyślałam w rozpaczy. Puściłam pedał, zrobiłam wszystko równocześnie, sprzęgło, bieg, gaz, hamulec...!!! Cichy pomruk silnika zabrzmiał w moich uszach jak pienia anielskie, szarpnięcia prawie nie poczułam, trójka była w sam raz! Istny cud, że w takiej chwili pamiętałam o tej różnicy w biegach! Zeszłam na dwójkę i poczułam się nieco pewniej. Dopiero teraz pojęłam w pełni to wycie na wysokich obrotach za każdym razem, kiedy samochód wjeżdżał i wyjeżdżał.

To nie była droga, to nie była nawet serpentina. To była jakaś upiorna karuzela z przeszkodami! Według licznika przejechałam zaledwie osiem kilometrów, a czułam się, jakbym odbyła podróż z Lizbony do Władywostoku i z powrotem. Gdzie, u diabła, jest ten mostek?!

Najgorsza była nieznajomość trasy. Nie miałam pojęcia; co zobaczę za chwilę, za następnym załomem skały. Niekiedy hamowałam niepotrzebnie. Niekiedy byłam o włos od katastrofy, przy czym groziło mi na zmianę rozbicie się o kamienną ścianę albo runięcie na zbity pysk w przepaść. Rozstroju nerwowego można było dostać od samych niespodzianek. Niemniej ciągle jeszcze jechałam i ciągle nie słyszałam warkotu nad głowa.

Do mostku, jak się okazało, było 26 kilometrów. Przejechałam przezeń bez przeszkód i otarłam pot z czoła. Dalej były znów zakręty śmierci, ale dla odmiany na

lekkim wzniesieniu. Wiedziałam, że potem powinnam pojechać znów w dół, do tego czegoś, o czym nie wiedziałam, czym jest.

“Słyszeć, to mnie słyszą chyba w Kurytybie - pomyślałam z niesmakiem. - Ciekawe, dlaczego mnie jeszcze nie gonią.”

Przewidywałam wprawdzie co najmniej dwie godziny luzu do chwili, kiedy odkryją moją ucieczkę, dwie godziny rozlazłego lenistwa w upale, ale nie brałam pod uwagę hałasu silnika i pełna słuszność moich przewidywań w tej sytuacji byłaby zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa.

Powoli zaczynałam przystosowywać się do tej koszmarnie męczącej drogi. Usiłowałam nawet zwiększać szybkość, co miało ten rezultat, że zdrapałam lakier z jednego zadniego błotnika. Wiłam się między skałami jak zygzakowata żmija, co jakiś czas porykując silnikiem niczym zraniony bawół. Myśl o osobliwości tego skrzyżowania zoologicznego była mi nikłą pociechą.

Czterdzieści kilometrów! Gdzieś tu chyba powinno być to coś. To może być jakaś pułapka, którą zdążyli już zamknąć, trzeba uważać...

Przede mną nie wiadomo jakim cudem pojawił się nagle odcinek prostej, wyjątkowo długi, chyba ze sto metrów. Prowadził lekko pod górę, a zaczynał się przewężeniem, obudowanym jakąś konstrukcją. “Jeszcze im za szeroko...!” - pomyślałam z obrzydzeniem, rzuciłam okiem w lusterko i nagle zrozumiałam, że właśnie widzę to coś, na co czekałam. Z konstrukcji opadł na szosę szlaban. Nie był to zwykły szlaban, tylko stalowa kratownica wysokości chyba z półtora metra. Dreszcz mi przeleciał po plecach, na myśl, że mogło mi to zlecieć akurat na głowę!

Szlaban niezbitnie wskazywał, że rozpoczęła się pogoń i rzeczywiście w kilka minut potem usłyszałam warkot helikoptera. Równocześnie skończył się asfalt i zaczęła zwyczajna, kamienista, góraska droga. Uznałam to za znak, że wyjechałam z granic mapy świetlnej, która kończyła się tuż za szlabanem.

Teraz musiałam wprowadzić w czyn starannie obmyślony podstęp. Nisko lecieć nie mogą, bo guzik zobaczą, droga kryje się między skałami i helikopter musi się wznieść bardzo wysoko, żeby ogarnąć wzrokiem jej duży odcinek. Skoro wyjechałam z granic mapy, to nie wiedzą już, gdzie w tej chwili jestem. Trzeba się oddalić możliwie szybko...

Jechałam jeszcze jakiś czas z narażeniem życia, więcej patrząc za siebie i w niebo niż przed siebie na drogę. Wreszcie uznałam, że helikopter pojawi się lada chwila i nie

ma co się dłużej wygłupiać. Wybrałam sobie nawis skalny, pod którym panował głęboki cień i tam się zatrzymałam.

Prawie w tym samym momencie zza skał wypłynął helikopter, a za nim drugi. Warczały jak dzikie! Musiał tam widać zapanować niezły popłoch, jeśli zrobili taki idiotyzm! Oba helikoptery razem, w powietrzu, gdzie, sens, gdzie logika, oba razem będą musiały zejść po paliwo!

Warząc okropnie i głośząc wszystko przeleciały nade mną i popłynęły dalej, zapewne wzdłuż drogi. Panika zmąciła im umysły! Wykorzystałam to natychmiast, nie mogli mnie w tej chwili widzieć, ruszyłam z jedną tylko myślą: byle do następnego cienia!

Zdażyłam przejechać dwa zakręty i znów zatrzymałam się pod skałą. Helikoptery wracały, szły nisko, po krótkiej chwili znów zniknęły za skałami za mną. Ruszyłam, patrząc w lusterko ustawione na niebo i uprzytomniłam sobie, że ogólnie biorąc jest znacznie łatwiej. Widocznie najgorszy odcinek drogi to był ten pod samą rezydencją. I ja to zamierzałam w pierwszej chwili przejechać w nocy, bez świateł i na zgaszonym silniku!!! Szaleństwo!!! Ujechałam nawet dość duży kawałek, skała niejako szła mi na rękę, cały czas zasłaniając mnie właśnie od ich strony. Warkot zaczął narastać, w popłochu wepchnęłam się w jakieś okropnie ciasne miejsce, z niepokojem myśląc, że chyba mi zad wystaje i że będę musiała się cofnąć, żeby wyjechać, i równocześnie zastanawiając się, kiedy wreszcie przyjdzie im do głowy wejść wyżej. Unieruchomiliby mnie tym na amen. Do diabła, na ile godzin lotu oni mają paliwo?

Cofnęłam się i wyjechałam, kiedy znów mnie wyprzedziły, tak że zniknęły mi z oczu. Przyszło mi na myśl, że może szukają moich szczątków po przepaściach i stąd to zniżanie. Szczątków mogą szukać, proszę bardzo, im dłużej tym lepiej...

Zgłupieli chyba ostatecznie, bo jechałam i jechałam, a warkot zamierał w przodzie. Potem nagle zabrzmiał głośniejszy i jakby zmienił ton. Upatrzyłam sobie piękny, głęboki cień i zaparkowałam bardzo wygodnie. Rzeczywiście, oprzytomnieli widać nieco i poszli po rozum do głowy, bo oba helikoptery podniosły się bardzo wysoko i zaczęły krążyć nade mną. Przyglądałam się im z melancholijną rezygnacją, nastawiona na to, że teraz tu sobie postoję, a postoję...

Czterdzieści pięć minut czekałam, paląc papierosy i zastanawiając się, co ja bym zrobiła na ich miejscu. Oczywiście poleciałabym jak najdalej do przodu, bo przecież nie wiadomo, mogę być mistrzem rajdowym albo czymś takim, przebyć tę upiorną trasę w

znacznie krótszym czasie i teraz być już gdzieś hen precz bardzo daleko. Następnie jednym helikopterem podniosłabym się możliwie wysoko, a drugim wracałabym jak najniżej nad drogą. I nie ma siły, musiałabym siebie znaleźć!

Widocznie doszli wreszcie do tego samego wniosku, bo znów oba poleciały do przodu. Wyjechałam z cienia i jechałam dalej. Szosa zamieniła się w coś okropnego, nie wiem, promenadę dla osłów czy co. Musiała to być jakaś stara droga, która miała tę dobrą stronę, że nie leciała po estakadach i mostach, tylko złaźła w przełęcz i wiała się wzdłuż zboczy, które zakrywały mnie bardzo dokładnie przed okiem helikopterów.

Dojechałam do skrzyżowania. Ściśle biorąc nie było to skrzyżowanie tylko do mojej drogi podeszła druga, tak że gdybym jechała w przeciwnym kierunku, miałabym rozwidlenie. Zawahałam się, co robić, jechać przed siebie, czy wrócić skośnie do tyłu i wybrałam to pierwsze. Celem drogi do tyłu była niewątpliwie Paranagua, a ja nie tam się wybierałam, tylko do Kurytyby.

Helikoptery zbliżyły się, schowałam się w cieniu, odleciały. Wyjechałam i zabawa w chowanego doszła do pełni rozkwitu. W tym tempie miałam szansę dojechać do Kurytyby za jakie dwa miesiące. Miałam nadzieję na zmierzch, a potem na romantyczna noc, rozjaśnioną gwiazdami, którą wykorzystałabym całkiem prozaicznie na jazdę bez świateł. Nie dane mi jednak było spróbować tej niewątpliwie emocjonującej rozrywki.

Helikoptery dość długo zabawiły w przodzie i udało mi się przejechać bez przeszkód jedenaście kilometrów. Przeleciały nade mną, co oczywiście przeczekałam w ukryciu i poleciały w kierunku domu. Zdziwiło mnie to nieco, bo wydawało mi się, że powinny mieć benzynę na dłuższy czas lotu, rozrywkę uprawialiśmy dopiero dwie i pół godziny, ale ruszyłam pewniej przed siebie. Przepaść z lewej podeszła do góry, prawe zbocze trochę się obniżyło i jechałam jakby wąwozem, przy czym chwilami udawało mi się osiągać oszałamiającą szybkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ale tylko chwilami. Jeden zakręt, dość łagodny, drugi... Całe szczęście, że przed trzecim bardziej zwolniłam, bo tuż za nim ujrzałam na środku drogi rumowisko z kamieni.

Rumowisko to była drobnostka. Gorzej, że na tych kamieniach siedzieli sobie najspokojniej w świetle rozczochrany z tłustym.

Natychmiast zrozumiałam, co się stało. Stwierdzili, że dalej mnie nie ma, droga schodziła przecież w dół i była zapewne widoczna na bardzo dużej przestrzeni, porozumieli się wszyscy razem przez radio, dwa helikoptery wróciły do domu, a

rozczochny z tłustym nadlecieli trzecim. Zrobili przeszkodę na drodze, postawili gdzieś swój helikopter, żeby nie warczał i czekali na mnie beztrąsko. I nie ma tu co ukrywać, doczekali się!...

Nie usiłowałam ich przejechać i w ogóle nie zrobiłam nic. Poddawałam się bez oporu, ale to, co powiedziałam w ojczystym języku, było długie i nie nadaje się do powtarzania publicznie.

- Miło nam panią widzieć, *mademoiselle* - powiedział rozczochny z galanterią. - Zrobiła pani sobie wycieczkę?

- Aha - odparłam. - Wyjechałam panom na spotkanie. Uwielbiam jeździć samochodem po górskich drogach. Prześliczna okolica.

- O tak! Cała Brazylia jest prześliczna. Ale wycieczka z pewnością panią zmęczyła. Czy nie ma pani ochoty wrócić do domu w łatwiejszy sposób?

Tłusty przez ten czas głądził do nadajnika z głupio rozanielonym wyrazem twarzy i po chwili usłyszałam warkot. Zastanawiałam się pośpiesznie, pod jakim pretekstem uda mi się wrócić również samochodem. Na wszelki wypadek chciałam tę drogę przebyć jeszcze raz i poznać nieco lepiej.

- Wcale się nie zmęczyłam - zaprotestowałam stanowczo. - Z przyjemnością pojechałabym dalej. Dawno nie prowadziłam takiego dobrego samochodu po takiej pięknej trasie.

Rozczochny mimo woli rzucił okiem na imponującą dziurę w środku drogi. Jednym kołem stałam na samym jej skraju. Cała droga zresztą składała się po większej części z takich właśnie dziur, poprzeplatanych większymi i mniejszymi kamieniami, ale to mogło przecież świadczyć tylko o tym, że w kwestii jakości tras przejawiam nieco osobliwy gust. Wiadomo, że nie to ładne, co ładne, tylko to, co się komu podoba.

- Czy nie zamierzała pani przypadkiem oddalić się na zawsze? - spytał z demonstracyjnym niepokojem. - Taka doskonała droga aż ciągnie, żeby nią jechać dalej i dalej... A dla nas byłaby to niepowetowana strata!

- Jasne, że strata - odparłam zgryźliwie. - Brak mnie jest dla każdego zawsze okropną stratą i nieszczęściem. Moje towarzystwo jest szalenie atrakcyjne, sama wiem o tym i nie zamierzałam panów pozbawiać największego szczęścia w życiu. Dokąd ta prześliczna droga prowadzi?

- Donikąd - zełgał rozczochny a przekonaniem. - W góry i na bezdroża.

- Uwielbiam góry i bezdroża - oświadczyłam z jeszcze większym przekonaniem, ale w tym momencie konwersacja uległa przerwaniu. Nadleciał helikopter, zniżył się, na wylądowanie nie miał miejsca, wobec czego zastygł w bezruchu i opuścił sznurową drabinę.

- O, nie!!! - wrzasnęłam na ten widok i niewątpliwie zabrzmiało to bardzo kategorycznie. - Za żadne skarby świata!!! Wejść na to martwa albo wcale!!!

Zapewne widok mnie martwej, włączającej pośmiertnie na sznurową drabinę, okazałby się nieco wstrząsający i nie mieli ochoty czegoś takiego oglądać, bo zakłopotali się mocno. Widać było, że będę się bronić przed tą akrobacją rękami i nogami, a doprawdy nie jest łatwo transportować w ten sposób miotającą się dziko jednostkę ludzką. Zwierzęcą pewnie też dość trudno.

- Woli pani wracać samochodem? - zdziwił się niepewnie tłusty.

- Wolę! Tysiąc razy wolę!!! Wolę spędzić w samochodzie resztę życia!

Przez chwilę jeszcze usiłowali mnie nakłonić do gimnastyki, ale nic im z tego nie przyszło. Miałam przed sobą upragniony pretekst. Jasne, że w razie absolutnej konieczności wlaźłabym na taką drabinę nawet dziesięć razy, ale też faktem jest, że nie przepadam za tym. Wybuch historycznej paniki zaprezentowałam efektownie i wiarygodnie.

- Proszę się przesiąść - powiedział w końcu rozczochrany z rezygnacją. - Prowadzić pani nie będzie. Jest pani zmęczona i trochę zdenerwowana...

Poprowadził tłusty, pozwolili mi usiąść obok niego, a rozczochrany ulokował się z tyłu. Helikopter leciał powoli tuż nad nami tam, gdzie mógł, a nieco wyżej tam, gdzie musiał. Widocznie obawiali się, że w jakimś niebezpiecznym miejscu wypchnę tłustego z samochodu i na nowo ucieknę. Nie wiem, jakim sposobem, musiałabym chyba uciekać tyłem, bo o zawróceniu w niebezpiecznych miejscach nie było mowy.

Resztę tak pięknie rozpoczętego dnia poświęciłam na rozmyślania, jak można zepsuć helikopter...

Po dalszych kilku dniach rozkład zajęć ustabilizował się ostatecznie. Schodziłam na śniadanie około jedenastej. Po śniadaniu jakiś czas opalałam się nad basenikiem nie wchodząc do wody, tylko korzystając z natrysków. Potem udawałam się do garażu, gdzie już nie zostawiano kluczyków do jaguara, obchodziłam w koło pojazd, jeśli był, jeśli zaś nie, oglądałam sobie pomieszczenie. Następnie szłam podkładać świnie wartownikom.

Polegało to na tym, że dzień w dzień co najmniej przez godzinę pilnie i szczegółowo badałam helikoptery na tarasiku. Dotykałam wszystkiego, usiłowałam odkręcać rozmaite rzeczy, włąziłam do kabiny i kontemplowałam tablicę rozdzielczą, nastawiałam sobie radio i w ogóle wykazywałam przerażającą aktywność. Skutek był taki, że zamiast jednego wartownika zaczęło tam stróżować dwóch. Próbowali mi czynić wstręty i wszelkimi siłami dawali do zrozumienia, że to wzbronione i że lepiej będzie, jeśli sobie pójdę do wszystkich diabłów, ale na mnie nie robiło to żadnego wrażenia. Dłubałam dalej, a oni z rozpaczą w oczach patrzyli mi na ręce i co jakiś czas łagodnie, ale stanowczo odbierali kolejne narzędzie.

Zmaltretowawszy wartowników i obudziwszy możliwie dużą ilość rozmaitych podejrzeń udawałam się pod palmę z widokiem na Europę i wracałam dopiero na obiad. Spod palmy czyniłam wypadki nad zatoczkę z jachtem, przy czym pilnie uważałam, żeby nikomu nie wpaść w oko. Stwierdziłam, że jacht ma sterownię z wygodnym fotelem za kierownicą, czy jak tam nazwać to kółko i za pomocą lornety odkryłam miejsce, w które bez wątpienia należy wetknąć kluczyk, aby uruchomić silnik. Innymi słowy stacyjkę.

Po obiedzie udawaliśmy się nadal do jaskini gry. Namiętności do hazardu nie kryłam, bo zresztą niczego chyba nie byłoby mi trudniej ukryć, ale wszelkimi siłami zachowywałam przytomność umysłu i raczej nie przegrywałam. Przyzwyczaiałam ich do tego, że wygrawszy, przestają grać i albo wznawiam grę dopiero po pewnym czasie, albo wracam do domu. Do dyspozycji miałam helikopter i obie motorówki, kręcące się ustawicznie tam i z powrotem. Czarne bandziory bez oporu woziły mnie o dowolnej porze. Częściej oczywiście korzystałam z helikoptera, uparczywie trwając w niechęci do wody. Po powrocie do domu szłam spać nie pokazując się nikomu na oczy.

Miałam pewien plan, nader ryzykowny, ale jedyny, który według mojego rozeznania odznaczał się szansami powodzenia. Sensu w nim nie było za grosz i właśnie dlatego byłam zdania, że powinien się udać. Przy pomocy słownika angielskiego przeczytałam dokładnie cały podręcznik owego żeglarza-amatora i dowiedziałam się z niego mnóstwa interesujących rzeczy. Podręcznik traktował wprawdzie o małych motorówkach, ale duże jachty, takie jak ten w zatoczce, również były tam wspomniane. W miarę lektury plan krystalizował mi się coraz lepiej.

Postanowiłam mianowicie uciec jachtem. Prawie w miejscu mojego pobytu zaczynał się równikowy pas ciszy. Gdybym popłynęła przez ten pas ciszy; mając z głowy

wszelkie cyklony i trąby powietrzne, mogłabym się dostać do Afryki, od której, według atlasu, dzieliło mnie zaledwie około pięciu tysięcy kilometrów w linii prostej. Linia prosta wprawdzie odpadała, bo płynąc po niej musiałabym przeciąć ląd na północnym wschodzie, ale nawet z okrażeniem tego wystającego kawałka Brazylii nie wychodziło mi więcej niż sześć tysięcy. Siedząc pod palmą dokonałam sobie niezbędnych obliczeń.

Podręcznik mimochodem zawiadamiał, że istnieją jachty na przykład policyjne, które rozwijają maksymalną szybkość nawet do czterdziestu węzłów. Od tych węzłów od razu zrobiło mi się niedobrze, bo nigdy w życiu nie mogłam dokładnie zrozumieć, co to jest. Słownik uprzejmie wyjaśniał, że jest to mila morska na godzinę, kalendarzyk Domu Książki z kolei poinformował mnie, że mila morska równa się tysiąc osiemset pięćdziesięciu dwóm metrom z groszami i uwierzyłam im na słowo. Tabliczkę mnożenia na ogół umiałam, udało mi się więc wyliczyć, że owe ekstra jachty ciągną siedemdziesiąt cztery kilometry na godzinę. Bez chwili wahania założyłam, że to musi być właśnie taki ekstra jacht. Potwierdzały to zresztą podsłuchane w czasie konferencji słowa rozczochranego.

Dalej wydusiłam z podręcznika następną idiotyczną wiadomość, mianowicie, że takie największe silniki zużywają od trzydziestu do pięćdziesięciu litrów paliwa na godzinę. Głupio to było jak dla mnie, bo przywykłam raczej do wyliczania zużycia paliwa na sto kilometrów, ale przystąpiłam do dalszych działań arytmetycznych. Zakładając te siedemdziesiąt na godzinę i sześć tysięcy kilometrów odległości, płynęłabym do Afryki przeszło osiemdziesiąt pięć godzin. Niech będzie dziewięćdziesiąt. Wobec tego powinnam mieć cztery tysiące pięćset litrów ropy.

Zamyśliłam się i spróbowałam ujrzeć tę ilość oczyma duszy. Normalna wanna zawiera w sobie około trzystu litrów wody, jak jest bardzo pełna, to nawet trzysta pięćdziesiąt. Czyli musiałabym mieć w zapasie około dwunastu wanien ropy. Dwanaście wanien zmieści się na tym jachcie bez trudu!

Możliwe, że wyliczanie zużycia ropy na wanny jest metodą nieco oryginalną i rzadko stosowaną, ale w tym natłoku całkowicie niezrozumiałych pojęć i określeń musiałam sobie znaleźć coś znanego i bliskiego, bo inaczej zgubiłabym się doszczętnie. Jak się w ogóle tankuje taki jacht? Ten z pewnością musi być zatankowany, skoro jest przygotowany do drogi, ale czy aby ma w sobie dwanaście wanien?

Jak żyję, nie tylko nie prowadziłam czegoś takiego, ale nawet nie pływałam tym w

charakterze pasażera. Przedsięwzięcie wydawało się całkowicie kretyńskie i niewykonalne i na tym właśnie opierałam przekonanie o jego powodzeniu. Moje zniknięcie zostanie dość szybko odkryte i natychmiast znów zaczną mnie szukać. Będą szukali wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba. Do głowy nikomu nie przyjdzie, że nawet przy znacznie mniejszym wstręcie do wody mogłabym samodzielnie wypłynąć na Atlantyk!

Musiałam uzyskać przynajmniej jedną dobę swobody, żeby mnie nie dogonili, i tu powstał kłopot. Trzeba było stworzyć pozory ucieczki w inną stronę. Gdzie, u diabła, mogłabym się podziać? Należałoby coś rąbnąć i ukryć, jaguara albo któryś helikopter, ale to ostatnie nie wchodziło w rachubę. Oni sobie mogli wyobrażać, że potrafię oddalić się drogą powietrzną i pilnować tych helikopterów skolko ugodno, ale ja sama zbyt dobrze wiedziałam, że pilotaż jest sztuką nie mnie dostępną. Kiedy indziej mogłabym może nawet próbować, ale w obecnej sytuacji połamanie sobie różnych części ciała byłoby mi raczej nie na rękę. Ukraść jaguara... Owszem, to ma więcej sensu. Samego samochodu nie pilnowali, ograniczyli się do schowania kluczyków i wystawienia posterunku w sterowni na dole. Zwodzony mostek był otwarty, a szlaban opuszczony. Straż trzymał przez cały dzień facet w białym garniturze, na noc się oddalał i drzwi zamykano.

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zepchnąć jaguara w przepaść w jakimś trudno dostępnym miejscu. I to jeszcze nie spychać w ślepo, bo mógłby rzeczywiście zlecieć, narobić huk, a może się nawet zapalić, tylko wjechać nim po cichu gdzieś pod jakieś skały. Niech go sobie nawet znajdą wkrótce, to nie ma znaczenia, grunt, żeby im w pierwszej chwili znikł z oczu.

Dodatkowo postanowiłam poczynić demonstracyjne przygotowania do ucieczki na piechotę. Tatarnictwem również nie zajmowałam się nigdy w życiu i nie bardzo mogłam sobie wyobrazić, co mi do tego powinno, być potrzebne. Jakies liny? Plecak? Jakies zelastwo do wbijania w skałę? Diabli wiedzą...

Po namyśle doszłam do wniosku, że wystarczy byle co. Nawet lepiej będzie zrobić wrażenie, że wybrałam się jak idiotka z motyką na słońce, bo więcej czasu zużyją na poszukiwanie moich zwłok po przepaściach. Zwłok będą szukać, to pewne, mogłabym przecież jeszcze trochę żyć i przed śmiercią udałoby się może wydusić ze mnie pożądane zeznania.

Messel rąbnęłam z garażu na oczach tłustego. Przyglądał mi się podejrzliwie, kiedy

grzebałam w rozmaitych porzucanych narzędziach, udając, że go nie widzę. Po chwili nie wytrzymał.

- Po co to pani? - spytał. - I czego pani właściwie szuka?

Udałam, że się wzdrygnęłam okropnie zaskoczona.

- Narzędzi - odparłam po namyśle. - Będę rzeźbić.

- Co pani będzie...

- Rzeźbić. Zamierzam wykonać rzeźbę w skale. Na pamiątkę dla panów. Mam zamiłowania artystyczne i natchnienie mnie pcha.

Tłustego na moment zatkało. Wybrałam sobie jeszcze młotek i oddaliłam się godnie.

Z przystani dla motorówek wyniosłam zwój liny okrętowej. Założyłam go sobie na szyję jak chomąto i przedelfilowałam dla odmiany przed rozczochranym, oblatując bez mała cały budynek w celu spotkania go przypadkowo, chociaż zwój ciężki był jak diabli. W ogóle nie wyobrażam sobie, jak mogłabym z czymś takim uciekać na piechotę.

Następnie zażądałam papieru i ołówków, uparczywie twierdząc, że to rzeźbiarskie natchnienie rozpira mnie bez opamiętania. Dostarczyli mi wymaganych przedmiotów, a wyraz twarzy mieli przy tym podejrzliwy i nieco osłupiały. Pewnie myśleli, że zwariowałam.

Wykonanie na arkuszu brystolu formatu A4 gmatwaniny kresek zupełnie bez sensu zajęło mi nie więcej niż godzinę. Rzeźba miała prawo być, surrealistyczna. Nie kryjąc się zbytnio, jęłam czynić wycieczki w okolicy rezydencji pod pozorem poszukiwania skały, na której miało powstać owo arcydzieło. Przez pierwsze dwa dni chodzili za mną, potem zniechęcili się i machnęli ręką. Zapewne nie wytrzymali nerwowo dokonywanych przeze mnie pomiarów wszystkich napotykanym po drodze, sterczących luzem, skałek. Pomiarów dokonywałam centymetrem krawieckim, który od dawien dawna nosiłam przy sobie nie wiadomo po co i teraz znalazłam w torbie, a przy jednej ze skałek wezwałam pilnującego do pomocy. Kazałam mu obejść skałę od drugiej strony, uczynił to, widocznie zgłupiawszy na amen, i cud boski, że nie zleciał w przepaść. Był to jeden z tych wyższych rangą, w białych garniturach. Po powrocie przestał mieć biały garnitur.

Na poszukiwanie wyruszałam drogą, tą samą, którą zjeżdżałam jaguarem. Moim prawdziwym celem było znalezienie miejsca, gdzie mogłabym go zepchnąć do przepaści

nie czyniąc hałasu.

Znalazłam takie miejsce nawet dość blisko. Można było tam dojechać w ciągu paru minut, z narażeniem życia zjechać z drogi na zbocze wyjątkowo mało strome i upchnąć go pod skałą poniżej. Skałę i teren pod nią obejrzałam bardzo dokładnie. Rzecz wydawała się wykonalna, aczkolwiek istniała duża szansa, że samochód sturla się w dół w nieprzewidzianej pozycji. Każdego kamyka nauczyłam się na pamięć, bo całej sztuki zamierzałam dokonać po ciemku.

Przygotowania wstępne uznałam za zakończone i postanowiłam wreszcie obejrzeć jacht z bliska. Oględziny miały być jednorazowe, nie mogłam bowiem ryzykować wystawienia posterunku także i w zatoczce. Zainteresowanie jachtem za wszelką cenę musiałam ukryć przed prześladowcami.

Wyczekałam chwili, kiedy rozczochrany opuścił rezydencję, i zapanowało zwykłe rozluźnienie dyscypliny. Prosto spod palmy z widokiem na Europę udałam się nad zatoczkę, zlazłam po stalowej drabinie i znalazłam się na pomoście. Najpierw obejrzałam wrota, prowadzące do korytarza, którym można było przejść aż pod sam budynek. Wrota były stalowe, przesuwne. Przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby je jakoś zablokować, nie teraz oczywiście, tylko na chwilę przed ucieczką. Zawsze by to nieco utrudniło im komunikację z zatoczką. Rzecz była bardzo prosta, wrota przesuwały się po zewnętrznej stronie i wystarczyło wepchnąć byle co w dolną prowadnicę albo chociaż wbić w ścianę jakiś ćwiek i już o otworzeniu nie byłoby mowy. Wbijanie ćwieka w ścianę hałaśliwe, nie, lepiej kamyczek i odrobinę cementu...

Zostawiłam w spokoju wrota i zajęłam się jachtem. Był przycumowany do stalowych kołków linami, moim zdaniem nylonowymi. Stał przy samym pomoście, ale pokład miał znacznie niżej od niego i zastanowiłam się, czy mam skakać, czy też poczekać na przyływ, który się właśnie niedawno zaczął i powinien był podnieść poziom wody o te dwa metry. Przypomniałam sobie, że kulminacyjny punkt przyływu wypada gdzieś około północy, uznałam, że to za długo, rozważyłam możliwość zjechania na pokład po cumie, po czym znalazłam normalną drogę, to znaczy wbite w skałę klamry i zlazłam po klamrach.

Rozejrzawszy się trochę niepewnie, stwierdziłam przede wszystkim, że jak na mnie jedną jacht jest okropnie duży. Następnie rozpoczęłam zwiedzanie.

Na samej górze znajdowała się sterówka, której wewnątrz zostawiłam sobie na

koniec, przed sterówką zaś sterczało z pokładu coś jakby stalowy, nieco nachylony drąg. Po namyśle uznałam to za słoneczny zegar, który powinien okazać się bardzo przydatny do zachowywania pożądanego kierunku. Po kilku schodkach zeszłam do oszklonej części niżej. Część była nader wytwornym salonikiem, zaopatrzonym w barek i bardzo, wygodne meble. W barku wykryłam obecność licznych alkoholi i kilku butelek wody mineralnej, co mnie od razu podniosło na duchu.

Zeszłam jeszcze niżej i znalazłam łazienkę, dwie kabiny, wyraźnie mieszkalne, oraz kilka pomieszczeń, robiących wrażenie magazynów. Z ulgą stwierdziłam obfite zaopatrzenie w prowiant i napoje. Ucieszyło mnie to nad wyraz, bo primo zdejmowało mi tę kwestię z głowy, se-cundo zaś potwierdzało mniemanie, iż jacht jest w pełni przygotowany do drogi.

Bliżej dziobu znalazłam jeszcze jedne schodki w dół. Schodki zawracały, prowadząc pod salonik, otworzyłam następne drzwi i czym prędzej je zamknęłam, przy okazji zamykając też i oczy. Ujrzałam maszynownię, czyli coś niesłychanie skomplikowane i obce mojej duszy. Po namyśle i krótkiej walce ze sobą otworzyłam jednakże jedno i drugie i nieufnie przyjrzałam się pomieszczeniu, usiłując znaleźć jakieś analogie z silnikiem samochodowym. Trochę to powinno chyba wyglądać inaczej, nie wiem, nie znam się na Dieslach, ale jakieś podobieństwo musiało istnieć.

Po zastanowieniu się tak głębokim, że wręcz dla mojego umysłu szkodliwym, doszłam do wniosku że tych silników prawdopodobnie jest dwa. Innych urządzeń nie udało mi się rozszyfrować, opuściłam więc niepokojące pomieszczenie i wróciłam na górę, do sterówki. Tam było niewiele lepiej. Z lekkim powątpiewaniem w słuszność swoich spostrzeżeń pozostałam przy dokonanej uprzednio przez lornetkę lokalizacji stacyjki. Upiorna ilość rozmaitych wskaźników, zegarów, przycisków i wajch zaniepokoiła mnie nad wyraz i zaczęłam je rozgryzać. Napisy w rodzaju „AMP” i „V” pominęłam czym prędzej, z rezygnacją uznawszy, że w elektryczne kombinacje nie ma co się zagłębiać, bo i tak nie zrozumieję tego nigdy w życiu. Zainteresowały mnie dwa wskaźniki, zaopatrzone tytułem „tank” i „tank reserve”. Oba stały na „full”. Było dwanaście wanien czy nie?...

Wśród mnóstwa innych instrumentów odkryłam jeszcze coś, co mi się skojarzyło z termometrem. Podobne było do wskaźnika temperatury silnika w samochodzie, miało czerwoną kreskę, literę „C” i istniało w dwóch egzemplarzach. Bułę powyżej stacyjki

uznałam po pewnym wahaniu za kompas, a dwie wajchy po prawej stronie za pedały gazu, jeśli tak to można nazwać. Obie stały na zerze, dawały się przesuwając ku przodowi albo ku tyłowi, co od razu wypróbowałam, zahaczały się na trzech ząbkach w każdą stronę i przy każdym ostatnim ząbku był napis "max". Miałam nadzieję, że oznacza to maksymalną szybkość.

Resztę postanowiłam rozszyfrować już w czasie trwania podróży. Zaczął mnie gnębić następny problem. Obawiałam się mianowicie, że cichy warkot tych Diesli będzie w nocy za bardzo słyszalny i poświęciłam się rozważaniom, jak wypchnąć jacht z zatoki bez użycia silnika. Spróbowałam pociągnąć za cumę przy rufie i po zaparciu się z całej siły nogami w pokład spowodowałam lekki ruch. Przy okazji odkryłam jakieś dziwne zakończenie tej rufy, coś, czego nie było na żadnym obrazku w podręczniku. Jakies jakby trójkątne, żelazne pudło, częściowo tylko wynurzone z wody i przyłączone do statku. Niepokoilo mnie to dodatkowo, ale wolałam nie odczepiać.

Wylazłam na górę po klamrach, których zrobiło się mniej i przypomniałam sobie, że po północy zacznie się odpływ. Powinien pomóc. Zbadałam teren w kierunku ujścia zatoczki, znalazłam w ścianie coś w rodzaju półeczki, którą przy pewnym wysiłku dałoby się przejść i postanowiłam przewlec ręcznie całą tę łajbę aż do jej końca. Dalej musiałabym skręcić w prawo, potem skręcić w lewo i dopiero wyjść na ocean. Gdybym istniała w dwóch osobach, cała sztuka nie byłaby trudna, bo druga ja stałaby po drugiej stronie ujścia zatoczki, pociągnęłaby za drugą cumę...

Rozdwojenie, niestety, nie wchodziło w rachubę. Gołym okiem i przez lornetkę obejrzałam skalną ścianę naprzeciwko. Tam też były jakieś rodzaje półeczek. We właściwej chwili trzeba będzie spróbować. Jeśli wykorzystam odpływ, to może się uda...

Umysł pracował mi jasno i bez zahamowań. Zdawałam sobie sprawę z ryzyka przedsięwzięcia, ale przy tym świadoma byłam paru innych drobnostek. Wiedziałam, że o tej porze roku wiatry na Atlantyku wieją na wschód, czyli zgodnie ze mną, wiedziałam, że w równikowym pasie ciszy nie powinno mnie spotkać nic złego poza przeraźliwym upałem, wiedziałam, że potrafię obrać właściwy kierunek i całą nadzieję pokładałam w szybkości jachtu. W gruncie rzeczy przepłynięcie tej wody nie powinno trwać zbyt długo, wszystkiego raptem kilka dni i w związku z tym musi się udać. Musi i koniec!

Mogłam oczywiście skorzystać z istnienia pod nosem ruchliwego portu i tę ewentualność również rozważyłam. Mogłam podpłynąć do byle jakiego statku i zażądać

wzięcia mnie na pokład w charakterze rozbitka. Ale z jednej strony nie miałam zielonego pojęcia, dokąd który statek płynie, lądowanie gdziekolwiek indziej w Brazylii byłoby dla mnie klęską, a na to, żeby wymóc na kapitanie zmianę kursu, nie posiadałam środków. I pieniędzy za mało, i uroda nie ta, i nawet mojego charakteru mógłby się przestraszyć... Z drugiej zaś strony pętał mi ręce brak odpowiednich dokumentów, nieważny paszport bez wizy... Nie, z pomocy portu musiałam stanowczo zrezygnować.

Decyzję co do terminu ucieczki podjął za mnie rozczochrany. Zaprosił mnie na poważną rozmowę i oznajmił:

- Za trzy dni przyjeżdża szef. Naprawdę lepiej będzie dla pani przekazać słowa naszego zmarłego przyjaciela nam niż szefowi. Szef nie jest łagodny. Pani jest rozsądna. Słucham.

Nigdy w życiu nie byłam rozsądna. Zamyśliłam się, układając sobie na poczekaniu podstępny plan.

- Dobrze - powiedziałam po chwili. - Co dostanę za te wyznania?

Na twarzy rozczochanego ukazał się wyraz lekkiego zaskoczenia.

- A co pani chce? - zainteresował się.

- Po pierwsze odszkodowanie za straty moralne...

- Jakie straty moralne?

- Jak to jakie - powiedziałam z niesmakiem i urazą. - Pracowałam w Kopenhadze i oddaliłam się bez wyjaśnień. A moja opinia to co? A moje zarobki to co? A moje przeżycia...

- Dobrze - przerwał rozczochrany pośpiesznie. - Ile?

Znow się zamyśliłam.

- Niedużo. Trzydzieści tysięcy dolarów.

- Może być - zgodził się. - Co więcej?

- Po drugie wolność...

- Dobrze, zostanie pani przewieziona do Europy...

- O nie! - przerwałam mu stanowczo. - Żadne takie! Ja chcę tu zostać jeszcze jakiś czas!

Gdybym powiedziała, że chcę żywego aligatora, nie zdziwiłabym go bardziej. Patrzył na mnie niebieskimi, wytrzeszczonymi oczkami, a słomiane włoski na głowie pływały mu każdy w inną stronę.

- Nie wierzę własnym uszom - powiedział, nie kryjąc zdumienia. - Jak to? Nie chce pani wrócić do domu?

- Chcę, ale nie zaraz. Przedtem zyczę sobie wykonać rzeźbę na tej skale koło tarasu. Potem mogę odjechać. Do rzeźby potrzeba mi nieco cementu, tak ze dwa kilo. Po trzecie powiem wszystko, ale najpierw pojedziemy na pocztę i wyślę depeszę do mojej przyjaciółki z wiadomością, gdzie jestem i kiedy wracam. Jak depesza pójdzie, to ja powiem. Wcześniej nie.

Rozczochny przyglądał mi się w zamyśleniu, niewątpliwie rozważając możliwość zrobienia jakiegoś kantu z tą depeszą. Po chwili widocznie wymyślił, bo wyraził zgodę.

- Dobrze, jutro po południu pojedziemy na pocztę.
- Cement chcę zaraz - zażądałam na to kategorycznie.
- Dobrze, cement zaraz. Ale jaką mamy gwarancję, że po wysłaniu depeszy powie pani prawdę?

- A jaką ja mam gwarancję, że nie zastrzeli mnie pan natychmiast, jak powiem?

Rozczochny uśmiechnął się słodko i jadownicie.

- Właśnie swoją depeszę...
- No to na mnie ma pan szefa...

Niezależnie od tego, czy mi uwierzył, czy nie, widać było, że wstąpiła w niego nadzieja. Czarny bandzior po kwadransie przyniósł mi pięćdziesięciokilowy worek cementu. Rozczochny zabrał tłustego i obaj oddalili się helikopterem. Wszystko grało, na oczekaniu wymyślony plan powiódł się znakomicie. Godzina ucieczki wybiła.

Zebrałam do kupy najcieplejsze sztuki odzieży; torbę, siatkę, lornetkę, podręcznik i nóż, owinęłam to prześcieradłem kąpielowym i wyniosłam pod palmę. Spod palmy zebrałam nieco piaseczku, wyrzuciłam kwiaty z porcelanowej wazy i przygotowałam sobie materiały budowlane. Obiad zjadłam trzymając się za głowę, co wzbudziło zainteresowanie tego z oczami.

- Boli panią głowa? - spytał ze współczuciem.

- Boli - odparłam niechętnie. - Ale nie bardzo. Za parę godzin będzie bolała lepiej. Czy nie mają panowie przypadkiem polskich proszków od bólu głowy?

Obaj pozostawieni na gospodarstwie, ten z oczami i mały, wyraźnie się zdziwili.

- Pani weźmie aspirynę - poradził mały.
- Pokręciłam głową przecząco.

- Na nic. Nie pomaga. Pomagają wyłącznie polskie proszki od bólu głowy i dziwię się wam, że ich sobie nie sprowadzacie.

- Może się pani położyć? - zaproponował ten z oczami, czujnie oczekując mojej odpowiedzi. Wiedziałam, że zmiana programy zajęć od razu spowodowałaby jakieś podejrzenia.

- Nie chcę - odparłam grymaśnie. - Nie lubię. Zobaczę, może gdzieś mam jeszcze jeden proszek.

Proszek miałam przygotowany wcześniej, nie mówiąc o tym, że nic mnie nie bolało. Przyniosłam go i zjadłam w ich oczach.

- Za pół godziny mi przejdzie - oświadczyłam optymistycznie.

W godzinę później wchodziłam wraz z nimi do rozrywkowego lokalu, w niczym nie naruszając ustalonego porządku i demonstrując radosną świeżość. To ostatnie przychodziło mi z największą, łatwością. Minioną godzinę spędziłam pracowicie, a rezultaty mojej pracy były ze wszech miar pozytywne.

Obawy, że gabinet szefa będzie zamknięty, okazały się niesłuszne. Pomimo mojego usiłowania ucieczki nadal pozostawiali wszystko otworem i nie utrudniali mi poruszania się po budynku. Być może, szybkie i łatwe zawrócenie mnie z drogi nappełniło ich pewnością siebie.

Po namyśle postanowiłam zrezygnować z kradzieży całej etażerki, nie musiałam też tłuc jej z hałasem. Od czternastego roku życia nosiłam na palcu pierścionek, zawierający dwanaście diamentów. Diamenty były osadzone trochę nierówno i dwa wystawały. Niejednokrotnie już służyły mi do cięcia szkła, a kiedyś nawet wykonałam pierścionkiem całą oszkloną makietę lubelskiej elektrociepłowni. Tyle że tamto szkło miało grubość dwa milimetry, a to mi wyglądało na sześć.

Wybrałam sobie stosowne miejsce, takie, z którego mogłam dosięgnąć całego wnętrza i zabrałam się do pracy. Po kwadransie długi pas szkła w ścianie etażerki był przecięty. Przecięłam go jeszcze dwa razy w poprzek i bez żadnego trudu dał się wepchnąć do środka, wywołując tylko lekki brzęk.

Wyciągnęłam wszystkie małe kluczyki, wyodrębniłam te od jaguara, schowałam je oddzielnie, resztę zaś zwyczajnie wetknęłam pod poduszkę.

W jaskini hazardu towarzyszyło mi średnie szczęście. Przeważnie wygrywałam, ale niewiele. Po dwóch godzinach na nowo rozpoczęłam łapanie się za głowę, przy czym

usiłowałam stworzyć wrażenie, że niekiedy zapominam o głowie zajęta grą, a niekiedy zapominam o grze, zajęta głową. Zależało mi na tym, żeby tę moją głowę zostawić im w pamięci. Pilnie czyhałam na jakąś wyraźniejszą wygraną, która pozwoliłaby mi opuścić lokal zgodnie ze zwyczajem, zdecydowana w razie niepowodzenia posłużyć się głową jako ostatnią deską ratunku.

Przypadek był po mojej stronie. Dwa razy z rzędu wyszedł numer, na który stawiałam. Nie było to dużo, bo grałam nisko, ale z pewnej odległości nie można się było zorientować, jaką wartość przedstawia zgarniana przeze mnie kupa sztonów. Zebrałam kupę, wymieniłam na pieniądze, pottrzymałam się za głowę i wyszłam.

Czarne bandziory obserwowały mnie w milczeniu aż do helikoptera. Pilot bez protestu wystartował i po paru minutach znalazłam się na tarasiku. Teraz czekała mnie straszliwie ożywiona działalność.

Drzwi do sterowni były idealnie dopasowane, przesuwne, jak większość, ale jednak między skrzydłem a ścianą była dwumilimetrowa szpara. Rozrobiłam cement z minimalną ilością piasku i pilnikiem do paznokci upchnęłam go w szparze, zaczynając od podłogi, tak wysoko jak tylko mogłam sięgnąć. Do rana powinien stwardnieć dostatecznie, żeby mechanizm otwierający drzwi nie zdołał ich poruszyć, a na wydłubywanie muszą zużyć nieco czasu.

Cicho wypchnęłam z garażu jaguara. Rozczochanego nadal nie było, co stwierdziłam tak po braku trzeciego helikoptera, jak i po panującym wokół spokoju. Wartownicy na tarasiku spali martwym bykiem, tyle że jeden z nich ulokował się w samym wejściu. Zapewne liczył na to, że się obudzi, gdybym zaczęła przez niego przełazić.

Wytrzymałość hamulców była mi już obojętna, powoli i cicho zjechałam więc do upatrzonego miejsca. Na niebie świeciły gwiazdy i kawałek księżyca, co okazało się najzupełniej wystarczającym oświetleniem dla przebycia tak krótkiej drogi, którą w dodatku poznałam już na pamięć. Zjeżdżając z szosy pod skałę otworzyłam drzwiczki nastawiona na natychmiastowe wyskoczenie, gdyby jaguar zaczął zniecka turlać się w dół. Nie zaczął, co mnie nawet zdziwiło, sturlało się tylko trochę kamieni.

Wróciłam na górę, zabrałam rzeczy spod palmy i udałam się na jacht. Sztukę łażenia na czworakach opanowałam już z doskonałością, która pozwoliłaby mi produkować

wać się w cyrku. Jacht stał wysoko, burta znajdowała się na poziomie pomostu i lada chwila powinna zacząć opadać.

Naczynie z cementem miałam oczywiście przy sobie. Zgodnie z planem wetknęłam trochę kamyków w prowadnicę wrót i ładnie zacementowałam. Sprężynowym nożem przecięłam cumę przy rufie, następnie przecięłam tę przy dziobie i zaczęłam ją ciągnąć.

Zaczęłam zapewne odrobinę za wcześnie, wyprzedziłam odpływ, bo w pierwszej chwili nie mogłam ruszyć. Oporne, ciężkie bydlę tkwiło w tej wodzie jak przymurowane. Zaniepokoiłam się głupio, że może stoi na kotwicy, obejrzałam miejsce, gdzie według moich wiadomości powinna znajdować się kotwica i stwierdziłam, że nic tam nie wisi. Zaparłam się mocniej, pociągnęłam i jacht drgnął. Drgnął, poruszył się i zaczął płynąć!

Na samym skraju półeczki udało mi się przyciągnąć go do siebie. Trzymałam burtę i usiłowałam pchać ją w prawo. Szło coraz łatwiej, ale zaczęłam mieć obawy, że w pewnym momencie ręce zostaną mi na jachcie, a nogi na skale i albo się rozedrę, albo wlecę do wody. Takie zakończenie tej katorżniczej pracy było zupełnie sprzeczne z moimi zamiarami.

Jacht zaczął skręcać trochę za bardzo i dziób zbliżył się do skały po drugiej stronie. Przesmyk prowadzący do wyjścia był tak wąski, że ledwo się w nim mieścił. Szybko przelazłam przez burtę i popędziłam ku przodowi, narażając się teraz na odwrotne niebezpieczeństwo, mianowicie, że nogi zostaną mi na jachcie, a ręce na skale i znów będzie coś niedobrze. Spociałam się jak mysz pod miotłą, sapałam jak parowóz i wszelkimi siłami walczyłam ze straszliwą machiną. Okropnie mi brakowało tej drugiej mnie!

Jacht zaczął skręcać w lewo. W szale miotałam się z przodu na tył i z tyłu na przód, odpychając go od kamiennej ściany tu mniej, a tam więcej. Doprawdy, nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko i w takim pośpiechu! I wreszcie otworzyło się przede mną wyjście na ocean! W tym momencie uprzytomniłam sobie, że bez silnika nic więcej nie zrobię. Skała do pchania skończy mi się za chwilę, a za to zadziała fala, która wepchnie mnie z powrotem. Dzięki odpływowi wypłynąć wprawdzie wypłynę, ale nie wiadomo, w jakim stanie. Odpływ mnie pociągnie; fala popchnie, puknę czymś w coś... Popędziłam do sterówki.

“Tylko spokojnie - powiedziałam, do siebie, bo ręce mi się trzęsły. - Tylko spokojnie, nie gubić kluczy!...”

Jeden za drugim wtykałam w miejsce uznane za stacyjkę. Któryś powinien pasować, jeśli żaden, to koniec. Na powrót tej kobyły nie wepchnę, zwłaszcza teraz w czasie odpływu. Przyływ zaklinuje mnie w przesmyku, znajdą mnie tu i odetnę sobie ostatnią drogę ucieczki. W rezultacie rzeczywiście trzeba będzie pryskać na piechotę...

Została mi jeszcze połowa, kiedy jeden wszedł łatwo. Zamarłam na moment, a potem z bijącym sercem, bez tchu, przekreśliłam go w prawo. I oto nastąpił cud!

Cała tablica rozdzielcza rozbłysła nagle światłami, a przestrzeń za mną i pode mną wypełnił cichy pomruk. Przecudowne silniki pracowały ledwo dosłyszalnie, hałas, dobiegający słabo od strony portu, prawie je zagłuszał. Byłam w dole, zasłonięta skałami, tamci, tam, na górze, nie mieli prawa mnie słyszeć!

Przeżegnałam się i ujęłam jedną wajchę. Przesuwając ją ku przodowi zamknęłam oczy w przekonaniu, że teraz mi ryknie...!

Nie ryknęło. Pomruk przybrał tylko nieco na sile i jacht powoli ruszył przed siebie. Czym prędzej otworzyłam oczy i złapałam kierownicę, nie bardzo wiedząc, w jakim stopniu powinnam nią obracać. Przypomniał mi się pijacki slalom nie do opanowania, którym prowadziłam kiedyś statek na jeziorach mazurskich. Sternik z marynarzem stali wówczas koło mnie i pękali ze śmiechu... Teraz nie ma sternika...

Już do końca życia żadna siła na świecie nie zmusi mnie do powątpiewania w słuszność przysłowia, że głupi ma szczęście. Ślepo odpychany od skały jacht ustawił się akurat dziobem do wyjścia z zatoczki. Równiutko, ślicznie, tak, że nie można lepiej. Niczym nie musiałam kręcić, trzymałam to koło sterowe i baranym wzrokiem patrzyłam, jak wypływam na migocący w blasku księżyca ocean idealnie, pod lekkim kątem do fali, dokładnie w myśl wszelkich reguł żeglarskich.

Piana trysnęła mi ponad dziób i to mnie otrzeźwiło. W popłochu zaczęłam się zastanawiać, co powinnam zrobić: popchnąć dalej do przodu tę samą wajchę czy ruszyć drugą. Szybko doszłam do wniosku, że wolę mieć wszystko równo i przesunęłam drugą wajchę o jeden ząbek.

Jacht przełaził przez falę, wlaź na następną, nieco go przystopowało, poleciał dziobem, w dół i piana trysnęła aż na szybę przede mną. Przeraziłam się, pomyślałam, że przy brzegu fala jest zawsze gorsza i z determinacją przesunęłam obie wajchy o następny ząbek w przód.

Nieco dotychczas nieruchawe i majestatyczne pudło nagle nabrało wigoru. Ruszyło przed siebie, z szumem rozcinając wodę, a pomruk podniósł się o kilka tonów wyżej. Obejrzałam się i ujrzałam, jak ciemna ściana skał szybko się ode mnie oddala, za mną zaś rozciąga się połyskujący srebrem ślad. Dziób nie leciał już w dół, nie nadążał, rozcinał grzbiety fal i prześlizgiwał się jakoś wierzchem między nimi. Huśtawka nabrała tempa.

Bezgranicznie szczęśliwa i zachwycona ukochaną rozrywką płynęłam przed siebie, aż wreszcie spojrzałam na niebo. Krzyż Południa świecił na skos przede mną jak byk. Nie było najlepiej, płynęłam prawie na południe.

Od najmłodszych lat znałam się na gwiazdach i umiałam się nimi kierować. Wpatrzona teraz w ten Krzyż Południa zaczęłam obracać kołem sterowym w lewo. Krzyż Południa ruszył i zaczął przechodzić ku tyłowi. W momencie, kiedy znalazł się dokładnie po mojej prawej stronie, wróciłam kołem nieco na prawo. Krzyż Południa ulokował się nieco na skos za mną z tyłu i znieruchomiał. Złożyłam sobie w duchu wyrazy uznania...

Rozbestwiona powodzeniem zuchwale przesunęłam obie wajchy na ostatni ząbek. Ton i nateżenie pomruku znów uległy zmianie, przekształcając go w przygłuszony ryk. Jacht skoczył w przód, aż przycisnęło mnie do oparcia fotela, bryzgi wody leciały po bokach jak iskry z lokomotywy! Niemożliwe, żeby to było tylko siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, to musiało być więcej! Pruł przed siebie jak szatan, plusk i chlupot wody zamieniły się w jeden ciągły szum, fala przestała się liczyć! Dziób podniósł się nieco do góry i "Stella di Mare" leciała prawie wierzchem, skacząc po grzbietach fal.

Tempo podróży równocześnie ucieszyło mnie i spłoszyło. Musiałam natychmiast obrać właściwy kierunek. Przede wszystkim powinnam ominąć port i płaczące się wokół niego jednostki pływające. Na nikogo nie mogę się tu nadziać, nikt mnie nie może zobaczyć, bo inaczej już od rana będzie wiadomo, gdzie jestem. Czyli teraz trzeba popłynąć zupełnie na wschód, a bliżej środka oceanu skrócić prawie zupełnie na północ. Ciekawe, jakim sposobem poznam, że to jest środek oceanu...

Usiłując ulokować sobie Krzyż Południa po prawej stronie równocześnie obliczałam w pamięci, ile czasu muszę płynąć w tym tempie, które na oko uznałam za osiemdziesiąt na godzinę, żeby mieć za sobą także dwa tysiące kilometrów. Krzyż Południa balansował jak pijany i za żadne skarby świata nie chciał się ustabilizować. Najmniejsze drgnięcie kołem sterowym już go przepychało za bardzo do przodu albo do

tyłu. Daleko z lewej widziałam światła portu i rozmaitych statków, przede mną nie było nic i musiałam się ustawić prosto w to nic. Wreszcie, po kilku coraz łagodniejszych balansach, Krzyż Południa znów znieruchomiał we właściwym miejscu i światła z lewej zaczęły niknąć z tyłu. Spojrzałam na zegarek i zapamiętałam godzinę. Była trzecia dwadzieścia sześć...

O tym, co działo się za moimi plecami, dowiedziałam się znacznie później.

Rozczochrany wrócił dopiero na śniadanie. Pod koniec śniadania, gdzieś kwadrans po jedenastej, zainteresował się moją nieobecnością.

- Gdzie ta zaraza? - spytał tego z oczami.

- Pewno jeszcze śpi - odparł zapytany. - Wczoraj ją głowa bolała:

- I co? Poszła wcześniej spać? - zainteresował się rozczochrany z nagłą nieufnością.

- Przeciwnie, zjadła jakiś proszek, powiedziała, że jej lepiej i grała cały wieczór.

- Widziałeś ją?

- Na własne oczy. Wygrywała. Ale trzymała się za głowę, więc możliwe, że znów ją bolała.

- Żeby jej tylko szlag nie trafił - zatroskał się rozczochrany i na razie poniechał tematu.

Po jakiejś godzinie znów się zaniepokoił i postanowił sprawdzić, czy jeszcze żyję. Udał się do moich apartamentów. Łóżko było niedbale posłane, wilgotny ręcznik leżał w łazience, inne rzeczy, porozrzucane, wyglądały tak, jakbym przed chwilą wyszła. Zastanowił się i zaczął mnie szukać.

Nad basenikiem mnie nie było, pod palmą również nie, na tarasie nikt mnie nie widział. W ogóle nigdzie dzisiaj nikt mnie nie widział. Rozczochrany zaniepokoił się znacznie bardziej i poleciał do sterowni na dole. Na jego widok poderwało się spod drzwi trzech członków personelu, nieprzytomnie spłoszonych, zajętych uprzednio czymś dziwnym.

- Co się tu dzieje? - warknął gniewnie. - Co się stało?

Niebieskie oczki zlodowaciały mu zupełnie, a niemowlęca buzia zbladła. Personel wpadł w panikę.

- Drzwi się nie dadzą otworzyć - powiedział niepewnie jeden w białym garniturze.
- Coś przeszkadza.

- Co przeszkadza, do stu tysięcy diabłów? Co to znaczy, że się nie dadzą otworzyć?!
Co wy robicie?!!!

- Wydlubujemy to - wyjąkał drugi z przestraczem. - Wygląda jak cement...

- Jak CO?!!!

- Jak cement. Dookoła drzwi... Skamieniał...

Rozczochrany na moment też skamieniał. Pod członkami personelu ugięły się nogi i wszyscy trzej zaczęli szczekać zębami, ponieważ znali pierwszego zastępcę szefa lepiej niż ja.

- Więcej ludzi! - zawył. - Prędszej! Za dziesięć minut to ma być otwarte!!!

Zawrócił i popędził znowu do mnie. Worek z cementem był napoczęty, ale żadnych innych śladów prac budowlanych nie było. W głowie rozczochanego zabłysła rozpaczliwa nadzieja, że może uprawiam gdzieś w terenie swoją idiotyczną działalność rzeźbiarską, a zacementowanie drzwi do sterowni jest zwykłym, głupim dowcipem. Rzucił się do windy i zjechał do garażu. Jaguara nie było i nadzieja zgasła. Siny na twarzy, z dzikim zgrzytem zębów, popędził do gabinetu szefa. Zapłonęły wszystkie ekrany telewizyjne, zapłonęła tablica świetlna i równocześnie po całej rezydencji rozszedł się niezbyt głośny, ale przenikliwy, falujący dźwięk. Alarm!!!

Wszystko, co żyło, kopnęło się na dziedziniec. Faceci wydłubujący cement poderwali się znów, skoczyli ku windzie, zawahali się, wrócili, po czym zgłupieli ostatecznie i zaczęli się nieprzytomnie miotać tam i z powrotem, nie wiedząc, czy mają też lecieć, czy mają szybciej wydłubywać. Wartownicy w przystani porzucili motorówki i ze zdenerwowania tupiąc nogami w windzie wjechali na górę. Ten z oczami i mały zderzyli się w drzwiach gabinetu lecąc do rozczochanego.

- Tu! - powiedział rozczochrany złowrogo wskazując etażerkę z wyciętym szkłem, a równocześnie usiłując patrzeć we wszystkie ekrany równocześnie. - Samochodu nie ma. Drzwi do sterowni zablokowane. Natychmiast startować, oba helikoptery. Nawiązać kontakt z Walterem, niech wraca jak poprzednio, niech się trzyma bliżej Kurytyby. Reszta ludzi do miasta, pytać wszystkich. Przeszukać basen, może się utopiła. Ruszać!!!

W chwilę potem oba helikoptery wypłynęły na niebo. W jednym z nich siedział ten z oczami i przez lornetkę badał teren pod sobą. Mały klęczał na obramowaniu basenu i w

napięciu wpatrywał się w nurkującego w przejrzystej wodzie faceta. Rozzochrany pluł jadem pod drzwiami sterowni. Wydłubującym facetom trzęsły się ręce. W chwili kiedy czarny bandzior przyniósł potworny, katowski topór do wyrąbania drzwi, resztki cementu odpadły i mechanizm zadziałał.

Rozzochrany wpadł do sterowni i pierwsze, co stwierdził, to to, że mostek stoi, a szlaban leży, co niezbitcie wskazywały obie wajchy. Zaskoczyło go to tak, że na chwilę znieruchomiał. Otrzeźwił go mały, który wpadł zaraz za nim z okrzykiem:

- Nie ma jej!!! W besenie jest pusto!!!
- Patrz! - zawołał na to rozzochrany tragicznie. - Co to znaczy?
- Przejechała i otworzyła potem - odparł mały nieco bez sensu.
- Przejechała, a jakiś kretyn zamknął za nią!!! Gdzie jest to bydlę, co wczoraj miało służbę?!!!

W chwilę potem panowała już zupełna Sodomia i Gomora. Wczorajszy wartownik ze sterowni klęcząc i szlochając przysięgał na wszystkie świętości wszystkich wyznań, że świętym kamieniem z Mekki włącznie, że ani na moment nie opuścił posterunku aż do chwili, kiedy wyszedł definitywnie i zamknął za sobą drzwi na klucz. Było to już po naszym odjeździe do jaskini hazardu. Wartownicy z tarasu nie mniej kategorycznie zaświadczały, że wróciłam zwyczajnie helikopterem, w ich oczach weszłam do domu i już nie wychodziłam. Helikoptery donosiły przez radio, że nic nie widzą. Tłusty spod Kurytyby donosił to samo. Rozzochrany wpadł w szal.

O szóstej wieczorem parę osób z personelu wyższej rangi miało wybite zęby i podfonarzone ślipia. Personel niższej rangi w całości dostał po pysku. Następnie zaś zrobiono naradę. Helikoptery cały czas krążyły nad okolicą, trzymając się głównie drogi. W wyniku narady polecono im nieco zboczyć.

- Do miasta nie pojechała - powiedział stanowczo mały, nalewając sobie wzmacniającego płynu. - Nasi ludzie, mieli oko na drogę, zbadalem to. Tamtędy samochód nie jechał.

- Jeśli ruszyła w nocy, to teraz może leżeć w każdej rozpadlinie - powiedział z furią ten z oczami. - Niech zjedą jak najniżej, niech patrzą!

- Pożaru nie było, więc samochód się nie spalił - rozważał rozzochrany. - Przeszkody były normalnie ustawione. Jeśli ten osioł nie łże, to nie mogła przejechać. Ja wam powiem. Ona zabrała samochód dla pozorów, zostawiła byle gdzie, a uciekła inaczej!

-Jak?! - zdumieli się wszyscy trzej.

- Poszła w góry. Zwyczajnie poszła w góry jak ostatnia idiotka. Na własne oczy widziałem, jak robiła przygotowania, znalazła sobie linę!

- Wzięła młotek i messel - powiedział tłusty ze zgrozą. - Przy mnie wzięła, mówiła o tej rzeźbie!

- Nonsens! Poszła w góry licząc, że łatwo się schowa. Daleko nie zajdzie, kłopot w tym, żeby ją znaleźć żywą. Niech natychmiast wszyscy ludzie, idą szukać śladów. We wszystkie strony! Podwozić helikopterami, niech schodzą i szukają, ale już!!! Może tam gdzieś zdycha!...

- A może wodą...? - spytał niepewnie mały.

- Bzdura, wody się bała panicznie.

- Mogła udawać.

- Mogła. Ale nie udawała, że się topi w basenie, bo nie mogła wiedzieć, że ją ktoś widzi. Krzyczała absolutnie autentycznie. Antonio bez powodu by nie skakał. Widział, jak wypływała. Ona się rzeczywiście boi wody.

- A poza tym obie motorówki stoją w przystani - dodał tłusty zmartwionym głosem.

Już było prawie ciemno, kiedy metodycznie szukający personel znalazł jaguara. Chwilowy triumf rozczochranego szybko uległ zmniejszeniu na skutek trudności dokonywania poszukiwań po ciemku. Helikoptery, świecąc reflektorami, nadal krążyły beznadziejnie. Nigdzie nie było po mnie śladu ni popiołu.

Nazajutrz po bezsennie spędzonej nocy tłusty, osobiście wracając z kolejno penetrowanego terenu, spojrział w dół i przetarł oczy.

- Zawróć - powiedział do pilota. - Zejdź niżej nad .. zatokę.

Przez chwilę patrzył, jakby nie wierząc własnym oczom, przetarł je ponownie i powiedział do mikrofonu:

- Kto wypłynął jachtem? Odbiór.

- Jakim jachtem? - wysyczał rozczochrany, sądząc, że z niewyspania źle słyszy. - Odbiór.

- Jachtem z zatoki. Naszym jachtem "Stella di Mare". Odbiór.

- Nie rozumiem, powtórz. Odbiór.

- Do diabła, w zatoce nie ma jachtu! Pytam, kto wypłynął, odbiór!

- Jak to nie ma, odbiór?! Nikt nie wypłynął, odbiór. Fernando jest tutaj, co to znaczy, odbiór?!

- Ukradła jacht!!! - wrzasnął tłusty z niebotyczną zgrozą. - Odbiór!!!

To, co usłyszał w odpowiedzi, było niewątpliwie najpiękniejszym, międzynarodowym zestawem słów, nie nadających się do publikacji. W parę minut potem, a było to już w południe, cały zespół zjeżdżał windą do korytarza, prowadzącego ku zatoczce. Grobowe milczenie panowało aż do chwili, kiedy okazało się, że drzwi nie można otworzyć. Potem milczenie zamieniło się w coś zupełnie kontrastowego.

Czternaście osób kolejno przelazło na czworakach obok palmy z widokiem na Europę, po czym zlazło po żelaznej drabince. O godzinie drugiej po południu dwanaście osób stało na pomoście, bezmyślnie gapiąc się na odcięte cumy i lekko falującą wodę, a dwie z hukiem, godnym rozbiórki żelbetowego bunkra skuwały ładnie stwardniałą kupkę kamyków i cementu w prowadnicy.

- Są dwie możliwości - mówił ponuro rozczochrany. - Popłynęła na północ i zaplątała się gdzieś w porcie między statkami, a może nawet wsiadła na któryś! Albo popłynęła na południe i wylądowała na przykład w Guaratuba, na wyspie w Sao Francisco, gdziekolwiek...

- Są trzy możliwości - przerwał ten z oczami jeszcze bardziej ponuro. - Nie wylądowała nigdzie...

Pozostali spojrzeli na niego z nieukrywaną zgrozą.

- Tu jest głęboko - ciągnął ten z oczami już zupełnie grobowo. - Niech lecą wzdłuż brzegu bardzo nisko. Może znajdą jakieś ślady...

- Jest czwarta możliwość - powiedział tłusty w rozpaczliwym natchnieniu. - Strawersowała Atlantyk!

Po krótkiej chwili milczenia tamci trzej zgodnym ruchem uczynili kółko na czołach. Tłusty westchnął rozdzierająco. Helikoptery do późnej nocy płynęły powoli i nisko wzdłuż wybrzeża w obu kierunkach, na północ i na południe. Żadnych śladów nie było.

W ten sposób wpadłam jak kamień w wodę także po drugiej stronie oceanu...

We wczesnych godzinach popołudniowych doszłam do wniosku, że muszę coś wykombinować. Nie wytrzymam czterech dób za kołem sterowym w niezmienionej pozycji i całkowicie bezsennie. Dwie doby to jeszcze, ale cztery - wykluczone!

Nie miałam zbyt wiele do roboty, to trzeba przyznać. Siedziałam w wygodnym fotelu, ocean zachowywał się przyzwoicie i spokojnie, długa fala rytmicznie wskakiwała mi pod dziób, koło sterowe nie stwarzało trudności i tylko spać mi się chciało do szaleństwa.

Słońce weszło w jakimś głupim miejscu, które mnie zaniepokoiło, bo mi się nie zgadzało ze stronami świata, wobec czego przypomniałam sobie o kompasie. Buła nad stacyjką wskazywała, że płynę dobrze, na wschód. Szkło dookoła mnie musiało być jakimś rodzajem termopanu, bo nie przepuszczało zbyt ciepła. Tylko przewiewu nie miałam i robiło mi się coraz duszniej. Na jachcie niewątpliwie musiała się znajdować instalacja klimatyzacyjna, zapewne trzeba było ją włączyć, ale nie miałam pojęcia czym.

Obliczyłam sobie, że o pierwszej trzydzieści miałam za sobą osiemset kilometrów. Dziesięć godzin podróży. Do środka oceanu jeszcze dosyć daleko, ale chyba powinnam zacząć skręcać.

Trochę głupio się, czułam patrząc wokół siebie na bezgranicznie pustą wodę. Żadnych znaków rozpoznawczych, nic kompletnie, żadnej wytyczonej drogi, przeraźliwie wielki ocean i absolutna wolność w obieraniu kierunku! Nadmiar tej wolności nieco mnie płoszył, ale postanowiłam wytrwać w zaufaniu do przyrządów i matematyki. Na wszelki wypadek przytrzymując koło sterowe jedną ręką, drugą sięgnęłam po siatkę, przykucnęłam obok fotela i rozłożyłam na podłodze atlas. Otworzyłam go na Oceanie Atlantyckim. Po namyśle i ponownych obliczeniach doszłam do wniosku, że wystarczy już tej podróży na wschód i mogę się skierować bardziej ku północy! Przydałby mi się kątomierz i niewątpliwie któreś z urządzeń na tym pudle służyło podobnym celom, ale ja nie umiałam się tym posługiwać. Trudno, musiałam na oko.

Użyłam nawet obu oczu. Jednym patrząc w atlas na podłodze, a drugim na kompas ustawiłam się tak, żeby mieć ten sam kąt tu i tam. No, mniej więcej ten sam. Pocieszyłam się, że nawet jeśli nieco zboczę, to i tak wyceluję w jakieś miejsce w Afryce, a czy to będzie trochę bliżej, czy dalej, to już wszystko jedno. Do Grenlandii nie dopłynę, nie ma obawy, Grenlandia jest zupełnie na północ.

Uzyskawszy pożądany kierunek i opanowawszy nowy sposób skakania na fali, którą miałam teraz bardziej pod kątem, zaczęłam się zastanawiać, co dalej. Podręcznik wspominał coś o autopilocie. Jest takie urządzenie w samolotach, bywa i na statkach, powinno być i tu. Ciekawe, gdzie i jak się do tego dostać. Luzem koła sterowego nie

mogłam zostawić, bo jacht zaczynał skręcać. Na rozum rzecz biorąc autopilot powinien być pod ręką, łatwy do włączenia i wyłączenia. Musiała to być któraś z tych wszystkich rzeczy na tablicy rozdzielczej i zapewne mogłabym do tego dojść drogą eliminacji.

Wyeliminowałam kolejno wskaźniki elektryczne, różne światła, wskaźniki temperatury, barometr, popielniczkę i ekran radaru. Ekran radaru wyeliminowałam za pomocą włączenia. Wcisnęłam jakiś guzik i natychmiast coś zielonego zaczęło mi latać w kółko po tarczy. Przestraszyłam się, usiłując to wyłączyć wcisnęłam drugi guzik i do latania dołączyły się piski. Zdenerwowało mnie to bardzo, wcisnęłam trzeci obok tych dwóch i wszystko zgasło. Radar był z głowy.

Co do pozostałych rzeczy nadal nie miałam pojęcia, co czym jest. Postanowiłam wciskać i zapalać wszystko po kolei, obserwując wyniki. Nic nie wskazywało na to, żeby jacht miał być zarazem łodzią podwodną, nie groziło mi więc chyba nagle zanurzenie. Na wszelki wypadek zmniejszyłam tylko szybkość, przestawiając obie wajchy o jeden ząbek ku tyłowi.

Niektóre przyciski pozornie nie wywoływały żadnych reakcji i te natychmiast wyłączałam, nie wiedząc, czy nie otwieram na przykład klapy w dnie, przez którą napływa woda, albo czy nie odcinam dopływu czegoś do silników lub obok. Wolałam nie ryzykować. Włączanie innych natomiast dawało oszałamiające rezultaty.

Najpierw włączyłam radio, które zaczęło popiskiwać nie gorzej niż radar. Wyłączyłam je czym prędzej w obawie, że może wysyłam w eter jakieś sygnały, pozwalające mnie szybko zlokalizować. Następnie zapłonął mi mały ekranik, na którym rysowała się zielona, falista linia, przy czym również rozległy się dźwięki, nieco inne, zmieniające ton i natężenie. Ekranik wyglądał jakoś łagodnie, przyglądałam mu się przez chwilę i uznałam, że zapewne jest to echo-sonda lub coś w tym rodzaju. Nie przeszkadzał mi, mógł się świecić. W chwili kiedy przyciskałam następny guzik, ujrzałam pod nim napis "alarm", ale nie zdążyłam cofnąć palca. Cały jacht od rufy po dziób i od dna aż po antenę radarową nade mną wypełnił potworny, przeraźliwy dźwięk, przeciągłe wycie, połączone z dzwonieniem, słyszalne moim zdaniem aż na biegunie południowym.

Za żadne skarby świata przeklęty guzik nie dawał się wyłączyć. Wyło i dzwoniło jak wściekle! Pomyślałam, że może się wyłącza czymś innym, w popłochu przycisnęłam guzik poniżej i straszliwy jazgot z tyłu przyprowadził mnie o palpację serca! Odwracając się gwałtownie puściłam wszystko, koło sterowe i guzik, jacht skoczył nieco w przód,

zdążyłam ujrzeć za sobą coś jakby świetlne smugi i dopiero kiedy umilkł tak jazgot, jak i alarmowe wycie, które wyłączyło się chyba automatycznie, pojęłam, że strzeliłam do tyłu z dwóch karabinów maszynowych. Rany Boskie! Siedziałam zmartwiała, z rozpaczliwą nadzieją, że w nic nie trafiłam.

Po jakimś czasie ochłonęłam, wróciłam na właściwy kurs, zapamiętałam oba użyte przed chwilą przyciski, postanawiając ich więcej za nic w świecie nie dotykać, i zaczęłam próbować dalej. Następną, niesłychanie ostrożnie przyciśniętą dźwigienną uruchomiłam klimatyzację i dopiero świeży, chłodny powiew uprzytomnił mi, jak okropnie spociłam się ze zdenerwowania.

Nieco śmieiej przekręciłam coś, na czym kierunek kręcenia wskazywała strzałka. W pierwszej chwili wydawało mi się, że nie uzyskałam żadnego efektu i już chciałam to przekręcić z powrotem, kiedy nagle ujrzałam coś dziwnego. Pokład przede mną poruszył się. Część desek zaczęła się przesuwac, odsłaniając dziurę pod spodem, patrzyłam na to ciekawie, wyzuta z podejrzeń i oto ku swojemu najwyższemu przerażeniu ujrzałam, jak z dziury wysuwa się pomościk, a na pomościku coś jakby bardzo duży karabin maszynowy albo mała armata. Tylko tego mi jeszcze brakowało!!!

Siedziałam zdrętwiała kompletnie, wpatrzona w osłupieniu w armatę, bojąc się zrobić cokolwiek, żeby z niej przypadkiem nie wystrzelić. W panice pomyślałam, że pewnie strzela automatycznie. Nade wszystko na świecie chciałam ją schować z powrotem, ale nie miałam pojęcia jak! “Może zamoknie” - pomyślałam w rozpacz i ruszyłam znów szybciej. Ręce mi się trzęsły, kiedy przekręcałam coś obok z nadzieją, że należy to do armaty, ale nie strzela i z dzikim sykiem i hukiem z zegara słonecznego przede mną strzeliły w niebo kolorowe rakiety. Zglupiałam do reszty, ślepo przycisnęłam byle co innego i na to skądś z góry runęła mi na głowę cała orkiestra symfoniczna! To było tak nieoczekiwane, że straciłam zdolność ruchu, sparaliżowało mnie ogłuszyło i oto pruć fale oceanu jak uosobienie szaleństwa, w grzmocie dźwięków rozdzierających uszy, w orgii szalejących fajerwerków, z armatą na pokładzie!

Wielu rzeczy mogłam się po sobie spodziewać, ale to już przechodziło wszystko! Uciekłabym z całą pewnością, gdyby nie to, że nie miałam dokąd. W ostatecznej rozpacz, otumaniona rykiem orkiestry i piekielnym sykiem rakiet, odzyskałam nagle energię. Zamknęłam muzykę. Z determinacją pomyślałam, że jeśli nawet ta armata strzeli, to w każdym razie nie we mnie. Lufę ma wyraźnie obróconą ku przodowi, a

choć się na tym nie znam, to jednak jestem pewna, że armata strzela lufą. Wola boska, co będzie, to będzie! Upierne kółko nie dawało się przekręcić z powrotem, przekręciłam je więc dalej w tym samym kierunku. Zegar słoneczny, jak nożem uciął, przestał nagle pluć raketami, zapanowała błoga cisza i w tej ciszy usłyszałam, jak coś brzęknęło, przytknęło i z cichym szmerem przekłęta armata zaczęła zjeżdżać w dół. Odetchnęłam głębiej i otarłam pot z czoła.

Parę minut płynęłam spokojnie, wypoczywając po emocjach i ze wstrętem patrząc na tablicę rozdzielczą. Widocznie jednak jeszcze mi było za mało, bo przystąpiłam do dalszych badań. Dopiero kiedy ze złowrogim pufnięciem wyrosła mi za rufą zasłona dymna, opamiętałam się nieco. Przypomniałam sobie, że przez cały czas szukam autopilota i zupełnie nie wiadomo po co to czynię, bo nawet gdybym go znalazła, to też nie wiedziałabym, że to jest właśnie to. Możliwe, że w którymś momencie już go nawet włączyłam, po czym wyłączyłam na powrót, nie widząc efektu. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak się objawia włączenie autopilota!

Zrezygnowałam z techniki i postanowiłam posłużyć się metodą chałupniczą. Spać mi się wprawdzie odechciało całkowicie, ale za to zaczęłam być śmiertelnie głodna i spragniona. Oczyma duszy widziałam barek w saloniku wypełniony wodą mineralną. Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu jakiegoś drąga, którym mogłabym unieruchomić kierownicę. Puściłam ją na długą chwilę, chcąc sprawdzić skutek i okazało się, że natychmiast zmienia kierunek. Fala, do której ciągle byłam ustawiona pod kątem, obracała jacht. Bez drąga nie da rady.

Drąga jednakże nie było. Atlas, upchnięty w fotelu, nie sięgał koła. Z westchnieniem wyciągnęłam z siatki nie dokończony szal wraz z motkiem białego acrylu i jęłam pleść coś w rodzaju sieci, obejmującej razem koło sterowe i fotel, przechodzącej przez szprychy, stanowiącej jakąś okropną pajęczynę nie do rozplatania. Unieruchomiłam całość na amen, sprawdziłam, czy chałupniczy auto-pilot działa, poprzyglądałam się przez chwilę jego pracy, po czym z bezgraniczną ulgą oddaliłam się z tego straszliwie skomplikowanego miejsca. Oddalając się, pomyślałam jeszcze melancholijnie i chyba w złą godzinę, do czego też może mi się przydać szydełko? Jak dotąd wszystko, co wywozłam z Kopenhagi, okazało się nad wyraz użyteczne. Jedyne przedmiot, jakiego nie zdążyłam do niczego zużytkować, to było niewinne, plastikowe szydełko. Gdybym

wówczas wiedziała, w jakich okolicznościach będę zmuszona się nim posłużyć, włosy stanęłyby mi dęba na głowie i kto wie, czy nie rzuciłabym się w fale oceanu... .

Rytmiczne podskoki, do których sądziłam, że już przywykłam, dały mi się we znaki dopiero wtedy, kiedy opuściwszy sterówkę, zaczęłam wykonywać normalne czynności. Po statku trzeba umieć chodzić i sztuka ta jest trudniejsza, niż się wydaje. W przedziwnych płużach i piruetach, z jedną ręką ciągle zajęta trzymaniem się czegoś, wykonałam mnóstwo nie zaplanowanych rzeczy. Zalałam wodą w łazience całą ścianę, stłukłam szklankę, wyrzuciłam sobie na nogi całą zawartość puszki z gulaszem argentyńskim i oblałam się od stóp do głów kompotem z ananasa. Maszynkę elektryczną udało mi się włączyć bez trudu, zagrzałam na niej wody w czajniku, zaparzyłam herbatę metodą wahadła od zegara, mając czajnikiem nad imbryczkiem do herbaty i niekiedy doń trafiając, a niekiedy nie, dość dużo czasu zużyłam łapiąc turlającą mi się po podłodze otwartą butelkę wody mineralnej i wreszcie zaspokoiliam głód i pragnienie. Następnie poszłam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Autopilot działał sprawnie, płynęłam w pożądanym kierunku, a przede mną widniała rozsloneczniona pustka. Pogapiłam się na nią przez chwilę, po czym znów udałam się do magazynu w celu znalezienia jakiegoś drąga. Zamiast drąga znalazłam rozmaite narzędzia, między innymi siekiere. Zawsze lubiłam rąbać drzewo. Kwadransami było potrzeba na odrąbanie od jednego z kuchennych krzeseł jednej nogi wraz z fragmentem ramy i oparcia. Razem tworzyło to drąg z poprzeczką i jako mechanizm unieruchamiający koło sterowe okazało się znakomite.

Rozplątując pajęczynę acrylu i ziewając coraz częściej obliczałam sobie przebytą drogę. Dochodziła ósma wieczorem. Płynęłam prawie czternaście godzin bez przerwy i wyszło mi, że niedawno przekroczyłam zwrotnik Kozioróżca oraz że celuję prosto w Saharę. Pomyślałam sobie, że przy samym brzegu Sahara powinna być raczej mało pustynna, pocieszyło mnie to po pierwszej chwili niepokoju, zastopowałam koło sterowe drewnianym pagajem i poprzyglądałam się parę minut rezultatom. Zadowolili mnie, wobec czego poszłam spać. Na wszelki wypadek, żeby nie spać zbyt twardo i zbyt długo, nie położyłam się w kabinie mieszkalnej, tylko na kanapce w saloniku.

Obudziłam się na chwilę przed świtem. Zdumiewająco dobrze wykonany jacht posłusznie pruł nadal przed siebie i przerażone bicie serca, które poderwało mnie na nogi, wkrótce ucichło. Wyskoczyłam na pokład, poczułam, że jest dziwnie ciepło,

wpadłam do sterówki, obejrzałam kompas i uspokoiłam się zupełnie. Fala była chyba mniejsza, bo rytmiczne podrygi złagodniały, także mycie i posiłek poszły mi znacznie łatwiej i zabrały nawet niewiele czasu.

Nadzwyczajnie zadowolona z życia usiadłam za kołem sterowym. Jednoosobowe przebycie Atlantyku okazywało się przedsięwzięciem zupełnie łatwym i prostym i zaczęłam się z niesmakiem zastanawiać, po co to się robi tyle szumu dookoła rozmaitych przepływających go osób. Jakiś tam na czymś przepłynął Atlantyk, wielkie rzeczy! Ja też przepływam i co? Nic szczególnego się nie dzieje, żadnych trąb powietrznych nigdzie nie widzę, podrygujące kołysanie wprawdzie nieco utrudnia proste, codzienne czynności, upodabniając je do cyrkowych akrobacji, ale to można uznać za samą przyjemność. No więc o co chodzi?

W chwili, kiedy z wrodzonym poczuciem sprawiedliwości zaczęłam dochodzić do wniosku, że, być może, rzecz leży w tym, CZYM ktoś przepływa ten Atlantyk i że mnie się przytrafił wyjątkowo dobrze przystosowany środek lokomocji, usłyszałam jakiś dodatkowy odgłos. Coś popiskiwało alarmująco, a po chwili zaczęło nawet cienko dzwonić na tablicy rozdzielczej. Przestraszyłam się, zaczęłam się gwałtownie rozglądać po przyrządach przede mną i ujrzałam rzecz straszną! Oba wskaźniki temperatury silnika świeciły jaskrawym światłem, kwiczały, dzwoniły, a strzałki na nich stały daleko za czerwoną linią!

Zareagowałam zupełnie prawidłowo. W popłochu przerzuciłam obie wajchy na zero, a po chwili nawet wyłączyłam stacyjkę. Jacht płynął siłą rozpędu, pomruk umilkł, w nagle zapadłej ciszy słyszałam tylko szum wody i własne bicie serca.

Zdenerwowałam się okropnie. W ogóle nie umiałam sobie wyobrazić, co bym zrobiła, gdyby mi się te silniki zatarły! Przyczepić prześcieradło do masztu radarowego...? Żadnego wiosła nigdzie nie widziałam, nie mówiąc już o tym, że moja jednostka pływająca raczej nie była przystosowana do wiosła. Po głowie plątały mi się chaotycznie jakieś wiadomości na temat nawigacji. Okręt na morzu musi płynąć, bo jak stoi, to się może przewrócić, ale przecież morze jest spokojne, możliwe, że dotyczy to tylko burzy i wichru, ale znów z drugiej strony zawsze była mowa o jakichś większych statkach, a ja siedzę bez mała w balii na tym oceanie i czy ja wiem, mnie może przewrócić byle co! W pośpiechu ustawiłam się prostopadle do fali, z cichą nadzieją, że zanim do reszty wytracę szybkość, zanim mnie przekreśli i przewróci, to, jakiś czas minie i te silniki zdążą nieco

ostygnąć. Przy okazji zauważyłam, że fala idzie teraz w odwrotnym kierunku, nie przeciwko mnie, tylko zgodnie ze mną, przeraziłam się jeszcze bardziej, że może wszystko mi się pomyliło i wracam, i zaczęłam znów sprawdzać, gdzie jestem.

W wyniku działań arytmetycznych i ciężkiej pracy myślowej nieco się uspokoiłam. Przypomniały mi się podstawy mojego zuchwalstwa. Po pierwsze cały ten teren to był właśnie ów równikowy pas ciszy, na którym bazowałam, i żadne orkany, cyklony ani trąby powietrzne nie powinny mi zagrażać. Po drugie w tym miejscu na Atlantyku i w ogóle wszędzie o tej porze roku wiatr miał obowiązek wiać zgodnie ze mną, to znaczy na wschód. Fala zaś musi iść zgodnie z wiatrem, czyli wszystko gra. Po trzecie zaś przepływam właśnie równik i byłoby nawet dziwne i podejrzane, gdyby te silniki nie zaczęły się zacierać.

Sprawdziłam na kompasie strony świata, wyszłam na pokład i usiłowałam zbadać kierunek wiatru za pomocą polizania palca. Palec wysechł błyskawicznie ze wszystkich stron równocześnie. Odszarpałam odrobinę strzępków z acrylu i wypuściłam z ręki, obserwując kierunek ich spadania. Wyglądało na to, że istotnie wieje na wschód, chociaż trudno powiedzieć, czy to w ogóle można było nazwać wianiem. Powietrze ledwo się poruszało, słońcu daleko było jeszcze do zenitu, ale upał panował upiorny. Liczyłam się z tym, że na równiku będzie gorąco, ale nigdy nie przypuszczałam, że możliwe jest coś podobnego. Rozejrzałam się dookoła i nawet wyjrzałam przez burtę z cichą nadzieją, że może zobaczę coś, co jakoś wskazuje ten równik. Jakaś kreska albo co, albo może inny kolor wody...? Nic nie zobaczyłam, poza dużą ilością pokazujących się tuż pod samą powierzchnią ryb, ale nie miałam teraz głowy do ryb i pomyślałam nawet z rodzajem pretensji, że powinno się ten równik jakoś oznaczyć. Poumieszczać wzdłuż czerwone boje czy coś w tym rodzaju. Przynajmniej by człowiek wiedział, gdzie to właściwie jest.

Wróciłam do sterówki i po namyśle włączyłam stacyjkę. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że włącza się normalnie, jak w samochodzie, na dwa obroty i że poprzednio w dzikim popłochu przekręciłam ją od razu w prawo aż do oporu, zapalając wszystko razem. Strzałki temperatury silników stały na czerwonych kreskach. Stygło, ale powoli.

Nie miałam nic do roboty, więc przemyślałam sytuację. Jeśli nie zabraknie mi paliwa, do Afryki dopłynę. I co potem? Szukać jakiejś polskiej ambasady? Gdzie, na Saharze? Zanim znajdę, dopadną mnie dziesięć razy, bo nie łudźmy się, jeśli ich nawet

zmaćlam, to na krótko. Już chyba wiedzę, którędy uciekłam. Afryki nie znam w żadnym miejscu, pojęcia nie mam, gdzie tam się obrócić. Nie, w Afryce absolutnie lądować nie mogę, mogę tylko uzupełnić zapas ropy i płynąć dalej możliwie szybko. Przez Gibraltar pchać się nie ma sensu, zdaje się, że tam robią jakieś trudności i pewnie coś trzeba pokazywać. Mój paszport jest ważny wyłącznie na Europę i do Europy muszę dotrzeć!

W Europie zaś zaraz na wstępie odpada mi Hiszpania i Portugalia. Zdaje się, że tam nas jakoś nie lubią, czynią wstręty i w ogóle coś jest niedobrze. Nie wiem dokładnie co, bo się nie znam na polityce, ale nie będę ryzykować i nie będę się błąkać po obcym kraju w charakterze bojownika o wolność i komunizm. Ewentualnie może kiedy indziej, ale nie teraz. Czyli zostaje mi tylko Francja.

Sama myśl o Francji od razu mnie ucieszyła, ponieważ kocham ten kraj. Język piękny, sympatyczny, znajomy, ludzie z polotem i fantazją; w paszporcie mam francuską wizę wprawdzie wykorzystaną i już nieważną, ale przynajmniej świadczącą na moją korzyść. Już tam byłam, nie zrobiłam nic złego, nic nie ukradłam i w ogóle jestem jednostką niegroźną dla otoczenia. W Paryżu mam znajomych i przyjaciół... W Paryżu mam nawet więcej niż znajomych i przyjaciół... Do polskiej ambasady łatwo trafić... Załatwione, płyniemy do Francji!

Spojrzałam na wskaźniki temperatury. Strzałki zlazły z czerwonych kresek i przechyliły się odrobinę na lewo. Uznałam, że można ruszać, tyle że lepiej będzie na razie na jednym silniku. Drugi niech stygnie, a potem je zamienię. Przesunęłam jedną wajchę na środkowy ząbek i rozcinana dziobem woda znów mi zaczęła miło szumieć.

Płynęłam sobie i płynęłam bez żadnych przeszkód, trochę tęskniąc już do spokojnej, zrównoważonej Europy, a trochę żałując tej Brazylii, której nawet nie zdążyłam obejrzeć. Całe wnętrze przepelniała mi mściwa satysfakcja. Idioci, już nie mieli kogo porywać, tylko akurat mnie. I co, wyobrażali sobie, że się przestraszę, dam się bez oporu zaszlachtować, pójdę jak głupia owca na rzeź! Rzeczywiście, już się rozpędziłam!...

Z prawdziwą przyjemnością obmyślałam sobie, jak będę udzielała informacji przedstawicielom Interpolu. Ciekawe, czy znajdą owo miejsce, oznaczone szyfrem przez nieboszczyka, i ciekawe, gdzie to jest? A w ogóle to mam pieniądze, kupię samochód, Fritz mnie na pewno już dawno wylał z roboty, więc wrócę do Warszawy... Jasne, że kupię jaguara, świetny wóz! Mój Boże, jak to będzie pięknie!...

Rozbestwiłam się dotychczasowym powodzeniem ostatecznie, zastopowałam koło sterowe nogą od krzesła, zmieniłam wajchy silników i plątałam się po jachcie. Pod wieczór upał jakby trochę zelżał. Stałam właśnie przechylona przez burtę na rufie usiłując dojrzeć to miejsce, z którego strzelały mi niewidoczne karabiny maszynowe, kiedy nagle zrobiło się coś dziwnego. Usłyszałam jakby brzęknięcie, stęknięcie, jakieś głośne i energiczne “puff!” i owo żelazne, trójkątne pudło oderwało mi się od jachtu i skoczyło do tyłu. W pierwszej chwili zgłupiałam, bo przecież nic nie zrobiłam, niczego nie przycisnęłam, więc, rany boskie, co się dzieje?! Pudło zaczęło tonąć. Mignęła mi w głowie myśl, że może należy je ratować, rzuciłam się ku sterówce, mignęła mi następna, że może mam teraz wielką dziurę z tyłu, rzuciłam się na rufę, zatrzymałam po drodze, rzuciłam się w kierunku kół ratunkowych, potknęłam się o coś, co wystawało z pokładu, jacht wykonał lekki przechył i o mało nie wyleciałam za burtę. Oprzytomniałam nieco i zdecydowałam się na kierunek ku rufie. Nic się tam nie działo. Pudła nie było, a rufa wyglądała jakby była normalnie zakończona, bez żadnych braków. Po namyśle doszłam do wniosku, że musiało to być coś, co się odzepiało automatycznie, zapewne pod wpływem wysokiej temperatury. Nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle, ale nie miałam na to żadnej rady.

Zdenerwowałam się i wróciłam do sterówki. Skręciłam nieco bardziej ku północy, uznawszy, że uspokoję się dopiero, kiedy zobaczę na własne oczy Gwiazdę Polarną. Silniki przestygły, ustawiłam oba na pełny gaz i spojrzałam na wskaźniki paliwa. Strzałka “tank reserve” stała na zerze. Przemyślałam kwestię, skojarzyłam sobie wszystkie posiadane wiadomości z rzeczywistością i nabrałam podejrzeń, że żelazne pudło było zwyczajnym, zapasowym bakiem.

Z zegarkiem w ręku przeczekałam do końca trzeciej doby, po czym poszłam spać. Gwiazda Polarna świeciła mi nisko, nad horyzontem, kochana, znajoma, bliska Gwiazda Polarna! Europa zbliżała się coraz bardziej, leciała ku mnie z szumem, w bryzgach wody, pędzących jak iskry z lokomotywy...

Wraz z Europą zbliżały się także pewne przeszkody, co mi jakoś nie przyszło do głowy. Jacht z pustą sterówką, z nogą od krzesła, zastępującą sternika, pruł fale oceanu dokładnie po prostej, ja zaś spałam sobie martwym bykiem, błogo i beztrudnie. Bóg raczy wiedzieć, co mnie obudziło, chyba życzliwa Opatrzność, czuwająca nad półgłówkami!

Przez krótką chwilę przytomniałam, usiadłam, zobaczyłam, że jest widno, opuściłam nogi z kanapy i spojrzałam w okno. To, co ujrzałam, unieruchomiło mnie tylko na ułamek sekundy. W mgnieniu oka trzeźwa, jakbym nigdy w życiu nie spała, wyprysnęłam z saloniku i runęłam do sterówki. Tuż przede mną, przed samym dziobem jachtu, wyrastała straszliwa, niezmierna ściana, bok jakiegoś potwornie wielkiego statku, lecący na mnie z przerażającą szybkością!!!

Jeszcze wpadając do sterówki nie wiedziałam, co najpierw robić, ale robiło się samo. Wyszarpnęłam z koła nogę od krzesła. Jedną ręką wykonałam nim gwałtowny obrót w prawo, a drugą przepchnęłam prawą wajchę na ostatni ząbek do tyłu. Ściana nadlatywała nieuchronnie, jak przeznaczenie. Jacht doznał nagłego wstrząsu, przechylił się lekko, rzuciło mnie na lewo, dziób w imponującej fontannie wykonał obrót.

“Tył!!! - mignęło mi w głowie. - Tyłem zaczepię!!!”

Szarpnęłam wajchę znów do przodu, wróciłam kołem w lewo, dziób zatrzymał się w obrocie. Upiorna ściana w ostatniej chwili przeniosła się na moją lewą burzę, przechodząc przed dziobem o milimetry, o włos!!!... I w kilka sekund później rufa tego potwora zaczęła się ode mnie oddalać.

Padłam na fotel, ocierając pot z czoła, zdumiona, że żyję, zaskoczona niepojętym posłuszeństwem jachtu, który tak bez namysłu, bez oporu wykonał, co trzeba, chociaż ja sama nie miałam pojęcia, jak go do tego nakłonić! Cóż to za cud techniki!... Zaraz, źle płynę, trzeba zawrócić... Gdzie jest tamta odrażająca kobyła, która mi tak idiotycznie wlaźła w drogę?

Przestawiłam jedną wajchę na zero i na jednym tylko silniku wróciłam na poprzedni kierunek. Nawet łatwo poszło. Odrażająca kobyła wykonywała majestatyczny obrót na lewo ode mnie. Dziw, że nie zatopiło jej to zbiegowisko na wszystkich piętach burty od mojej strony! Tabun ludzi, łeb przy łbie, przyglądał mi się machając rękami i chyba coś wrzeszcząc. Jakiś marynarz wywijał chorągiewkami najwyraźniej w świecie do mnie, z ich sterówki coś błyskało.

“Zdaje się, że to ja wpadłam na nich - pomyślałam samokrytycznie. - Chyba mają jakieś pretensje, dobrze, że nic nie rozumiem. Niech się odczepią, tyle tej wody, już nie mają gdzie płynąć, tylko akurat tu!”

Chętnie bym im powiedziała, co myślę, ale nie miałam na to sposobu. Widziałam, jak oglądają mnie przez liczne lornetki, więc spojrzawszy przezornie przed siebie znów

zastopowałam koło sterowe, wyszłam na rufę i pomachałam im ręką z życzliwym wyrazem twarzy. Uspokoili się natychmiast, marynarz z chorągiewkami zastygł w pół gestu i tak, znieruchomiały, znikł mi z oczu.

Wkrótce potem ujrzałam następny statek. Myślałam, że też płynie w moim kierunku, ale po chwili okazało się, że go doganiam. Wyszłam na prowadzenie w takim tempie, że wręcz poczułam bliskość Afryki. Jeśli przez cały czas mam taką szybkość, to drugą stronę oceanu powinnam już widzieć. Gdzie, u diabła, podziewa się ta Afryka?

Statki zaczęły się mnożyć jak króliki na wiosnę. Z północy na południe płynął nawet jacht podobny do mojego, tylko nieco większy. Przyjrzałam mu się nieufnie, nieco zaniepokojona, czy przypadkiem nie nadzieję się tu na jakąś pogoń, zwłaszcza że tak z jachtu, jak i z innych statków machali do mnie, czym się dało. Pojęcia nie miałam, czego chcą i o co im chodzi, żywiłam nadzieję, że to tylko takie przyjacielskie pozdrowienia.

Płynęłam już czwartą dobę, a przekłętej Afryki ciągle nie było widać. Pogoda trwała jak zamówiona, ale niepokoiło mnie paliwo. Strzałka na drugim wskaźniku niepokojąco przechylała się na lewo i według mojego rozeznania nie zostało już więcej niż jakieś ćwierć baku. Jeżeli na początku miałam te dwanaście wanien, to teraz zostało mi najwyżej półtorej i doprawdy czas było zobaczyć jakiś ląd!

Po namyśle i dalszych obliczeniach skręciłam bardziej na wschód, Afryka rozciąga się na dość dużej przestrzeni, w końcu muszę na nią gdzieś natrafić!

Ostatnie okropne przeżycie zniechęciło mnie nieco do posługiwania się autopilotem i prawie nie opuszczałam sterówki. O wpół do dziesiątej wieczorem minęło dziewięćdziesiąt godzin podróży. Zaczęłam się niepokoić coraz bardziej, ale twardo dążyłam na północny wschód z oczami utkwionymi w Gwiazdę Polarną, która mrugała do mnie pocieszająco.

O świcie ujrzałam na horyzoncie coś jakby zamgloną chmurę i o mało się nie udusiłam ze zdenerwowania. O takich zamglonych chmurach naczytałam się do diabła i trochę i zawsze to było tak, że na widok chmury wszyscy żeglarze rzucali się zwijać żagle, laicy wyrażali zdziwienie, doświadczeni zaczęli odmawiać rozmaite modlitwy i potem okazywało się, że statek miał duże szczęście, jeśli zatonął w płytszym miejscu. Nie miałam co zwijać, prułam ostro w chmurę i zastanawiałam się, czy po odmówieniu modlitw zdążę jeszcze urznąć się w zimnego trupa alkoholami z barku, żeby przynajmniej jakoś ulgowo zginąć.

Widok jachtu, płynącego sobie spokojnie w stronę przeciwną niż ja pod pełnym kompletem żagli nadzwyczajnie mnie zadziwił. Jak to, tam chmura, a oni płyną na ocean? Samobójcy?... Daleko, na lewo, ukazały się jeszcze dwa statki, również wybierające się na Atlantyk. Zdumiewające, czyżby chmury w ostatnich czasach zmieniły metody postępowania?

Samobójczych jednostek pływających pojawiło się więcej. Niektóre były mniejsze ode mnie. Bez tchu, nie wierząc własnym oczom, wpatrywałam się w chmurę, która zaczęła się jakoś dziwnie przeistaczać, pojawiły się w niej rzeczy całkowicie nietypowe dla chmur i wreszcie... Dobry Boże! To był łąd!!!...

Zmniejszyłam szybkość. Bez sił i bez ducha siedziałam w fotelu, oparta o koło sterowe, dopiero teraz wyznając sama sobie, że właściwie przez cały czas prowadziło mnie szaleństwo. Rozpacзлиwa, beznadziejna determinacja, wzniosły obłęd, dziki, ośli upór, przekora, nieopanowany protest przeciwko przymusowi, mnóstwo różnych uczuć, nie mających nic wspólnego z rozsądkiem. To coś, co mnie zawsze pchało do czynów niewykonalnych i niemożliwych, pchnęło mnie i tym razem i kazało porwać się na idiotyczne przedsięwzięcie, w którego powodzenie sama nie powinnam wierzyć. A jednak wyszło! Udało się!...

Konieczność dokonywania rozmaitych manewrów wróciła mi siły. Triumf eksplodował we mnie z potężnym hukiem. Trąby, bębny i fanfary grzmiały mi w uszach.

Przytknęłam jednym z uprzednio użytych guzików i orkiestra symfoniczna runęła na jacht dalszym ciągiem rapsodii węgierskiej. "To nie radio, to taśma" - pomyślałam sobie w upojeniu i rycząc pełną pierśią do wtóru orkiestrze polską pieśń ludową "Antek na harmonii gra", pięknym slalomem ominęłam dwa statki.

Wybrzeże, oglądane przez lornetkę, nie robiło wrażenia gęsto zaludnionego ani też szczególnie wilgotnego. "Chyba rzeczywiście trafiłam w Saharę" - pomyślałam i spojrzawszy na mapę nabrałam nadziei, że może to jest akurat ten kawałek, gdzie powinni mówić po francusku. Trzeba znaleźć jakąś pompę...

Płynęłam wzdłuż wybrzeża na północ, nie za blisko, żeby się nie nadziać na mieliznę i nie za daleko, żeby nie przeoczyć czegoś pożytecznego. Rozmaitych łodzi, jachtów i statków płatało się dookoła dosyć dużo. Wreszcie ujrzałam coś w rodzaju portu, białe zabudowania i błyszczącą w słońcu cysternę. Wokół tego było gęściej, ale nie beznadziejnie. Spodziewałam się większego tłoku.

Nie wiedziałam, jak powinnam postępować, więc kołysząc się na łagodnych falach czekałam około pół godziny, aż ujrzałam mały pasażerski jacht wpływający do tego portu i ustawiający się w jednym z basenów tak, jakby właśnie zamierzał tankować. Oceniałam rzecz na oko, przyrównując wszystko do samochodowej stacji benzynowej, bo żadne lepsze rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy. Popłynęłam za jachtem.

Jakiś facet machał do mnie z brzegu chorągiewkami, ale nie zwracałam na niego uwagi. Drugi facet stał w miejscu, które zamierzałam zająć zaczekawszy na odpłynięcie jachtu, i gapił się na mnie. Podpływałam, powolutku, niepewna, czy uda mi się zatrzymać we właściwym miejscu nie bardzo wiedząc, gdzie w ogóle jest to miejsce. -Przed moim dziobem stał trzeci, wyglądający tak, jakby łapał cumy, i pomyślałam sobie, że nie mam mu co rzucać, skąd, u diabła, wezmę cumę...

Przepłynęłam odrobinę za daleko, wrzuciłam wsteczny bieg, potem luz i wróciłam za bardzo do tyłu. "Cholera" - pomyślałam, ruszyłam znów do przodu na prawym silniku i nie tylko przepłynęłam za dużo, ale co gorsza, oddaliłam się od betonowego nadbrzeża, przy którym byłam przedtem idealnie ustawiona. Przypomniała mi się jedna baba, parkująca samochód po prawej stronie jezdni pomiędzy innymi, która w rezultacie swoich wysiłków, znalazła się w poprzek po lewej stronie. Całe moje biuro w Kopenhadze oglądało ją z czwartego piętra przez pół godziny. Miałam duże szansę powtórzyć jej manewr.

Wróciłam do tyłu znacznie dalej, ruszyłam do przodu tym razem na lewym silniku, zbliżyłam się na metr do nadbrzeża i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że znów mnie przeniosło. Ta idiotyczna woda była rozpaczliwie płynna i nie stawiała żadnego oporu. Popłynęłam do tyłu, wróciłam ku przodowi, popłynęłam do tyłu, wróciłam ku przodowi...

Włosy podniosły mi się na głowie, bo oprócz baby przypominała mi się też beznadziejność moich wysiłków narciarskich. Wypisz wymaluj ta sama sytuacja, tyle że z pominięciem powrotów do tyłu! Nigdy nie umiałam zatrzymać się w upatrzonym miejscu nawet na najrówniejszym terenie. Zawsze jedna noga posuwała mi się jeszcze nieco do przodu, usiłowałam dostawić do niej drugą, ta druga noga posuwała się za daleko, dostawiałam do niej pierwszą i w ten sposób mogłam śmiało liczyć na obejście wokół kuli ziemskiej, niezbyt szybko, ale za to pewnie. Zatrzymywałam się ostatecznie wyłącznie dzięki wbiciu kijków w śnieg. Co, do pioruna, miałam wbijać tutaj?!

Faceci na brzegu przyglądali mi się z zafascynowanym wyrazem twarzy. Ogarnęła mnie wściekłość i skupiłam się w sobie. Ruch do przodu był już prawie właściwy! Jeszcze odrobina wstecznego biegu, luz i aż dziw bierze, prawie stałam! Zostawiłam sterówkę i wyszłam na pokład.

Gapiący się facet nagle odzyskał zdolność ruchu.

- *Madame!* - wrzasnął do mnie. - Jaka jest pani narodowość?!

- Francuska! - odwrzasnęłam bez namysłu. - Poproszę paliwo!!!

- Dlaczego pani nie ma flagi na maszcie?! Pani musi mieć flagę!

Masz ci los, skąd ja mu wezmę flagę i gdzie ja mam maszt?! Radarowy...?!

- Za chwilę! - oświadczyłam stanowczo, nieco już ciszej, bo byłam tuż przy nim.

Dzielił nas zaledwie metr wody. - Gdzie mogę dostać paliwo, proszę mi natychmiast powiedzieć! Bardzo pilne!

- Tu - powiedział, patrząc na mnie ze zdumieniem i lekkim osłupieniem. Nie wiedziałam zupełnie, czym go tak zadziwiam. - Czy ma pani jakieś papiery? Dokumenty?

Miałam dokumenty ważne na całym świecie i od początku byłam nastawiona na ich użycie. Wyciągnęłam banknot studolarowy i machnęłam mu nim przed nosem.

- Tu są moje papiery - powiedziałam stanowczo. - Nie wysiadam na ląd. Płynę dalej. Poproszę paliwo prywatnie. Prędkiej!

Banknoty studolarowe posiadają nadprzyrodzoną moc. W faceta nagle wstąpiło życie.

- *A votre service, madame.* Cumę proszę! Gdzie pani ma wlew?

- Nie mam cumy, bez cumy. Nie wiem, gdzie mam wlew, niech pan znajdzie.

Facet znów spojrzał na mnie dziwnie, acz znacznie bystrzej, kiwnął na tego od dziobu, przyciągnął ku sobie moją burłę, przelazł przez nią, chwycił linę, rzuconą przez tego drugiego, okręcił wokół czegoś, co wystawało z pokładu, i natychmiast znalazł wlew. Była to ta sama przeszkoda, o którą potknęłam się, o mało nie wylatując za burłę.

W oszalamiającym tempie przeciągnęli dość grubego węża, idącego nie wiadomo skąd, i wetknęli w otwór wlewu.

- Ile? - spytał facet.

Już otworzyłam usta, żeby powiedzieć "dwanaście, wanien", ale udało mi się szczęśliwie powstrzymać.

- Nie wiem - odparłam. - Pełno.

Sama byłam ciekawa, ile wejdzie, ale liczyłam się z tym, że mnie pewnie oszukają. Niech oszukają, byle rzeczywiście naleli pełno. Wróciłam do sterówki spojrzeć na wskaźnik. Strzałka powoli, bardzo wolno laźła z lewa na prawo. Kiedy ustabilizowała się na "full", wyszłam na pokład i odkręciłam ich cumę. Faceci przeciągali węża z powrotem na brzeg, przy czym jeden z nich naraził się na to samo co ja, a nawet jeszcze gorzej. Jedną nogę miał na lądzie, zaś druga mu odpływała z jachtem. Ten drugi chwycił burzę, zaparł się z całej siły i przyciągnął na powrót. Podejrzewałam, że nie tyle idzie mu o dobro towarzysza, ile o pieniądze, bo przyczepił się do mojej burty, wyraźnie zdecydowany wskoczyć na jacht, gdybym odmówiła zapłaty.

- Ile razem? - spytałam jasno i bez ogródek.

- Trzysta dolarów - odparł, a jego wyraz twarzy świadczył, że musiało to być jakieś piramidalne oszustwo.

Moja wolność była dla mnie więcej warta, a poza tym nigdy w życiu nie umiałam się targować. W ogóle mi to nawet nie przychodziło do głowy. We Włoszech doprowadziłam do rozpaczki sprzedawców, którzy nie kryli wstrętu do tak idiotycznej klientki. Bez oporów płaciłam pierwszą, wymienioną przez nich cenę! Nienormalna rzecz! Popadali w osłupienie, po czym niektórzy z nich obniżali ją z własnej nieprzymuszonej woli, patrząc na mnie z najwyższą odrazą i wprawiając mnie z kolei w niebotyczne zdumienie.

Bez słowa dałam teraz trzysta dolarów i facet zgłupiał zupełnie. Byłby wpadł do wody, gdyby go ten drugi nie przytrzymał, bo cały czas trwał nieruchomo z pieniędzmi w rękach, oparty o burzę, która odpływała wraz ze mną. Z całą pewnością zapisałam się trwale w ich pamięci!

Z tego wszystkiego zapomniałam ich spytać, gdzie jestem, i znów nie wiedziałam, ile drogi mam jeszcze przed sobą. Wiadomo było tylko, że muszę płynąć na północ, postanowiłam więc płynąć blisko brzegu z nadzieją, że może odróżnię przynajmniej Gibraltar.

Według mapy miałam do przepłynięcia od trzech do czterech tysięcy kilometrów. Dwie do trzech dób. Tej ropy może mi nie starczyć...

Zastanawiając się nad tym, gdzie dobrać ropy, rozważając niebezpieczeństwo natknięcia się na jakieś władze i szukając stosownie ustronnego miejsca, oglądałam szczegółowo atlas. I nagle wpadły mi w oko Wyspy Kanaryjskie. Jak to, nad czym ja myślę, przecież to jest idealny teren! Wyspy Kanaryjskie, cel wszystkich duńskich

wycieczek, miejsce, gdzie pętają się tysiące turystów, setki prywatnych jachtów! Wyspy Kanaryjskie, które znam z mnóstwa prospektów, reklam, obrazków i pocztówek! Co jak co, ale to powinnam rozpoznać!

Rozważania nawigacyjne pochłaniały mnie teraz bez reszty. Płynąc wzdłuż wybrzeża musiałam kierować się nie prosto na północ, ale nieco na zachód, mogłam więc znajdować się tylko albo na południe od Dakaru, albo na północy Mauretanii. Południową półkulę wykluczyłam, bo Gwiazda Polarna świeciła w nocy jak byk. Wytoczyłam sobie stosowną linię i uznałam, że w każdym wypadku, płynąc po tej linii tak od Dakaru jak i od Białego Przylądka, dotrę na Wyspy Kanaryjskie. Tyle że w pierwszym przypadku trafię na Teneryfę, a w drugim na Grand Canarię. Nie robiło mi to zbytnej różnicy.

Łąd oddalił się nieco na wschód, weszłam na swoją linię i około drugiej w nocy daleko na horyzoncie, ciut na lewo od dziobu ujrzałam światła. Jeśli nie był to jakiś statek, to musiały to być wyspy.

I były. Sama się zdziwiłam, że tak trafiam. I atlas, i kompas musiały być niezwykle dokładne, bo na dobrą sprawę miałam prawo zabłądzić na tym potwornie wielkim oceanie dwadzieścia razy! Istny cud, że mnie to szczęście nie spotkało!

Do rana przeszukiwałam jacht celem znalezienia czegoś, co by się nadawało na francuską flagę i już byłam gotowa poświęcić na to odpowiednio dobrane kolorystycznie części garderoby, kiedy wreszcie znalazłam cały komplet najrozmaitszych flag. Wyciągnęłam francuską i zaczęłam mieć następne zmartwienie. Gdzie, u diabła, miałam ją powiesić?!

Płynąc powoli na nodze od krzesła męczyłam się jak potępieniec i dokonywałam najdziwniejszych prób aż do chwili, kiedy zrobił się jasny dzień i ujrzałam jacht, znacznie mniejszy od mojego, ale bardzo podobny z sylwetki, z identycznym jak mój zegarem słonecznym na pokładzie. Na zegarze powiewała szwedzka flaga! Niezależnie od tego, czym naprawdę był ten sterzący pochyło drąg, wyrzutnią rakiet, zegarem czy masztem, postanowiłam wykorzystać go w taki sam sposób. Zaopatrzony był w jakieś sznurki, idące od góry do dołu, pomyślałam chwilę, przypomniałam sobie bardzo młode lata, wykorzystałam sznureczki w narożnikach flagi i podciągnęłam ją możliwie wysoko. Wyglądało zupełnie nieźle, dodałam więc gazu i dumna z przedsięwzięcia ruszyłam między wyspy.

Poczekalam w kolejce, strzałka wskaźnika znów mi stanęła na “full” i ruszyłam w dalszą drogę. Teraz już tylko opłynąć półwysep Pirenejski i Bretania przede mną!

Postanowiłam przespać się w dzień, nie czekając z tym do nocy. Dotychczas wszystko szło podejrzanie dobrze, ale już od owego miejsca w Afryce, które jednak musiało znajdować się chyba w Mauretanii, zaczęłam zostawiać za sobą wyraźne ślady. Nade mną latały samoloty i helikoptery i każdy z nich mógł być tym, którego szczególnie interesował jacht “Stella di Mare”. W dzień nie mogli mi zrobić nic złego, za duży ruch panował w okolicy, ale w nocy wszystko było możliwe.

Na autopilocie płynęłam wolniej w obawie zderzenia. Spałam krótko, bo byłam zdenerwowana. Już od wieczora siedziałam w sterówce osobiście i z niepokojem rozglądałam się głównie po niebie. Ciemności zapadły, wszystkie statki dookoła płynęły oświetlone, ja jedna występowałam w charakterze tajemniczego widma. Po licznych wahaniach, czy świecić jak wszyscy i stanowić doskonały cel, czy też wyróżniać się brakiem świateł, wybrałam to drugie.

Bałam się, że ominę Hiszpanię za daleko, przeoczę ten północno-zachodni narożnik i niepotrzebnie udam się do Anglii, skręciłam więc nieco na wschód. Wbrew dotychczasowym sukcesom morskie podróże wydawały mi się coraz bardziej skomplikowane. Płynąć na durch przez bezgraniczną wodę, wybierając sobie dowolną linię prostą, to jeszcze pół biedy, ale płatać się tu, pomiędzy różnymi lądami, i trafiać w upatrzone miejsca, to już była katorżnicza praca!

Do lądu zbliżyłam się zanadto, o czym dowiedziałam się dopiero, kiedy gdzieś z prawej wytrysnął snop światła. Daleko po wodzie rozszedł się warkot ścigacza, zagłuszający pomruk moich silników. Ścigacz pruł prosto na mnie, bucząc czymś i mrugając różnymi światłami. Możliwe, że usiłował konwersować ze mną za pomocą alfabetu Morse'a.

Bez sekundy namysłu przepchnęłam obie wajchy w przód. Jacht skoczył przed siebie jak spłoszona łania. Uprzednio płynęłam wolniej w obawie tego przeoczenia Hiszpanii i z zamiarem trzymania się lądu w ciągu dnia, teraz machnęłam ręką na Hiszpanię, Anglia nie Anglia, wszystko jedno, byle uciec!!!

Płynęli prosto za moją rufą. Świecili jakimś potężnym reflektorem, w którego promieniach musiałam być doskonale widoczna. Postanowiłam z determinacją, że jeśli się zbliżą, trudno, będę strzelać do tyłu z tych karabinów maszynowych. W zmaconym

paniką umyśle mignęła mi wizja armaty. Po czym przypomniałam sobie o zasłonie dymnej.

Ze złowrogim “puff” wyrosła za mną wielka, czarna chmura i światło reflektora przygasło. Zrobiłam “puff” drugi raz i skręciłam ku wschodowi, bo w pierwszej chwili ruszyłam do ucieczki za bardzo na zachód. Dwie czarne chmury rozlały się we wszystkie strony wszerz i wzwyż i kiedy migający światłami ścigacz wydostał się z nich, byłam od niego znacznie dalej niż przedtem. Nie musiałam robić “puff” trzeci raz, moje silniki były lepsze, jeszcze parę minut i wstrętny potwór został z tyłu.

W dziesięć minut potem pokazał się drugi na prawo przede mną. “Żebyście zdechli!” - pomyślałam z rozpaczą i zaczęłam wyścig. Kto komu przetnie drogę, ja im czy oni mnie.

Ja byłam lepsza. Nie tyle ja, co ten oszałamiająco sprawny jacht. Przefrunął przed nosem ścigacza, puścił rufą czarną chmurę i znów posłusznie skręcił nieco na wschód. Ścigacz wylazł z chmury, został nieco w tyle, ale ciągle grzmiał za mną.

“Skąd u diabła wiedzą, gdzie jestem w tych ciemnościach?!” - pomyślałam coraz mniej zrozpaczona, a coraz bardziej wściekła i natychmiast przyszła odpowiedź. Radar! Mają radar! Prawda, przecież ja też mam radar!... Nawet krótko szukałam właściwego guzika. Zielona strzałka zaczęła latać w kółko. Popiskiwało. Trudno, niech popiskuje, niech to szlag trafi! Co ta zielona strzałka właściwie pokazuje? Nie trzeba to było zainteresować się tym, jak miałam czas?!

W myśl moich wiadomości o radarze morze było pełne nie wiadomo czego. Dookoła pływały jakieś rzeczy, to znaczy domyślałam się tylko, że pływają, na tarczy stały w miejscu. Ta jakaś poszarpana linia po prawej stronie środka to musiał być brzeg. Zmieniał się prawie za każdym obrotem strzałki, co świadczyło, że primo musiał być blisko, a secundo, że płynęłam bardzo szybko. Mały punkcik tuż poniżej środka, będący niewątpliwie przeklętym ścigaczem, powoli oddalał się w kierunku skraju tarczy. Uciekałam im!

Oddaliłam się trochę od brzegu. Poszarpana linia przeszła bardziej na prawo. Ścigacz wycofał się poza tarczę. Poczulałam, że jestem śmiertelnie wykończona i zaczęłam marzyć o odrobinie spokoju i bezpieczeństwa. Czy oni się nigdy ode mnie nie odczepią?! Czy policja na całym świecie zdechła i bandyci mają pełną swobodę działania?! Czy ja nie byłabym przypadkiem najszcześniejsza, gdyby mnie polska milicja zamknęła w

mamrze?... Boże drogi, siedzieć sobie spokojnie w cichej celi na Rakowieckiej... Albo lepiej w Białołęce, tam podobno więźniowie mogą się codziennie kąpać...

Słodkie marzenia o cichej celi więziennej musiałam przerwać, bo echo-sonda, cały czas pracująca tak, że już się do niej przyzwyczaiałam, nagle wydała z siebie nerwowe urywane wycie. Równocześnie poszarpana linia na radarze rzuciła się ku mnie. Jakiś przyrządek czy co...? Wykonałam gwałtowny skręt w lewo, opłynęłam coś dużego, czarnego, co istotnie pojawiło się z prawej, i wróciłam na upatrzony kierunek. Nie mogłam się już zamyślać, musiałam uważać, bo brzeg zrobił się przerażająco urozmaicony.

Wczesnym popołudniem ujrzałam ten północno-zachodni narożnik. Opłynęłam go dostatecznie blisko, żeby się przekonać, że to jest to i dostatecznie daleko, żeby się mnie nikt nie czepiał. Do Bretanii nie miałam więcej niż jakieś pięćset kilometrów!

Ciemno już było, kiedy na tarczę radaru weszła mi poszarpana linia od góry. Serce skoczyło mi do gardła, płynęłam równiutko na północny wschód i to mogła być tylko Francja. O, słodka Francjo!!!...

Leciałam pełnym gazem jeszcze z pół godziny i poszarpaną linię miałam tuż przed nosem. Przed nosem oczywiście na ekranie radaru, w naturze bowiem nie widziałam nic. Dookoła panowały ciemności i tylko Gwiazda Polarna mrugała do mnie zachęcająco i radośnie. Zwolniłam, przerzuciłam wajchy na pierwszy ząbek i powoli podpływając ku brzegowi, pierwszy raz zapaliłam reflektory.

Długo, długo nie było nic i dopiero na samym skraju światła coś się rysowało. Przypomniałam sobie, że Bretania jest skalista. Mogą tu być jakieś rafy, na które lepiej byłoby nie wpadać. Zgasila reflektory i postanowiłam czekać świtu. Już drugą dobę spędzałam bezsennie i cicha cela w Białołęce rysowała się przede mną coraz wyraziściej. Długa, spokojna fala kołysała mnie łagodnie, popychając z wolna ku brzegowi i doprawdy trzeba było szalonego samozaparca, żeby nie zasnąć martwym bykiem na tym kole sterowym.

W długi czas potem dowiedziałam się, skąd pochodziła zdumiewająca łatwość i prostota tej całej podróży. Przez dziesięć dni właśnie w okresie moich żeglarskich szaleństw panowała na całym Atlantyku i w jego okolicach tak piękna pogoda, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają! Doprawdy, głupi ma szczęście!

Doczekałam świtu rozważając, czy lepiej będzie wylądować w jakimś porcie między ludźmi, czy też raczej należy poszukać sobie jakiegoś mało uczęszczanego i możliwie bezludnego kawałka wybrzeża. Zdecydowałam się na to drugie, przewidując komplikacje paszportowe, które by mi utrudniły realizację dalszych planów. Nie zamierzałam rozmawiać z byle kim, sprawa była zbyt poważna i uznałam, że powinnam jak najszybciej dokopać się do Interpolu. Polskie więzienie było mi na razie niedostępne, ale Interpol mógł je znakomicie zastąpić.

Płynęłam wolno, szukając stosownego miejsca. Dookoła płątały się całe flotylle łodzi rybackich i jakichś kutrów, na horyzoncie z lewej pojawiły się duże statki i w ogóle wyraźnie znajdowałam się w gęsto zaludnionej Europie. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Z dużą przyjemnością stwierdziłam, że upał gdzieś diabli wzięli. Pomimo pełnego kompletu odzieży odczuwałam ostry, wiosenny chłód. Tak jest, z całą pewnością byłam w Europie.

Minęłam jakąś wieś, jakieś miasteczko, jakiś mały port i wreszcie ujrzałam coś, co mi odpowiadało. Malutki kawałeczek zupełnie pustej plaży, a dookoła skałki i kamienie. Myśl o wykąpaniu się była jakoś mało pociągająca, podpływałam więc do tego powoli i ostrożnie, z nadzieją, że uda mi się przybić do skałek dostatecznie blisko, żeby przejść suchą nogą. W dodatku miałam jeszcze do przeniesienia parę drobiazgów.

Udało się prawie. Dziób zarył się w piasek, a burta balansowała przy skałkach tak, że tylko ręką sięgnąć. Przyływ powinien przesunąć mnie nieco dalej ku brzegowi, ale nie miałam czasu czekać na przyływ. Cała moja namiętność do rozkosznego kołysania się na falach nagle, gdzieś znikła, a pragnienie poczucia pod nogami twardego, stałego gruntu, stało się nie do opanowania. Powyrzucałam na brzeg kolejno torbę z pieniędzmi, siatkę ze słownikiem, atlasem i szalem, nóż sprężynowy i parę innych przedmiotów, po czym wykorzystalam pierwszy większy balans i przelałam sama. Gdziekolwiek bym się znajdowała; miałam już dość tej całej podróży i tego całego jachtu i, bez żalu porzuciłam go na zawsze. Przeleźć z powrotem nie zdołałabym w żaden żywy sposób.

Zeszłam ze skałek z całym dobytkiem piastowanym w objęciach, znalazłam się na miniaturowej plaży, ujrzałam dalszy ciąg lądu, tu piaseczek, tam trawka, gdzieniegdzie grupa innych skałek, daleko jakieś zabudowania... Upuściłam dobytek i nogi się pode mną ugięły. Wielki Boże, dopłynęłam...!

Możliwe, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym się stamtąd natychmiast oddaliła. Cały dalszy ciąg mojego życia zależał od tego jednego drobiazgu. Ale nie wiedziałam o tym i nie oddaliłam się. Nie miałam siły. Padłam obok dobytku na suchy piaseczek i śmiertelnie zmęczona, pełna niewymownej ulgi, bezgranicznie szczęśliwa, zasnęłam kamiennym snem.

Obudził mnie warkot helikoptera. Pierwsze wrażenie było okropne! Poderwałam się w popłochu, pewna, że ujrzę strome zbocza, kamienne ściany i znajomy tarasik. Nie, dookoła ciągle było to samo, trawka, piaseczek i kiwający się na morzu, porzucony jacht. Nie śniło mi się, dopłynęłam do Francji! Czulałam się jak połamana w drobne kawałki, ale ulga ożywiła mnie na nowo. Pozbierałam rzeczy i ruszyłam przed siebie byle gdzie, zdecydowana przy pierwszej okazji zamienić dolary na franki i w pierwszej napotkanej knajpie zjeść gorące śniadanie.

Szłam w kierunku zabudowań. Zbliżyłam się do nich na tyle, żeby stwierdzić, iż są czymś pomiędzy dużą wsią a małym miasteczkiem, kiedy nagle skądś obok budynków wyszła ku mnie zachwycająca postać. Policjant! Prawdziwy, francuski policjant w mundurze, w prawdziwym kepi, taki sam, jakich oglądałam całe kopy tak w naturze, jak i na filmach, absolutnie typowy, cudowny, upragniony!...

Zatrzymał się na mój widok, zaczekał, aż podeszłam i-uprzejmie zsalutował. Bijący ode mnie blask załśnił reflekssem na jego guzikach!

- *Bonjour, madame* - powiedział. - Widziałem, że przyplłynęła pani jachtem. Czy coś się stało? Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Oczywiście, że pan może! - odparłam z zachwytem. - Czy to Francja?

Przez moment patrzył na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

- Pani nie wie, w jakim kraju pani wylądowała? Oczywiście, że Francja! Bretania!

Gdyby nie to, że obie ręce miałam zajęte bardzo ciężkimi rzeczami, bez wątpienia padłabym mu na szyję. Czy może mi pomóc, głupie pytanie. Musi mi pomóc! Sama nie wiedziałam, czego najpierw chcieć!

- Jeść! - zawołałam radośnie. - Pić! Zamienić pieniądze! Policja! Chcę rozmawiać z Interpolem, jak ich znaleźć?! Niech mi pan pomoże!

Glina okazała życzliwe zainteresowanie.

- Z Interpolem? Czy pani przypadkiem... Czy pani nie jest tą zaginioną damą, której szuka Interpol...?!

Teraz z kolei we mnie wybuchło zainteresowanie i to bardzo gwałtowne.

- Szuka mnie Interpol? Genialne! Nadzwyczajne! Oczywiście, że to ja, płynę z Brazylii! Proszę, jedźmy natychmiast! Pan wie dokąd? Gdzie oni są?!

Na oblicze przedstawiciela władzy spłynęła nadziejska jasność. Ożywił się wyraźnie i nabrał nagłego wigoru. Wśród okrzyków zachwytu, niedowierzania szczęściu i podziwu dla mnie wydarł mi z rąk bagaże, z przytupem obleciał mnie parę razy w koło, dobitnie zademonstrował francuski temperament i prawie truchtem zaczął mnie ciągnąć w głąb ładu.

- Samochód! - wykrzykiwał. - Natychmiast jedziemy! Osobiście panią zawiozę! Cóż za sukces dla mnie! *Madame*, z całego serca dziękuje, że raczyła pani wylądować właśnie w tej dzielnicy! Nadzwyczajne! Olśniewające!!!

Pomyślałam sobie, że pewnie wyznaczili jakąś nagrodę za odnalezienie mnie i nie miałam nic przeciwko temu, żeby dostał ją ten uroczy, sympatyczny człowiek. Pod warunkiem oczywiście, że po drodze do nagrody pozwoli mi się czymś pożywić.

Samochód pojawił się bardzo szybko. Mój towarzysz wyciągnął krótkofalówkę, wydał dyspozycje, z których część zrobiła na mnie wrażenie policyjnego szyfru, stosowanego w nadzwyczajnych okazjach, w rodzaju "tu miotła, tu miotła, jajko na kwadrat be ce dwadzieścia cztery, odbiór", przelecieliśmy kurogalopkiem jeszcze kilkadziesiąt metrów omijając zabudowania i dopadliśmy drogi, którą w tej samej chwili nadjechał przepiękny, biały mercedes. Nigdy w życiu nie słyszałam, żeby jakakolwiek policja świata jeździła białymi mercedesami, ale widok pojazdu nie nasunął mi żadnych podejrzeń. Uznałam, że pewnie używają go czasem specjalnie dla niepoznaki.

Siedziałam z tyłu razem z zachwyconym policjantem. Obok kierowcy siedział drugi, nieco mniej zachwycony, a za to bardziej zajęty pracą. Ustawicznie głądził do mikrofonu niezrozumiałe rzeczy, przechodził na odbiór, słuchał i wydawał polecenia. Obaj zdjęli czapki, co powinno było mnie przynajmniej zdziwić, ale widocznie z nadmiaru ulgi popadłam w otępienie.

Przelecieliśmy jakieś jedno miasteczko, drugie, nie zdążyłam nawet dostrzec nazwy, objechaliśmy trzecie. Mercedes ciągnął jak smok. Jak we wszystkich wozach wysokiej klasy w ogóle nie czuło się szybkości. Na oko oceniałam ją na jakieś sto sześćdziesiąt, orientując się tylko po tempie mijania rozmaitych rzeczy, bo szybkościomierz zasłaniały mi plecy kierowcy. Zaczęłam się domagać posiłku.

- Pośpiech ma szalone znaczenie, *madame* - powiedział z przejęciem mój policjant. - Zaraz się dowiemy...

Stuknął w plecy tego drugiego. Drugi znów wygłosił kilka bredni, po czym uczynił coś, co mnie wreszcie zastanowiło. Przeszedł nagle na język niemiecki.

- Ona jest głodna - powiedział. - Chce się zatrzymać i coś zjeść. Co zrobić?

Chwilę słuchał, słuchając pochylił się i manipulował czymś w okolicy nóg.

- Tak jest - oświadczył i odwrócił się do mnie. - Każda minuta droga, *madame*, musi pani wytrzymać. Tam czekają na panią. Zaraz dostanie pani kawy, już robię.

Nie protestowałam. Siedziałam cicho, czując, jak narasta we mnie jakiś niepokój. Dlaczego przeszedł na niemiecki?...

Po chwili dostałam kawy, którą zaparzył w ekspresiku, przyczepionym pod tablicą rozdzielczą. Lecieliśmy dalej piękną szosą nigdzie się nie zatrzymując. Rosnący niepokój kazał mi zacząć pilniej rozglądać się wokoło. Dostrzegłam drogowskaz z nazwą, która mi nic nie mówiła, potem udało mi się zauważyć Angers, stwierdziłam, że jedziemy wzdłuż rzeki, dostrzegłam sylwetkę zamku, dalej, drugiego, a po kilkunastu minutach wpadł mi w oko trzeci. Każdy był inny, wszystkie atrakcyjne i we wszystkich było coś znajomego. Musiałam je chyba kiedyś widzieć czy, co... Zamki wzdłuż rzeki... Ależ... Dobry Boże!

Oglądałam zamki nad Loarą! Takie ich było zatrzęsienie i tak mnie to wzruszyło, że wyzbytes się niepokoju i zajęłam wrażeniami turystycznymi. W Tours przejechaliśmy na drugą stronę rzeki. Wytrzeszczałam oczy we wszystkich kierunkach równocześnie, a łązy radosnego wzruszenia mąciły mi wzrok.

Kawa mi nieco pomogła, atrakcje krajobrazu zaabsorbowały i trzy godziny przeleciały nie wiadomo kiedy. Trzy godziny jazdy samochodem to jest nic, ileż razy robiłam trasę Warszawa - Poznań jednym ciągiem! I to nie takim samochodem jak ten, tylko znacznie gorszym, nigdy nie udało mi się zejść poniżej trzech i pół godziny.

W prawo skręciliśmy zaraz za napisem "Chaumont". Sylwetka zamku wyrosła przede mną. Stał na pagórku, otoczony obronnym murkiem w niezłym stanie, po zewnętrznej stronie murku rosło zielsko, wewnątrz był trawnik, kwiatki, drzewa, przejechaliśmy przez bramę między dwiema okrągłymi wieżami, w narożniku na lewo zdążyłam dostrzec trzecią okrągłą wieżę, nieco większą i wjechaliśmy na zamkowy dziedziniec.

Tu się wreszcie nieco zdziwiłam. Rozmaite rzeczy słyszałam o zamkach nad Loarą, ale nigdy żeby były siedzibą policji. Zakamuflowana komórka Interpolu, odgrywająca rolę rodziny amerykańskiego milionera? No cóż, wszystko na tym świecie jest możliwe...

Wysiadłam, rozglądając się dookoła z głupawym zaciekawieniem i ujrzałam, że podchodzi do nas jakiś facet w cywilnym ubraniu i nagle wpadło mi w ucho...

- Powiedziała coś? - spytał po niemiecku cichym, gwałtownym szeptem towarzyszących mi policjantów.

- Nie pytaliśmy. Szef zrobi lepsze wrażenie. Nie chcieliśmy nic zepsuć.

- Bardzo dobrze. Nikt jej nie widział?

- Nie.

- Nic nie podejrzewa? Nie próbowała uciekać?

- Nie, wszystko w porządku. Myśli, że to policja...

Stałam jak skamieniała, z oczami utkwionymi w zabytkowe szczegóły architektoniczne, żadnego z nich w ogóle nie widząc. W środku kotłowało mi się coś trudnego do opisanie. Wśród licznych, budzących się we mnie uczuć, na pierwszy plan wybijała się nieprzeparta chęć nabicia siebie samej po pysku. Idiotka! Skończona, beznadziejna, piramidalna idiotka!!! Jak można było...?! Jak można było tak się dać naciąć?!!! Po to zrobiłam tyle męczących rzeczy, po to przepłynęłam ten cholerny Atlantyk, po to przepuściłam trzysta dolarów i miotalam się jak dziki, nieoświetlony osioł u brzegów Hiszpanii, żeby teraz dać się doprowadzić do szefa, niczym bezmyślna krowa do rzeźni!!!

Mignęło mi wprawdzie w głowie, że krowy rzadko bywają wożone do rzeźni białymi mercedesami, ale była to nader nikła pociecha. Jak mogłam im tak od razu uwierzyć?! Dlaczego nie uparłam się wysiąść, jeść, pić, telefonować, pisać listy...?! Cokolwiek, na wszelki wypadek!... Dlaczego nie kazałam zatrzymywać się przy każdym napotkanym policjancie, żeby mu padać na szyję?! Przynajmniej by mnie zapamiętali! Rany boskie, co robić...?!!!

Zadecydowano za mnie.

- Pani pozwoli, *madame* - powiedział z kurtuazją facet w cywilu.

Pozbierał moje rzeczy, wziął mnie pod rękę i ruszył ku wejściu w bocznym skrzydle. Rozpacz wyrwała mnie ze skamieniałego bezruchu.

- Chwileczkę! - wrzasnęłam i wydarłam mu ramię. - Jaki piękny widok!

Nie byłam pewna, czy w moim tonie brzmi dostateczna ilość beztróskiego entuzjazmu, ale już wiedziałam, że czekają mnie nowe wysiłki. Chciałam przynajmniej spojrzeć i zyskać jakieś pojęcie o terenie. Od rzeki odgradzał mnie murek wśród zielska, zasłaniający resztę pagórka. Pryskać od razu przez ten murek?... Skoczyć nie skoczę, za wysoki i nie wiadomo, co jest za nim. Złapią mnie, jak będę przełazić. Lepiej w nocy...

Pozwoliłam się zawlec do środka. Wnętrze stanowiło pendant do brazylijskiej rezydencji. Kobylasta, barokowa szafa, wpuszczona w mur, okazała się drzwiami do windy, weneckie lustro rozsuwały się samodzielnie w chwili zbliżania się do nich. Gabinet szefa znajdował się za pełnymi książek półkami od podłogi do sufitu, których część otwarła się po podniesieniu lekko w górę mosiężnej gałki, stanowiącej ozdobę kominka w przeciwległej ścianie.

Szef oczekiwał mnie, stojąc na środku wielkiego pomieszczenia, podzielonego na kilka części elementami konstrukcyjnymi oraz grupą kaktusów w marmurowej donicy. Na twarzy miał wyraz życzliwego zainteresowania.

Zdarza się czasami coś takiego, że dwie osoby, widzące się na oczy po raz pierwszy w życiu, odczuwają do siebie szaloną sympatię lub też nieprzepartą niechęć. Natknęłam się kiedyś u Anity na jednego jej znajomego, rodaka, zamieszkałego w Danii na stałe. Był to bardzo przystojny, atrakcyjny facet, niewątpliwie interesujący jako mężczyzna. Nie jestem ostatnią pokraką i wprawdzie wielu osobom mogę się zupełnie nie podobać, ale nie sądzę, żebym na pierwszy rzut oka budziła żywiołowy wstręt. W końcu zęza nie mam, całkiem łysa nie jestem, z nosa mi nie cieknie, pryszcze się mnie nie imają... Innymi słowy facet był przystojny, a ja nie ohydna. Od pierwszego rzutu oka, zanim jeszcze zdążyliśmy się sobie przedstawić, poczuliśmy do siebie nad wyraz zgodnie tak intensywną, wręcz agresywną niechęć, że pomimo całego wyrobienia towarzyskiego i najlepszych chęci niemożliwe to było ukryć. Robiliśmy, co się dało, usiłowaliśmy być dla siebie nawzajem nad wyraz uprzejmi, on mi nawet użyczył miejsca w samochodzie, którym mnie odwiózł do domu, ja wyrażałam wdzięczność i podziw dla jego talentów kierowcy, wszystko na nic. Agresywna niechęć wyłaziła z nas skórą, warczała w powietrzu, przeradzała się niemal we wzajemny protest przeciwko naszemu istnieniu!

Coś podobnego przytrafiło się i teraz. Na środku pomieszczenia stał szalenie przystojny osobnik w najbardziej interesującym wieku i nie do wiary - blondyn!!! Miał ciemnoblonde włosy, tak zwane piwne oczy, lśniące, trochę zielonkawe, trochę żółte,

ciemniejsze od włosów brwi i rzęsy tak piękne, że na ich widok piknęła mnie zazdrość. Do tego był wysoki, dość szczupły, ale nie za bardzo, świetnie zbudowany i świetnie ubrany. Można powiedzieć - ideał mężczyzny!

I od pierwszego rzutu oka ten ideał mężczyzny obudził we mnie niechęć wcale nie mniej intensywną niż ów rodak u Anity. Bez chwili wahania byłam gotowa przysiąc, że ja w nim wywołałam podobne uczucia. A przy tym nie miało to nic wspólnego z istniejącą sytuacją. Niechęć zakwitła między nami nie dlatego, że on dybał na moją wolność i życie, ja zaś byłam zmęczona, niewyspana, rozczochrana i w ogóle mało piękna, a do tego jeszcze trzymałam w zębach cały jego majątek, tylko dlatego, że już coś takiego w ludziach jest.

Z całą pewnością obydwójce mieliśmy szczerzy zamiar kantować się wzajemnie tak długo, jak tylko to będzie możliwe. On niewątpliwie chciał udawać przede mną przedstawiciela Interpolu, a ja postanowiłam udawać, że w to wierzę. Od pierwszego spojrzenia nasze zamiary szlag trafił. Niechęć była za silna.

- Wyjść - powiedział krótko do mojej asysty i faceta w cywilnym ubraniu wymiotło w mgnieniu oka.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu.

- Mam nadzieję, że mogę usiąść - powiedziałam wreszcie wrogo. - I że dostanę coś do jedzenia. Czy może macie zamiar dalej mnie głodzić?

- Możliwe, że byłoby to nawet wskazane - odparł natychmiast jadowicie i drwiąco.
- Metoda łagodnej perswazji nie robi na tobie wrażenia, prawda?

Podeszłam do jednego z tych cudownych wygodnych foteli, usiadłam, nalałam sobie wody sodowej ze stojącego obok syfonu i podniosłam szklankę.

- Twoje zdrowie - powiedziałam również drwiąco. - Lubię jasne sytuacje. Mogę cię zapewnić, że metoda gwałtownego przymusu daje jeszcze gorsze rezultaty.

Bóg raczy wiedzieć, dlaczego od razu zastosowaliśmy formę "ty", tak rzadką we Francji. Widocznie zbliżyła nas zgodność poglądów na siebie nawzajem, a możliwe, że przewidywaliśmy kłótnię, którą ta forma zazwyczaj ułatwia. Można krzyknąć "ty świnię" w drugiej osobie liczby pojedynczej, nie sposób krzyknąć to tak samo w jakiegokolwiek innej osobie innej liczby. Jakby nie było, to "ty" wyszło jakoś samo z siebie.

Zaśmiał się szatańsko, podszedł do stolika, nalał sobie whisky i usiadł naprzeciwko mnie.

- Może wymyślimy coś pośredniego? - zaproponował. - Każde z nas dysponuje czymś, na czym temu drugiemu zależy. Ty masz w ręku moje pieniądze, ja mam w ręku twoje życie. Zgadza się?

Kiwnęłam głową.

- I co najśmieszniejsze, nic nam z tego nie przyjdzie - powiedziałam zgryźliwie. - Ty, zabijając mnie, tracisz forszę. Ja, siedząc na twojej forszce, tracę życie. Widzisz jakieś rozwiązanie? Bo ja nie.

- Ja widzę kilka. Z początku nawet myślałem, żeby cię po prostu przyjąć do spółki, ale to na nic. Masz za dużo powiązań, nie mogę ci ufać. Zamierzałem cię oszukać, ale widzę, że też nie wyszło. Kiedy się zorientowałaś?

- Już w czasie drogi, ale miałam nadzieję, że się mylę. Na dziedzińcu przekonali mnie ostatecznie.

Skrzywił się, patrząc na mnie z rosnącym obrzydzeniem.

- Tak podejrzewałem, że z tym niemieckim robisz jakiś szwindel, ale moi podwładni to idioci. A tak między nami... jakiego języka naprawdę nie rozumiesz?

- Duńskiego - odparłam z satysfakcją. - Jedną z nielicznych pewnych rzeczy jest to, że nie nauczę się go nigdy w życiu. A teraz zawiadamiam cię, moje słodkie kochanie, że jak mi nie dasz jeść, to pluję na tę całą konwersację i odmawiam wszystkiego. Cholera mnie bierze na ciebie i na siebie. Nic ze mnie nie wydoisz, bo jestem zniechęcona do egzystencji. Możesz mnie zabić zaraz i nie zwracaj mi głowy.

Wrogi upór widocznie buchał ze mnie ogniście, bo przyjrzał mi się, uśmiechnął się z drwiącym zadowoleniem i przycisnął jakiś guzik. Rozległ się cichy brzęczek.

- Obiad dla pani - powiedział w przestrzeń i po chwili ze ściany wyjechał stół, zastawiony posiłkiem.

Byłam głodna i wściekła, z ponurą furią wpatrywałam się w pełne żarcia talerze, a on przyglądał mi się z błyskiem ironicznego zaciekawienia w oku. W momencie kiedy sięgnęłam po nakrycia, nagle odsunął stół ode mnie.

Zastygłam w bezruchu i spojrzałam na niego.

- O, przepraszam - powiedział z nieopisanie złośliwą uprzejmością i przysunął stół na powrót. Opanowałam się, ujęłam widelec i w tym momencie stół znów odjechał.

Zabawa w odbieranie kości głodnemu psu była dla mnie przez całe życie najwstrętniejszą rzeczą ze wszystkich, jakie potrafi wymyślić małpia złośliwość. Moja do-

prowadzona do ostateczności dusza doszła do głosu. Z zimną furią, z pełną świadomością tego co robię, przestałam panować nad sobą.

Przed widelcem, który miałam w ręku, udało mu się uchylić, ale na nic więcej zareagować nie zdążył. Za daleko, ode mnie siedział, żebym mogła wszystkie półmiski rozbijać mu bezpośrednio na głowie, poleciała więc tylko w jego stronę ich zawartość. Bez słowa, ale za to z imponującym rozmachem demolowałam wszystko, cokolwiek miałam w zasięgu ręki, w miarę możliwości celując w przeciwnika. Przytomnie nie usiłował mnie powstrzymać, zdając sobie widocznie sprawę z tego, że równie dobrze mógłby powstrzymać rozpędzoną lokomotywę. Posługiwał się tylko tacą w charakterze tarczy, ale nawet nie wstał z fotela i w ogóle całe to dantejskie piekło zniósł zdumiewająco spokojnie. Na zakończenie dolałam sobie do szklanki wody z syfonu, po czym uniosłam syfon i z całej siły trzasnęłam nim w marmurową donicę z kaktusami. Efekt tego epilogu zadowolił mnie ostatecznie, usiadłam na powrót na fotelu, wypilałam nieco wody, a resztą zniecka chlusnęłam na niego.

- Twoje zdrowie - powiedziałam mściwie.

Z kamiennym spokojem wyciągnął z kieszeni chusteczkę, wytarł twarz, strząsnął z marynarki szczątki różnych artykułów spożywczych i przycisnął guzik.

- Drugi obiad dla pani - powiedział w przestrzeń. - I niech tu ktoś posprząta.

Odwrócił się do mnie i dodał:

- Właśnie czegoś takiego się po tobie spodziewałem. To ładnie z twojej strony, że nie zawiódłś moich oczekowań.

- Nawzajem - odparłam wzgardliwie i przez dziesięć minut siedzieliśmy w milczeniu, obserwując wysiłki dwóch usuwających pobojowisko facetów. Stół z obiadem wjechał ponownie i przystąpiłam do spożywania produktów, całkowicie zdecydowana zabić go, gdyby się jeszcze z czymś wygłupił.

Nadal milczał, patrząc mi w zęby, co mnie okropnie drażniło, pod koniec zaś powiedział:

- Nie żałuj sobie. Możliwe, że to ostatni obiad w twoim życiu. A w każdym razie taki obiad...

Wzruszyłam ramionami, nie zniżając się do udzielania odpowiedzi i zastanawiając się, co to bydlę wymyśliło. Jadowita substancja skapywała z jego słów i aż dziw brał, że nie przepalała dywanu na podłodze. Niechęć, przepelniająca cały mój organizm,

zaczynała się przekształcać w nienawiść. I pomyśleć, że miałam przed sobą przystojnego blondyna! Ta wróżka była chyba nienormalna...

Kawa została dostarczona tą samą bezosobową metodą i na nowo podjęliśmy pogawędkę. Po likwidacji pierwszego obiadu i zaspokojeniu głodu wpadłam w nieco lepszy humor. Zażądałam wyjaśnień, jakim sposobem na mnie trafili. Opowiedział mi to bardzo chętnie i bez żadnych oporów, widocznie myśl, że dostał mnie w ręce, również wprawiła go w lepszy humor.

- Ja sam nie przypuszczałem, że cię diabli wynieśli na ocean - ciągnął, opisawszy poprzednio, co działo się w rezydencji po moim zniknięciu. - Domyślałem się, że ta twoja niechęć do wody była symulowana, ale nie byłem pewien. Dopiero ten statek, który usiłowałaś przedziurawić...

Słusznie uważałam ową przeszkodę na prostej, morskiej drodze za odrażającą kobyłę! Między innymi płynął tym jakiś idiota dziennikarz, który, zachwycony sensacją, podyktował przez radio swojej redakcji atrakcyjny artykuł o szarzy jachtu "Stella di Mare" na Bogu ducha winien pasażerski statek. Nazajutrz zamieścili nawet zdjęcia, na których machałam ręką z rufy, przy czym dodatkową sensację stanowił brak jakiegokolwiek flagi na moim maszcie. Do faceta, który wziął trzysta dolarów za ropę, dotarli w dwa dni po mnie. Następnego dnia odnaleźli mnie już za Wyspami Kanaryjskimi.

- Nie miało sensu zatrzymywać cię na wodzie, mogłabyś się utopić, a to byłoby przedwcześnie - kontynuował z gryzącą uprzejmością. - Zresztą, nie ma na świecie jednostki, która mogłaby dogonić ten jacht. Czekaliśmy na ciebie wzdłuż wybrzeża, gdzieś przecież musiałaś wylądować. Patrowaliśmy helikopterem ląd i morze. Zniszczyłibyśmy ci jacht tylko w wypadku, gdybyś płynęła do Kopenhagi, ale to było mało prawdopodobne, bo miałabyś trudności w kanale la Manche. Mogłaś jeszcze zniknąć nam z oczu zaraz po wylądowaniu, to by stworzyło trochę kłopotów, na szczęście jednak poczekałaś uprzejmie na mojego człowieka. To było bardzo ładnie z twojej strony.

- Żebyście pękli - powiedziałam z całego serca i zapaliłam papierosa. - Gliny mnie nie szukają?

- Szukają, oczywiście - odparł obojętnie. - Ale sama rozumiesz, ile myśmy mieli for. Są co najmniej o tydzień w tyle.

- Kiedyś mnie przecież znajdą.

- Bądź spokojna, że nie!

- No dobrze - zauważyłam krytycznie po chwili milczenia. - Ale wyjaśnij mi uprzejmie, skąd ten upór w nastawianiu na moje życie? Przecież gdyby nie to, nikt z nas nie miałby tych kłopotów. Dlaczego, u diabła, od samego początku zdecydowaliście się mnie zabić?

- Nie my - powiedział gniewnie. - Mnie przy tym nie było. Moi ludzie, przyznaję, trochę stracili głowę i nie mieli innego wyjścia. Myśl logicznie. Gdyby nie to zamieszanie w lokalu i interwencja policji... Gdyby mieli odrobinę czasu, żeby się z tobą porozumieć i dowiedzieć się, co Bernard do ciebie powiedział, nie budząc w tobie żadnych podejrzeń, nikt by cię nie zabijał. Przesiedziałybyś w jakimś zamknięciu parę dni i wyszłybyś na wolność nie mając pojęcia, kto cię uwięził i dlaczego. Niestety, policja stała w drzwiach i trzeba było natychmiast cię stamtąd zabrać. No, a zaraz potem zaczęłaś za dużo wiedzieć.

- Zaraz - przerwałam niechętnie. - Po cholere miałabym siedzieć w zamknięciu?

Wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem.

- Zupełnie głupia jesteś. Ja nie mogę ryzykować. Policja wyciągnęłaby z ciebie słowa Bernarda już następnego dnia. Wystarczyłby jakiś drobny błąd, nasze nieprzewidziane potknięcie i na podstawie informacji od ciebie mogliby trafić do miejsca ukrycia pieniędzy. Już i tak dosyć szkody mi narobili.

- I ty sobie wyobrażasz, że ja ci teraz wszystko powiem, odbierając sobie ostatnią szansę przeżycia? - spytałam z politowaniem. - Doprawdy nie wiem, kto z nas ma gorzej w głowie...

- Na ten temat jeszcze porozmawiamy - przerwał mi niecierpliwie. - No, ślicznotko moja, przystępujemy do rzeczy. Pamiętasz, co mówił nieboszczyk?

- Każde słowo - odparłam i teraz jad skapywał ze mnie. - W uszach mi stoi. Okropnie mnie ciekawi, gdzie jest to miejsce. Nawet nie wiem, czy nie bardziej niż ciebie.

Oparłam się wygodnie w fotelu i przyglądałam mu się z mściwą satysfakcją. Między nami trwała wojna na noże. O jakimkolwiek zawieszeniu broni mowy być nie mogło. Przyglądał mi się również ze zmarszczonymi brwiami i niechęcią w oczach, zastanawiając się nad czymś, po czym wstał z fotela i podszedł do ściany. Na ścianie wisiała imponującej wielkości abstrakcja, znakomita kolorystycznie, oprawiona w bardzo grube, proste ramy. Położył rękę na ramie z lewej strony i odwrócił się do mnie.

- Mogę zaspokoić twoją ciekawość - powiedział szyderczo. - Tyle wiesz, że możesz wiedzieć i resztę. Chodź tu, znajdziesz sobie to miejsce. Ja go nie znam, ale tobie będzie stało już nie tylko w uszach, ale i w oczach. Będziesz się czuła ważniejsza. Przyjrzyj się.

Górna, pozioma rama oddzieliła się od reszty, coś cicho prztyknęło i na cały obraz spłynęła olbrzymia mapa świata. Na mapie naniesiono drobną kratkę, w której wyraźnie zaznaczyły się południki i równoleżniki. Wszystkie linie kratki razem z południkami i równoleżnikami były ponumerowane zupełnie bez sensu, nie w kolejności, przy czym linie pionowe oznaczono liczbami, a poziome literami, jedne pojedynczymi, inne podwójnymi, dużymi i małymi pomieszany razem. Od razu wpadł mi w oko równik, który nosił nazwę TR. Zerowy południk, ten przechodzący przez Londyn, miał numer 72. Linie obok niego oznaczone były liczbami 11, 7 i 24. Oprócz oznakowania kratki podane też były odległości skrzyżowania linii od rozmaitych punktów orientacyjnych, istniejących w terenie.

W mgnieniu oka zrozumiałam znaczenie liczb, podanych przez konającego i równie szybko postanowiłam sprawdzić, jak musiałabym oznaczyć miejsce, gdzie znajdują się mało znane, ale bardzo interesujące grotty na Malinowskiej Skale w pobliżu Wisły. Jasne było przecież, że ten dowcipny łajdak pokazuje mi mapę z nadzieją, że zachłannie rzucę się na jego kryjówkę, a jemu wystarczy tylko pilnować, gdzie patrzę.

Oka ze mnie nie spuszczał, kiedy znalazłam sobie Kraków, potem Cieszyn, potem mamrocząc pod nosem ustaliłam, że musiałabym się posługiwać południkiem numer sto dwadzieścia dwa i równoleżnikiem W jak Wanda, ale przy sprecyzowaniu ilości metrów napotkałam trudności, bo sama dobrze nie pamiętałam, gdzie te grotty leżą. Uspokoiliłam się w kwestii grot, przeniosłam się w Rodopy, moim zdaniem bardzo dobre do chowania rozmaitych rzeczy, z wielką uwagą przejechałam nosem po wszystkich greckich wyspach, lekceważąco potraktowałam Alpy, obejrzałam Pireneje i opuściłam Europę. Miałam nadzieję, że przy Pirenejach nic mi nie błysnęło ani w oku, ani nigdzie.

- Dość! - powiedział nagle, kiedy z szalonym zajęciem badałam Kordyliery. - Wiesz już, gdzie są moje pieniądze prawda? Ja też wiem, że w Europie, możesz się przestać wygłupiać.

Za najwłaściwsze uznałam wyniosłe milczenie. Przyjrzałam się, jak mapa wionęła ku górze i rama obrazu wróciła na swoje miejsce. Podeszłam do okna. Widok był przepiękny i sytuacja wewnątrz stanowiła z nim niemiły zgrzyt.

- Dobra jesteś - powiedział z nienawistnym uznaniem. - Nie szkodzi, spróbujemy inaczej...

Tego nie przewidziałam. Najpierw utrwalił w moim umyśle miejsce, o które mu chodziło, a potem zaczął wyciągać to ze mnie metodą naukową. Popadłam w niejaką rozterkę, bo z jednej strony bałam się panicznie wszelkich urządzeń elektrycznych, a z drugiej już dawno marzyłam o zapoznaniu się z wykrywaczem kłamstw. Byłam jednakże pewna, że nie uczynię nic takiego, od czego mogłabym stracić zdrowie i pamięć, nie protestowałam więc, kiedy zaprowadzili mnie do pokoju, wyglądającego jak laboratorium, gabinet lekarski i rozdzielnia w elektrociepłowni razem wzięte. Pozwoliłam się podłączyć do sieci, zadowolona z panicznego strachu, który wypierał wszelkie inne uczucia z obawą zdradzenia tajemnicy włącznie.

Na głupie wynalazki znalazłam sposób od razu. Zaparłam się zadnimi łapami i już w trakcie przygotowań wmówiłam w siebie, że bandycki skarb ukryty jest w grotach na Malinowskiej Skale. Żadne lepsze miejsce nie przyszło mi do głowy i powtarzałam to sobie tak uporczywie, że sama w to święcie uwierzyłam. Zabawa polegała na tym, że nie żądali ode mnie żadnych odpowiedzi; tylko wymieniali różne miejsca i rejestrowali elektrycznie wrażenie, jakie to na mnie robiło. Malinowską Skalę wbiłam sobie do głowy na mur. Oczywiście duszy widziałam każdy jej kawałek, każde miejsce, zarówno spośród tych, które znałam, jak i spośród tych, o których tylko słyszałam. Wyobraźnię na szczęście mam i jak na dłoni pojawiały się przede mną kolejno: płaski kamień na łagodnym zboczu, stanowiący wejście, olbrzymie, ociekające wodą głązy pionowego komina, ciasne wejścia do bocznych korytarzy, dolny korytarz, czarny i -nieskończenie długi, podziemne jezioro... Na samym dole nie byłam, jeziora w naturze nigdy nie widziałam, ale tam właśnie wymyśliłam sobie miejsce ukrycia skrzynek z diamentami i złotem. Pasowało to do siebie o tyle, że skrzynek z diamentami też nigdy w życiu nie widziałam.

Na Malinowską Skalę nie trafili, z tego zapewne powodu, że nigdy nie słyszeli o jej istnieniu i wskaźniki elektryczne pokazały jak byk, że nic na mnie wrażenia nie robi. Wyszło im, że z początku byłam zdenerwowana, a potem się uspokoiłam. Jasne, że się uspokoiłam, stwierdziwszy, że nic się nie dzieje i żaden prąd przeze mnie nie przelatuje.

Wróciliśmy do gabinetu.

- Chyba zidiociałeś, mój koteczku - powiedziałam z niesmakiem. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak ja się śmiertelnie boję prądu elektrycznego? Mogłam od tego zwariować, stracić pamięć i chciałabym wiedzieć, co by ci z tego przyszło?

- Liczyłem na twoją zadziwiającą odporność - odparł drwiąco. - A teraz, słodka perełko, liczę na twój rozsądek. Wiesz, gdzie jesteś?

- Mniej więcej. Bo co?

- Pokażę ci coś jeszcze.

Kiwnął na mnie i podszedł do ściany w innej części komnaty. Ściana była wyłożona kamieniem, wielkimi, z grubsza tylko ociosanymi blokami. Przykucnął i nacisnął jeden z kamieni nad sama podłogą. Dwa razy z lewej strony, raz z prawej i znów z lewej. Patrzyłam ciekawie, co z tego wyniknie.

Podniósł się i czekał kilka sekund. Jeden z kamieni na poziomie mojej twarzy wysunął się lekko ze ściany, powoli i bez szmeru, po czym otworzył się na kształt drzwiczek. W głębi za nim znajdowały się prawdziwe, stalowe drzwiczki, widoczne tylko w połowie, a na nich tarcza z numerami. Przekręcił zero. Kamień poniżej drgnął, wysunął się i też otworzył. Przedemną widniała szafka w głębokiej wnęcie o wymiarach około metr dwadzieścia na sześćdziesiąt centymetrów.

- To jest moje sanktuarium - wyjaśnił uprzejmie. - Otwiera je liczba dwadzieścia osiem sto dwadzieścia jeden. Zapamiętasz?

Wykręcił na tarczy 28121 i szafka stanęła otworem. Wewnątrz leżało dużo papieru, w tym także paczki banknotów.

- Podobno życzyłaś sobie dostać trzydzieści tysięcy dolarów w charakterze odszkodowania za straty moralne? - ciągnął dalej, odwracając się ku mnie. Stał przy otwartej szafce, oparty łokciem o kamień obok niej i przyglądał mi się z jadowitą odrazą.

- Tu jest więcej. Co najmniej pięćdziesiąt tysięcy. Należą do ciebie, pod warunkiem, że weźmiesz je sobie sama...

Oderwał się nagle od ściany, przeszedł do pierwszej części pomieszczenia i zebrał moje rzeczy. Zajrzał do torby.

- Co tu masz? Dokumenty, pieniądze, zwykle, babskie śmieci...

Pieczołowicie ulokował torbę w szafce, sięgnął po siatkę, obejrzał atlas, słownik, plastikowy worek z szalem i inne drobiazgi. W oczach błysnęła mu jakaś myśl, wyjął worek z szalem, a resztę ustalił ładnie obok torby. Zamknął szafkę.

- Otwórz - polecił mi.

W środku kotłowały mi się rozmaite uczucia, ale posłusznie spełniłam polecenie. Wykręciłam numer dwadzieścia osiem sto dwadzieścia jeden, żaden prąd mnie nie złapał i szafka znów stanęła otworem.

- Widzisz, jakie to łatwe? - spytał, a w głosie jego brzmiała krwawa drwina. Potrzebna ci jest tylko jedna drobnostka: wolność.

- Na razie jestem wolna - powiedziałam zimno.

- Już niedługo - odparł złowieszczo.

Zamknął szafkę, zamknął kamienie i gestem zaprosił mnie do sąsiedniej części. Milczałam, zastanawiając się, czy już przystąpić na nowo do demolowania wnętrza, czy jeszcze pozwolić rosnąć furii.

- Co to jest? - spytał, potrząsając plastikowym workiem.

- Szal - odparłam z kamienną uprzejmością. - Z białego acrylu. Innymi słowy moja robótka.

- Aha, robótka. Ręczne robótki są szalenie pożyteczne i dobrze robią na nerwy. Robótkę dostaniesz... Zastanawiał się przez chwilę.

- A teraz porozmawiajmy poważnie. Coś ci powiem i to, co powiem, będzie wiążące. Nie zostaniesz zabita. Sam rozumiem, że to żaden interes dla ciebie powiedzieć mi wszystko po to, żeby zaraz potem zginąć. No więc dobrze, nie zginiesz...

- Chyba masz źle w głowie - przerwałam mu pogardliwie. - Wyobrażasz sobie, że w to uwierzę? Cierpię twoim zdaniem na niedorozwój umysłowy? Pokazujesz mi to wszystko po to, żeby mnie utwierdzić w mniemaniu, że zaraz potem, jak ci powiem, wyjdę stąd bez przeszkód, wolna jak dzika świnia na ostrym zakręcie, co?

- Przeciwnie - odparł spokojnie. - Pokazuję ci to, żebyś wreszcie pojęła, że nie wyjdiesz stąd nigdy. Stąd, czy z jakiegokolwiek innego miejsca. Zależy mi na informacjach od ciebie i gotów jestem dużo dla ciebie zrobić. Mogę ci stworzyć życie jak w raju, będziesz miała nawet kontakty z ludźmi. Tyle że to będą moi ludzie. Trudno, moja droga, traci się czasem w katastrofie rękę albo nogę, albo wzrok, ty straciłaś wolność. Smutny przypadek, nic innego. Różnica będzie polegała na jakości twojej niewoli.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie krytycznie.

- Myślę, że będziesz musiała szybko się zdecydować. Nie masz już osiemnastu lat. Pewne zmiany mogą się stać nieodwracalne, na przykład siwizna...

- W siwych włosach było mi zawsze szalenie do twarzy - przerwałam jadownicę.

- Nie wiem, czy będzie ci tak samo do twarzy bez zębów - odparł natychmiast. - Nie przerywaj. Słuchaj. Znam cię lepiej, niż sądzisz, i doskonale wiem, że wszelki przymus fizyczny, jakieś tortury czy coś w tym rodzaju wywołałoby u ciebie tylko to, że zacięłabyś się w tej swojej wściekłej furii. Wolę ci dać czas na zastanowienie się, co wolisz. Masz do wyboru tylko jedną z dwóch możliwości: być uwięziona w bardzo złych warunkach albo być uwięziona w bardzo dobrych. Jak wyglądają dobre warunki, mniej więcej wiesz, chociaż zapewniam cię, że stworzę ci lepsze niż wszystko, cokolwiek w życiu oglądałaś. Jak wyglądają te złe, przekonasz się sama. No i sama podejmiesz decyzję. Ja poczekam...

Bezgraniczna, jadowita ironia, jaka zabrzmiała w tych ostatnich słowach, napełniła mnie zupełnie poważnym niepokojem. Co ten łajdak wykombinował? W dyby mnie chce zakuć czy co? I w ogóle co za bzdury głądzi, jaka niewola? W dzisiejszych czasach w cywilizowanych krajach, pod nosem policji?... Zawracanie głowy, dosyć mam już tej głupiej komedii!

Poczułam się zmęczona wydarzeniami. To wszystko przecież nie ma żadnego sensu. Musimy wreszcie dojść do jakiegoś porozumienia i przestać robić sobie wzajemnie na złość. Szkoda życia na idiotyzmy.

- Słuchaj, przestań się wygłupiać - powiedziałam z niechęcią. - Co mnie w końcu obchodzą twoje pieniądze, udław się nimi. Daj mi święty spokój i odczep się ode mnie, to ci powtórzę, co nieboszczyk powiedział.

- To mów!

- A chała! Nie zaraz. Nie wierzę ci. Daj mi spokój na trzy miesiące. Przez trzy miesiące przekonasz się, że nie trzaskam głową na prawo i na lewo i że nikt nic nie wie. A ja się przekonam, czy ty się odczepiłeś.

- Oszalałaś? - przerwał z niesmakiem. - Mówisz brednie. Policja cię przydusi pierwszego dnia!

- Zełgam cokolwiek. Trzasnęliście mnie w łeb i straciłam pamięć. Nawet z nazwiskiem mogę mieć kłopoty.

- Nonsens - powiedział po chwili wzruszając ramionami. - Chyba zgłupiałaś. Mówmy jasno: teraz mi nie wierzysz. A za trzy miesiące to co? Narodzi się w tobie nowa wiara? Jaką masz gwarancję, że cię nie załatwię za trzy miesiące?

- Sam będziesz, kwiatuszku, dbał o moje długie życie. Złożę u notariusza testament, w którym cię opiszę. Otworzyć... po mojej śmierci...

- A nie, to wykluczone. Wpadniesz pod samochód i co?

- Ty też możesz wpaść pod samochód, kto ci zabroni? Zresztą mogę napisać - otworzyć po mojej podejrzanej śmierci.

Przyjrzał mi się z wyraźnym wstrętem i pokręcił głową.

- Powiem ci szczerze, że łatwiej mi będzie dbać o twoje życie, jak cię będę miał pod ręką. I w ogóle mój sposób wydaje mi się lepszy. Wypróbujemy go najpierw. Ciekawe, swoją drogą, kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie masz żadnego wyjścia. Tego, co wiesz ty, nie wie nikt na świecie. Policja mnie nie zna, nie umieją do mnie dotrzeć. Nie wystarczy wiedzieć o przestępstwie, trzeba je jeszcze udowodnić. Ja mam osiemnaście nazwisk i cztery obywatelstwa, nikt nie wie, kim jestem naprawdę i co robię. Ty ich możesz naprowadzić na mój ślad, przez ciebie będę miał zatrute życie, uniemożliwioną pracę. Nie, moja kochana, niech ci wystarczy, że ci daruję życie. Jesteś dla mnie wiecznym mieczem Damoklesa...

- Taki jesteś nerwowy? - zdziwiłam się uprzejmie, bo przez jego gadanie znów zaczęłam tracić zdrowy rozsądek. - Myślałam, że w twoim zawodzie...

- Koniec. - powiedział, podnosząc się nagle, zły i zniecierpliwiony. - Dostyc tego głędzenia. Udasz się teraz do apartamentu, który opuścisz dopiero, jak powiesz. Służę ci - dodał z ukłonem. - Robótkę możesz zabrać.

- Jak uważasz - odparłam zimno. - Chcesz wojny, będziesz miał wojnę.

- Idiotka! Wojna ze mną!...

Jego szyderczy śmiech dźwięczał mi w uszach, kiedy w towarzystwie trzech gorylowatych facetów schodziłam po schodach w dół. Nie szarpałam się z nimi, chociaż kotłująca się we mnie furia zdołałaby chyba zmieść z powierzchni ziemi cały ten zamek. Co za kretyn! Odrażający, nadęty, zarozumiały, pewny siebie bufon! Ja mu jeszcze pokażę!...

Przytomnie, chociaż z dziką wściekłością pomyślałam, że pewnie mnie teraz gdzieś zamkną. Niewątpliwie będę stamtąd usiłowała uciec i lepiej, żeby przy tych wysiłkach dysponowała pełnią zdrowia. W trakcie demolowania budynku mogliby mi na przykład przetrącić rękę albo co, w pierwszej chwili nawet bym tego nie zauważyła, a potem by mi przeszkadzało. Nie, żadnych uszkodzeń!

Schodziłam więc bez oporów, ściskając w rękę plastikowy worek, w dół i w dół, i w dół. Po drodze zdołałam zauważyć, że znajdujemy się w tej większej, okrągłej wieży. Wszelkimi siłami pilnowałam, żeby nie stracić poczucia kierunku, chociaż kręcone schody wybitnie mi w tym przeszkadzały. Policzyłam stopnie jednego biegu pomiędzy podestami.

Nowocześnie wyposażony zamek skończył się już dawno i to coś, w czym się znajdowałam, w pełni zasługiwało na miano lochów. I to lochów mocno zaniedbanych. Goryłowaci faceci z trudem otworzyli jakieś drzwi, myślałam, że ujrzę wreszcie moją celę, ale dalej był mały korytarzyk i znów schodki. Teraz liczyłam je starannie, siedemnaście i siedemnaście, razem trzydzieści cztery. Schodki były na pół zrujnowane, bez żadnej poręczy, nad wyraz niewygodne. Pod schodkami znajdowały się następne drzwi, bardzo małe, wykonane z jednej płyty kamiennej, zawieszanej na potwornych wrzeciędzach. Żeby je otworzyć, trzeba było usunąć jakieś żelastwa, jakieś kamienie, widać było, że ostatni raz otwierano je ze trzysta lat temu. Jeden facet mnie pilnował, a dwóch naparło na drzwi, które stawiały wyraźny opór. Otwarły się wreszcie, z okropnym zgrzytem szurając po kamiennej posadzce.

Nie, jednak nie weszłam tam dobrowolnie. Zostałam wepchnięta. Za mną wstawiono średniowieczny, oliwny kaganek i trzech faceci wspólnymi siłami pociągnęli drzwi ku sobie. Usłyszałam jeszcze szcęk i zgrzyt wrzeciędzów, na które założyli kłódkę, co wydało mi się idiotyczną przesadą. Nie zdołałabym tych drzwi otworzyć nawet, gdyby tam nie było żadnego zamknięcia. Pomijając kwestię sił fizycznych, trzeba by je było ciągnąć, a absolutnie nie było za co. Twórca tej komnaty nie przewidział możliwości otwierania jej od wewnątrz.

Pomyślałam, że teraz powinnam się wreszcie obudzić z tego koszmarne snu. To wszystko razem było zbyt okropne, żeby w ogóle mogło się przytrafić. Nie, to wykluczone! Taki kretyński, średniowieczny nonsens ,był po prostu niemożliwy. Wymyśliłam to sobie albo mi się śni, albo też jest to jakiś głupi dowcip. On zwariował, ten półgłówek, nie zamierza chyba rzeczywiście mnie tu trzymać!

- Hej, ty! - zahuczało mi nagle nad głową.

Oczy powoli przyzwyczajały mi się do ciemności, nieznacznie rozpraszanych przez nędzny kaganek. Podniosłam go i spojrzałam w górę. Gotyckie sklepienie opierało się na

olbrzymim zworniku, w środku którego widniała dziura, zionąca czarną głębią. Nie miała więcej niż jakieś dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć centymetrów.

- Hej, ty! - zawyło znowu z dziury.

- Czego?! - wrzasnęłam z wściekłością ku górze.

- Jak ci się podoba nowy apartament?

Poznałam głos tego łajdaka i coś mi w środku zaskoczyło. Jeśli sądził, że zacznę nagle skamleć i żebrać o litość, to się w życiu tak nie pomylił!

- Prześliczny! - ryknęłam pełną piersią. - Lubię wysokie groby!

Z czarnej czeluści dobiegł drwiący śmiech.

- To jest cela skazanych na śmierć głodową. Słyszysz?

- Słyszę! Bardzo się cieszę, całe życie się odchudzałam!

- Posiedzisz tu tak długo, aż się namyślisz! Jeść dostaniesz, nie bój się! Jak ci się znudzi, to mnie zawiadom! Przyjemnych rozmyślań!

- Pocałuj mnie w tyłek! - wrzasnęłam w odpowiedzi, bo już mi się znudziły te wersalskie uprzejmości. Nad sobą usłyszałam śmiech i wszystko ucichło.

Z kagankiem w ręku obejrzałam pomieszczenie. Osłupienie, które mnie ogarnęło, przygłuszyło nawet furię. Loch był nieduży, nieregularny, miał mniej więcej pięć na sześć metrów, kamienne ściany i kamienną, posadzkę. W jednym kącie leżało coś, co po namyśle uznałam za kompletnie przegniłą słomę, w drugim poniewierały się ... jakieś gnaty, możliwe, że ludzkie, w trzecim leżały dwa bardzo duże kamienie, na których dało się usiąść. Usiadłam zatem na jednym, na drugim postawiłam kaganek, i zapatrzyłam się w ściekającą zewsząd wodę, usiłując jakoś otrząsnąć się ze zgrozy.

To więc miał na myśli mówiąc, że będę musiała szybko podjąć decyzję! Istotnie, pewna słuszność w tym była. Niewiele czasu potrzeba, żebym tu dostała reumatyzmu, szkorbutu i obłądu. Oprócz tego grozi mi jeszcze anemia, utrata wzroku, niedotlenienie i kołtun. Jak te przyjemności razem na mnie spadną, to już potem będzie mi wszystko jedno.

Myśl o kołtunie zdenerwowała mnie najbardziej. Nie, to było doprawdy niemożliwe! Nie znoszę kretyńskich dowcipów, a ten swoją głupotą przeszedł wszelkie granice! Ten idiota musiał mnie jakoś oszukać, chciał mnie przestraszyć, z pewnością istnieje stąd jakieś proste i łatwe wyjście, które pokaże mi z drwiącym śmiechem, jak się

załamie. A guzik z pętelką! Nie dam z siebie zrobić balona! Nie wierzę, że tu siedzę, i koniec!

Po paru godzinach moja kategoriyczna niewiara zaczęła nieco blednąć. Gdzieś wysoko, ileś tam pięter nade mną, zapadła głęboka noc, normalni ludzie spali w normalnych łózkach, oddychali zwyczajnym, świeżym powietrzem, a ja siedziałam jak wybrakowana ofiara losu na mokrym, twardym kamieniu, w odrażającym, ciemnym, dusznym, ociekającym wodą lochu, kostniałam w przenikliwej wilgoci i nic nie wskazywało na to, żebym miała stąd wkrótce wyjść!

Bezmyślnie nakręciłam zegarek, który mi zostawiono widocznie po to, żebym nie przeoczyła upływu czasu. Kolejno zdążyłam popaść w przygnębienie, panikę, furię i apatię. Apatia sprawiła, że zasnęłam na tym kamieniu, oparta o ścianę, po czym obudziłam się zmarznięta, zeszywniała, z odgniecionymi różnymi częściami ciała, z uczuciem, że już mi zaczynają wypadać wszystkie zęby i włosy oraz z myślą o szczurach. Wiedziałam, że czegoś tu brakuje, oczywiście, szczurów! Powinny być. Dlaczego nie ma? Gdyby były, to już by wylazły.

Jakiś czas rozmyślałam nad tym, jak długo szczur może żyć bez pożywienia, i doszłam do wniosku, że widocznie wszystkie zdechły co najmniej sto lat temu. Możliwością wpuszczenia mi tu jakiegoś nie przejęłam się zbytnio, stanowią bowiem osobliwy wyjątek wśród kobiet. Nie boję się ani myszy, ani szczurów. Znacznie bardziej zde gustowałaby mnie obecność najmniejszego bodaj zaskrońca.

Zegarek wskazywał szóstą. Musiała to być szósta rano, bo niemożliwe, żebym przespała na tym kamieniu trzy czwarte doby. Wykonałam kilka ćwiczeń gimnastycznych, usiłując usunąć chociaż częściowe uczucie połamania na drobne kawałki i nieco się rozgrzać. Sam widok tej ściekającej z cichym szmerem wody wystarczał, żeby człowiekowi robiło się zimno!

Nie miałam absolutnie nic do roboty, co stanowiło sytuację obcą mojej duszy i mojemu charakterowi. Jedyne miejsce, gdzie mogę nie mieć nic do roboty i być z tego zupełnie zadowolona, to wybrzeża Morza Śródziemnego, których ten apartament raczej nie przypominał. Wszędzie gdzie indziej coś mnie pcha i coś mnie zmusza do byle jakiej aktywnej działalności. Na wołowej skórze by nie spisał głupot, które popełniłam tylko dlatego, że upierałam się koniecznie coś zrobić.

Teraz mogłam tylko siedzieć na tym kamieniu i patrzeć bezmyślnie w mrok przed siebie, względnie latać wzdłuż pomieszczenia od ściany do ściany. Wiadomo powszechnie, że tak jedna, jak i druga czynność znakomicie przyspieszała popadnięcie w obłąd rozmaitych więźniów. Popadnięcie w obłąd było całkowicie sprzeczne z moimi zamiarami, wobec czego zaczęłam myśleć.

Antypatyczny łobuz postanowił zapewne przetrzymać mnie jakie trzy dni i zobaczyć, czy skruszeję. Pomyliło mu się z gęsią za oknem. Trzy dni to nie wieczność i przez trzy dni na pewno nie dostanę żadnej nieuleczalnej choroby. Przetrzymamy sobie te trzy dni i zobaczymy, co będzie dalej. Na razie zaś trzeba się zająć jakąś pracą; żeby czas szybciej leciał. Z dostępnych mi zajęć spacer po lochu i bezmyślne gapienie się przed siebie zdecydowanie odpadają, innymi słowy wykluczona jest praca fizyczna. Poświęćmy się zatem umysłowej.

Podłożyłam sobie za przeproszeniem pod tyłek plastikowy worek, na nie dokończonym szalu nawet się dość miękko siedziało, oparłam się o ścianę i zaczęłam sobie wyobrażać zamek. Drogę, która mnie doprowadziła do tych ponurych kazamatów, pamiętałam bardzo dobrze. Naprzeciwko mnie znajdowały się drzwi. Za drzwiami trzydzieści cztery strome schodki, zakręcające w prawo, na górze korytarzyk, który także od tej strony patrząc, zakręcał lekko w prawo. Wszystko kręciło się dookoła wieży. Wnioskując z niewygody schodków, można przyjąć ich wymiar na jakieś dwadzieścia osiem centymetrów. Dwadzieścia osiem razy trzydzieści cztery to jest siedemset trzydzieści sześć. Przeszło siedem metrów, tu jest tej wysokości do zwornika siedem metrów?...

Do wysiłków umysłowych dołączyły się jednak fizyczne. Podniosłam kaganek i zaczęłam mierzyć wysokość pomieszczenia. Całe życie miałam rozpiętość palców u prawej ręki równe dwadzieścia centymetrów, a przy tym wiedziałam dokładnie, w którym miejscu na ramieniu wypada mi metr przy wyprostowanej dłoni. Wyciągnęłam z worka kawałek acrylu i zawiązałam supełek na metrze, co bardzo ułatwiło pracę. Po krótkim czasie stwierdziłam, że zakręcający korytarzyk znajduje się powyżej mojego sklepienia, zaś grubość zwornika wynosi około metr dwadzieścia. Kobyła, nie zwornik!

Następnie zaczęłam sobie odtwarzać schodki wyżej. W jednym biegu było ich dziesięć. Ile mogły mieć? Jakies dwadzieścia do dwudziestu trzech centymetrów, nie więcej, zwyczajne schody do piwnicy. Przyjmijmy krakowskim targiem dwa dwadzieścia

na jeden bieg, biegów było sześć, przedtem jeszcze były pierwsze schody, prowadzące z parteru budynku wprost do wieży, tam było czternaście stopni, ale odrobinę wygodniejszych, zaraz, ile to będzie razem...?

W chwili, kiedy wyliczyłam, że siedzę dwadzieścia osiem metrów poniżej poziomu parteru i usiłowałam to sobie wyobrazić za pomocą przyrównania do nowego budownictwa mieszkaniowego w Warszawie, nad głową coś mi zaryczało chrapliwie.

- Hej, tyyy! - dudniło w otworze zwornika.

- Czego, do diabła?! - wrzasnęłam ze zniecierpliwieniem, bo właśnie przeliczałam sobie kondygnacje i chrapliwy ryk oderwał mnie od tematu.

- Żyjesz?!

W dudniącym głosie brzmiało coś jakby życzliwe zainteresowanie i stwierdziłam, że nie jest to głos szefa.

- Nie, umarłam! - odwrzasnęłam wzgardliwie.

Z czarnego otworu dobiegło cienkie pokwikiwanie, które mnie nieco zaintrygowało, po czym znów odezwał się obcy głos.

- Ty się nie wyglupiaj! - zaryczał ostrzegawczo. - Bo nie dostaniesz jeść! Jak kto umrze, to mu nie dajemy!

- Co ty powiesz?! - zdziwiłam się gromko. - Myślałam, że mu pchacie na siłę!

W otworze znów zakwiczało i z czarnej głębi zaczęło się coś pokazywać!

- Trzymaj! - wrzasnął głos. - A nie zeżryj od razu, bo to na cały dzień!

Ze zwornika zjechał na cienkiej linie koszyk. Zajrzałam do środka i znalazłam w nim pół bochenka czarnego chleba, nawet dość świeżego, gliniany dzbanek z wodą, paczkę papierosów i zapalki. Na chwilę zamknęłam oczy i serce mi zabiło, bo przez cały czas ze straszliwym wysiłkiem odsuwałam od siebie myśl o papierosach. Wiedziałam, że to mi dokopie najbardziej, i od pierwszego momentu zmobilizowałam całą siłę woli, żeby się jakoś bezboleśnie odzwyczaić od palenia. Ciekawe, skąd im się wzięła ta uprzejmość...

- No co tam?! - ryknęło mi nad głową. - Wyjmuj to, bo zabieram koszyk!

- Dobrze, dobrze - mruknęłam pod nosem.

Dzbanek postawiłam na ziemi, a chleb i papierosy trzymałam w rękach, nie mając ich gdzie położyć. Koszyk pojechał z powrotem do góry.

- Hej, ty! - wrzasnęłam nagle do zwornika.

- A czego?!

- Kto ty jesteś?!

- A bo co?!

- A bo z byle kim nie będę rozmawiać! Dżentelmen przedstawia się damie!

Intrygujące pokwikiwanie, które zabrzmiało w odpowiedzi, mogło być tylko śmiechem. Wyraźnie rozróżniłam w nim coś w rodzaju "hi, hi".

- Ja tu stróżuję! - zadudniło. - Mam cię pilnować i dawać ci jeść! Jakbyś coś chciała, to masz mi powiedzieć.

- Chcę!!! - wrzasnęłam natychmiast.

- A co chcesz?!

- Tron z kości słoniowej wysadzany perłami!

- Dobra, powiem szefowi! Do widzenia!

- Cześć pracy - mruknęłam i zajęłam się gospodarstwem. Na górze jeszcze raz zakwiczało i ucichło.

Papierosy i zapalki włożyłam do plastikowego worka z acrylem. Chleb od razu częściowo zjadłam. Popiłam wodą z dzbanka, która, wbrew regułom nie była zatęchła. Z dużym wzruszeniem, ale bardzo ostrożnie zapaliłam papierosa, czujnie badając, czy nie doznaję jakichś podejrzanych objawów. Diabli wiedzą, mogły być narkotyzowane albo co...

Do rozstrzygnięcia przybył mi nowy problem i zanosilo się na to, że pracy umysłowej starczy mi do późnej starości. Dlaczego mi dali papierosy?

Pałac, obserwowałam w świetle kaganka, co się dzieje z dymem. Szedł do góry, kłębił się pod sklepieniem i uchodził dziurą w zworniku. Powietrzu w tym lochu daleko było do ożywczej świeżości. Gdyby tak zatkali tę dziurę, gdybym w przypiływie rozpaczki paliła jednego za drugim... No tak, sama bym dała papierosy więźniowi, którego chciałabym szybko wykończyć. Poza tym nie wiadomo, co jest nade mną, może ktoś widzi ten dym i po nim orientuje się, co robię i co się ze mną dzieje...

Postanowiłam ograniczyć palenie i zajęłam się znów konstrukcją zamku. Ustalenie wysokości poszło dość łatwo, znajdowałam się po prostu na dziewiątym piętrze budynku ustawionego do góry nogami i wkopanego w ziemię. Ponad teren musiałyby wystawać piwnice i fundamenty. Osobliwość tego architektonicznego dziwowiska nawet mnie nieco rozbawiła, zainteresowałam się tym na jakiś czas, po czym przystąpiłam do ustalania

kierunków i stron świata. To już okazało się trochę trudniejsze, za mało znałam ten zamek.

Nie doszłam jeszcze do żadnych godnych uwagi rezultatów, kiedy z góry znów rozległ się głos. Tym razem wrzeszczał szef we własnej osobie.

- Hej, ty! Jesteś tam?!

- Nie, nie ma mnie! Wyparowałam! Czego, do wszystkich diabłów, zawracasz mi głowę!

- Co ma znaczyć ten tron?! O co ci chodzi?!

Konwersacja za pomocą ryków była nieco uciążliwa, ale stanowiła moją jedyną rozrywkę. Przez krótki moment nie mogłam sobie uprzytomnić, jaki tron ma na myśli, bo w przerwie między pogawędkami byłam zaabsorbowana czym innym, ale przypomniało mi się już po chwili.

- A co, nie masz tronu?! - wrzasnęłam z pełnym oburzenia zdziwieniem.

- Jakiego tronu, do diabła?

- Złotego! Wyszadzanego perłami!

Przez kilka sekund panowało milczenie. Prawdopodobnie zastanawiał się, czy już zwariowałam.

- Dostałaś fijoła? - zainteresował się gromko.

- Może być kanapa! - odkrzyknęłam. - Pod warunkiem, że będzie kryta fioletowym safianem!

Wreszcie zrozumiał, że się wygłupiam.

- Do usług szanownej pani! - ryknął urągliwie. - Sprowadzę fioletowy safian i każę zrobić kanapę! Zanim skończę, to ci będzie mniej wesoło!

- Mnie jest cholernie smutno! - wrzasnęłam, ale nie byłam pewna, czy usłyszał, bo oddalił się bez słowa.

Wróciłam do swoich zajęć. Ściśle biorąc niezupełnie wróciłam, bo zmienił mi się nieco temat. Przyszło mi nagle na myśl, że może to wszystko wygląda znacznie poważniej, niż dotychczas sądziłam. Żarty żartami, ale w tym upiornym grobie stracę zdrowie bezpowrotnie już po nędznych kilku tygodniach. Mokra posadzka, mokre ściany... Siedzenie na kamieniu już czułam we wszystkich kościach. Marzyłam o tym, żeby się położyć, ale przegniła słoma wyglądała rozpaczliwie zniechęcająco. Na pomoc z zewnątrz nie miałam żadnych szans, nikt mnie nie widział po wylądowaniu, nikt mnie

nie widział, kiedy tu jechałam... Do tych straszliwych kazamatów, znajdujących się chyba na poziomie Loary, żadna ludzka siła nie trafi. Ten bandzior może mnie tu rzeczywiście trzymać do końca życia i nikt mu w tym nie przeszkodzi! A nawet, jeśli mnie w końcu kiedyś wypuści, to w jakim stanie ja stąd wyjdę?!...

Wyobraźnia pokazała mi mój własny obraz i włosy stanęły mi dęba na głowie. A równocześnie zaczęła mi rosnać w środku nowa furia. Jak to, ten bydlak ośmiela się mną rządzić?! Ośmiela się zabrać mi jakąś część życia, a całą resztę chce zmarnować?! Dookoła tego zgniłego lochu jest świat, jest powietrze, słońce, żyją ludzie, żyją, jak chcą, wolni, swobodni, niezależni, a ja tu siedzę w tej idiotycznej ciemnicy bez żadnego powodu, marnując bezcenny czas?! O nie, tak nie będzie! Ja wyjdę na ten świat i to wyjdę sama, bez jego parszywej łaski!!!

Rozpatrywanie sposobów opuszczenia przydzielonego mi apartamentu zajęło mnie do wieczora. Przemyślałam wszystko, co tylko mi przyszło do głowy, zaczynając od wspięcia się po sznurze, na którym cieć opuszczał posiłek, a kończąc na wykuciu z muru zawiasów drzwi. W trakcie tego myślenia chodziłam, siadałam, przyjmowałam najrozmaitsze pozycje, coraz tęskniejszym okiem rzucając na przegniłą słomę. Wreszcie uznałam, że dłużej tego nie wytrzymam.

Rozszarpałam plastikową torbę czyniąc z niej coś w rodzaju dywanika i rozpostarłam na słomie. Na upartego można to było uznać za kawałek izolacji przeciw-wilgociowej. Nie dokończony szal z acrylu zużyłam jako izolację ciepłochronną i przy okazji wpadło mi w ręce zaplątane w wełnę szydełko. Na papierosy machnęłam ręką, dość beznadziejnie wetknąwszy je sobie za gors, szydełkiem zaś wydrapałam kreskę na jednym z kamieni. Wzorem większości więźniów postanowiłam prowadzić kalendarz.

Kreska wydrapała się bardzo łatwo i zachęcona tym zaczęłam kontynuować porzucone na chwilę rozważania odnośnie usytuowania zamku i lochu. Metoda rysunkowa okazała się znakomita. Pamiętałam, gdzie było słońce, kiedy wjeżdżaliśmy na dziedziniec, pamiętałam, która była godzina i strony świata ustaliłam już po paru minutach. Na sąsiednim kamieniu przystąpiłam do odtwarzania wnętrza. Gdzieś w środku nocy wiedziałam już prawie na pewno, która ściana jest która. Na razie nic mi z tego nie przyszło, a za to zaniepokoiło mnie coś innego. Jakby nie liczył, twardo wychodziło mi, że wokół lochu nie może być nic, żadnej piwnicy, żadnego pomieszczenia,

nie kompletnie, loch, jak ta sierota, samotnie wbity w głąb pagórka. Co z takim fantem można zrobić?

Zdegustowana wynikiem rozważań zasnęłam w końcu na plastikowym worku i obudziłam się zlodowaciała, połamana, przemoknięta na wylot, szczękając zębami. Zawsze miałam końskie zdrowie i zadziwiająco dużo mogłam wytrzymać, ale teraz nabrałam obaw, że oprócz przewidzianych na wstępie dolegliwości dostanę jeszcze febry i zapalenia płuc. Koniecznie trzeba było coś na to poradzić.

Najwięcej wody było na podłodze. Ściekała ze ścian i wsiąkała w spoiny między kamieniami, ale wsiąkała marnie i powoli. Musiałam się jakoś odciąć od tej podłogi, albo przynajmniej ją odwodnić. Sapiąc okropnie z wysiłkiem przetoczyłam leżące luzem kamienie w miejsce, które wydało mi się nie tyle najsuchsze, ile najmniej mokre, po czym szydełkiem pogłębiłam spoiny w kierunku miejsca, położonego najniżej. Trochę pomogło, a przy tym katorżnicza praca nieco mnie rozgrzała.

Ryk ciecica zastał mnie przy dopasowywaniu do siebie owych kamieni, z których zamierzałam wykonać sobie legowisko.

- Hej, tyyy! - wrzeszczał. - Żyjeeesz?!!!

- Odczep się!!! - wrzasnęłam rozjuszona, bo właśnie jeden z kamieni przytłukł mi palec. - Po jaką cholere zadajesz głupie pytania?!

- Mówiłem ci! Ja muszę! Jak umrzesz, to nie dostaniesz jeść! Zabieraj to z koszyka i oddaj dzbanek?

Wyjmując z koszyka te same co i wczoraj produkty, zaciekawiałam się jego kształtem. Nie był to normalny koszyk, tylko coś jakby pleciony prostopadłościan z dnem. Rzuciłam okiem ku górze w chwili, kiedy cieć go wyciągał, i stwierdziłam, że dziura w zworniku ma znacznie większe rozmiary. Aha, to znaczy, że ów otwór jest węższy od góry, a szerszy u dołu i służy zapewne też i do tego, żeby widzieć więźnia na dole. Postanowiłam to sprawdzić przy następnej okazji.

- Hej, ty! - wrzasnęłam do ciecica. - Dużo masz takich do pilnowania?!

- Tylko ciebie! - odkrzyknął. - Kiedyś było więcej, ale teraz nie ma!

- To ci się chyba cholernie nudzi?!

- Co?!

- Nudzi ci się!!! - zaryczałam jak ranny koń. - Nie masz nic do roboty!

Z czarnej czeluści wydobyło się oburzone prychnięcie.

- Mam do roboty, mam! Za dużo mam! Ty się nie martw o moją robotę, tylko o siebie!

- A co jeszcze robisz?! - zaciekałam się przeraźliwie.

- Ogrodu pilnuję! - zabuczała czeluść. - Bramę otwieram, zawiasy smaruję, wszystko robię! W kotle palę!

- Długo tu już pracujesz?!

- Całe życie! Mój ojciec też tu pracował i mój dziadek też! Pilnowali takich jak ty! Mój pradziadek pilnował i pradziadek mojego pradziadka! - w dobiegającym z góry ryku dźwięczała wyraźna satysfakcja i duma rodowa. - Dawniej mieli gorzej! Dużo różnych tu siedziało i co raz to jaki uciekał albo zdychał! Jednego mojego pradziadka powiesili, bo mu trzech uciekło! Ty nie uciekniesz!

- Nie mam zamiaru!

- Co??

- Głuchy jesteś czy co?! Mówię, że nie mam zamiaru!!!

Cieć się wyraźnie zdziwił.

- Coś ty?! Dlaczego?!

- Mnie się tu bardzo podoba! - ryknęłam jadowicie.

Musiał mu mowę odebrać, bo przez chwilę milczał.

- Co się wygłupiasz?! - zaryczało wreszcie nieufnie.

- Wcale się nie wygłupiam!!! Oryginalna jestem! Lubię mieszkać w mokrych podziemiach! Całe życie o tym marzyłam!

- E, tam! - zagrzmiało z niedowierzaniem.

- Jak to, nie wierzysz mi?! - zawylałam z urazą. - To nie rozmawiam więcej z tobą! Obraziłam się!

- Jeszcze tylko powiesz, co chcesz od szefa!

- Poproś go uprzejmie, żeby pękł!!! I idź do diabła!!!

Widocznie cieć poczuł się rozweselony, bo nade mną zakwiczało cienko i ucichło.

Nie byłam pewna, czy przekaże szefowi moją prośbę.

Trzech uciekło. Ciekawe... Jak oni to zrobili?

Legowisko, wykonane z dwóch kamieni, śmierdzącego wspomnienia po słomie, plastikowej torby i szala, okazało się jakby nieco mniej okropne. Spoczywałam na tym rozmyślając o owych przedsiębiorczych uciekinierach i, jak zwykle, rysowałam sobie byle

co szydełkiem na najbliższym kamieniu. Zawsze mi się lepiej myślało przy rysowaniu, jeszcze w szkole nauczycielki miały o to do mnie pretensję. Narzędzie do rysowania nie miało znaczenia, mógł to być ołówek, pióro, grafion, patyk... Szydełko ześliznęło się z kamienia i utkwilo w spoinie. Wyszarpnęłam je zniecierpliwiona, wykończyłam ładny wzór geometryczny, po czym dziubnęłam w spoinę dobrowolnie. Pokręciłam nim, zrobiła się ładna, mała dziurka, wyjęłam, dziubnęłam obok.

Cała spoina dookoła kamienia była już ozdobnie podziurkowana, kiedy nagle dotarł do mnie sens tego, co robię. Na moment zamarłam, a potem ze wzruszenia buchnęło na mnie gorąco. Na litość boską! Przecież to wszystko tu, dookoła, wszędzie wzdłuż Loary, cała ta część Francji, to jest wapień!!!

Budowali z wapienia. Mieli tego wapienia do diabła i trochę. Z wapienia robili zaprawę. Wapień jest hygroskopijny. Cała ta kobyła stoi już co najmniej czterysta lat, od czterystu lat na ten wapień działa woda!!!

Wstąpiło we mnie nowe życie. Dookoła mojego lochu nie ma nic, przedłubać się przez ścianę, wykopać korytarz, wyjść na zboczu pagórka...

Opanowałam się. Przeprowadziłam stosowne badania. Na murze wokół mnie stała cała wieża, musiał mieć grubości ładne parę metrów. Wykonany był z płasko ułożonych kamieni, spojonych zaprawą wapienną. Nie takie mury więźniowie przekuwali, posługując się cynową łyżką, glinianą skorupą, czy zgoła pazurami. Ja miałam szydełko, wprawdzie plastikowe, ale bardzo porządne, grube, sztywne i, jak się okazało, twardsze niż wapień.

Po namyśle, przypomniawszy sobie teren, który widziałam wjeżdżając do zamku, zdecydowałam się na kierunek odwrotny do rzeki. Wychodziłam od razu na zewnątrz wieży, miałam szansę przekopać się nawet poza mur obronny, docierając do powierzchni ziemi na porośniętym zielskim zboczu, gdybym zaś kopała się ku rzece, musiałabym przebyć dołem cały dziedziniec. Przeliczyłam sobie wysokość, odległość, wykonałam ładny rysunek według zasad geometrii wykreślnej i przystąpiłam do pracy.

Nad prawdopodobieństwem realizacji tych planów nie zastanawiałam się w ogóle. W głębi duszy podejrzewałam, że szef dotrzyma postanowień i że jedyną szansę wydośtania się na wolność daje mi ta potworna, galernicza praca. Do ustępstw nie byłam już zdolna. Sam zmusił mnie do świętej wojny, wygrał pierwszą rundę, doprowadził mnie do

stanu, w którym protest przeciwko niemu stał się silniejszy ode mnie i nie było już dla mnie odwrotu. Przekopię się przez mur albo zdechnę w tym parszywym lochu!

Szydełko wchodziło w spoinę jak w masło. Rychło okazało się narzędziem najzupełniej stosownym, godnym polecenia wszystkim więźniom, miało bowiem główkę, która niejako automatycznie wydłubywała nasiąkniętą wodą zaprawę. Gwoździem byłoby trudniej, szydełkiem szło znakomicie.

Najtrudniej było wyjąć pierwszy kamień. Przewidziałam to i na początek wybrałam sobie jeden z mniejszych. Siedząc w kucki pod upatrzona ścianą dłubałam i dłubałam, dłubałam i dłubałam, aż szydełko zaczęło wchodzić w spoinę wokół kamienia prawie na całą długość. Wówczas spróbowałam go trochę obruszyć. Palcami się nie dało, wobec czego posłużyłam się obuwiem. Temu idiocie nie przyszło do głowy, żeby mi zabrać buty, a moje buty miały modne obcasy, bardziej podobne do końskich kopyt niż do obcasów. Wetknęłam krawędź jednego obcasa w wydłubaną spoinę i trzasnęłam z góry drugim. Szczęśliwie były to buty używane w Brazylii, bez pięt i nawet nie wzięłam drugiej pary na zmianę. Tłukło się teraz zupełnie wygodnie. Trzasnęłam drugi raz i kamień się poruszył.

Otarłam pot z czoła i stłumiłam wzruszenie. Spoiny były szerokie, nierówne, wydłubana część stanowiła dostateczną przestrzeń, żeby ten kamień obruszyć do reszty. Stuknęłam z dołu, potem znów z góry, potem już dał się poruszyć ręką, uchwyciłam mocniej, szarpnęłam z całych sił i kamień wyszedł!

Droga do wolności objawiła się przede mną w postaci dziury w murze o wymiarach trzydzieści na dziesięć centymetrów. Na razie była to droga dla średniej wielkości węża.

Spojrzałam na zegarek. Wydłubywałam ten kamień szydełkiem trzy i pół godziny! Gdyby nie granitowa pewność, że przebrnęłam przez podstawową trudność, chyba bym się załamała. W tym tempie dłubania miałam szansę wyjść na wolność za jakieś dwieście do trzystu lat.

Zjadłam resztę chleba, beztrąsko wypaliłam papierosa i zabrałam się do roboty. Kiedy późną nocą układałam się do snu na odrażającym barłogu, w nieregularną dziurę zmieściłoby się już kilka węży, a pod ścianą leżało sześć wydłubanych kamieni.

Uzyskany w ten sposób, dość przyzwoicie ociosany budulec pozwolił mi na ulepszenie legowiska. Dużo wygodniej mi nie było, ale przynajmniej mniej mokro. Zaczy-

nałam nabierać nadziei, że może czegoś uniknę, febry albo zapalenia stawów... Dłubanie, zgodnie z przewidywaniami, po wyjęciu pierwszego kamienia szło znacznie łatwiej.

Ryk z góry zastał mnie przy pracy. Nie odpowiedziałam od razu, bo obdłubywałam właśnie jeden z większych kamieni i byłam bardzo zajęta.

- Hej, tyyy! - darł się zaniepokojony, cieć. - Odezwiąj się!!! Gdzie jesteś?!!!

- A co, nie widzisz mnie?! - odwrzasnęłam drwiąco, nie przerywając dłubania.

- No pewnie, że cię nie widzę! - fuknął z wyraźną ulgą. - Jak cię mam widzieć, skoro się chowasz? Ciemno tam u ciebie jak w grobie!

- Włóż okulary! - poradziłam mu grzmiąco i dorzuciłam po chwili: - Jak zdrowie?

- Czyje zdrowie?! - ryknął, nieco zaskoczony.

- Twoje! Jak się czujesz? Brzuch cię nie boli?!

- Dlaczego ma mnie brzuch boleć?! - zdziwił się potężnym rykiem.

- Bo leżysz codziennie na brzuchu nad tą dziurą i drzesz gębę! Nic sobie jeszcze nie odgniotłeś?!

- Skąd wiesz, że tu leżę na brzuchu?!

- A co, wisisz łbem na dół i nogami do góry?!

Przez chwilę słyszałam cienkie pokwikiwanie.

- Dobra, faktycznie, leżę na brzuchu! Słuchaj no, ty! Ty masz coś powiedzieć!

Teraz z kolei ja się zdziwiłam.

- Co mam powiedzieć?!

- Szefowi! Masz mu coś powiedzieć! Nie? Będiesz tu siedziała, dopóki nie powiesz, to prawda?!

- Święta prawda! A bo co?

- Ty głupia jesteś! Dlaczego mu nie powiesz?! Jak mu powiesz, to zaraz wyjdiesz! Dlaczego nie chcesz powiedzieć?!

- Bo wcale nie chcę stąd wychodzić! Mnie się tu podoba! Ty, słuchaj! Dlaczego ty mi wrzucasz to żarcie tędy, a nie przez drzwi?!

- Jeden człowiek tych drzwi nie otworzy! Co, nie widziałaś?! Tędy się zawsze dawało tym, co tu siedzieli! No jazda, bierz swoje i oddawaj dzbanek!

- Zaraz, nie pali się...!

Przerwałam robotę, opróżniłam koszyk i włożyłam do środka pusty dzbanek. Przyjrzałam mu się i pomyślałam, że może się przydać. Trzeba będzie symulować

stłuczenie. Postanowiłam to zrobić później, za jakie dwa trzy dni, przedtem zaś wzbudzić sympatię w cieciu.

- Hej, ty! - wrzasnęłam życzliwie. - Masz rodzinę?!

- Jaką rodzinę?!

- Nie wiesz, co to jest rodzina?! Żonę, dzieci...?!

- Coś ty, nie mam! Na co mi to? A bo co?!

- Nic! A ile masz lat?!

- Siedemdziesiąt osiem! - zawył z wyraźną dumą. - Ty, słuchaj! Jak co chcesz od szefa, to mów zaraz! Bo jutro go nie będzie!

- Chcę kompot z ananasa! I złóż mu ode mnie życzenia, żeby parchów dostał!

Miał widać polecenie przekazywać moje, dezyderaty natychmiast, bo zakwiczał i oddalił się, przerywając pogawędkę. Wróciłam do pracy.

Płasko ułożone, stosunkowo niewielkie kamienie wychodziły nawet dość łatwo. Od czasu do czasu używałam obcasa jako narzędzia pomocniczego. Większe bloki sprawiały mi więcej trudności, ale za to po wydobyciu ich postęp stawał się wyraźnie widoczny. Głównym problemem był ich ciężar, udźwignąć tego nie mogłam w żaden sposób, ale mogłam odtoczyć. Wydłubałam z muru długi, dość wąski kamień i używałam go jako dźwigni. W narzędzia pracy byłam zaopatrzona coraz lepiej, wkrótce przestałam nawet posługiwać się obcasami i użytkowałam wygrzebane ze ściany materiały budowlane.

Pogłębiająca się dziura miała wymiary około metr na metr i zaczynała się jakieś dwadzieścia centymetrów nad posadzką. Wiedziałam, że im dalej, tym będzie trudniej i pewnie będę musiała nieco ją zwęzić. Dłubiąc z radosnym zapałem, zastanawiałam się równocześnie nad transportem kamieni z głębi otworu na zewnątrz i nad sposobem lokowania ich w komnacie. Z prawdziwą satysfakcją zdecydowałam się na teren pod samymi drzwiami, niweczając tym na wieki wieków wszelką możliwość ich otwarcia.

Po upływie następnej doby droga na świat dochodziła do trzydziestu centymetrów w głąb muru. Zgłodniałam od tej katorżniczej pracy śmiertelnie, rąk nie czułam, w krzyżu byłam jak przełamana, nogi mi zdrętwiały od siedzenia w kucki i właściwie dobrze trzymało się tylko szydełko. Czekałam na przybycie ciecia z posiłkiem i pocieszając się myślą, że głodówka doskonale leczy wątrobę, plotłam z acrylu przemyślną sieć, której zamierzałam użyć do wywlekania większych kamieni z wydłubywanego korytarza.

Miałam całkowitą pewność, że płytka wnąka przeistoczy się już wkrótce w długi korytarz i prawdę mówiąc byłam w bardzo dobrym humorze.

Na górze zachrobotało i otwór w zworniku wydał z siebie chrapliwe wycie.

- Hej, tyyy!... Żyjesz?!!

- Nie mów do mnie "hej, ty"! - ryknęłam w odpowiedzi z niesmakiem. - Bo ci nie będę odpowiadać!

- To nie dostaniesz jeść!

- To umrę z głodu i wtedy szef cię pobłogosławi!

- To jak mam mówić?!

W chrapliwym ryku brzmiało żywe zaciekawienie.

- Mów do mnie "wasza eminencjo"! Moja prababka знаła jedną hrabinę i ja nie jestem byle kto! Świń ze mną nie pasłeś!

Dziura w zworniku radośnie zakwiczała.

- Dobra, może być! Szef kazał spytać, jak się czujesz?!

- Jak młoda cebulka na wiosnę! Możesz mu to powtórzyć!

- Ananasa nie dostaniesz! Kazał ci powiedzieć, że nic nie dostaniesz! Tylko chleb i wodę!

- Cholernie lubię chleb i wodę! Ananasa już nie chcę, rozmyśliłam się! Sam zeżryj za moje zdrowie!

- Wypiję za twoje zdrowie, bo mi się podobasz! Lubię cię!!! Żaden inny nie chciał ze mną rozmawiać i wszystkie mnie wyklinały! Ty nie mów tego, co to masz powiedzieć, ja tam wolę, żebyś tu dłużej siedziała!

"Żebyś skisł" - pomyślałam sobie i opróżniłam koszyk. Zawahałam się, czy oddać dzbanek, ale jeszcze na razie postanowiłam z nim nie zadzierać.

- Ty, ten olej mi wychodzi! - wrzasnęłam w górę. Potrzebuję nowe oświetlenie!

- Ja tam nic nie wiem! - odwrzasnął cię jakby trochę niepewnie. - Ja ci mam dawać tylko to, co daję!

- Frajer jesteś! - ryknęłam przekonywająco. Kaganek świecił jeszcze zupełnie nieźle, ale nie byłam pewna, czy w planach obłąkanego drania nie leży przypadkiem pozostawienie mnie w zupełnych ciemnościach i bałam się tego panicznie. Zaśleplabym jak te konie w kopalniach.

Na wszelki wypadek wolałam się zaopatrzyć w zapasy w czasie nieobecności szefa.

- Światło mam przydzielone i należy mi się! On chce, żebym mu znalazła jedno miejsce na mapie, jak zaślepnę, to ty mu będziesz szukał!

- Tak zaraz nie zaślepniesz! - odkrzyknął cieć, ale zabrzmiało to zupełnie niepewnie.

Wyjaśniłam mu, że według ostatnich badań ślepnie się w ciągu jednej doby. Wątpię, czy mi uwierzył, ale instrukcje co do mnie musiały być bardzo kategoryczne i bał się widać zmienić cokolwiek w postanowieniach szefa, bo przerwał konwersację i po pół godzinie przyniósł mi nowy kaganek. Opuścił go na dół w koszyku nie zapalony.

- Ale tamten oddaj! - zażądał stanowczo.

- Jeszcze trochę świeci, jak przestanie, to ci oddam!

Posprzeczał się ze mną na ten temat przez chwilę i poszedł.

Pożywiłam się nieco, odpoczęłam i zabrałam się do następnej warstwy kamienia. Mniejsze i większe sztuki sterczały nierówno, mur był poprzewiązywany w poprzek, wyszarpięcie jednego kawałka od razu obluzowywało wszystkie dookoła i robota szła mi pełną parą. Zaczęłam sobie optymistycznie wyliczać, jak długo to będzie trwało, przyjmując grubość muru na sześć metrów, i wyszło mi, że wyjdę na świat za jakie dwa miesiące. Dzbanek postanowiłam zachować przy najbliższej okazji.

- Hej, ty! - zaryczał cieć nazajutrz.

Nie odzywałam się celem udowodnienia siły charakteru.

- Hej, ty! - ryczał głośniej. - Wasza eminencjo!!! Żyjesz?!!!

Na eminencję mogłam odpowiedzieć.

- Coś ty! - wrzasnęłam. - Ja umarłam już trzy dni temu!

- To dlaczego mówisz? - zachrypiał ciekawie, pokwiczawszy przedtem z wyraźną uciechą.

- To nie ja mówię! To mój duch! Dziś o północy przyjdzie cieć straszyć!

- Dlaczego mnie?! Strasz sobie szefa!

- Przecież go nie ma!

- Ale wróci! Za tydzień wraca! Możesz poczekać na niego, nie?!

- Dobrze, zrobię to dla ciebie! Zacznę od szefa!...

W trakcie konwersacji wyciągnął koszyk i stwierdził brak dzbanka.

- Hej, ty!!! - ryknął okropnie.

Konsekwentnie milczałam.

- Hej, ty!!! Do diabła!!! Odezwij się!!! Gdzie dzbanek?!!!

Milczałam nadal.

- Do ciężkiej cholery!!! Do stu piorunów!!! Wasza eminencjo!!!

- Czego?! - zawylałam ponuro.

- Gdzie dzbanek?! Oddaj dzbanek!!!

- Nie mogę! Stłukł się!

- Nie wygłupiaj się! Ja to będę musiał zameldować! Oddaj skorupy!!!

- Wykluczone! Wlazałam na niego i pogniółł się na drobne okruszyny! Nie będę dla twojej przyjemności dłużyć w tym gnojowisku! A meldować ci nie radzę!

- Dlaczego?! - ryknął z wyraźną rozpaczą.

- Bo dostaniesz po pysku od szefa! Lepiej siedź cicho i nic nie mów! Masz drugi, nie?! Co się będziesz głupio narażał?!

- O mój Boże, mój Boże! - zajęczał w nieskrywanej rozterce. - Żebyś wiedziała! Nie dostaniesz więcej wody, dopóki nie oddasz dzbanka!

- Jak chcesz! Z pragnienia się kituje jeszcze prędzej niż z głodu!

- O rany boskie, co ja z tobą mam! Czekał, zobaczysz!...

Dzbanka na razie nie tłukłam, uznawszy, że zawsze zdążę. Na razie odstawiłam go do kąta razem z drugim, kagankiem.

Następnego dnia cieć opuścił na dół pusty koszyk. Na wołanie "hej ty" nie odpowiadałam i koszyk podskakiwał niecierpliwie na mokrej posadzce.

- Wasza eminencjo! - rozległo się wreszcie z góry.

- A co tam?! - zapytałam łaskawie, acz gromko.

- Oddaj dzbanek, to dostaniesz wszystko!

Nie chciało mi się akurat z nim sprzeczać. Zmęczona byłam do nieprzytomności i coraz bardziej wygłodniała, a poza tym nie zależało mi na kolekcjonowaniu, całej glinianej zastawy. Wstawiłam ten drugi do koszyka i po chwili zjechały artykuły spożywcze wraz z papierosami. Wyjęłam je w milczeniu.

- Wasza eminencjo! - zawyło z dziury z niepokojem. - Jak się czujesz?!

- A co cię, to obchodzi?! - warknęłam gniewnie. - Bardzo dobrze się, czuję!

- Ta dlaczego nic nie mówisz?!

- Bo się na ciebie obraziłam! Szykanujesz mnie! Czekał, Pan Bóg cię skarże!

Cieć nagle zaczął się tłumaczyć i usprawiedliwiać!

- Ty, nie wygłupiaj się! Ja tak muszę! Ja muszę robić, co mi każą, boby mnie zabili! Kazali ci zabierać ten dzbanek, to zabieram! Co ty myślisz, że ja ci dzbanka żałuję?!

- Zastanowię się do jutra i może ci przebaczę...

W ciągu następnych kilku dni wdłubałam się na metr w głąb muru. Szło nieco wolniej, niż przewidywałam. Natknęłam się na jakiś jeden wielki głaz, który mi zajął parę godzin i po wyciągnięciu go i podtoczeniu pod ścianę padłam półżywa. Za to otoczenie głazu dało się wydłubać bardzo łatwo. Długi, duży kamień, sięgający daleko w głąb muru, z niewiadomych przyczyn wyszedł prawie sam i samopoczucie wkrótce mi się poprawiło.

Oprócz dłubania w zaprawie szydełkiem stosowałam też metodę opukiwania i podważania obdłubanych kamieni i musiałam pilnować, żeby nie robić hałasu w okresie wizyt ciecia. Przychodził tak około dziesiątej. Zaniechał wymuszania na mnie dzbanka drogą szantażu i przywykł do krzyków "wasza eminencjo". Uznałam, że czas wprowadzić jakieś urozmaicenie.

- Nie mów do mnie "wasza eminencjo"! - zażądałam kategorycznym rykiem. - Znudziło mi się to! "Wasza eminencjo" mówi się do kardynała!

- Przecież sama chciałaś?! - zdziwił się cięć. - To jak mam teraz mówić?!

- Wasza królewska mość!

Dziura w zworniku natychmiast zaczęła pokwikać radośnie. Osobliwy rodzaj śmiechu miał ten człowiek.

- A królewska mość dlaczego?! - zaciekawił się.

- Bo mi się tak podoba! Coś mi się należy od życia w tym grobie, nie?!

- SzeF jutro wraca! Jak będziesz chciała, to wyjdiesz! Ale nie wychodź, nudno będzie bez ciebie!

- Nic się nie bój, mnie tu się coraz bardziej podoba!

Zaczynałam właśnie wchodzić w fazę najbardziej żywiołowego wstępu do tego przegniłego lochu. Katorżnicza praca wprawdzie wychodziła mi raczej na zdrowie, ale żadna kość nie chciała się przystosować do upiornego legowiska na kamieniach. Wszelkimi siłami tłumiłam narastające obrzydzenie. Bezustannie czułam się połamana na drobne kawałki i przemoknięta na wylot. Mało przemoknięta! Przegniła! Przed oczami jawiły mi się rozmaite pustynne obszary, zarówno te, które znałam z widzenia, jak i te, o których tylko słyszałam i czytałam. Jaskrawe, upalne słońce oświetlało piaski

Sahary, Białą Górę z jej kilometrami wydm, pustynię Błędowską, pustynię Gobi, sosnowe, suche laski pod Warszawą... W żaden sposób nie umiałam zrozumieć; jak mogło mi być kiedykolwiek w życiu za sucho i za gorąco! Pomiedzy pustyniami plątały się artykuły spożywcze i duńskie meble. Boże drogi! Raz w życiu jeszcze usiąść w wygodnym fotelu... Położyć się na wygodnym tapczanie, w pościeli... W SUCHEJ pościeli!!!!...

Dwa uczucia dodawały mi sił. Jednym była dzika, szaleńcza, pełna nienawiści furia, furia, która w takim natężeniu wybuchała we mnie nader rzadko i która czyniła mnie istotą absolutnie nieobliczalną. Sama nie potrafiłabym przewidzieć, do czego jestem zdolna w tym stanie. Kilka razy w życiu uczyniłam coś, czego nie uczyniłabym i w żaden sposób i za żadne skarby świata, gdybym posługiwała się rozumem, a co musiałam potem gwałtownie i z okropnym wysiłkiem odpracowywać. Znając nieco sama siebie wolałam unikać doprowadzania się do wybuchu owej opętanej furii w obawie o jej skutki. Teraz zwiększała się, rosła, aż wreszcie eksplodowała i nie hamowałam jej, utrzymując tylko starannie jej kierunek - na durch przez ścianę.

Drugie zaś stanowiła głęboka wiara w dobroczynny wpływ wody na cerę kobiet. Ileż to się człowiek naczytał i nasłuchał o pięknej cerze Angielek, moknących całe życie na deszczu, o wysychaniu skóry na starość, o konieczności nawadniania... Nie ma obawy, nawodnię się teraz za wszystkie czasy, do końca życia mi starczy! Miałam cichą nadzieję, że wyjdę stąd z cerą co prawda nieco bladą, ale za to cudownej piękności.

Dłubałam sobie z zapalem na głębokości już prawie półtora metra, kiedy o nietypowej porze, tak gdzieś przed wieczorem, dobiegły mnie z lochu jakieś głosy. Wylazłam czym prędzej na czworakach i usłyszałam dobywający się ze zwornika ryk.

- Hej, tyyyyy!!! - grzmiało jak silnik odrzutowca.

W pierwszej chwili zdziwiłam się, że cieć mógł się tak zapomnieć, ale zaraz stwierdziłam, że to nie jego głos. Wyglądało na to, że wrócił szef. Usiadłam sobie na kamieniach i w milczeniu czekałam na stosowniejsze wezwanie.

W dziurze zwornika na chwilę zamilkło.

- Wasza eminencjo! - rozległ się niepewny głos, tym razem ciecia.

Milczałam dalej.

- Wasza emi...! - ryknął głośniejsz i natychmiast się poprawił. - Wasza królewska mość!!!

Teraz już mogłam odpowiedzieć.

- Czego?! - wrzasnęłam niechętnie.

- Czy już zupełnie zwariowałaś?! - zabuczał uprzejmie głos szefa. - Co mają znaczyć te wygłupy?!

- A, jak się masz?! - odkrzyknęłam przyjaźnie. - Jak zdrowie?!

- Jeszcze ci humor dopisuje?! Jak tam?! Jeszcze nie masz dosyć?!

- Mam dosyć całkowicie! A bo co?!

- Chcesz wyjść?!

- Nie!!!

- Co?!!!

- Mówię, że nie chcę wyjść!!! Pierwszy raz w życiu mam wreszcie spokój!!!

Zdaje się, że na chwilę odjęło mu mowę. Miałam wrażenie, że na górze słyszę jakiś szmer, widocznie porozumiewał się z cieciem.

- Czy nie dostałaś pomieszania zmysłów?! - krzyknął wreszcie z irytacją.

W odpowiedzi zaczęłam mu grzmiącym rykiem recytować tabliczkę mnożenia przez siedem, posługując się przy tym trzema językami: francuskim, angielskim i duńskim. W każdym z tych języków co innego umiem najlepiej.

- Przestań!!!! - darł się wściekle, na co nie zwracałam uwagi. - Przestań, do wszystkich diabłów!!! O co ci chodzi?!!!

Mnożenie przez siedem dobiegło mi kresu, miałam chęć zacząć przez osiem, ale na razie zrezygnowałam z tego.

- Udowadniam ci, że mój umysł całkiem nieźle działa! - wrzasnęłam uprzejmie. - Nie wiem, czy to doceniasz! Umiesz tabliczkę mnożenia?!

Z góry nadleciało kilka przekleństw, których wysłuchałam z dużym zaciekawieniem. Musiał być widocznie w nie najlepszym humorze.

- Coś ci źle poszło?! - krzyknęłam z życzliwym zainteresowaniem.

- Dlaczego?!... - warknął, rozwścieczony.

- Wydajesz mi się nieco zdenerwowany?!

- Tobie pójdzie gorzej, bądź pewna! Widzę, że jeszcze nie dojrzałaś! Siedź dalej, skoro ci tak dobrze!

Oddalił się i góra ucichła.

Stos kamieni pod drzwiami powoli rósł. Tak jak to zwykle bywa, zwalony na kupę miał większą objętość niż wmurowany w ścianę. Zaczęłam nabierać obaw, że po jakimś

czasie nie będę się miała gdzie podziać, bo budulec wypełni mi całą komnatę. Na wszelki wypadek zaczęłam je układać porządniej, pilnie bacząc, żeby w pierwszej kolejności zawalić całe drzwi. Gnana nieopanowanym szaleństwem odcinałam drogę do siebie, a przy okazji też i sobie normalną drogę na zewnątrz. Teraz już nie miałam innego wyjścia, jak tylko przekopać się przez ścianę.

Dłubiąc szydełkiem miękką zaprawę odmawiałam dziękczynne modlitwy, że nie dostałam się do zamku wybudowanego z granitu na cemencie portlandzkim albo też do podziemi, które by otaczał mur cyklopowy. Kamiennego bloku o wadze na przykład dwóch ton nie ruszyłabym z miejsca w żaden żywy sposób. Dziwiło mnie nieco, że temu bufonowi nie przyszło to do głowy. Przecież ten wapień był łamany na drobne, płaskie kamienie, nie większe niż dwie cegły razem, a niekiedy mniejsze niż jedna, nie tylko tutaj, ale we wszystkich zamkach w okolicy. Sposób budowania z wapienia powinien być chyba powszechnie znany? Prawdopodobnie nie miał zielonego pojęcia o robótkach ręcznych i kłęb białego acrylu nie skojarzył mu się z posiadaniem przeze mnie szydełka.

Przy każdej wizycie ciecia robiłam sobie kreskę na ścianie. Po przedłubaniu trzech metrów policzyłam kreski i ze zgrozą stwierdziłam, że siedzę w tych kazamatach już dwadzieścia cztery dni! Z jednej strony, na skutek ustawicznej gimnastyki, nabierałam kondycji, ale z drugiej słabłam nieco z wygłodzenia. Całe szczęście, że istotnie od lat przywykłam do odchudzania się i do jedzenia nie przywiązywałam zbytnej uwagi. Do szaleństwa brakowało mi tylko herbaty. O problemie mycia usiłowałam starannie nie myśleć, pocieszając się, w razie potrzeby wizją królowej Izabelli Hiszpańskiej, która nie myła się trzynaście lat i żyła. Pracowałam do ostatecznego wyczerpania, żeby potem już tylko paść na wstrętny barłóg i nie mieć kłopotów z zaśnięciem w lodowatej wilgoci. Reumatyzm i kołtun były sprawą pewną, skorbutu miałam nadzieję uniknąć z uwagi na to, że tuż przed przybyciem tutaj byłam nawitaminizowana po dziurki w nosie. Na pół roku powinno wystarczyć. Kwestią grypy i anginy nie zaprzętałam sobie głowy w przekonaniu, że wszelkie bakterie zdechły w tym lochu razem ze szczurami.

Zaczęłam mieć kłopoty z transportem. Mniejsze kamienie wyrzucałam za siebie bez trudu, ale większe musiałam wywlekać za pomocą sieci z acrylu, który od razu przestał być biały. Przekrój korytarza powolutku mi się zmniejszał, zgodnie zresztą z przewidywaniami. Nieco tam było za duszno, zwłaszcza że niezbędny mi do oświetlenia warsztatu pracy kaganek zabierał tlen. Razem wzięwszy trudno by mi było nazwać to

zajęcie ulubionym.

Siedząc w głębi wykopanego korytarza nie słyszałam żadnych dźwięków z komnaty. Obawiałam się, że zechcą znów odezwać się do mnie o nietypowej porze i jeśli im nie odpowiem, zaczną coś podejrzewać. Postanowiłam zadziałać profilaktycznie.

Wcześniej już sprawdziłam, w którym miejscu pomieszczenia jestem widoczna dla kogoś patrzącego przez dziurę w zworniku. Można było stamtąd dostrzec wyłącznie sam środek, stanowiący krąg o średnicy około półtora metra. Reszta była niedostępna. Stwierdziłam to wykreślnie, a potem skonfrontowałam z zeznaniami ciecica i jedno zgodziło się z drugim.

Słyszając ryk z góry usiadłam sobie na kamieniu poza kręgiem i spokojnie czekałam. Ciec darł się bardzo długo.

- Wasza królewska mość!!! - wrzeszczał. - Wasza eminencjo!!! Odezwij się!!! Żyjesz?!!! No, odezwij się, jak rany!!!

Milczałam, dalej czekając, co z tego wyniknie i narażając się na nieotrzymanie posiłku. Ciec wreszcie dał za wygraną i opuścił na dół koszyk, chociaż nie usłyszał ode mnie żadnej odpowiedzi. Sięgnęłam ręką, odsunęłam koszyk ze środka i opróżniłam go poza jego polem widzenia. Milczałam nadal.

- Hej, ty! - ucieszył się, czując, że z koszykiem coś się dzieje. - Wasza królewska mość, żyjesz jednak?! Odezwij się, dlaczego nic nie mówisz?!

Nie odezwałam się i po jeszcze kilku rykach poszedł sobie precz.

Nazajutrz w jego głosie wyczułam wyraźny niepokój.

- Wasza królewska mość! Żyjesz?!

- Nie! - odrzyknęłam stanowczo. - Wczoraj był mój pogrzeb! Byłeś?!

Uradował się nadzwyczajnie.

- Coś ty?! - wrzasnął, pokwikuując.

- Jak to?!!! - ryknęłam z oburzeniem. - Nie byłeś na moim pogrzebie?!

- No coś ty! Pewnie, że nie byłem.

- Dlaczego?!!!

- O, rany, nie wiem! O rany, co ty mówisz, nie było żadnego pogrzebu!

- Jak to?! - oburzyłam się znowu. - Ta świnia mi nawet pogrzebu nie wyprawiła?!

- Jaka świnia?! - zdziwił się ciec, prawdopodobnie nieco skołowany.

- Ten twój cały szef! Ostatnia świnia! Trzyma mnie tu do śmierci, a potem mi

nawet pogrzebu żałuje! To łajdak!!!

Czarna czeluść nade mną zaniósła się długim kwikiem.

- O rany, ale ty jesteś zgrywna! Dlaczego wczoraj nic nie mówiłaś?!

- Bo nie byłam w nastroju! Ja rozmawiam wtedy, kiedy mam ochotę, a nie wtedy, kiedy mi każą! Co ten bandyta robi?!

Jakoś nie miał już wątpliwości, o kogo pytam.

- Nie ma go, znów wyjechał! Ale pojutrze wraca! A co, chcesz coś od niego?!

- Chcę! - odrzyknęłam bez namysłu. - Powiedz mu, że jak się ze mną ożeni, to zamieszkamy w górskim szałasie i będę mu piekła baraninę! A teraz niech mi przyśle pierścionek zaręczynowy!

Czarna czeluść nade mną znów zakwiczała radośnie. Pogawędziliśmy pełną piersią jeszcze przez chwilę i wreszcie sobie poszedł.

Nazajutrz znów odmówiłam rozmowy. Ze zwornika wydobywały się prośby, groźby i skamłania, ale byłam stanowcza. W dłubanym korytarzu natrafiałam na coraz więcej dużych kamieni i robota mi się komplikowała. Niepokoiliam się, ile też ten acryl wytrzyma, wywlekając okropne głazy męczyłam się jak galernik i nie w głowie mi były teraz towarzyskie konwersacje.

- Wasza królewska mość! - zawyło znowu następnego dnia. - Żyjesz?!!!

- Nie mów do mnie wasza królewska mość!!! - wrzasnęłam z furią, bo kobyłasty kamień utknął mi w środku drogi, miałam z mim mnóstwo kłopotu i ledwo zdążyłam pod rozmównicę.

- A jak mam teraz mówić?! - zaciekawiał się cieć.

- Wielce szanowna pani! - ryknęłam kategorycznie.

- Ty, słuchaj! Dlaczego nie chciałaś rozmawiać z szefem?

Aha, widocznie szef był wieczorem i krzyczeli, jak siedziałam w korytarzu. Dobrze, że zdążyłam wcześniej rozpocząć sabotaż.

- Bo mi się nie podobało! Nie przysłał pierścionka!

- Szef był zły jak diabli! - zionęła konfidencjonalnie czarna dziura. - Kazał ci powiedzieć, że jak dzisiaj nie będziesz rozmawiać, to nie dostaniesz wody!

- Faktycznie, wyschnę tutaj na wiór! To dlaczego z tobą nie przyszedł?!

- Zajęty! Dopiero wieczorem przyjdzie! Ty, słuchaj! Ty się nie wygłupiaj! On ci zrobi co złego!

- A do tej pory robił mi samo dobre, co!?! Ty, słuchaj! Powiedz szefowi, niech on mnie nie denerwuje! Jak będę chciała, to będę rozmawiać, a jak nie, to nie!

Rozzłościłam się okropnie koniecznością oczekiwania na wieczorną rozmowę i z wściekłości wydlubałam wielki kawał muru. Antypatyczny łobuz przyszedł dopiero około dziesiątej.

- Ty, słuchaj!!! - wrzasnął.

Nauczony doświadczeniem cieć widocznie odsunął go od dziury, udzielając najnowszych wiadomości odnośnie moich życzeń, bo przez chwilę coś tam szemrało, po czym odezwał się podwładny.

- Wielce szanowna pani!!! - zagrzmiało z góry jak trąba jerychońska.

- Słucham szanownych panów!!! - odgrzmiałam z dołu.

- Ty, słuchaj! - krzyknął znów szef. - Poważnie mówiłaś?!

- Cały czas mówię poważnie! A co?!

- Zgadzam się!!!

- Na co, do diabła?!

- Ożenię się z tobą! Jak tylko powtórzysz, co on powiedział, ożenię się z tobą! Ksiądz będzie czekał!

- Zwariowałaś!!! - ryknęłam z niesmakiem. - Jaki ksiądz?! Ja jestem rozwiedziona!!!

- No to mer będzie czekał! Mnie jest wszystko jedno, niech cię szlag trafi! Ożenię się z tobą! Może to jest nawet niezła myśl!

- Może i niezła, ale ja się rozmyśliłam! Nie chcę wychodzić za męża! Nie zwracaj mi głowy!

- Jak chcesz! Siedź dalej, aż ci przejdzie dobry humor!

Postanowiłam przezornie ograniczyć przesyłanie mu wiadomości, wyglądało bowiem na to, iż każda napęła go nadzieją, że zmięklam, i po każdej będzie tu przylatywał, przeszkadzając mi w pracy. Dłubanie szło coraz trudniej. Przez następne piętnaście dni posunęłam się w głąb muru o następne dwa metry. Ileż, do diabła, grubości miało to wszystko?! Cały pagórek był wykonany z kamienia, czy co?!

Cieć przywykł, że odzywam się do niego tylko co drugi dzień i nie zgłasza pretensji. Zatechła wilgoć przeżerała mnie na wylot. Sieć z acrylu była na wykończeniu. W czasie następnej nieobecności szefa zażądałam trzeciego kaganka, przy czym bez

oporu zwróciłam pierwszy. Zwilgotniałych papierosów miałam już olbrzymi zapas.

Dłubałam w dzikim szale poprzysięgłszy sobie nie policzyć dni, dopóki nie przedłubię się na wylot.

Z coraz większym wysiłkiem przesunęłam się ku wolności o szósty metr, potem o siódmy. Zaczynało mnie ogarniać przerażenie i rozpacz. Wszystko mi gniło i miałam wrażenie, że sama składałam się już wyłącznie z części płynnych. Korytarz, dłubany w zdenerwowaniu i z niecierpliwością, zwęzał się zastraszająco. Skurczona na jego końcu, leżąc, wydłubywałam zaprawę z następnej spoiny.

Wyszarpnęłam długi, poprzecznie wiążący kamień. Z nieco mniejszym wysiłkiem obruszyłam i wyjęłam dwa obok niego. Obdłubałam dookoła i wyciągnęłam dwa następne, a potem jeszcze jeden z głębi za nimi. Już chciałam odrzucić ten jeden za siebie, kiedy nagle coś mnie zaintrygowało. Wapień był jasny, miał różne szarobeżowe odcienie, a ten ostatni kamień był inny. Jedną stronę miał prawie czarną. W nędznym świetle kaganka, stojącego w okolicy moich nóg, obejrzałam go, wytarłam ręką i zamarłam, nie wierząc własnym oczom i odczuciom.

Kamień był z jednej strony zabrudzony ziemią!

Z sercem w gardle, bez tchu, z zaciśniętymi w napięciu zębami, sięgnęłam ręką w głąb dziury. Nie domacałam się kamieni. Natrafiłam na miękkie, wilgotny grunt!

Oglądałam wydobytą garść ziemi, jak ubogi nurek ogląda znaną niespodziewanie, jedyną w życiu, czarną perłę. Aż żal było wysypać to z ręki. Oparłam głowę o kamienie, zamknęłam oczy i długą chwilę trwałam nieruchomo, słuchając pień anielskich, które wypełniły okropną czarną norę.

Potem zaś nagle wstąpiły we mnie nadludzkie siły. Z pieśnią bojową na ustach, sama nie wiedząc kiedy, odwalłam resztę kamieni, dzielących mnie od cudownego, miękkiego, czarnego, wymarzonego gruntu!

Wróciłam do lochu i policzyłam kreski na ścianie. Było ich sześćdziesiąt trzy. Przeszło dwa miesiące!

Teraz musiałam uporządkować nieco skłębione uczucia. Wolność widziałam przed sobą jak na dłoni i spadł ze mnie straszliwy, gniotący mnie przez cały czas, koszmarny ciężar niepewności, z którym walczyłam już resztką sił i do którego przed samą sobą usiłowałam się nie przyznawać. Ulga eksplodowała we mnie jak fajerwerk. Jadowita, mściwa satysfakcją nabrała nowych rumieńców. Przedłubałam przeklęty mur!!!!...

Otrząsnęłam się z euforii i przystąpiłam do układania konstruktywnych planów. Hamując niecierpliwość poszerzyłam nieco korytarz, przygotowując drogę transportu i jeszcze raz sprawdziłam kierunek i kąt nachylenia. Musiałam kopać nieco w górę, nie za dużo, żeby nie wyleźć na trawniczku przed zamkiem i nie za mało, żeby się nie przekopywać tuż pod powierzchnią dookoła całej kuli ziemskiej. Szydełko do kopania ziemi było równie przydatne jak do jedzenia barszczu i nadszedł czas posłużenia się dzbankiem. Stłukłam go z prawdziwą przyjemnością, ostrożnie i delikatnie, starając się uzyskać jak największe kawały skorup, po czym natychmiast spróbowałam, jak działa nowe narzędzie. Niepokoił mnie rodzaj warstw ziemi, z jakich składał się pagórek. Woda zaskórna wprawdzie nie powinna mi zagrażać, ale mogłam natrafić na litą skałę.

Na razie kopanie szło dobrze, szybciej niż dłubanie w spoinach. Dzbanek w roli łopaty zdawał egzamin. Kopałam z zapalem aż do chwili, kiedy zaczęłam się całkowicie dusić i wówczas uświadomiłam sobie, że rzucając całą wykopaną ziemię za siebie wykonuję sobie zupełnie przyzwoity grób. Nie była to najlepsza metoda, pracę należało zrationalizować.

Przezornie zostawiłam sobie drugi dzbanek, zawiadamiając ciecia, że znów się stłukł. Zdenerwowało go to okropnie i widocznie zameldował szefowi o mojej niszczycielskiej działalności, bo nazajutrz dostałam wodę w plastikowej butelce. Ograniczenie dostaw skorup nieco mnie zaniepokoiło, ale pocieszyłam się myślą, że pies kopie łapami, a w stworzonych mi warunkach stan całkowitego zezwierżenia osiągnę szybko i bez żadnego trudu.

Następnie stanowczym rykiem zażądałam rozmowy z szefem. Czekałam na niego pół dnia, co wzmogło moją twórczą furję.

- Słuchaj no, ty! - Wrzasnęłam, kiedy tylko przyszedł. - Namyśliłam się!
- No, nareszcie! - odkrzyknął z wyraźnym ożywieniem. - Gadaj!
- A chała! Sam wiesz, że ci nie wierzę! Jak powiem, to mi polepszysz warunki, tak?!
- Wszystko będziesz miała, co ci tylko do łba strzeli! Mówże wreszcie!
- Powiem ci pierwsze słowo! Co dostanę za pierwsze słowo?!
- A co chcesz?!
- Plastikową plandekę! Reumatyzmu dostałam! Jak mi za pierwsze słowo dasz plastikową plandekę, to się namyślę, czy ci powiedziec drugie! Muszę sprawdzić, czy to

coś daje!

- Może być! - ryknął po krótkim namyśle. - Mów pierwsze słowo!

- Najpierw plandeka!

- Nie, najpierw mów!

- Wypchaj się! Dawaj plandekę albo mam cię w nosie! Mnie już wszystko jedno!

Posprzeczaliśmy się jeszcze przez chwilę i stanęło na moim. Później wieczorem przez zwornik wleciała zwinięta w rulon impregnowana płachta z tworzywa sztucznego. O mało mi nie zgasła kaganka.

- No, słucham! Mów!!!

- Tuuuuu!!! - zawyłam przeraźliwie. Przez chwilę panowało milczenie.

- W jakim języku mówisz, do diabła?!!! - wrzasnął wreszcie, rozwścieczony.

Rzeczywiście. Owo fonetyczne “tu” mogło mieć rozmaite znaczenie zależnie od języka. Po angielsku mogło być słowo „two”, czyli “dwa” i słowo “to”, czyli “do”. Na upartego można je było jeszcze wziąć za “także”. Po duńsku byłoby “dwa”, po polsku zwyczajnie “tu”, a po francusku stanowiło różne odmiany “wszystkiego”. To też zresztą miałam na myśli, wyjął owo “tuuuu”, bo słowo “wszystko” było wszak początkiem wypowiedzi nieboszczyka. Zawsze byłam uczciwa, jak pierwsze słowo, to pierwsze słowo, jemu nic z tego nie przyjdzie, a ja miałam czyste sumienie i mogłam na wszystkie świętości przysięgać, że mówię prawdę.

- Po francusku! - ryknęłam z satysfakcją.

- Co mi to daje, do pioruna?! - krzyknął, rozwścieczony coraz bardziej.

- Nieboszczyk powiedział całe zdanie! - odkrzyknęłam uprzejmie. - Całe, porządne, długie zdanie! Przekazuję ci od początku. Jeszcze ci źle?!

- Idiotka!!!! - wrzasnął z furią i posługując się jeszcze kilkoma językami upewnił się, czy istotnie chodzi o “wszystko”.

- Mam nadzieję, że ci ta szmata prędko zgnije i będziesz chciała następną! - krzyknął na pożegnanie i poszedł.

“Prędzej chyba ja zgniję”! - pomyślałam ponuro i zabrałam się do roboty.

Plandeka była bardzo duża i musiałam podzielić ją na dwie części. Nie miałam czym. Z początku nastawiłam się na szarpanie zębami, ale potem uznałam, że ogień załatwi to lepiej. Złożyłam ją na pół i ostrożnie nadpaliłam krawędź nad kagankiem, pilnując, żeby mi to całe tworzywo sztuczne nie buchnęło gwałtownym płomieniem.

Długo to trwało, ale podzieliła się bardzo ładnie.

Następnie wypaliłam jeszcze dziury w narożnikach, przewlokłam przez nie warkocz, upleciony, z resztek acrylu i przygotowania do transportu ziemi uznałam za zakończone. Przystąpiłam do kopania.

Święci pańscy, a cóż to była za katorżnicza praca! Niewolnicy, zatrudnieni przy wznoszeniu piramidy Cheopsa mniej się chyba męczyli niż ja! Skorupą z dzbanka dźgałam ziemię i sypałam ją na rozciągniętą na kamieniach plandekę, pilnując, żeby nie zasypać całego przejścia. Następnie przeczołgiwałam się z trudem koło tego kopca i zaczynałam ciągnąć całość w kierunku wyjścia do komnaty. Co chwilę musiałam przestawiać kaganek, żeby mieć jakieś oświetlenie. W komnacie rozplantowywałam ziemię pod przeciwległą ścianą, starannie ją udeptując, bo ciągle miałam obawy, że mi się to wszystko nie zmieści.

Kreci korytarz wydłużał się i szedł w górę. Teraz już byłam zupełnie pewna, że wyjdę, i zaczęłam zastanawiać się, co zrobię potem. Melancholijnie pogodziłam się z tym, że pracę w Danii straciłam bezpowrotnie i nie mam tam po co jechać. Porzucanie nie ukończonych rysunków na krótko przed terminem i niknięcie z oczu współpracowników i szefa nigdzie nie jest dobrze widziane, a tym bardziej w tym upiornie solidnym, porządnym kraju. Pozostawiony tam mój dobytek niewątpliwie zabezpieczyła Alicja i to mi już nie zginie. Trzeba się będzie jakoś z nią porozumieć... Trzeba będzie ukraść temu bucefałowi moje dokumenty, bo jeszcze mi tylko tego brakuje, żeby za brak paszportu wsadziły mnie do mamra ojczyste władze. Do cichej celi w Białoleńce jakoś zupełnie straciłam serce i nie wydawała mi się już szczytem marzeń. Nie, dziękuję bardzo, żadnych cel!!!!...

Na samym końcu moich rozmyślań, w czarnej głębi wykopywanego korytarza, świeciła mi jak gwiazda na firmamencie słodka chwila powrotu do Polski. Tam był mój dom, tam była moja SUCHA pościel, tam była moja własna wanna w łazience, tam była ukochana, prawdziwa, polska milicja, tam czekała na mnie, czy może płakała już po mnie, co jakiś czas dając na mszę za moją duszę, cała moja rodzina, tam czekał Diabeł...

Tu moje rzewne rozmyślania urywały się nagle. Nie, to nie był temat stosowny jako rozrywka w czarnej jamie. Z Diabłem nie było dobrze...

Za długo mnie tam nie było, za długo plątałam się po innych krajach. Nie miałam już rozeznania terenu na miejscu, w Warszawie, a rzadkie i nieco dziwne listy raczej

wzmagaly wątpliwości zamiast je rozpraszać. Od długiego czasu coś się psuło, nie pozwalając się naprawiać i prawdę mówiąc mój ostatni wyjazd był ucieczką od niego. To już nie był ten sam człowiek co niegdyś. Zmienił się i do reszty przestałam go rozumieć. Czasami wydawało mi się, że jeszcze mu na mnie zależy, czasami zaś robił, co mógł, żeby mnie do siebie zniechęcić. Doprawdy, dziwne rzeczy robił... Niekiedy miałam wrażenie, że kwitnące między nami uczucia bardziej przypominają nienawiść niż cokolwiek innego. Uporczywie wmawiałam w siebie, że się mylę, że jednak on mnie kocha jakoś tam po swojemu i że nie powinnam się czepiać drobiazgów. Drobiazgi gromadziły się w olbrzymią piramidę...

Pchały mi się do głowy rozmaite przypuszczenia i podejrzenia, które z wysiłkiem sama odrzucałam, bo były zbyt okropne, i nie życzyłam sobie, żeby były prawdziwe. Jak każda zwyczajna, głupia kobieta hodowałam na dni serca nadzieję. Wszelkimi siłami pragnęłam, żeby owe głupie podejrzenia okazały się wyłącznie wytworem mojej zwyrodniałej imaginacji i tym bardziej teraz, wykopując się na świat ze średniowiecznych kazamatów, rozpaczliwie chciałam ugruntować w sobie pewność, że tam czeka na mnie nie zakamieniały wróg, ale kochający i ukochany mężczyzna, najbliższy człowiek, któremu będę mogła wyplakać w kamizelkę cały ten ponury koszmar. Na samą myśl, że tego człowieka już nie ma, opadłyby mi teraz ręce. Nie, nie mogłam sobie na to pozwolić! Żadnych podejrzeń i wątpliwości! Wierzyć w Diabła i koniec!

Z sił fizycznych opadałam coraz wyraźniej, ale szalejąca w mojej duszy furia nie ulegała zmniejszeniu. Furia dziubała za mnie wilgotną ziemię pagórka i ciągnęła naładowaną plandekę. Furia deptała ja i ubijała, rozsypując w miarę możliwości równo po całym pomieszczeniu. Furia odwalala za mnie gigantyczną pracę.

Przez całe życie nienawidziłam czegoś takiego. Miałam śmiertelną awersję do ciasnych, ciemnych korytarzy i do przebywania pod ziemią. Nie znosiłam czołgania się i przeciskania przez jakieś idiotyczne, podziemne przejścia. I właśnie coś takiego musiało stać się moim udziałem!

Dziko zacięta, w szale, we wściekłym uporze, z zaciśniętymi zębami i nienawiścią w sercu, dusząc się i opływając potem, pchałam się coraz dalej i dalej, rozpaczliwym wysiłkiem wylaząc z tego grobu na wolność. Nie zastanawiałam się nad tym, że właściwie robię coś, co jest zupełnie niemożliwe. Nie dopuszczałam do siebie zwątpienia w rezultaty. Wykluczałam myśl, że mogłabym natrafić na jakąś przeszkodę nie do

pokonania, że mogłoby mi się w końcu nie udać. Zaniechałam snucia planów na później, żeby nie uroczyć. Wszelkimi siłami starałam się nie widzieć warunków, w jakich żyłam, hamować wstręt, hamować niecierpliwość i nie myśleć! Nie myśleć! Nie myśleć!!!...

Korytarz wydłużał się coraz bardziej. Poziom podłogi w całym lochu podniósł mi się o metr ze spadkiem w kierunku dziury. Pod przeciwległą ścianą leżał potworny zwał i takie same zwąły zaczynały rosnąć już przy pozostałych ścianach. Barykadująca drzwi kupa kamieni zmniejszała kubaturę. Wyraźnie zanosilo się na to, że niedługo znajdę się pod samym zwornikiem.

Kontakty z cieciem ograniczałam coraz bardziej. W czołganiu się dochodziłam wprawdzie do perfekcji, ale wciąż jeszcze był to sposób poruszania się niedostatecznie szybki, a za to dostatecznie uciążliwy, żebym nie miała ochoty miotać się bez potrzeby wzdłuż dusznej kichy. Odzywałam się do niego już nie co drugi dzień, a co trzeci, żądając przy tym, żeby samodzielnie wytrząsał z koszyka chleb, butelkę i papierosy. Twierdziłam, że jestem zmęczona i nie chce mi się ruszyć z miejsca, co nawet niezbyt mijalo się z prawdą. Po początkowych protestach zaczął przywiązywać drugi sznurek do dna koszyka i w razie potrzeby przewracał go do góry nogami. Plastikowych butelek miał widać duży zapas, bo zgadzał się odbierać je ode mnie hurtem.

Nie poprzestając na uciążliwych dla obsługi grymasach, dowiadywałam się też starannie o poczynania szefa. Wyjeżdżał bardzo często, czasem na jeden dzień, a czasem na kilka. Ciec wyznał mi nawet, że w ogóle tak długi pobyt zwierzchnika w zamku jest spowodowany wyłącznie moja obecnością, poprzednio bowiem nie widywano go tu całymi miesiącami.

Skorupy z dzbanków pokruszyły mi się na drobne kawałki i musiałam uzyskać nowe narzędzie do kopania. Narzędzie nie mogło budzić podejrzeń. Zażądałam znów rozmowy z szefem.

- Co tam?! Już ci się trochę znudziło?! - wrzasnął drwiąco, dowoławszy się mnie wreszcie per "wielce szanowna pani".

- Chcesz drugie słowo?! - krzyknęłam w odpowiedzi.

- Chcę! Co chcesz dostać?!

- Pólmisek z królewskiej porcelany! Duńskiej!

- Zwariowałaś?!

- Sam zwariowałaś! Nie będę żarła z ziemi! Życzę sobie jadać na wytwornej

zastawie! Dajesz półmisek albo chała!

- Półmisek nie przejdzie! Wymyśl co innego!

Przestraszyłam się, że upór w kwestii półmiska może doprowadzić do tego, iż zechcą mi go dostarczyć drzwiami. Gwałtownie zaczęłam szukać w pamięci.

- Przejdzie!!! - ryknęłam odkrywczco. - Ja chcę taki długi, wąski!!! W czerwony wzorek!!!

- Wariatka!!! - wrzasnęła z przekonaniem, ale nazajutrz w zworniku zazgrzytało i ostrożnie przepchnięty, oplatany sznurkami półmisek zaczął zjeżdżać w dół.

- Mały ten półmisek! - wrzasnęłam z niezadowoleniem. - Kantujesz mnie!!! Ja ci powiem drugie słowo, ale jutro mi przyślesz jeszcze jeden! Jak takie małe, to dwa! Zobaczymy, czy dotrzymujesz obietnic!!!

Musiał mu okropnie zależeć na tej ukrytej forsie, bo bez namysłu zgodził się na dwa półmiski i obiecał następny nazajutrz. Ja też dotrzymywałam obietnic.

- Złożone!!! - wyryczałam ku zwornikowi.

- Co?!!!

- Złożone! Umiejscowione! Uplasowane! Pozostawione! - darłam się, używając wszystkich znanych mi języków. - On powiedział złożone!!!

Antypatyczne indywiduum na górze milczało przez chwilę, zapewne ogarnięte wzruszeniem. Wyraźnie wyglądało na to, że się łamałam i że trzecie słowo zacznę wyjaśniać sytuację.

- Razem powiedział "wszystko złożone", tak?! - wrzasnął, nie kryjąc podniecenia.

- Aha! A gdzie, to się dowiesz kiedy indziej!

- Mam nadzieję, że już długo nie wytrzymasz! Na diabła ci te półmiski?! Co wymyślisz następnym razem, złote widelce?!

- Jeszcze nie wiem! Zastanowię się!!!

- To się pośpiesz! Bo za tydzień mnie nie będzie! Beze mnie nic nie dostaniesz!

- Parę dni poczekam, nie pali się! Przyjemnie się tu siedzi!...

- Nie parę dni, tylko trochę dłużej! Radzę ci, namyśl się przez ten tydzień!...

Nazajutrz dostałam drugi półmisek. Twardo udowadniał, że dotrzymuje słowa. Między nami mówiąc miał rację i metoda, którą zastosował, była znakomita. Po pobycie w tym lochu wolność jako taka, mogła stać się sprawą drugorzędną. Wszystko inne było lepsze! Niewola, nie niewola, cokolwiek, byle tylko stąd wyjść! Każdy by na to poszedł i ja

sama pewnie też, gdyby nie ten obłądny, dziki, ośli upór, silniejszy ode mnie. Nie wiadomo, dlaczego zawsze lubiłam trudne przedsięwzięcia, a wygrzebanie się samodzielnie z tego grobowca było wszelkie rekordy. Mogło mi dostarczyć satysfakcji moralnej do końca życia.

Ponuro obliczałam sobie, że siedzę tu już przeszło trzy i pół miesiąca. Całe szczęście, że prowadziłam kalendarz, bo inaczej gotowa byłabym przysięgać, że ten pobyt w kazamatach trwa nie tylko całe lata, ale wręcz całe wieki. Wydawało mi się, że wylądowałam na skalistym, bretońskim wybrzeżu w zeszłym stuleciu. Podróż przez Atlantyk, olbrzymia, nieograniczona przestrzeń wody i nieba oddaliły się ode mnie tak, że niemal przestałam wierzyć w ich istnienie. Mój świat stanowiła ciasna, potwornie duszna, czarna, wilgotna nora.

Obmierzły łajdak wyjechał nie doczekawszy się objawów mojej skruchy, i miało go nie być dwa tygodnie, o czym powiadomił mnie cieć.

Oparta na lewym łokciu na końcu korytarza niemrawo dłubałam ziemię kawałkiem królewskiej porcelany. Czułam się wykończona do ostateczności pod każdym względem i dusząc się nieco, rozmyślałam, czy przypadkiem złoty widelec nie byłby istotnie lepszy. A może powiedzieć mu "sto" i zażądać łyżki z irydo-platyny? Zdaje się, że jest to coś szczególnie twardego...

Na domiar złego kopanie, dotychczas stosunkowo łatwe, zaczęło natrafiać na jakieś przeszkody. Królewska porcelana dziabła coś długiego, jakby nitki czy sznurki, oplątujące się wokół niej i utrudniające pracę. Klęłam to coś najgorszymi słowami aż do chwili, kiedy w moim zmaconym atmosferą umyśle błysnęło wreszcie olśniewające światło. Dobry Boże! Przecież te nitki to mogły być tylko korzenie roślin!!!

Ze wzruszenia o mało się nie udusiłam do reszty. Zaczęłam gwałtownie szarpać ziemię, usiłując się przekopać wprost ku górze, gdy nagle porcelana natrafiła na coś twardego i prysnęła mi w rękę. Odgarnęłam ziemię wokół tego i przysunęłam bliżej kaganek. To był kamień. Rany boskie, kamień nade mną, co to być może?? Natrafiłam na fundament muru obronnego?!. Spokojnie, tylko spokojnie...

Przezołgałam się na powrót do lochu i wywlokłam plandekę z ziemią. Zebrałam resztkę porcelany z półmisków i półprzytomna ze zdenerwowania doczołgałam się znów do strasznego kamienia. Zaczęłam próbować wokół niego. Nie, to nie był fundament, kamień tkwił samotnie, innych dookoła nie było. Korzeni do diabła i trochę, nie ma siły,

muszę już być tuż pod powierzchnią, trzeba obok...

Nie zważając już na to, że sypię ziemię za siebie byle gdzie, odcinając sobie niemal powrót do komnaty i narażając się na śmierć przez uduszenie, kopałam z furją jak oszalały terier. Na chwilę zastopowała mnie myśl, że nie mogę tak wyleźć byle kiedy i byle gdzie, muszę sprawdzić dwie rzeczy. Po pierwsze, czy nikt mnie nie zobaczy, a po drugie, czy jest dzień. Światło słoneczne po tej ciemnicy i utrata wzroku pewna! Jakaś pierwsza osoba, która ujrzy wylazącą z ziemi zmore, ucieknie wprawdzie niewątpliwie z przeraźliwym krzykiem, ale też zaraz nadlecą w to miejsce inne osoby. Spokojnie, tylko spokojnie...

Udało mi się wykonać trudne ćwiczenie akrobatyczne i spojrzeć na zegarek. Dochodziła siódma. Zaraz, co to jest teraz? Początek września chyba? No to południe dawno minęło, zaraz powinna zapaść noc. Tylko spokojnie...

Z ziemią zgrzytającą w zębach, zatykającą nos, sypiącą się w oczy i za kołnierz, jeśli w ogóle to coś, co miałam na sobie, zasługiwało na miano kołnierza, z nieprzytomnym szaleństwem w duszy, w dzikim napięciu szarpałam splątane korzenie, dźgałam je fragmentem porcelanowego półmiska, wrywałam i upychałam za siebie. Przekopywałam się tuż obok kamienia. "Jeśli na nim ktoś siedzi..." - błysnęło mi w głowie i wbrew sytuacji zachciało mi się histerycznie śmiać, kiedy sobie wyobraziłam wrażenia tej osoby. "Szkoda, że to nie cmentarz" - pomyślałam jeszcze i w tej samej chwili ręka z porcelanowym szpikulcem poleciała mi nagle do góry. Przerwałam splątany kożuch trawy!

Miałam jeszcze tyle przytomności umysłu, że od razu tę rękę cofnęłam. Wystająca z ziemi ludzka ręka z czymkolwiek nie jest widokiem nagminnie spotykanym. Nie mogłam już jednak opanować niecierpliwości i jednym gwałtownym szarpnięciem zrobiłam dziurę w ziemi.

Przez tę dziurę wpadło powietrze. Niewiele, mały strumyczek powietrza, które sprawiło, że na moment zamarłam i zachłysnęłam się, dopiero teraz czując, w jakim stopniu się do tej pory dusiłam!

Ostrożnie, powoli, z uczuciem wypełniającego mnie stopniowo bezgranicznego szczęścia, wyszarpywałam sobie wyjście na świat. Powietrze leciało tak świeże, tak intensywne, że wręcz bałam się nim oddychać. Powoli, ostrożnie wystawiłam głowę i delikatnie zaczęłam otwierać oczy.

Nade mną było wieczorne, ciemniejące niebo z gwiazdami. Tuż przy mojej twarzy rosły pachnące, splątane, wilgotne zieliska. Dookoła był cudowny, wolny, przeraźliwie wielki, pełen świeżego powietrza świat!

Niemrawo wygrzebałam się z dziury. Niemrawo rozejrzałam się dookoła. Zachód był za mną, niebo nad horyzontem świeciło za jaskrawo jak na moje możliwości. Na szczęście częściowo przesłaniała je sylwetka zamku. Zapadający zmrok odpowiadał mi idealnie. W pobliżu mnie nie było żywego ducha.

Co najmniej godzinę siedziałam w zielisku obok kamienia, opanowując zawrót głowy i przystosowując się do osiągniętego sukcesu. Potem pieśń triumfalna przepłynęła mnie od stóp do głów i podniosła na nogi.

Wiedziałam, że szefa nie ma. Wiedziałam też, że w stanie, w jakim jestem, absolutnie nie mogę pokazać się ludziom na oczy. Co do tego, jak wyglądam, raczej nie miałam złudzeń. Przypomniałam sobie widok z dziedzińca i ruszyłam przed siebie dookoła muru obronnego, który wznosił się parę metrów za mną. Jednak te studia coś mi dały, wyliczyłam wszystko zdumiewająco trafnie!

Przepelniające mnie szczęście i satysfakcja nie przygłuszyły wcale nienawiści. Obeszłam zamek dookoła i znalazłam się nad Loarą. Podeszłam pod mur. Nie był wysoki, a przy tym ząb czasu naruszył go tu i ówdzie, tak że sforsowanie go nie przedstawiało zbyt dużej trudności. Na dobrą sprawę teraz już nic nie wydawało mi się trudne.

Przelazłam przez mur na dziedziniec. Nadal nie widziałam wokół żywego ducha. W jednym skrzydle zamku paliło się światło, ale było to skrzydło akurat przeciwne temu, w którym rezydował szef. Do jego apartamentów właśnie zamierzałam się dostać. Spróbowałam drzwi, ale były zamknięte. Wybrałam sobie nieco osłonięty kąt, bez chwili namysłu wspięłam się na podmurowanie i diamentem z pierścionka przejechałam po szybie okiennej. Równy, duży prostokąt wykroił się łatwo. Z oświetlonego skrzydła dobiegały mnie dźwięki muzyki, grało radio czy może taśma, obojętne, grunt, że był tam jakiś hałas, wobec czego bez wahania pchnęłam prostokąt.

Wpadł do środka z niezbyt głośnym brzękiem. Wetknęłam rękę, odsunęłam rygiel i po chwili byłam w zamku.

Światło nie było mi potrzebne, w panującym mroku widziałam wszystko doskonale. Drogę do gabinetu szefa przypominałam sobie, wyobrażałam i odtwarzałam tyle razy, że teraz trafiłam tam jak po sznurku. Podniosłam ozdobę przy kominku, część

półek bibliotecznych otwarła się bezszelestnie i znalazłam się w sanktuarium.

Nie bałam się odkrycia, złapania, napotkania kogoś, nie bałam się niczego. Duszę przepełniała mi triumfująca, jadowita mściwość. Obejrzałam apartament dokładnie, znalazłam dekoracyjnie ułożone owoce na srebrnej paterze, sprawdziłam, czy nie sztuczne, z trudem powstrzymałam się od pożarcia wszystkich wraz ze skórami i pestkami, zjadłam jednego banana i jedną mandarynkę, po czym trafiłam do łazienki. I tu wreszcie spojrziałam w lustro.

To, co ujrzałam, przechodziło najśmielsze oczekiwania. Nieboszczka po kilku ekshumacjach byłaby przy mnie okazem zdrowia i urody. W dodatku musiałyby to jeszcze być nieboszczka pochowana nie w trumnie, a luzem, tak, żeby ziemia cmentarna miała do niej swobodny dostęp, inaczej bowiem porównanie ze mną nie wchodziłoby w rachubę.

Od tej chwili mogłam już do reszty zaniechać wszelkich niepokojów. Spotkanie ze mną byłoby nad wyraz niebezpieczne nawet dla głodnego tygrysa-ludojada!

Nie śpiesząc się, spokojnie, z nadzwyczajną przyjemnością i satysfakcją, wykonałam w apartamentach szefa mnóstwo czynności. Wykąpałam się, umyłam głowę jego szamponem, obciąłam straszne, częściowo połamane szpony, które wyrosły mi w miejsce paznokci, wypiliśmy kieliszek koniaku, znalazłam sobie odzież i ubrałam się w nią. Odzież składała się z koszulki polo, grubego, ciepłego golfu, za przeproszeniem krótkich gaci, dżinsów, skarpetek i obuwia, z którym miałam największy kłopot. Wszystko było na mnie o trzy numery za duże. Rozstrzygnęłam problem decydując się na trampki, które wypchałam watą, dziękując Opatrzności za panującą modę. Niezależnie od płci mogłam włożyć na siebie wszystko i nikt z pewnością nie zwróci na mnie uwagi. Następnie przystąpiłam do otwarcia sejfu.

Najniższy kamień dwa razy z lewej, raz z prawej i raz z lewej... Czy nie zrobił przypadkiem jakiejś blokady? Nie, nie zrobił. Kamień wyżej wysunął się i otworzył bezszelestnie. Teraz zero, drugi kamień... Teraz te zapamiętane na wieki dwadzieścia osiem sto dwadzieścia jeden...

Moja torba i siatka leżały na swoim miejscu. Skamieniałe w nienawiści serce zabiło mi na chwilę ludzkim wzruszeniem. Było wszystko, dokumenty, pieniądze, atlas... Na półce poniżej spoczywały paczki banknotów, dolarów i franków. Wygarnęłam wszystkie nie licząc, wysokość moich strat moralnych wydatnie wzrosła przez ostatnie

trzy miesiące. “Czekaj, ty ścierwo - pomyślałam mściwie. - Wykończę cię finansowo do reszty! W Urzędzie Skarbowym dolarami zapłacę podatek od darowizny!”

Na miejsce pieniędzy położyłam okropne, przegniłe łachy, które niegdyś stanowiły moją wytworną odzież, i zamknęłam sejf. Pożywiłam się jeszcze kilkoma owocami, zapaliłam suchego papierosa, zastanowiłam się i podeszłam do abstrakcyjnego obrazu. Coś trzeba zrobić z ramą z lewej strony...

Po kilku próbach, polegających na przyciskaniu, przesuwaniu i gnieceniu, wyczułam wreszcie małą wypukłość, z cichym szelestem mapa spłynęła w dół. Otworzyłam swój atlas na Hiszpanii i nauczyłam się na pamięć miejsca w Pirenejach, stanowiącego skrzyżowanie siedem z be jak Bernard. Wypukłość zwinęła mapę z powrotem i uznałam, że mogę się oddalić.

O świcie dotarłam do małej stacji kolejowej, gdzie przestudiowałam rozkład jazdy i schemat połączeń. Najbliższy pociąg odchodził do Tours i niewątpliwie na ten pociąg czekali ludzie, wyglądający na robotników. W swetrze i dzinsach nie różniłam się od nich zbyt, twarz zasłaniały mi częściowo największe okulary, jakie znalazłam w garderobie szefa i nikt na mnie nie zwracał uwagi. Kupiłam bilet i wsiadłam do pociągu.

W Tours były sklepy. W bufecie dworcowym poczekałam na ich otwarcie, po czym ruszyłam dyplomatycznie robić zakupy. Każdą sztukę odzieży kupiłam gdzie indziej, wybierając miejsca albo tłumnie odwiedzane, albo z samoobsługą. Ekspedientki również nie zwracały na mnie uwagi, nie takie dziwolągi jak ja zdarzało im się oglądać. Przebierałam się stopniowo, wykorzystując do tego celu wszystkie napotykanne kolejno damskie toalety. Obuwie kupiłam na wyprzedaży, nie zważając na jego jakość ani też wygodę, chodziło mi bowiem tylko o to, żeby przy kupnie właściwych pantofli nie wpadać nikomu w oko przez trampki o trzy numery za duże. Na końcu kupiłam walizkę i już w charakterze normalnie ubranej kobiety wsiadłam do paryskiego pociągu.

Z niepojętą, zważywszy przeżycia, bystrością umysłu przemyślałam sytuację. To znaczy wydawało mi się, że wykazuję niepojętą bystrość umysłu. Uczciwie mówiąc prezentowałam raczej wybuchy szaleństwa na rozmaitych tłach.

Od chwili spojrzenia w lustro zmieniłam plany. Wyłażąc z grobowca przewidywałam natychmiastową wizytę w Interpolu, złożenie zeznań i szybki powrót do Polski. Widok własnej maski pośmiertnej kazał mi się zawahać. Tak zdrowie, jak i wygląd miały jednak dla mnie pewne znaczenie, a straszliwa maskara, którą ukazało

zwierciadło, obudziła we mnie niepokój w kwestii ewentualnych dolegliwości, na razie jeszcze przytłumionych emocją, ale niewątpliwie zaczajonych w organizmie. Reumatyzm czułam wyraźnie w kolanach i w prawym ramieniu i lada chwila oczekiwałam ujawnienia się jakichś dalszych okropności. Pokazywanie się ludziom na oczy w takim stanie budziło we mnie zdecydowaną niechęć.

Ma domiar złego przewidywałam, że Interpol może mi przeszkodzić w zajęciu się swoją osobą. Nie puszczą mnie nigdzie, będą mnie chcieli mieć pod nosem, każą mi siedzieć w Paryżu. Założmy, że zacznę sypać, ujawnię miejsce ukrycia skarbu, gliny zaczną działać, szef się połapie, że sypnęłam, i dla samej zemsty postara się ukreć mi łeb. Znajdą mnie bez żadnego trudu.

Mogłabym, oczywiście, przebywać w bezpiecznym miejscu, ale jedyne bezpieczne miejsce, jakie umiałam sobie wyobrazić, to cela w kazamatach Interpolu, umieszczona w bunkrze przeciwpancernym, poniżej poziomu terenu. Cel tego rodzaju miałam powyżej dziurek od nosa i za żadne skarby świata nie zgodziłabym się do czegoś takiego nawet zajrzeć. Innymi słowy Interpol mógłby zapewnić mi bezpieczeństwo, ale w sposób całkowicie sprzeczny z wymaganiami mojego zdrowia.

Względnie mogliby umieścić mnie w hotelu, pozostawić mi swobodę działania i poustawiać dookoła ze dwie kopy pracowników w charakterze ochrony osobistej. Na pewno im brakuje ludzi, dwie kopy to przesada, dwóch albo trzech...

Przesuwający się za oknem wagonu jesienny krajobraz znikł mi z oczu i moja upiorna wyobraźnia wystartowała. Ujrzałam siebie, błogo śpiącą w pokoju hotelowym, z wyłysiałym łbem, sztuczną szczęką w porcelanowej miseczce, oblepioną przeciwreumatycznymi plastrami, na dole zaś, w holu, jakiegoś typa z tępą gębą, w kapeluszu nasuniętym na oczy. Ujrzałam, jak do typa zbliża się drugi typ, z gębą dla odmiany złośliwą, szepcze mu na ucho informację, że przybywa jako druga zmiana, typ z tępą gębą oddala się beztrąsko, a typ z gębą złośliwą wchodzi po schodach. Wchodzi ostrożnie, powoli i cicho, pilnując, żeby nic nie zatrzeszczało i żeby go nikt nie zobaczył. Pod drzwiami mojego pokoju nadziewa się na trzeciego typa, siedzącego na krześle ze znudzonym wyrazem twarzy, szepcze mu na ucho to samo i typ ze znudzonym wyrazem twarzy ożywia się i radośnie odbiega. Typ ze złośliwą gębą rozgląda się wokół, jest noc, cisza, wszyscy śpią, w tym ja, znękana ofiara głupich wydarzeń, typ wyciąga z kieszeni wytrych, bezszelestnie otwiera moje drzwi, wślizguje się do pokoju, na palcach skrada się

w kierunku łóżka, ja furt śpię, chrypiąc bronchitem, typ wyciąga z drugiej kieszeni narzędzie zbrodni...

Dziwne, że nie zerwałam się z miejsca z histerycznym krzykiem. Czułam, jak serce bije mi w gardle, i mgliście pomyślałam, że ostatnio zrobiłam się chyba trochę nerwowa. Wyobraźnia zatrzymała się w rozpędzie zapewne na skutek niezdecydowania, jakiego narzędzia należy użyć do usunięcia mnie z tego padoku. Oglądany oczyma duszy obraz jednakże wystarczył. Zrezygnowałam z ochrony osobistej.

Mogłam jeszcze plunąć na wymagania idiotycznego Interpolu i od razu podstępnie uciec do Polski. Złożyć te kretyńskie zeznania i w nogi. I znów zaczęła działać wyobraźnia.

Ujrzałam siebie na punkcie granicznym w Kolbaskowie. Ujrzałam, jak wysiadam powoli z samochodu, bo innego sposobu powrotu w ojczyste granice nawet moja wyobraźnia nie potrafiła wymyślić. Ujrzałam, jak zbliża się do mnie Diabeł, ujrzałam na jego twarzy wyraz przerażenia, niesmaku, wstrętu, ujrzałam, jak cofa się w panice na widok wyłazającego z pojazdu cmentarnego upiora w paryskiej konfekcji, tak jak cofnęła się kiedyś na mój widok sprzątaczką w biurze, kiedy dostałam ataku jakichś tajemniczych bólów, z których nic nie wynikło, ale które doprowadziły moje oblicze do pożałowania godnego stanu. I tak byłam wtedy prześliczna w porównaniu z tym, co teraz... Zaraz potem ujrzałam się wchodzącą w progi domu jednej z moich przyjaciółek i ujrzałam w oku owej przyjaciółki eksplozję umiarkowanego współczucia i gigantycznej, piramidalnej, nadziemskiej satysfakcji...

O nie!!! Wszystko, ale nie TO!!!

W jakimś krótkim mgnieniu po drodze zdążyłam jeszcze ujrzeć własną matkę, ze szlochem łamiącą ręce i rwącą włosy nade mną, ale to już nawet nie było potrzebne. Poprzedni obraz wystarczył. Z natychmiastowego powrotu do Polski zrezygnowałam nie mniej kategorycznie niż z ochrony osobistej.

Wróciłam myślą do Interpolu. Sanatorium... Na nic. Można przekupić pielęgniarkę, sprzątaczkę, ciecia, można wejść z wizytą, posłać truciznę w artykułach spożywczych, można wszystko. Sama potrafiłabym bez trudu uśmiercić każdego pacjenta w każdym sanatorium. Znajdą mnie, mają ludzi w policji, znajdą jak amen w pacierzu!

Ponuro i tępo wpatrywałam się w ruchomy krajobraz za oknem nie widząc żadnego wyjścia. Tak źle, a tak jeszcze gorzej. Po czym znów zakotłowała się we mnie

twórcza furia.

W czym właściwie leży największa trudność? Co stanowi tę podstawową kłódę na drodze mojego życia? Jasne, przeklęty skarb w Pirenejach! Gdyby nie to, gdyby nie te głupie pieniądze, nikt by się mnie tak przesadnie nie czepiał. Gang zwinąłby manatki, zmienił adresy... Nawet i to nie, przecież nie wiedzą, że podsłuchałam konferencję, nie wiedzą, ile wiem. Jakoś by się zabezpieczyli na wszelki wypadek, a ja miałabym spokój. Ale parszywe pieniądze tkwią w idiotycznej kryjówce i zatruwają mi egzystencję. Dopóki milczę na ten temat, dopóty szef będzie stawał na głowie, żeby mnie dopaść, ale też przy okazji sam będzie pilnował, żeby mnie szlag nie trafił. Jeśli zaś zdradzę tajemnicę, pilnować mnie zacznie Interpol, a szef spróbuje wykończyć. Interpol, jak widać, będzie pilnował nędznie i bezskutecznie...

Gdyby jakimś cudownym sposobem ten cały wstrętny skarb zdematerializował się bez mojego udziału! Gdybyż tak przepadł bezpowrotnie na skutek jakiegoś kataklizmu, trzęsienia ziemi, bomby, czegokolwiek! Gdybyż go ukradł jakiś uroczy, przypadkowy złodziej!...

Szukaliby mnie wtedy jednak ze znacznie mniejszym zapalem. Nie miałiby powodu się mścić... No, owszem, miałiby powód, ale to dopiero później. Później w ogóle wszystko byłoby łatwiejsze, ja bym już przyszła do siebie, najgorsze chwile mogłabym nawet przesiedzieć w zamknięciu, ewentualnie wróciłabym już do Polski... Później, wszystko później!

Przemyślałam jeszcze raz całą sytuację od początku i doszłam do tego samego. Nie było innego rozwiązania, jak tylko zniszczyć skarb. Wiem, gdzie to jest, dostać się tam i podłożyć dynamit... Na nic, diamenty rozlecą się dookoła i każdy będzie się pchał, żeby je zbierać. Podpuścić jakiegoś włamywacza... Owszem, to już lepiej. Ukraść to, innymi słowami, anonimowo. A potem ogłosić w prasie, że jacyś turyści, fikcyjne nazwiska, znaleźli skarb w górach i szalenie zadowoleni wrócili do domu. Niech się martwią hiszpańskie władze i niech szukają tych turystów. Kim oni mogą być? Jakiś bardzo duży kraj... Brazylijczycy, oczywiście! Turyści w Brazylii!

Trzeba znaleźć przytomnego włamywacza... Włamywacz, brazylijscy turyści, skrzyńeczki z diamentami, faceci w nasuniętych na oczy kapeluszach, objuczone bogactwem osły na górskich ścieżkach, luksusowe sanatoria, moje polskie przyjaciółki i zniechęcona gęba szefa, wszystko to razem zamieniło mi się w jedno rozszalałe

kłębowisko. Poczułam, że boli mnie prawe ramię i lewe kolano. Pomacałam zęby, żeby sprawdzić, czy się jeszcze nie ruszają. Włosów pomacać nie mogłam, bo miałam perukę. Po czym wyciągnęłam z rozmyślań jedyny wniosek - przeczekać.

Tak powrót do zdrowia, jak i znalezienie włamywacza wymagają czasu. Przez ten czas zdążę sobie przemyśleć całą sprawę dokładniej. Możliwe, że będzie wskazane nie zostawiać włamywaczowi całego ukradzionego bogactwa, mogłoby mu się to wydać podejrzane, tylko podzielić się z nim jakoś, chociaż co bym zrobiła z taką potworną ilością pieniędzy, doprawdy nie wiadomo. Ale możliwe, że znajdę jakieś zastosowanie. W każdym razie pewne jest, że póki jestem na swobodzie, póki nikomu jeszcze nic nie powiedziałam, póty mam pełnię możliwości i pewność życia. Nie należy działać pochopnie i w ślepo, trzeba się zastanowić...

Pierwsza zaś rzecz, jaką muszę uczynić, to wyrzec się własnego nazwiska. Fałszywe dokumenty uzyskam w Paryżu bez trudu. W hotelu zamieszkałam w charakterze Francuzki i nic nie będę musiała pokazywać. W celach regeneracyjnych zaś udam się do Taorminy.

Bardzo możliwe, że wszystkie moje rozterki, niepokoje, obawy i rozmyślenia podświadomie zmierzały właśnie do tego. Żeby jakoś samej sobie wytłumaczyć konieczność natychmiastowego wyjazdu do Taorminy. Już w lochu zakorzeniła się we mnie nieprzeparata tęsknota do słońca, morza i kaktusów właśnie tam, a nie gdzie indziej, resztki rozsądku kazały zrobić zupełnie co innego, musiałam zatem zdusić rozsądek. W oczach stanął mi widok z balkonu hotelu Minerwa i zrobiłam się nieprzytomna. Do Taorminy, tylko do Taorminy, tylko tam, do najpiękniejszego miejsca na świecie!...

Myśl o ziemi obiecanej wypchnęła mi z głowy wszystkie inne i dopiero na placu Republiki, gdzie znalazłam się z zamiarem zatrzymania się w małym, znanym mi hoteliku przy ulicy de la Douane, uprzytomniłam sobie, jaki idiotyzm usiłowałam popełnić. W tymże samym hoteliku mieszkałam zaledwie przed kilkoma miesiącami w charakterze cudzoziemki, dałam im bardzo duży napiwek, bo nie miałam drobnych, i mogą mnie jeszcze pamiętać. Spłoszona spojrzałam na zegarek i z ulgą stwierdziłam, że to jeszcze są godziny pracy.

Jeden był tylko człowiek w Paryżu, do którego mogłam się zwrócić z zamkniętymi oczami tak w tej, jak i w każdej innej sytuacji. Mój najlepszy, niezawodny przyjaciel sprzed lat, któremu na pewno mogłam wierzyć i na którego na pewno mogłam liczyć. Bardzo rzadko zdarza się na świecie takie coś jak wielka przyjaźń, ale jednak się zdarza.

Weszłam do małej knajpki, w której nie tak znów dawno, a zdawałoby się, że przed wiekami, jadłam pizzę po neapolitańsku i wykręciłam numer telefonu. Nie wiedziałam, czy jest, nie wiedziałam, czy nie zmienił miejsca pracy, nie widziałam go na oczy siedem lat i z bijącym sercem czekałam, aż podejdzie...

- Jak się masz - powiedziałam zwyczajnie po polsku. - Kopę lat. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej wody.

Usłyszałam, że go jakby zatkało, i ucieszyłam się, bo lubię robić niespodzianki.

- Rany Boskie! - powiedział z radosnym wzruszeniem. - To ty? To naprawdę ty?

- Aha. I znów przyszła chwila, kiedy muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Pewnie znów mi uratujesz życie.

- Z przyjemnością. Gdzie jesteś?

- W knajpie koło placu Republiki. Mogę czekać pod pomnikiem od tyłu.

- Dobrze, będę za kwadrans.

Walizka w ręku zdecydowanie mi przeszkadzała. Powinnam była zostawić ją w przechowalni. Nie wiedziałam, co z nią teraz zrobić, żeby się nie rzuciła w oczy. Do zwracania uwagi w zupełności wystarczała trupia zieleń mojej twarzy, rażąca w opalonym tłumie. Gapiąc się na średnio atrakcyjny tył pomnika czułam, jak mi się robi coraz cieplej na zaniepokojonym sercu.

Biała lancia zatrzymała się tylko na chwilę i wsiadłam do niej prawie w biegu.

- Raczej na mnie nie patrz - powiedziałam z westchnieniem. - Nie taki obraz mnie chciałabym zachować w twojej pamięci. Zazwyczaj wyglądam trochę inaczej. Okularów nie zdejmę za żadne skarby świata. Nic ci nie wyjaśnię... Nic o mnie nie wiesz, nie widziałeś mnie od siedmiu lat i nie widzisz nadal.

- Gdyby nie to, że istotnie dziwnie wyglądasz, powiedziałbym, że się nic nie zmieniłaś - odparł z lekkim rozbawieniem. - Wyszłaś z grobu?

- Coś w tym rodzaju.

- Czego ci potrzeba?

- Fałszywych dokumentów. Francuskich. Dostatecznie dobrych, żebym mogła z nimi przekroczyć włoską granicę. Cena obojętna, pośpiech nader wskazany.

Milczał przez chwilę, przekopując się przez uliczne korki, po czym westchnął ciężko.

- Jak to dobrze, że ja wiem, że po tobie można się spodziewać wszystkiego. I jak to

dobrze, że nie zerwałem kontaktów z jednym moim znajomym, który się stoczył na dno moralne. Zdaje się, że właśnie coś takiego fabrykuje. Spróbuję go jutro złapać. Jesteś pewna, że to jest właśnie to, co ci jest potrzebne? - dodał z namysłem.

- Absolutnie pewna - odparłam stanowczo. - Chyba wystarczy na mnie spojrzeć?

- Przecież chciałaś, żebym nie patrzył?

- Raz możesz spojrzeć, dla upewnienia. Ale przynajmniej staraj się nie zapamiętać tego, co widzisz.

Rzucił na mnie okiem, życzliwie rozbawiony, i pokiwał głową.

- Swymi czasy postanowiłem sobie niczemu się już nie dziwić i myślałem, że po tym, co mnie w życiu spotykało, nic mną już nie wstrząśnie. Ale ty masz zupełnie szczególny talent. Zjawiasz się znienacka po siedmiu latach i okazuje się, że jedyne, czego ci do szczęścia brakuje, to lewe papiery. Dokąd jedziesz?

- Nie mam pojęcia. Do byle jakiego hotelu, gdzie mnie na razie nie pytają o nazwisko. Żeby nie było nieporozumień, zawiadamiam cię, że nie popełniłam żadnego przestępstwa, nic z tych rzeczy. Takie pospolite komplikacje to nie dla mnie, ja wymyśliłam coś ciekawszego.

- Jasne, zawsze byłaś oryginalna. Cieszę się, że to nie minęło.

- Towarzystwo w hotelu nie gra roli, może to być nawet zamtuz. Marzę tylko o jednym, żeby paść na jakieś łóżko i spać bez przerwy tak ze dwie doby. Jutro zrobię zakupy, a w ogóle to niech ja zniknę z horyzontu.

- Masz jakieś zdjęcie?

Miałam zdjęcie. Dałam mu. Przepęłniało mnie cudowne poczucie bezpieczeństwa, takie samo, jakie odczuwałam przy nim siedem lat temu...

I doprawdy nie zawiodłam się na nim! Każdy inny człowiek na jego miejscu wydawałby okrzyki zdziwienia, protestu, wyrażałby wątpliwości, zadawał pytania, usiłował się czegoś dowiedzieć... On jeden na całym świecie zachował się właśnie tak, jak wiedziałam, że się zachowa. Gdybym mu pokazała ociekającą krwią, świeżo odciętą ludzką głowę i poprosiła o pomoc przy zakopaniu jej w wazie do zupy w lasku Vincennes, niewątpliwie udzieliliby mi tej pomocy, nie wnikając w szczegóły przedsięwzięcia.

W trzy dni potem byłam już po fryzjerze, po kosmetyczce, po czterdziestu dwóch godzinach snu, po dwóch kwarcówkach i po orgii zakupów u Lafayette'a. Nazywałam się Marie Gibois i miałam dwadzieścia osiem lat.

- Oszalałeś - powiedziałam z niesmakiem. - Wszystko dobrze, ale ten wiek wzbudzi podejrzenia.

- Nic nie poradzę, takie było. Zresztą, jak cię znam, to wkrótce dostosujesz się do dokumentów. Nie chcę o nic pytać, ale wydaje mi się, że miałaś jakieś przejścia. O ile pamiętam, to po przejściach młodziejysz, zresztą mam wrażenie, że już ci ubyło kilka lat.

Patrzyłam na niego w zamyśleniu, bo w ciągu minionych trzech dób w moim umyśle dokonywały się liczne przewroty. Namietność do Taorminy tkwiła we mnie nadal, ugruntowana i zaciekła, zwiększona tym, że w Paryżu padał deszcz, a mnie potrzebne było słońce, ale już zaczynałam sobie zdawać sprawę z tego, że zrobiłam potworne głupstwo. Zostawiłam im czas...

- Chyba ci coś powiem - rzekłam z wahaniem. - Nie bardzo wiem, co zrobić...

- Zrobisz, jak zechcesz - odparł żywo. - Wcale nie ukrywam, że jestem cholernie ciekaw, co tym razem wykombinowałaś, ale sama rozumiesz, że nie będę natrętnie pytał. Chyba że ci mogę coś pomóc?

- Już mi pomogłeś - mruknęłam. - Ale rzeczywiście, możesz więcej. Wyjaśnię ci, na czym rzecz polega. Powinnam iść do Interpolu i tam puścić obfitą farbę. Ale dopiero teraz widzę, że trzeba było tam iść zaraz pierwszego dnia, zamiast dzwonić do ciebie. Miałam zaćmienie umysłowe i nie poszłam. I teraz się boję.

- Czego się boisz? Że będą mieli pretensję, że przyszedłeś za późno?

- E tam. Ozłocą mnie nawet, jeśli przyjdę za pół roku. Ale, rozumiesz, szukają mnie tacy jedni cholernie niesympatyczni faceci. Trzy dni temu jeszcze nie mogli wiedzieć, gdzie jestem, ale teraz już się na pewno orientują. Są pewni, że będę się pchała do Interpolu i boję się, że już się tam gdzieś zaczaili i nawet jeśli mnie nie złapią pod bramą, to wpadną na ślad i złapią mnie w byle jakim innym miejscu. Gdybym teraz tam poszła, to już bym musiała zostać, nie wychodząc przez parę tygodni. A to mi jest szalenie nie na rękę, bo chcę jechać do Włoch. Ale znów z drugiej strony dobrze by było iść i jednak powiedzieć.

- Możesz zadzwonić - zaproponował po namyśle. - I niech ktoś od nich przyjdzie do ciebie.

Milczałam przez chwilę, rozpatrując tę nową możliwość i idiotyczna, rozhisteryzowana wyobraźnia natychmiast podsunęła mi obraz jakiegoś obcego faceta, który z roziskrzonym wzrokiem wysłuchuje moich informacji, po czym wyciąga ostry

sztylet i dziabie mnie w klatkę piersiową. Po czym, nie zatrzymany przez nikogo, spokojnie opuszcza hotel.

- Na nic - powiedziałam w przygnębieniu. - Nie zdobędę się na to, przez usta mi nie przejdzie. Zdaje się, że dostałam szmergla. Z dwojga złego wolałabym już iść do nich. Proszę cię, jeśli możesz i jeśli wiesz, gdzie oni urzędują, to przejedź tamtędy ze dwa razy i zobacz, czy nie ma nic podejrzanego.

- Nie wiem, jak wygląda coś podejrzanego, ale przejechać się mogę...

Z uzyskanych nazajutrz informacji wywnioskowałam, że podejrzone jest wszystko. Samochody stojące na okolicznych parkingach mogły czekać na mnie. Przechodzący policjant mógł być na usługach gangu. Siedzący na murkach i ławkach rozmaitego wieku i wyglądu ludzie mogli stanowić personel szefa. Ksiądz, przechadzający się pod parasolem, mógł być przebrany...

- Niech to diabli wezmą - powiedziałam z gniewem. - Już bym się nawet pogodziła z tym, że tam pojedę i zostanę, gdyby nie to, że bezwzględnie muszę się wyleczyć z reumatyzmu i awitaminozy. I w ogóle jak nie przyjdę do siebie teraz, to nie przyjdę nigdy. Wściekła jestem na to wszystko i zaczyna mnie korcić jedna taka złośliwość. Muszę ją sobie przemyśleć, a potem się jeszcze ciebie poradzę. Pozwól, że zostawię u ciebie moje wszystkie rzeczy.

Przepełniona mściwą myślą o przedsiębiorczym włamywaczu, z mirażem upajającego bogactwa przed oczami, wsiadłam nazajutrz do samolotu do Catanii.

Za moimi plecami zaś działy się szalenie interesujące rzeczy.

- Wielce szanowna pani!!! - ryczał cieć przez dziurę w zworniku. - Odezwij się!!! Żyjesz?!!!

Z dołu nie dochodził żaden odgłos. Widocznie znów miałam jakieś swoje fanaberie i postanowiłam nie rozmawiać. Mamrocząc gniewnie pod nosem opuścił koszyk, odwrócił go do góry dnem, pusty wyciągnął z powrotem i poszedł.

Nazajutrz ryczał dłużej i głośniejsze, ale nie odzywałam się nadal. Usiłował zajrzeć do środka. W środku panował nieprzenikniony mrok, zaniepokoił się więc, że może obraziłam się, bo mi zgasł kaganek. Wiedział wprawdzie, że mam zapalki, ale zapalki mogły mi zamoknąć.

- Hej, tyyy!!! - wrzeszczał. - Wielce szanowna pani!!! Dam ci nowe światło!!!

Na dole nadal panowała grobowa cisza. Ciec wytrząsnął zawartość koszyka i

przyniósł nowy kaganek. Zapalił go, omotał sznurkami i opuścił w dół. Zajrzał za kagankiem i ujrzał coś, co go przeraziło. Tak wczorajsze, jak i dzisiejsze produkty leżały pod dziurą nie tknięte.

- Wielce szanowna pani!! - zawył żałośnie. - Rany boskie!!! Umarłaś?!!!

Z dołu wciąż odpowiadało milczenie isticie cmentarne. Ciec wpadł w panikę.

- Odezwijsię, jak rany!!! Wasza królewska mość!!! Wasza eminencjo!!! Szanowna panii!!! Powiedz co!!! Pójdę na twój pogrzeb, słowo honoru!!! Nie dam ci więcej jeść!!! O rany, powiedz tylko, czy żyjesz?!!!

Na zionącym ponurą czernią lochu nic nie robiło wrażenia. Ciec zdenerwował się do szaleństwa. Miał wprawdzie jeszcze nadzieję, że są to jakieś głupie dowcipy, ale na wszelki wypadek poleciał z meldunkiem do jednego z dwóch pozostawionych w zamku, niższych rangą, współpracowników szefa. Dotarcie do dziury w zworniku wymagało zejścia przez dwie kondygnacje piwnic, współpracownik nie fatygował się więc, tylko od razu pchnął depeszę do zwierzchnika.

Szef wraz z asystą przyjechał nazajutrz. Natychmiast popędził na dół pełen najgorszych przeczuć. Zapałam się przy swoim i na złość mu zdechłam. Może trochę przesadził z tymi złymi warunkami...?

Obaj z cieciami, leżąc na kamiennym sklepieniu, na zmianę wyli, wrzeszczeli i ryczeli, prosząc i grożąc, bez skutku. Szef kazał przynieść żarówkę na bardzo długim sznurze, opuścił ją w dół i zajrzał osobiście.

W widocznym przez zwornik kręgu było dziwnie dużo ziemi. Nie mógł sobie przypomnieć, czy tyle samo było wówczas, kiedy zostałam tam zamknięta, czy też może widoczne były gołe kamienie. Jeśli kamienie, to skąd teraz ziemia? Sama się w nią zamieniłam czy co?

- Nie rozumiem - powiedział mimo woli do stojącego obok rozczochranego, który gwałtownie usiłował ukryć przebijającą przez niepokój satysfakcję. Ostatecznie to on właśnie został obtańcowany za moją poprzednią ucieczkę. Szefowi wydawało się, że tak łatwo mnie upilnować, proszę bardzo, niech teraz sam zobaczy...

Władca opanował się, zmarszczył brwi i zastanawiał się przez chwilę w milczeniu.

- Wejść przez drzwi - poleciał sucho.

Trzech bykowatych facetów zeszło po kręconych, niewygodnych schodkach i naparło na drzwi. Drzwi ani drgnęły. Dokooptowali czwartego. Nie był to brydź, więc

czwarty nie pomógł. Zrezygnowali i mocno wystraszeni wrócili na górę.

- Drzwi się nie otwierają - zameldował niepewnie najodważniejszy.

Oczekujący wieści na parterze szef spojrział na nich tak, że zrobiło im się słabo.

- Kazałem wejść przez drzwi, prawda? - powiedział cicho i łagodnie.

W czterech facetów wstąpiły nadludzkie siły. Sapiąc jak miechy kowalskie, z pełną świadomością, że bez otwarcia drzwi nie mają po co wracać na górę, dokonali wreszcie tego, że z okropnym zgrzytem i jakimś tajemniczym hurgotem drzwi uchyliły się na dwa centymetry. To, co w świetle latarek ujrzeli w szparze za nimi, sprawiło, że jednak znów udali się do szefa.

- Szefie - powiedzieli, nastawieni na natychmiastowy skok za jakąś osłonę - za tymi drzwiami jest coś dziwnego. Jakby mur, ale nierówny.

Ręka szefa skoczyła w kierunku broni palnej, faceci drgnęli w uniku, zwierzchnik opanował się jednak i poszedł obejrzeć rzecz osobiście. Dwucentymetrowa szczelina ukazywała rumowisko kamieni, sięgające powyżej futryny. Było bardzo dziwnie i jeszcze bardziej niedobrze. Co, u diabła, mogłam zrobić tam, w środku?

- Trotyl - powiedział szef krótko.

- Wieża się zawali - zaprotestował niepewnie towarzyszący mu rozczochrany.

- Nic się nie zawali. Rozwalać trotylem po trochu.

Udał się do gabinetu, a z podziemi zaczęły dobiegać głuchoe wybuchy. Coś go tknęło, zostawił rozczochranego przy stoliczku z napojami, sam zaś podszedł do ściany i otworzył sejf. W sejfie leżało odrażające kłębowisko przegniłych szmat i natychmiast wszystko stało się jasne.

- Jakim sposobem uciekła, do wszystkich diabłów?!!! Jak ona to zrobiła?!!!

- Przekopła się pod ziemią - oświadczył rozczochrany z przekonaniem.

Szef spojrział na niego strasznym wzrokiem.

- Masz źle w głowie?! Jakim cudem?! Przelazła przez kamienny mur?! To była zwyczajna dziewczyna, a nie wiertarka mechaniczna!

- To nie była zwyczajna dziewczyna - mruknął rozczochrany. - To była niepoczytalna wariatka, a takie są zdolne do wszystkiego.

Szczegółowe poszukiwania wokół zamku pozwoliły odkryć dziurę w terenie. Rozwalane po kawałku rumowisko rozleciało się wreszcie i pozwoliło wejść do środka. Dziura w ścianie mówiła sama za siebie.

Szef popracował umysłem i wezwał służbę, kazać natychmiast stwierdzić, czego brakuje w jego garderobie. Służba stanęła na głowie i mniej więcej stwierdziła. Tabun ludzi ruszył w świat, szukając śmiertelnie bladego kościotrupa niesprecyzowanej płci, ubranego w dzinsy, trampki i sweter, w ciemnych okularach, zasłaniających twarz. Komuś udało się uzyskać informację, że istotnie taki kościotrup, robiący wrażenie kobiety, jechał porannym pociągiem do Tours. W Tours kelnerka w restauracji dworcowej przypomniała sobie, iż coś takiego siedziało o poranku i jadło. I na tym koniec.

Nikt nie widział owego kościotrupa odjeżdżającego z Tours, nikt nie zauważył, żeby ten kościotrup coś robił czy gdzieś się pętał. Moja metoda dokonywania zakupów okazała się bezbłędnie genialna. Dotarłam do Tours, a dalej wszelki ślad po mnie zaginął...

Po całej Taorminie plątały się duńskie i szwedzkie wycieczki, ale postanowiłam być konsekwentna. Od razu wybiłam sobie z głowy tęskną myśl o przesłaniu Alicji wiadomości przez jakiegoś Duńczyka. Nie ma mnie, nie istnieję, zdematerializowałam się i nawet sama o sobie nic nie wiem. Żadnych ryzykownych czynów!

Hotel Minerwa stał na samej górze i wytęskniony widok z balkonu napelniał mnie nowym życiem. Pod balkonem rosła palma, do której odnosiłam się szczególnie czule i tkliwie, była to bowiem niejako pierwsza palma w moim życiu. Przyjechawszy przed laty po raz pierwszy do Taorminy, zaraz pierwszego wieczoru, oglądając się, czy nikt nie widzi, pomacałam ją starannie i przekonałam się, że istotnie jest prawdziwa. Zawsze miałam fijoła na tle tropikalnej roślinności i wreszcie udało mi się jej dopaść.

Moje intensywne wysiłki zmierzające ku regeneracji, dawały olśniewające rezultaty. Owoce, pożerane na tony, morska woda, słońce i świeże powietrze czyniły cuda, które mnie samą zdumiały. Wiedziałam, że przychodzę do siebie bardzo szybko, ale nigdy nie przypuszczałam, że takie tempo jest w ogóle możliwe. W ciągu dwóch tygodni ubyło mi piętnaście lat, a nieboszczka po ekshumacji oddaliła się bezpowrotnie w siną dal.

Powodzenie zaczynałam mieć nieprzeciętne, co po ostatnich przeżyciach było czymś nowym i nader atrakcyjnym. Fakt, że podrywali mnie tubylcy, nie stanowił nic szczególnego, tubylcy bowiem podrywaliby mnie nawet bezpośrednio po wyjściu z lochu. Dzierżyli wysoko sztandar narodowego temperamentu i podrywali ślepo i automatycznie

wszystkie turystki, jak leci, niezależnie od id wieku i wyglądu. Trzykrotnie jednakże otrzymałam propozycję spędzania rozrywkowych wieczorów, za które nie będę musiała płacić, a to już było coś. Jeden taki posunął się nawet do obietnicy, że on zapłaci za mnie i chociaż widać było, że świętokradcze słowa z trudem przechodzą mu przez gardło, to jednak doceniłam gest i odmawiając nie kryłam wdzięczności i szczerzej sympatii.

Oprócz tubylców zaczął także latać za mną Szwed, przekonany, że przy okazji kształci się we francuskim języku. Chłopak był to jak lalka, ale miał jedną wadę. Mianowicie gęba mu się świeciła od rana do wieczora z niepojętych przyczyn, na głowie zaś wyglądał tak, jakby go krowa jęzorem przyliziała. Ten drobny, zdawałoby się, szczególnie uniemożliwiał mi odwzajemnianie jego uczuć.

Nieporównane nieróbstwo, w którym trwałam dzień po dniu, ukoilo mój wzburzony umysł. Siedząc na leżaku na rozslonecznionej plaży, wpatrzona w intensywny błękit wody i nieba, zastanawiałam się z niejakim zdziwieniem, jak mogłam do tego stopnia zgłupieć. Skąd mi się w ogóle wzięły te idiotyczne rozterki i wątpliwości? Jasne, że trzeba było zrobić właśnie to, co zrobiłam. Interpol może sobie poczekać, nic mu się nie stanie. Oczywiście, że mogłam tam iść, nie było żadnych przeszkód, podejrzone elementy stanowiły wyłącznie wytwór mojej imaginacji, ale lepiej, że nie poszłam. W pierwszej kolejności należało ratować zdrowie, a z całą pewnością moje zdrowie nie jest podstawową troską Interpolu.

W Pirenejach leży skarb. Niech sobie leży, niech go diabli wezmą. Za jakiś tydzień albo dwa wrócę do Paryża i zdradzę im wszystkie tajemnice. Szef niewątpliwie straci mój ślad, nie jest w końcu wszechwiedzący. Przeceniłam go i niepotrzebnie wpadłam w manię prześladowczą. Zanim mnie znów znajdzie, już dawno będę w Warszawie, a ci tutaj niech sobie sami toczą swoją świętą wojnę.

Chociaż z drugiej strony...

Może by to było rzeczywiście interesujące udać się tam, wydobyć majątek, schować gdzie indziej, pod ręką... Mogłabym się potem zastanawiać, co z tym zrobić. Szlachetnie oddać francuskim władzom. Jeszcze szlachetniej przekazać do Polski na skarb państwa z zastrzeżeniem, że to na budownictwo mieszkaniowe. Mniej szlachetnie ulokować w szwajcarskim banku i do końca życia mieć zapewnione fundusze na podróże dookoła świata i inne drobnostki. Zużyć na działalność filantropijną albo przestępczą. Na złość Amerykanom ufundować następny pojazd kosmiczny dla Związku Radzieckiego.

Nie wiadomo co jeszcze. Zawsze lubiłam mieć przed sobą szerokie możliwości.

Wylazłam z prześlicznej, ciemnoniebieskiej, ciepłej zupy, zwanej Morzem Jońskim, położyłam się na leżaku, pozbyłam się Szweda, nakłoniwszy go, żeby poszedł na obiad beze mnie, zamówiłam sobie kawę i lody i bezmyślnie zapatrzyłam się w jednego z moich tubylczych znajomych nurkującego wokół skał. Facet to był, nawet jak na Włocha, osobliwy. Temperament temperamentem, ale to coś, co tryskało z niego, nie miało wręcz nazwy. Nadmiarem jego wigoru dałoby się bez trudu obdzielić kilkunastu dwudziestoletnich młodzieńców, on zaś sam miał już około pięćdziesiątki! Ani przez chwilę nie trwał w bezruchu, jeśli nie pływał, to wiosłował, jak nie wiosłował, to biegał, gimnastykował się, pomagał spychać do wody i wyciągać łodzie i w ogóle robił, co popadło. Pływając śpiewał arie operowe i wybuchał rozgłośnym śmiechem, a sama stwierdziłam, że tam, gdzie pływał, woda była głęboka, i w żaden sposób nie mógł się nogą podpierać sam. Jego widok wystarczał, żeby człowiek czuł się zwolniony z obowiązku dokonywania jakichkolwiek wysiłków. On pracował za wszystkich.

Włoski język nigdy nie sprawiał mi zbytnich trudności. W ciągu dwóch tygodni poczyniłam znaczne postępy i byliśmy z niezwykłym makaroniarzem już niezłe zaprzyjaźnieni. Życzliwie przyjrzałam mu się teraz, jak zniknął pod wodą, po czym zamknęłam oczy. Trwałam w błogim rozleniwieniu, słuchając rozlegających się od jego strony okrzyków, śpiewów, śmiechów, i gwizdów. Śmiechy zbliżyły się, widocznie wyszedł z wody i nagle tuż nade mną rozległ się okrzyk:

- Stella di mare!!!

Zdrętwiałam. Świeżo nabyty, beztroski spokój mojego wnętrza nagle diabli wzięli. Zimny dreszcz przeleciał mi po plecach i siedziałam jak skamieniała, niezdolna do otworzenia oczu. Przeklęty jacht "Stella di Mare"!... Jak to, więc jednak tu dotarli...?!

- Signorina! Stella di mare! To dla pani!

Ostrożnie otworzyłam oczy, usiłując złapać oddech. Morze było puste, żaden jacht po nim nie płynął. Okropny makaroniarz stał nade mną błyskając wspaniałymi zębami, a u moich nóg, na drobnych kamykach, leżała cudownej piękności, purpurowa, lśniąca rozgwiazda. Stella di mare!

Odzyskałam zdolność ruchu. Pochyliłam się i podniosłam rozgwiazdę, która poruszyła lekko mackami. Wrzasnęłam przeraźliwie i wypuściłam ją z ręki. Była olbrzymia i doprawdy niezwykle piękna, ale nie bojąc się żadnych żab, szczurów ani

myszy, odczuwam nieprzeparty wstręt do wszystkiego, co się wije. Przewornie nie dotykając jej już, wyraziłam szczerzy zachwyt.

- Może pani ją zjeść na kolację! - zawołał radośnie makaroniarz, biegnąc dookoła mojego leżaka.

Nie znoszę żadnych *frutti di mare*. Sama myśl o zjedzeniu ośmiornicy napełnia mnie śmiertelnym obrzydzeniem. Nie mogę patrzeć na żywe węgorze. A ten mi tutaj głądzi o zjedzeniu rozgwiazdy!

Musiałam mieć przez chwilę wyraz twarzy całkowicie jednoznaczny, w pełni zgodny z moimi uczuciami, bo siedzący naprzeciwko mnie na leżaku jakiś facet wybuchnął nagle śmiechem. Spojrzałam na niego z wyrzutem i opanowałam się czym prędzej nie chcąc robić przykrości sympatycznemu człowiekowi.

- Wykluczone! - zaprotestowałam stanowczo. - Ona jest zbyt piękna. Nie jada się takich pięknych rzeczy.

- To ją pani może zasuszyć! - zaproponował natychmiast makaroniarz niemniej radośnie, przystępując do wymachów rąk. - Połóż ją pani na balkonie, na słońcu i jutro już będzie gotowa!

- A nie zblednie? - zaniepokoiłam się, bo intensywna purpura aż lśniła, i od razu zaczęłam myśleć, jak ją zachować. Wszystkie ususzone rozgwiazdy, jakie widziałam, były blade.

- Trochę zblednie, ale nie bardzo.

- Niech pani spróbuje suszyć w cieniu - powiedział życzliwie facet, który przedtem wybuchnął śmiechem.

Przyjrzałam mu się dokładniej.

- W cieniu nie można, nie wyschnie! - zawołał makaroniarz, odbiegając.

Nie dyskutowałam z nim nie tylko dlatego, że musiałabym drzeć się na całą plażę, ale też i dlatego, że przed sobą miałam obraz mężczyzny mego życia, co sobie nagle uświadomiłam i co mną wstrząsnęło.

Dwa wstrząsy naraz, jeden po drugim, to było trochę za wiele na moją świeżo odremontowaną odporność. *Stella di mare* i mężczyzna życia, dwa różne światy, oba nie bardzo realne. Okrzyk makaroniarza spadł na mnie jak grom z jasnego nieba, przebijając cienką skorupkę błęgiego spokoju. Wszystkie niedawne przeżycia stanęły mi przed oczami i nagle dokonałam odkrycia, że to przecież był koszmar. Przeszłam przez jakieś

straszne rzeczy! Straszliwy bezmiar oceanu i zimne, przegniłe ciemności ciasnego lochu, brak granic na Atlantyku i nadmiar granic w kazamatkach... Zemściło się na mnie upodobanie do kontrastów czy co? Jakaś klątwa? Jakim cudem udało mi się nie oszaleć od tego do reszty?

Długiej chwili potrzebowałam, żeby rozejrzeć się wokół, przyjść do siebie i uwierzyć, że realna jest teraźniejszość. Przyjrzałam się otoczeniu, jakbym je widziała po raz pierwszy w życiu, pomacałam leżak, dotknęłam ostrożnie rozgwiazdy i wypłam resztkę kawy. Po czym mogłam się zająć drugim wstrząsem.

Jest taki specjalny typ mężczyzn, który mi się zawsze nadzwyczajnie podobał i na który w swojej karierze życiowej nigdy nie natrafiłam. Od najwcześniejszej młodości widziałam takich zaledwie parę sztuk i nigdy z żadnym nie nawiązałam nie tylko bliższej, ale nawet dalszej znajomości. Stawali okoniem, widocznie okropnie się im nie podobałam. Oni byli w moim typie, a ja nie byłam w ich i nic na to nie można było poradzić. Trudno, konflikt upodobań, *de gustibus non est disputandum*.

Teraz zaś na leżaku naprzeciwko mnie siedział właśnie taki i patrzył na mnie z wyraźną sympatią. Był kulminacyjnym punktem teraźniejszości, jaśniejącej blaskiem włoskiego słońca i kontrastującej z minionym mrokiem. Miał piękną, opaloną, bardzo męską twarz, niebieskie, błyskające humorem oczy i krótko strzyżone, ciemno-blond włosy. Oczywiście, blondyn!

Przyzwyczajona do niepowodzeń akurat na tym polu nie rzucałam mu powłóczyстых spojrzeń, nie mizdrzyłam się, nie krygowałam głupawo, tylko od razu uznałam, że nie powinnam wymagać zbyt wiele. Wystarczy, że on tu w ogóle jest. No to niech sobie będzie. Pochyliłam się i ładnie ułożyłam rozgwiazdę na płaskich kamkach.

Blondyn mego życia wstał z leżaka i poszedł do wody. Przypomniałam sobie rozczochranego i pomyślałam, że doprawdy pomiędzy stającymi mi na drodze blondynami dają się zauważyć istotne różnice. Gdyby przeznaczenie przydzieliło mi tego, to chyba nie protestowałabym zbyt gwałtownie. Na horyzoncie ukazał się szatyn w postaci Szweda błyskającego w słońcu czerwonym, rozanielonym pyskiem.

Tego samego wieczoru siedziałam sobie przy kawie na małym placyku nad samym urwiskiem, tuż przy balustradzie, skąd był widok na wszystko. Nad Taorminą świecił księżyc w pełni, złoty księżyc, taki, jaki świeci tylko nad Taorminą. Widziałam w życiu wiele księżyców w pełni w najrozmaitszych miejscach i mogę autorytatywnie stwierdzić,

że nigdzie nie ma takiego jak tam. Gdzieś bardzo daleko w dole od czasu do czasu cicho wzdychało morze, a za przykładem morza wzdychałam i ja.

Szweda pozbyłam się znów już przed kolacją, zniknąwszy mu z oczu, bo nie miałam siły patrzeć na jego przylizany łeb. Z dwojga złego wolałam już nie patrzeć na nic. Uświadomienie sobie mojego osobliwego pecha do blondynów wprawiało mnie we wściekłość i usposabiało do niego nader nieprzychylnie. Teraz zaś zaczynałam tego żałować.

Myślałam sobie, czy to przypadkiem nie jest trochę głupio siedzieć tu samej, pod tym przeraźliwie złotym księżycem, wśród palm i kaktusów, w atmosferze, która sprzyja wszystkiemu z wyjątkiem samotności. Przez chwilę, przez krótką chwilę, nade wszystko w świecie chciałam, żeby ten Diabeł był tu ze mną...

Mam wyobraźnię, z wiekiem mi nie mija. Oczyma duszy ujrzałam go, siedzącego po drugiej stronie stolika nad drugą filiżanką kawy. Oprócz wyobraźni mam też realistyczny umysł.

Oczy duszy zobaczyły wyraźnie, jak na dłoni, co by było. Najpierw by ziewnął. Potem na moją uwagę o księżycu udałby, że go nie dostrzega. Potem oświadczyłby, że się nie może obejrzeć, bo opalił sobie kark i koszula go gryzie, a potem natychmiast obejrzałby się bez żadnego trudu za przechodzącą dziewczyną. Ja bym czekała, jak każda głupia kobieta, na jakieś jedno czulsze słowo, jakiś gest, bodaj uśmiech czy spojrzenie, czy zmianę wyrazu twarzy, a on by zamknął oczy i udawał, że jest śpiący. Byłoby to samo co zawsze, wszędzie, już prawie od trzech lat. Potem zaczęłaby mnie brać okropna cholera, trafiłby mnie dziki, stosowny do klimatu, szlag, obudziłyby się we mnie sycylijskie namiętności, rozbiłabym mu na głowie filiżankę po kawie... Albo może nie zrobiłabym nic, tylko siedziałabym z tym kotłującym się w duszy kłębowiskiem żmij i węży, księżyc straciłby swój blask, morze szemrałoby drwiąco i wzdorliwie, z odrobiną współczucia dla pełnej głupich złudzeń idiotki i w ogóle cała ta Taormina byłaby zmarnowana. Nie, chyba lepiej, że go tu nie ma...

Przestałam chcieć, żeby był, ale realistyczny obraz zrobił swoje. Na długo uśpione żmije poruszyły łebkami i cicho syknęły. Nie, z Diabełem nie było dobrze.

Teraz już mogłam wrócić do tematu, który słusznie usunęłam z rozważań w podziemnej norze. Teraz to było co innego, można się było nad tym pozastanawiać bez obawy o życie. Z przeraźliwą jasnością uświadomiłam sobie, że moja wyobraźnia wcale

nie przesadza. W skupieniu zaczęłam wspominać codzienne życie ostatnich lat. Kiedy to się właściwie zaczęło pogarszać? Przed prawie trzema laty, zaraz potem, jak zmienił pracę. Chciał pieniędzy. Ludzka rzecz. Chciał mieć dużo pieniędzy. Też ludzka rzecz. Chciał używać świata. Jeszcze bardziej ludzka rzecz, wszystko to mogłam zrozumieć, sama też nigdy nie miałam skłonności do ascezy. Ale on chyba popadł w przesadę. Zmierzał do swego z jakąś straszliwą, egoistyczną bezwzględnością, nie licząc się z niczym i z nikim, a już najmniej ze mną. Ode mnie tylko wymagał najrozmaitszych rzeczy, zachowując się przy tym nawet nie jak brutalny pan i władca, co bym jeszcze ostatecznie zniosła, ale jak rozgrymaszona primadonna, co już było absolutnie nie do wytrzymania.

Dość ponuro i z pewnym niesmakiem zastanowiłam się, czy tak samo zachowuje się wobec swoich nowych podrywek, których istnienia nie dało się przeoczyć. Albo przestał się fatygować ich ukrywaniem, albo też było ich tyle, że same wylażyły na jaw. Wszystko jedno zresztą, nie o fakt istnienia podrywek chodziło, a o jego stosunek do mnie. W chwilach, kiedy wychodził z roli primadonny, zamieniał się w znudzonego męża, a nie zestarzałam się jeszcze do tego stopnia, żeby się z tym bez oporu pogodzić.

Dziwny się zrobił od początku do końca, bo ostatecznie to, że mu się znudziłam, byłoby dość naturalne. Nie pierwszy to i nie ostatni taki wypadek na świecie. Ale jeśli mu się znudziłam, to naturalną rzeczą kolejną powinien był porzucić mnie i pójść sobie precz. Nic mu nie stało na przeszkodzie. Z niepojętych przyczyn nie porzucił mnie i nie szedł, trwając przy moim boku znudzony, niemiły, niechętny, wymagający i złośliwy. Zatruił mi życie, niszczył zdrowie i nerwy i coraz bardziej utwierdzałam się w dziwnym i nieco przerażającym przekonaniu, że ten człowiek mnie nienawidzi nie wiadomo za co i z tej nienawiści nie może się ze mną rozstać.

Już od dwóch lat w mojej duszy szalał bunt. Uciekałam od niego za granicę i skutek był taki, że spędzaliśmy urlopy w coraz bardziej atrakcyjnych miejscowościach, ciągle bowiem jeszcze karmiłam się nadzieją, że może się mylę, że przesadzam, że to pogorszenie było tylko chwilowe i teraz znów się zmieni na lepsze. Usiłowałam nie słuchać mojego doświadczenia życiowego, które z granitową, rozpaczliwą pewnością mówiło mi, że jeśli cokolwiek się zmieni, to tylko na gorsze. Wiadomo, że uczucia idą drogą, która ma jeden kierunek ruchu.

Przed samą sobą niechętnie przyznawałam się do tego, że wolałabym się z nim

jakoś porozumieć i zakończyć tę wieczną wojnę. Uniemożliwiało mi to, sam zaostrzał sytuację, doprowadzał mnie do stanu bliskiego apopleksji po to tylko, żeby zaraz potem zmienić front i uczynić coś, co kazało mi zwątpić w słuszność własnych wniosków i spostrzeżeń. Zaczynałam się wahać, popadałam w rozterkę i rozważałam niedorzeczną myśl, że może on tylko udaje, że skoro trwa przy mnie i nie idzie, to może jednak mu na mnie zależy?... Typowa sytuacja skołowanej kretynki!

Posępnie, z irytacją, pełna żalu, zdenerwowana i rozgoryczona słuchałam teraz nietaktownie łagodnego szeptu morza i przypominałam sobie różne minione wydarzenia, mające o czymś świadczyć. Wydarzenia uparcie świadczyły o najgorszym. Nie podobało mi się to. Za wszelką cenę chciałam zrozumieć sytuację, i zyskać jakąś pewność. Nie można reagować, nie można podejmować decyzji w stanie niepewności. Co, u diabła, powinnam z tym fantem zrobić? Bezczyność, poddanie się, podporządkowanie losowi, cierpliwe i bierne oczekiwanie... Nic z tego, nie dla mnie te rzeczy. Ja muszę coś zrobić albo pęknę z hukiem. Co, do pioruna, powinnam zrobić?...

Zastanawiałam się i zastanawiałam, a księżyc świecił jak oszalały i utrudniał racjonalną pracę umysłową...

- Taka kobieta jak pani nie powinna tu siedzieć samotnie - powiedział nagle ktoś obok mnie.

Akurat w tym momencie byłam dokładnie takiego samego zdania. Z rzeczy, które powinnam, nie wymyśliłam nic, wiadomo było natomiast, czego nie powinnam. Odwróciłam się i ujrzałam tego z plaży, mężczyznę mego życia.

- Niezależnie od tego, czy życzy pani sobie mojego towarzystwa, czy nie, ja tu zostanę - ciągnął, siadając. - Taka kobieta jak pani w taki wieczór jak ten powinna słuchać komplementów i wyznań. Obojętne od kogo. Zobowiązuję się zastąpić legion. Co pani zrobiła z gwiazdą morza?

Zdecydowałam się na niego w mgnieniu oka. Sam mi wszedł w ręce, podsuwając jedyny sensowny sposób pozbycia się rozterki. Niech to nawet będzie tylko ten jeden wieczór i wszystko jedno, co się stanie jutro. Jutro może uciekać na mój widok z przeraźliwym krzykiem.

- Leży na balkonie i schnie - odparłam i dodałam: - Może się pan przedstawić niewyraźnie.

- Dlaczego niewyraźnie?

- Wilk będzie syty i owca cała. Możliwe, że nie ma pan ochoty przedstawiać się każdej z dam, spotykanych na plaży. Jeśli uczyni pan to niewyraźnie, ja nie zapamiętam, a galanterii stanie się zadość.

Roześmiał się, wstał i dokonał prezentacji. W ostatniej chwili zdążyłam sobie przypomnieć, że nazywam się Maria Gibois. Manicure miałam świeżo zrobioną, nos mi się nie świecił, wiatru nie było i na głowie miałam uczesanie, nie zaś rozcapierzoną szopę, wszystko grało. Konwersacja potoczyła się niczym górski potok.

- Długo pani tu jeszcze zostaje? - spytał wśród rozważań na temat uroków krajobrazu w czasie nowiu.

- Nie wiem. Może tydzień, może dwa.

- Chyba miałem pecha. Zaraz następnego dnia po przyjeździe trafić na panią! Nic takiego nie leżało w moich zamiarach.

O cudzie! Po tylu wiekach rozmaitych okropności znów poczuć się kobietą! Ileż to już czasu byłam wszystkim innym, głową rodziny, pracownikiem państwowym, matką dzieciom, człowiekiem, ściganą zwierzyną, diabli wiedzą, czym jeszcze. Szwed się nie liczył, nikt się nie liczył, wiadomo przecież, że to nie o to chodzi, świecąca gęba i przylizany łeb nie wywołują piknięcia w sercu! A tutaj oto księżyc, morze, plener, noc i przy mnie opiera się o kamienną balustradę mężczyzna. mego życia... Wzruszyłam się.

- Proszę? - powiedziałam z obłudnym zdziwieniem. - Zdawało mi się, że miał pan mówić komplementy?

- To jest gigantyczny komplement - odparł z westchnieniem. - Chciałem tu mieć wolny umysł, mnóstwo czasu i całkowitą swobodę. Tymczasem już widzę, że zaabsorbuje mnie pani bez reszty.

- Nic takiego nie leży w moich zamiarach - powiedziałam stanowczo i fałszywie.

- Ale już teraz leży w moich. Miałem jeszcze nadzieję, że jest pani zwyczajną, śliczną idiotką, z którą nie można rozmawiać. Okazuje się, że wręcz przeciwnie...

- Jestem odrażającą intelektualistką, z którą można tylko rozmawiać - podpowiedziała życzliwie.

- No nie, tego już za wiele. Na prowokacje od dzieciństwa reagowałem gwałtownie. Dosyć tego, idziemy tańczyć!

Poszliśmy tańczyć. Poszliśmy także na spacer. Księżyc, jak wiadomo, z upływem godzin zmienia swoje usytuowanie na niebie. Nieco później najlepiej był widoczny z

zupełnie innego miejsca, takiego kawałka parku, zaniedbanego, zupełnie odludnego, porosłego wyjątkowo bujną zielenią. Świecił jak dziki.

Ten sycylijski klimat to jest jednak coś okropnego!...

Nie mogłam stwierdzić nazajutrz, czy ucieka na mój widok z przeraźliwym krzykiem, ponieważ go nigdzie nie było. Pomyślałam sobie, że zapewne uciekł profilaktycznie, nie narażając się na oglądanie mnie, ale byłam z tym już z góry pogodzona i nie czułam żalu. Wręcz przeciwnie, coś w rodzaju wdzięczności za niespodziewany prezent losu wprawiło mnie w dobry humor i nawet odniosłam się łagodnie do Szweda, pozwalając się zaprosić po kolacji na obchód miejscowych knajp. W obchodzie uczestniczyłam dość krótko, ponieważ Szwed urznął się w drzazgi degustowanymi w każdej knajpie napojami i zaparł się przy zacieśnieniu kontaktów. Nie chciało mi się z nim przekomarzać, zwłaszcza że swoje życzenia wykrzykiwał pełną piersią na całą okolicę, a ktoś tu mógł znać francuski, wobec czego uciekłam podstępnie z kolejnego lokalu, wykorzystując okazję. Okazją był mój znajomy makaroniarz, który przy pomocy różnych nakryć stołowych robił wraz z orkiestrą perkusję, co zwróciło na niego baczną uwagę wszystkich obecnych, w tym także i Szweda.

Nie zapalając światła wyszłam na balkon. Bardzo długo oglądałam pejzaż, patrząc w lewo, na Monte Castello, przed siebie, na morze i skały, i w prawo, na całą panoramę wybrzeża, żalując, że nie mogę także spojrzeć na Etnę, w tym celu bowiem musiałabym wyleźć na dach, aż wreszcie spojrzałam w dół, na zaprzyjaźnioną palmę.

Pod palmą ktoś stał. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że Szwed, który zaraz ryknie gromko, czego sobie życzy, budząc tym cały hotel i okolicznych mieszkańców i kompromitując mnie ostatecznie, i już cofnęłam się do wnętrza, ale przyjrzałam się bystrzej i kształt majaczącej w mroku głowy wydał mi się inny. Nie zaznaczały się na nim ślady działalności krowiego ozora. Nie dowierając własnemu szczęściu przyjrzałam się jeszcze bardziej i jak Bóg na niebie, to był on! Blondyn mojego życia!

Niewymowne wzruszenie ogarnęło mnie od stóp do głów. Gdybyż jeszcze miał pelerynę, sztylet w zębach i gitarę! Nie wiem, co prawda, jak można śpiewać, trzymając w zębach sztylet, ale w końcu to nieważne. Ostatecznie niech nie śpiewa, grunt, że stoi. Od iluż to już lat nikt nie stał pod moim oknem!

Westchnęłam sobie rzewnie, po czym, w krótkim przebłyску trzeźwości, pomyślałam, że gdzie właściwie miał ktoś stać. Jeśli pod moim oknem, to na podwórzu,

wywołując zbiegowisko lokatorów oficyny, jeśli zaś pod balkonem to primo na środku ruchliwej ulicy, a secundo balkon należy do pokoju moich dzieci. Coś nie tak. Jasne, warunków po prostu nie było.

Westchnęłam ponownie z ulgą i oddałam się kontemplacji wydarzenia. Staliśmy tak potwornie długo, on pod palmą, a ja na balkonie, bo chciałam zobaczyć, co z tego wyniknie, nie będąc przy tym natrętnie aktywna. Załamalam się pierwsza. Nie mogę długo stać, krzyż mi zdrętwiał i nogi, cofnęłam się do pokoju sięgając po krzesło i tracąc go z oczu tylko na sekundę, dzięki czemu ujrzałam jeszcze, jak się oddala. Widok znajomej już sylwetki upewnił mnie ostatecznie, że to on!

Prozaiczne zakończenie romantycznej sceny nawet mnie specjalnie nie rozczarowało, być może dlatego, że już od następnego poranka stałam się obiektem czułych uczuć. Blondyn mego życia wyraził kategoryczne życzenie zwiedzania Sycylii, w moim towarzystwie, twierdząc, iż wszystkie plenery beze mnie tracą cały urok.

Obejrzałam zatem bez protestów zarówno to, co już widziałam wcześniej, jak i to, czego jeszcze nie zdążyłam obejrzeć. Zwiedziłam szczegółowo Palermo, Catanię, Syrakuzy i parę innych miejscowości, Monte Castello zaś mogłam już narysować z pamięci. Szał turystyczny, który go z nagłą opętał, odpowiadał w pełni moim upodobaniom i z prawdziwą przyjemnością weszłam po raz pierwszy w życiu w rolę słodkiej idiotki, otoczonej opieką męskiego ramienia.

Uczciwie trzeba przyznać, że zaczęło mi się to nawet podobać. Kobiety mają łatwość przystosowywania się do sytuacji, a to był facet przyzwyczajony widać do roztaczania opieki nad różnymi niedojdami życiowymi i sam mi tę rolę narzucał. Co sobie we mnie upatrywał, nie było wiadomo, ale po szczegółowym obejrzeniu się w lustrze doszłam do wniosku, że ostatecznie można go zrozumieć. Taormina zawsze mi dobrze robiła na wygląd zewnętrzny.

Przytłumiona sielanką iskra trzeźwości błysnęła we mnie po kilku dniach w miejscu najzupełniej po temu niestosownym. Powinna była tam raczej zgasnąć bezpowrotnie. Wpłynęliśmy łodzią do Grotta Azzura, najpiękniejszej ze wszystkich, i siedząc na kołyszącej się pode mną ławeczce z niezmaconym niczym zachwytem patrzyłam na kolorystyczny cud, który jawił się przed moimi oczyma. Mogłam się temu przyglądać bez końca, wciąż nie umiając uwierzyć, że to, co widzę, rzeczywiście istnieje.

Następnie spojrzełam na Apolla Belwederskiego przy wiosłach i aż coś we mnie

jęknęło, bo zawsze miałam wysoko rozwinięte poczucie estetyki. Uznałam, że scena wymaga poetycznego uzupełnienia, a skoro on nic nie mówi, to muszę ja. Jego, miejmy nadzieję, dławi nadmiar wzruszenia.

- Masz oczy zupełnie takie same jak to - powiedziałam rzewnie, acz przypadkiem zgodnie z prawdą, wskazując nieprawdopodobnie błękitny refleks na skałach. I już siłą rozpędu dodałam z żalem: - Szkoda, że nie jesteś prawdziwy...

Wpatrzony uprzednio melancholijnie w szafirową wodę? Apollo odwrócił się tak gwałtownie, że zakołysał łodzią.

- Co to znaczy? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zwracam ci uwagę, że nie umiem pływać!

- Nie szkodzi, ja umiem. Co to znaczy, że nie jestem prawdziwy?

Milczałam gapiąc się na niego, bo właściwie sama nie bardzo wiedziałam, co mam na myśli. Oczyma duszy ujrzałam nagle kolejkę po cytryny...

- Nie wiem - powiedziałam mimo woli, usiłując to jakoś samej sobie wyjaśnić. - Nie możesz być prawdziwy. Nie ma na ciebie miejsca w moim prawdziwym życiu. Jesteś *happy endem* sensacyjnego filmu z życia wyższych sfer, po którym na ekranie ukaże się słowo "koniec" i trzeba będzie wyjść z kina.

Powiedziałam to zanim zdążyłam pomyśleć, co mówię, i dopiero potem pomyślałam, że udało mi się powiedzieć wielką prawdę. Poczułam się dumna z siebie.

Teraz on milczał przez chwilę, patrząc na mnie dziwnie uważnie.

- A jakie jest twoje prawdziwe życie? - spytał łagodnie i cicho.

Przestraszyłam się, pojawiwszy nagle, że powiedziałam za dużo. Nie mogłam mu przecież wyznać, że moje prawdziwe życie jest bardzo daleko stąd, na północy, gdzie księżyc świeci srebrnym, a nie złotym blaskiem, gdzie morze jest przeważnie zimne i ma kolor szarzielony, gdzie w jedynym dla mnie mieście na świecie jeżdżą przepełnione tramwaje i niewyspani ludzie śpieszą się rano podpisać listę obecności, gdzie brakuje czasem wody w kranach i papieru toaletowego w sklepach, gdzie stoją kolejki po mięso i po Encyklopedię Powszechną, gdzie

>>>>brak kartki strony: 263 i 264<<<<<<

dwóch lat dzięki staraniom Diabła, uległ całkowitej zagładzie. Obok mnie siedział blondyn mego życia, którego czułe deklaracje napełniały mnie ufnym i radosnym poczuciem triumfu. Czarne zwały lawy z Etny, leżące wzdłuż wybrzeża od mniej więcej

sześciu tysięcy lat, dostarczały mi dodatkowych wzruszeń, wynikłych z faktu, że identycznie taki sam widok, jaki mam teraz przed oczami, oglądali lądujący tu po raz pierwszy Grecy. Zawsze miałam kota na tle historii starożytnej i archeologii.

W chwili kiedy napawałam się właśnie nadzieją penetrowania reliktyw po Inkach i Majach i mój prywatny romans stulecia nabierał największych uroków, blondyn mego życia rzekł:

- Będę musiał wyjechać na jakieś dwa albo trzy dni. Zaniedbałem przez ciebie moje obowiązki.

- Jakie obowiązki? - spytałam z roztargnieniem, zaabsorbowana wybrykami imaginacji.

- Mam głupią sprawę do załatwienia. Zdradzę ci tę tajemnicę, ale zatrzymaj to przy sobie. Powiniennem szukać jednej baby.

- Co...?!

- Jednej baby. Muszę ją znaleźć. Mój szef mi kazał.

Piorun z pogodnego błękitnego nieba trzasnął w czarną lawę u moich stóp. Gwałtownie usiłując złapać oddech, pomyślałam jeszcze rozpaczliwie, że to chyba niemożliwe, zwariowałam, mam obsesję...

- Jakiej... baby... - spytałam słabo, z nadzieją, że w moim głosie nie słyhać paniki.

- Jednej koszmarnej baby, której w ogóle nie znam. Bladej jak trup, zreumatyzmowanej, wychudzonej, trochę ślepej, wyglądającej na jakieś czterdzieści pięć lat albo nawet pięćdziesiąt, chociaż w rzeczywistości jest młodsza. Powinna mieć okropnie zniszczone ręce i bardzo dużo pieniędzy.

Najpierw pomyślałam z podziwem, że organizm ludzki jest nieprawdopodobnie wytrzymały. Ileż to już razy miałam okazję udusić się z samego zdenerwowania, a jeszcze żyję! Potem poczułam się zdegustowana swoim konterfektem, takim, jaki utrwalił się w ich umysłach, i bliska byłam sprostowania. Następnie udało mi się wreszcie nieco zmobilizować.

- Po cóż, na litość boską, szukasz takiego potwora? - spytałam z niesmakiem, zdumiona własną siłą charakteru.

- Zapewniam cię, że nie dla przyjemności - odparł pogodnie. - Jest to kobieta, która okradła mojego szefa. Podstępnie pozbawiła go olbrzymiej sumy pieniędzy i trzeba ją znaleźć, żeby to odzyskać.

Na myśl, że legła mi się chęć powiadomienia go o kryjówce w Pirenejach, ogarnęła mnie niebotyczna zgroza. Rany boskie! Znalazł sobie podrywkę, nie ma co! Zabrałby mnie może w tym Paryżu na bankiet do szefa!...

- Muszę ci się przyznać do czegoś - ciągnął dalej. - W pierwszej chwili myślałem nawet, że to może ty. Ale ty jesteś za młoda.

Zapaliłam papierosa, usiłując zyskać na czasie i wyobrazić sobie, co bym mówiła, gdybym to nie była ja. Chętna zazwyczaj wyobrażnia tym razem stawiała niepojęty opór.

- Co za pomysł - powiedziałam ze wstrętem. - Dlaczego myślałeś, że to ja?

- Stella di mare - mruknął.

- Co, stella di mare?

- Przyglądałem się wtedy, kiedy ten Włoch rzucił ci rozgwiadę i krzyknął "stella di mare"! Przeraziłaś się i najpierw spojrzałaś na morze. Ta kobieta uczyniłaby dokładnie to samo. Dlaczego się przeraziłaś?

- Nie odpowiadam za czyny obcych bab! Takie mokre, zimne świństwo rzucił mi znienacka na nogi! Każdy by się przeraził! To jeszcze nie powód, żebym miała być jakimś wyleniałym monstrum!

- Ale jesteś trochę do niej podobna - powiedział przekornie, najwyraźniej w świecie traktując te straszliwe słowa jak beztróskie przekomarzenie się. - Blondynka, czarne oczy... Chociaż ona powinna być siwa.

- Jak siwa, to ufarbowana - powiedziałam nieco bez sensu, ale ujrzałam nagle wszystko w innym świetle i chaos w moich uczuciach stał się silniejszy ode mnie. Romans stulecia, nie ma co...

"W Syrakuzach... - przeleciało mi przez głowę. - Jak człowieka spotka nieszczęście w Syrakuzach, to to jest zawsze romantyczniej niż w Grójcu. Chociaż, z drugiej strony, Grójec jakąż to egzotyka dla Araba!"

Nie słuchałam, co mówił dalej, bo nagła potrzeba rozwikłania okropnej sytuacji doprowadziła mnie do stanu ostatecznego zidiocenia. Oczyma duszy widziałam wyłącznie Araba na grójeckim rynku i za żadne skarby świata nie mogłam się pozbyć tego obrazu.

W powrotnej drodze do Taorminy utwierdziłam w sobie przeświadczenie, że spotkała mnie ciężka i niezasłużona krzywda, po czym pocieszyłam się słabo myślą, że romans z podwładnym szefa ma swój perwersyjny urok. Niczego więcej nie zdołałam

sprecyzować.

- Zaczekasz na mnie, prawda? - spytał z czułym niepokojem, podjeżdżając pod mój hotel. - Nie wyjedziesz w ciągu tych trzech dni?

Upewniłam go, że oczywiście, zaczekam, i przyjrzałam mu się dokładnie jeszcze raz. Jasne, był zbyt piękny, żeby mógł być prawdziwy!

Pozostawiona samej sobie odzyskałam przytomność umysłu. Mściwa, twórcza furia rozkwitła we mnie na nowo imponującym kwieciem. Natychmiast przystąpiłam do zaniedbanych lekkomyślnie rozważań.

Natychmiastowa ucieczka nie miała żadnego sensu i żadnych szans. Z całą pewnością wyglądało to następująco: przez tę idiotyczną rozgwiadę powziął podejrzenia. Poderwał mnie z nadzieją, że czegoś się dowie, wybuchy uczuć deklarował w tymże samym celu. Jasne, tylko tak, kwitłam w tej Taorminie jak chińska róża na wiosnę, każdy by chętnie do mnie podeklarował. Pod palmą sterczał niewątpliwie w śledczych celach, prawdopodobnie chciał zrewidować mój pokój, znaleźć coś, co by mnie zdemaskowało. Nic nie znalazł, to pewne, wszystko, co posiadałam przy sobie, należało do Marii Gibois, nawet kalendarzyk Domu Książki zostawiłam w Paryżu. Niepewny swego powiadomił mnie teraz o wyjeździe, licząc na to, że coś zrobię. Świetnie, wobec tego nic nie zrobię. Gdybym istotnie była sobą, to już tej nocy powinno mnie tu nie być. Jeśli jednak jestem Marią Gibois, która nie ma ze mną nic wspólnego, oczywiście spokojnie zaczekam, aż ukochany wróci z podróży służbowej.

Niewątpliwie już w tej chwili siedzą zaczajeni na mnie na wszystkich lotniskach, na których lądują samoloty z Catanii. Niech siedzą, pies z nimi tańcował. Szkopuł w tym, żeby uciec nie zaraz, tylko nieco później, wtedy, kiedy się tego nie będzie spodziewał. I zorganizować wszystko tak, żeby prawie jednym ciągiem dostać się do Polski. Dopiero tam odetchnę, dopiero tam się uspokoję. Żadnych tutejszych władz, żadnych policji, pluję na Interpol, niech się powieszą grupowo osiemdziesiąt razy! Gang potrafi mnie znaleźć, a Interpol co? Jacyś idioci tam siedzą. Nie, nikomu tu już nie uwierzę za nic na świecie! Do Polski! Natychmiast do Polski!!!

Tam nie ma żadnych bandyckich gangów, tam jest najwyżej gang koperkowy albo niciany. Tam jest zwyczajna, uczciwa, niefałszowana milicja. Tam są ludzie, których znam osobiście, tam jest spokój i bezpieczeństwo, tam jest Diabeł...!

Diabeł... Boże jedyny! Niech ziewa jak stary krokodyl, niech zamyka oczy, niech

podrywa, co popadnie, niech mi zatruwa życie, niech grymasi, niech robi, co chce, byle dotrzeć wreszcie do niego, do tej jedynej, bezpiecznej przystani!!!

Nie da się ukryć, że w ciągu ostatnich miesięcy moje życie zrobiło się jakby nieco nadmiernie urozmaicone i doprawdy czas już byłoby odrobinę odpocząć...

Wyczekiwanie na okazję było, ryzykowne, lada dzień bowiem mógł nadejść moment, kiedy wielbiciel uprze się jechać razem do Paryża. Postanowiłam zadziałać rewolucyjnie.

Ze służbowej podróży wrócił po dwóch dniach i zastał mnie siedzącą na plaży z promiennym wyrazem oblicza. Po następnych dwóch dniach rozstałam się z nim późnym popołudniem bez konkretnych planów na wieczór, poprosiłam w recepcji hotelu Minerwa o powiadomienie narzeczonego, iż nagle udaję się z wizytą do starych znajomych i wrócę bardzo późno, wepchnęłam trochę rzeczy do plażowej torby, resztę zostawiłam i pojechałam autobusem do Catanii. Zdążyłam jeszcze szybko kupić walizkę, żeby się nie rzucać w oczy brakiem bagażu i w ostatniej chwili dopadłam wieczornego samolotu do Paryża. Bilet miałam zamówiony od rana. Późną nocą wylądowałam na Orly.

Zamierzałam prosto z Paryża lecieć do Kopenhagi, zobaczyć się z Alicją, kupić samochód, zabrać cały dobytek i jechać przez Warnemunde do Polski. W tym duchu wysłałam do niej depezę z lotniska, wynajęłam pokój w bardzo skromnym hotelu i zadzwoniłam do ukochanego przyjaciela w celu odzyskania prawdziwych dokumentów.

Nazajutrz wczesnym rankiem byłam już w polskiej ambasadzie, gdzie przeprowadziłam nieco osobliwą rozmowę.

- Rany boskie, co się z panią działo? - powiedział do mnie pierwszy sekretarz, przyglądając mi się podejrzliwie. - To przecież pani zginęła z Kopenhagi?

- A ja, owszem. Ale już się znalazłam. Nic takiego się nie działo, drobnostka, porwali mnie bandyci. I widzi pan, jakie świnię, nie uwzględnili terminu ważności mojego paszportu. Co ja mam teraz zrobić?

- A nie, to nic takiego. Przedłużymy pani. Ale tylko na dwa tygodnie. I gdzie pani była?

- W Brazylii.

- Jak to w Brazylii? - powiedział pierwszy sekretarz nerwowo. - Przecież pani ma paszport tylko na Europę. Nielegalnie pani była?

- Nie wiem - odparłam bezradnie. - Sama się nad tym zastanawiam.

- A gdzie pani ma wizę? - spytał, czwarty raz przeglądając mój paszport. - Pani tu nawet nie ma miejsca na wizę!

Przyjrzał mi się ze zgrozą i dodał:

- Była pani bez wizy?!

- Bez...

- To jak oni panią wpuścili?!

- Nie wiem - odparłam, czując, jak do reszty kołowacieję. - Nikt mnie o nic nie pytał.

Równocześnie uświadomiłam sobie, że wygłaszam gigantyczne łgarstwo, bo przecież nic innego nie robili, tylko mnie pytali, i zaczęło mi się robić gorąco. Pierwszy sekretarz patrzył na mnie z oburzeniem i wstrętem.

- To niemożliwe - oświadczył stanowczo. - W tych warunkach nie mogła pani być w Brazylii. Ma pani jakiś dowód, że pani tam była?

- Nie mam. - wyznałam ze skruchą. - Nawet żadnej pamiątki sobie nie przywiozłam.

- To gdzie pani była w takim razie?

- W Brazylii...

Zanosilo się na to, że rozmowa nie ulegnie zakończeniu do sądnego dnia. Pracownik ambasady złamał się pierwszy, bo widocznie bał się wariatów.

- Nic nie rozumiem - powiedział, wyraźnie przygnębiony. - Lepiej będzie, jeśli pani wróci do Polski. Kiedy pani chce wracać?

- Natychmiast!!! - wykrzyknęłam żarliwie. - Ale przez Kopenhagę, bo muszę zabrać rzeczy!

- Cała policja pani szuka. No dobrze, najwyżej dwa tygodnie. Jutro rano może pani odebrać. A z tą policją to lepiej, żeby pani rozmawiała u nas, niż tutaj. Jakaś podejrzana historia...

Przyznałam mu rację i poszłam w kurs po sklepach. Obliczyłam sobie, że mam co najmniej półtora dnia czasu. Do wieczora będę szukana w Taorminie, bo przecież w hotelu zostały moje rzeczy, potem zaś zaczną być szukana w Paryżu, gdzie też muszą zużyć ładne parę godzin.

Możliwe więc, że mam nawet dwa dni, ale na wszelki wypadek należy się

pośpieszyć.

Późnym wieczorem nieco zdenerwowana, ale pełna satysfakcji wsiadłam do białej lancy w tym samym miejscu na placu Republiki. Nie musiałam już nosić peruki ani ciemnych okularów i chociaż przez chwilę na pewno nie musiałam się bać.

- To nie do wiary, jak kobieta może się zmienić - powiedział z uznaniem mój przyjaciel. - Wyjechała stąd zmaltretowana, stara baba. Wróciła piękna, młoda dziewczyna. Co to jest to coś, co masz na głowie? Twoje własne włosy?

- Aha. A bo co? Niedobre?

- Przeciwnie. Ale pierwszy raz widzę, jaki masz naprawdę kolor włosów. Siedem lat temu farbowałaś. Nie pamiętasz?

- Zapewniam cię, że wszystko, co było siedem lat temu, pamiętam dzień po dniu i godzina po godzinie. Słuchaj, czy ja wyglądam normalnie?

- Poza tym, że nienormalnie młodo, to normalnie. Bo co?

- Co to za przyjemność jednak rozmawiać z tobą! Bo się boję, że dostałam kota. Zaczynam już wszędzie węszyć podstęp. Nikomu nie wierzę, nawet policji, a może nawet policji szczególnie. Lada chwila będę się skradać pod ścianami na czworakach. Głupio, nie?

Jechaliśmy powoli pustymi ulicami w kierunku lasku Vincennes, gdzie mnie zawsze ciągnęło, bo tam jest tor kłusaków. Mój przyjaciel w zamyśleniu patrzył w przestrzeń przed siebie.

- Nie wiem, czy głupio. Oprócz tego, co przedtem, spotkało cię coś więcej?

- Jeszcze jak! Słuchaj, czy mógłbyś jakimś cudownym sposobem zapłacić za mnie rachunek w hotelu Minerwa w Taorminie?

- Uciekłaś nie płacąc?!

- Musiałam, co ja na to poradzę. Zapłacisz? Zostawię ci pieniądze.

- Wypchaj się swoimi pieniędzmi. Jasne, że zapłacę. Rany boskie, czego ty jeszcze narobisz?

- Pojęcia nie mam. Wszystko mi się ciągle przewraca do góry nogami. Wyjeżdżałam stąd w stanie obłędnej paniki. Potem, tam, na Sycylii, przyszedł do siebie i zaczęłam się dziwić, jak i czego w ogóle mogłam się bać. To ten klimat tak działa, wiesz, *dolce vita* w nieróbstwie. Potem się okazało, że powinnam się wyłącznie bać, no więc zaczęłam na nowo. A do tego cholera mnie bierze taka, że aż grzmi, bo właściwie nie

widzę rozwiązania i trochę mam tego dosyć.

- I ciągle chodzi o to, że wiesz za dużo?

- Właśnie. Nie mogę się tego pozbyć. Szukają mnie, żeby to ze mnie wyciągnąć, ale jak wyciągną, to mi łeb ukręcą. W kółko to samo.

Skinął głową i milczał przez chwilę.

- Nie chcę wnikać w szczegóły, ale na twoim miejscu też bym chyba nikomu nie wierzył - powiedział stanowczo. - Pamiętaj tylko jedno. Nie ma tych siedmiu lat. Wczoraj jedliśmy naleśniki z solą...

Patrzyłam na pustą zupełnie jezdnię, patrzyłam na ciemne drzewa, rosnące wzdłuż ulicy, patrzyłam na faceta przy kierownicy i nade wszystko w świecie chciałam zatrzymać czas. Cudowna przeszłość ożyła w mojej pamięci.

- Wczoraj przełaziliśmy w Czersku przez parkan. - powiedziałam rzewnie, melancholijnie i tkliwie. - Wczoraj w galowych strojach braliśmy węgiel z piwnicy, wczoraj zleciał nam na łeb cały gzyms z zasłoną i wczoraj warczał mi samolot na lotnisku Okęcie. Szkoda, że nie mogę spędzić w twoim samochodzie kilku najbliższych lat życia. Wsiądę i znów się zacznę.

- Szkoda, że nie możesz - przyświadczył z westchnieniem. - Proszę cię, nie rozmawiaj z byle kim, dobrze? Nie lubię czytać znajomych nazwisk na nagrobkach...

Nazajutrz wczesnym świtem odebrałam przedłużony paszport, obiecałam przybyć ponownie na rozmowę z policją i udałam się do duńskiej ambasady. Po drodze wstałam zapytać się na wszelki wypadek o niemiecką wizę tranzytowa i dostałam ją od ręki po kwadransie oczekiwania. Gnębiła mnie myśl o Interpolu i z minuty na minutę byłam bardziej zdenerwowana, bo czas płynął i coś się powinno zacząć dziać.

Wstrząs nastąpił pod duńską ambasadą.

Faceta, który stał czy może szedł za mną, w ogóle przedtem nie zauważyłam. Ujrzałam go zniecka za swoimi plecami, kiedy ktoś otworzył przede mną oszklone drzwi i on odbił się w szybie. Odbił się bardzo dokładnie i wyraźnie, bo znajdował się w jasno oświetlonym miejscu i ujrzałam jego odbicie akurat w momencie, kiedy przenosił wzrok ze mnie na coś, co trzymał w ręku. Wyglądało to zupełnie tak, jakby porównywał na przykład zdjęcie z oryginałem albo coś w tym rodzaju. Niepokój, który stał się już zasadniczym elementem mojego wnętrza, gwałtownie wzrósł. Ekspłodował. W mgnieniu oka zmieniłam plany.

Duńska ambasada posiadała jakieś wiadomości o mnie. Bez oporu podałam aktualny adres, wyraziłam zgodę na rozmowę z policją i uzyskałam przedłużenie wizy, wszystko razem w ciągu paru minut. Po czym udałam się wprost do salonu samochodowego, bez sekundy namysłu i bez żadnych grymasów kupiłam beżowego jaguara, czterodrzwiowego, ostatni model, rejestrację załatwili mi w pół godziny i wyjechałam nim na miasto. Następne pół godziny trwało moje pakowanie się i porzucenie hotelu. Głodna do nieprzytomności i zdenerwowana do szaleństwa ruszyłam w kierunku na Berlin.

Zdaje się, że aż do Nancy nie myślałam nic. Po głowie tłukły mi się rozpaczliwie oderwane fragmenty instrukcji obsługi samochodu. Zmienić olej. Zrobić przegląd. Niedotarty, nie wyciągać maksymalnych obrotów. Coś tam dokręcić albo może przesmarować. Coś tam po trzech tysiącach kilometrów, a coś tam po pięciu. A może coś po tysiącu? Żeby to diabli wzięli, po ilu ten olej...?!

W Nancy zatrzymałam się w jakimś motelu, którego w ogóle nie potrafiłabym rozpoznać, zamówiłam sobie kolację i spróbowałam nieco oprzytomnieć.

Od chwili dostrzeżenia w oszklonych drzwiach faceta, oglądającego problematyczną fotografię, przestałam myśleć logicznie. Dusza mi mówiła, że niebezpieczeństwo jest tuż tuż i okazało się, że dusza miała rację. Jak mogłam popaść w tak karygodną beztroskę! Gang czuwał. Cała Francja, cała zachodnia Europa składała się wyłącznie z dybiących na mnie wrogów. W policji, w Interpolu, we wszystkich ambasadach z naszą włącznie, we wszystkich urzędach i władzach siedzieli wyłącznie współpracownicy przeklętego szefa i to na najwyższych stanowiskach. Myśl, że uda mi się ich ominąć, była skończoną bzdurą. Dziwne, że jeszcze żyję. Mogli przecież stać pod każdymi drzwiami i na każdym skrzyżowaniu, czekając tylko na mnie z rozpylaczami, ukrytymi pod marynarką. Nie, z rozpylaczami nie, z pistoletami na gaz usypiający...

Wyglądało na to, że wreszcie udało mi się wpaść w uczciwą, porządną histerię. Pijąc herbatę i opanowując szcęknięcie zębami, tępo wpatrywałam się w mapę samochodową Europy. Po jakiejś godzinie powoli zaczęła mi świtać nadzieja, że może nie wszystko jeszcze stracone, że na parkingu stoi samochód, a na mapie widnieje słowo WARSZAWA i że razem wzięte to może coś da...

Z największym wysiłkiem zmobilizowałam się i ustaliłam plan podróży. Musiałam jechać tak, żeby nie zawadzić o żaden kraj poza Niemcami, bo żadnej innej wizy

tranzytowej nie zdążyłam uzyskać. W ogóle zresztą o żadnej nie pomyślałam. Wieści o udaniu się do Danii rozgłosiłam możliwie szeroko i to powinno mi dać jakąś szansę. Jeśli pojedę przez Frankfurt nad Menem, to w NRF będę mogła zrobić ten przegląd. Nie ma sensu wozić ze sobą wszystkich pozostałych pieniędzy, w czasie przeglądu zdążę wpłacić resztę na swoje własne konto w Landmandsbanken. Bank ma obowiązek zatrzymać to w tajemnicy. Zresztą, wszystko jedno, nawet gdyby fakt wpłacenia pieniędzy opublikowali w gazecie, to i tak ja w tym czasie będę już daleko. Teraz trzeba będzie się przespać, wyjechać o świcie i poza przerwą na przegląd jechać jednym ciągiem.

Niezbędną przerwę obliczyłam na pół dnia. Do Warszawy miałam około tysiąc siedemset kilometrów. Przeglądu i wpłaty zdecydowałam się dokonać w Hannoverze, uznawszy, że do Frankfurtu jest za blisko. Dorzuciło mi to wprawdzie parę kilometrów, ale wydawało się racjonalne. Następnie zamówiłam rozmowę z Warszawą.

- Rany boskie, nareszcie się znalazłaś! - wykrzyknął Diabeł, uwierzywszy, że to ja. Wydawał się bardziej zniecierpliwiony niż uszczęśliwiony. - Co się z tobą, na litość boską, działo?

- Nic - odparłam stanowczo. - Potem ci powiem, a teraz, kochanie moje, słuchaj. Dzisiaj jest jeszcze czwartek. Jutro o bladym świcie wyjeżdżam i jadę jednym ciągiem. W sobotę rano czekaj na mnie w Kielbaskowie z pieniędzmi na cło w zębach.

- Czym jedziesz?

- Samochodem.

- Jakim?!

- Beżowym jaguarem. Nowym.

- Rany boskie! - krzyknął i trochę go zatkało.

- Nie mogę teraz z tobą dłużej rozmawiać. Boję się, jest niedobrze. Czekaj w sobotę od rana, ja się będę starała przyjechać jak najwcześniej. I niech cię ręka boska broni komukolwiek coś mówić!

- Oszalałaś! - zaprotestował. - Nie zdążysz do soboty! Musisz gdzieś zanoć, nie dasz rady!

- Nigdzie nie będę nocować, wyspana jestem. Muszę zdążyć!

- No dobrze, ale zaskoczyłaś mnie. Jak ty to sobie wyobrażasz, jak ja mam tam dojechać?! Ja nie zdążę do soboty! Umówmy się na niedzielę!

- Wykluczone! Musisz zdążyć, rób, co chcesz, idź piechotą, fruważ! Moje życie od

tego zależy!

- Słuchaj, co cię napadło? Najpierw giniesz na pół roku, a potem dostajesz ataku pośpiechu. Czy tobie się przypadkiem nie przewraca w głowie?

- Przewraca mi się wszędzie, ale to nie ma znaczenia. Kotku słodki, ja mam za sobą koszmar! Nie mam czasu się teraz roztkliwiać, muszę wytrzymać do granicy. Potem ci wszystko opowiem, czekaj na mnie, pamiętaj! Ja już chcę cię zobaczyć!

- Nie rozbij się gdzie po drodze! - zawołał jeszcze z jakimś dziwnym niezadowoleniem i skamieniałe serce, które już mi zaczynało nieco tajać, zlodowaciało na nowo. Na litość, boską, czy ten człowiek nigdy nie potrafi zachować się jak człowiek?!...

Wyjechałam o wschodzie słońca i pchałam się na północ, wybierając wyłącznie autostrady. Koło południa byłam w Hannoverze. W ciągu trzech godzin załatwiłam interesy. W stacji obsługi grymasili coś wprawdzie na temat ilości kilometrów, ale nie wszystkie pieniądze wpłaciłam do banku, więc grymasy szybko ucichły. Ruszyłam dalej.

Przede mną był Berlin, a potem Warszawa. Z każdym obrotem kół czułam się lepiej. Jaguar ciągnął jak smok, jak perła, jak ósmy cud świata. Jadąc rozmyślałam sobie melancholijnie, że widocznie skazana już jestem na przemierzanie okropnie długich tras w maksymalnie krótkim czasie i że przez cały następny rok za żadne skarby świata nie będę się nigdzie śpieszyć. Co prawda trasa lochu na powierzchnię ziemi nie była może taka okropnie długa, ale za to nad wyraz uciążliwa...

Na granicy nie miałam żadnych trudności. Do Berlina było już niedaleko, kiedy zapadła noc, i poczułam, że jeśli nie zasnę chociaż na chwilę, przestanę odpowiadać za kierunek jazdy. Hoteli już się bałam, znów zostawiłam za sobą ślad, i to pod własnym nazwiskiem, i chociaż poszukiwania powinny pójść raczej w stronę Kopenhagi, to jednak wolałam nie ryzykować. Zjechałam na pustą zatoczkę przy autostradzie, zgasiłam światła i ułożyłam się do snu na tylnym siedzeniu. Boże, cóż to był za cudowny, wygodny samochód.

O świcie obudziło mnie zimno. Wyjeżdżając w pośpiechu i zdenerwowaniu nie przygotowałam sobie niczego, nie miałam żadnego termosu z herbatą, nic kompletnie, byłam zmarznięta, połamana, trochę zdechła i półprzytomna. Pomyślałam, że niech się dzieje, co chce, ja się muszę czegoś napić! Miejscowych pieniędzy nie miałam, ale zieloną gotówkę, którą wiozłam do kraju, można było wymienić wszędzie, a kurs stał mi się całkowicie obojętny. Demokratyczne Niemcy też potrzebują dewiz, niech mają, co im

będę żałować!

Kasa wymiany na dworcu w Berlinie była otwarta od szóstej rano. Znów zmarnowałam trochę czasu, ale napiłam się kawy, herbaty i wody mineralnej niejako na zapas. Apetytu raczej nie miałam i pchało mnie do Polski.

I wreszcie wyjechałam na znajomą autostradę do Kołbaskowa. Słońce było przede mną i raziło mnie w oczy. Tkliwie i z rozrzewnieniem wspominałam sobie swoją poprzednią podróż tą samą autostradą. Również miałam kłopoty z widocznością, tylko że wówczas to była zima, noc, zadymka śnieżna, za sobą miałam dwieście kilometrów bezkonkurencyjnej gołoledzi, a na domiar złego nie byłam pewna, w jakim kierunku jadę. Do polskiej granicy czy na Berlin. Teraz była przepiękna pogoda, wczesna jesień, kierunek pokazywało słońce, a za mną były przeżycia, wobec których gołoledź jest niewinną i radosną rozrywką.

Autostrada była absolutnie pusta. Jechałam nią sama, miałam mnóstwo miejsca, żadnych przeszkód, mogłam swobodnie oddać się rozmyślaniom. Bliskość Polski, bliskość zwykłego, normalnego życia ukazywała wszystko w jakimś zupełnie innym świetle. Ogarnęło mnie nagle niewymowne zdumienie, graniczące z osłupieniem, kiedy uprzytomniłam sobie wydarzenia, które zaszły od chwili, kiedy ostatni raz patrzyłam na metę w Charlottenlund. Wydało mi się to wszystko po prostu niemożliwe. Zły sen, majaczenia w malignie. Pobyt w Brazylii, obłąkana podróż jachtem "Stella di Mare", z ukrytą pod pokładem armatą, upiorny loch w Chaumont... Ciekawe, czy przyjdzie chwila, kiedy będę mogła spokojnie i beztrąsko oglądać zamki nad Loarą w charakterze zamożnej turystki... Szydełko zostało w lochu, trzeba je było zabrać na pamiątkę. Na razie wiozę sobie pamiątkę tylko w postaci tej zasuszonej rozgwiazdy. To nie pamiątka, to ponure memento! Chyba muszę się raz na zawsze odczepić od tych mężczyzn mojego życia i dać sobie spokój z blondynami! Doprawdy nie mam do nich szczęścia!

Ten nieprzytomnie piękny facet o oczach jak refleks na skałach w Grotta Azzura... Nie, takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. W końcu dobrze, że był, dobrze, że ukoronował niejako moją regenerację w Taorminie. Zapomnijmy o dodatkowych aspektach sprawy i niech mi zostanie tylko piękne wspomnienie nierealnego romansu stulecia. Jeśli już muszę być prześladowana, to doprawdy wolę ten sposób od wszystkich pozostałych...

Niedawna przeszłość jawiła mi się przed oczami w postaci żywych obrazów i samej

mi było trudno w nią uwierzyć. Gdyby nie ten jaguar, musiałabym chyba uznać, że mi się to śniło albo że zwariowałam i wyobraźnia miesza mi się z rzeczywistością. Jak ja to w ogóle komukolwiek wyjaśnię? Znow będą mówili, że fantazję to mam, ho ho. Mnóstwo razy słyszałam takie słowa, kiedy opowiadałam absolutnie autentyczne fakty bez żadnych dodatków i przesady, bo w obliczu faktów przesada po większej części nie była już potrzebna. Co ja mogę poradzić na to, że przez całe życie przytrafiają mi się jakieś idiotyczne rzeczy i ciągle mi się wydaje, że osiągnęłam rekord, a potem biję własne rekordy! Chyba jednak tym razem wspięłam się na szczyty... Zdaje się, że ciąży nade mną klątwa od owej chwili, kiedy w złą godzinę wyraziłam życzenie, że chciałabym mieć urozmaicone życie. I pomyśleć, że mówiłam to w momencie, kiedy moje życie było bezgranicznie ustabilizowane, ułożone, stateczne, normalne i w dodatku nad wyraz szczęśliwe! I zanosilo się na to, że już na zawsze takie będzie, że nic się w nim nie zmieni i już nic niezwykłego nie zdoła się przydarzyć. Kara boska za wygórowane wymagania, nic innego!

Uczciwie i samokrytycznie pomyślałam, że gdyby mnie ktoś takie rzeczy opowiadał, to też bym nie uwierzyła. A co gorsza, to przecież jeszcze nie koniec. Nadal jestem jedyną osobą, posiadającą tajemnicę przeklętej kryjówki w Pirenejach, o którą wybuchła cała ta awantura. Sto czterdzieści osiem od siedem i tysiąc dwieście dwa od be jak Bernard...

Tuż przede mną wyskoczył nagle na autostradę jakiś samochód. Pojęcia nie miałam, skąd się wziął, stał chyba z boku na zatoczce. "Kretyn!!!" - krzyknęło we mnie i dalej wszystko działo się w ułamkach sekund. Odbiłam w lewo w przekonaniu, że on pojedzie prawym pasem, ale on skoczył na lewą stronę i stanął w poprzek. Już hamowałam z okropnym wizgiem, miotnęło mną na obie strony, kątem oka zobaczyłam, że z samochodu wyskakują ludzie, a równocześnie, że z prawej jest kawałek miejsca, puściłam hamulec, dokitowałam gaz, zarzuciło mnie, skręciłam kierownicę w prawo, natychmiast potem w lewo, wpadłam w poślizg, niepojętym cudem, w jakimś przedziwnym pląsie, o włos ominęłam z jednej strony tył owego samochodu, a z drugiej krawężnik autostrady, rzuciło mnie na lewo, zdążyłam pomyśleć "małe ruchy kierownicą!!!...", odbiłam w prawo, przyhamowałam, odbiłam w lewo, ale już mniej i święci pańscy!!! Wyszłam z tego!!!...

Zupełnie nie rozumiałam, jakim sposobem, bo mogę przysiąc na klęczkach, że

nigdy w życiu nie miałam pojęcia o jeżdżeniu poślizgami. Zapewne zadziałałam na zasadzie tej pani, która genialnie mieściła się na czwartego pomiędzy pędzącymi samochodami i nigdy o nic nie zaczepiła, ponieważ w kulminacyjnych momentach zamykała oczy i puszczała kierownicę. Opatrzność czuwa nad półgłówkami, czuwała nad nią i teraz widocznie zajęła się mną.

Chciałam się zatrzymać, cofnąć, dopaść tych osłów, idiotów, baranów, zwyrodnialców w tamtym samochodzie i zrobić potworną awanturę, ale spojrzałam w tylne lusterko i noga mi sama nadepnęła gaz. Dławiąc się jeszcze przeżyta emocją, poczułam znane ostrzeżenie w duszy. Ludzie, którzy przedtem wyskoczyli, teraz wskakiwali do środka prawie w biegu, samochód zakręcał i ruszał za mną.

Jaguar niedotarty...? Co tam niedotarty, to najwyżej się zatrze! Przejechał półtora tysiąca kilometrów, nic mu nie będzie! To nawet dobrze przy docieraniu tak zdrowo dodusić na krótkich odcinkach! No to dusimy, odcinek przed nami niedługi!...

Po przekroczeniu stu sześćdziesięciu przestałam spoglądać na szybkościomierz. Jednym okiem patrzyłam w lusterko, a drugim przed siebie. Jak żyję, nie prowadziłam z taką szybkością nie tylko dlatego, że nie było potrzeby, ale też i dlatego, że nie miałam czego. Najszybsze, co posiadałam, to był opel, który swobodnie ciągnął sto czterdzieści, ale w opalu nikt mnie nie gonił. Przez głowę przeleciała mi pełna rozgoryczenia myśl, że stanowisko kierowcy straży pożarnej i jazda do pożaru wydawały mi się niegdyś szalenie pociągające. Jedną głupią nierówność nawierzchni i będę miała godne ukoronowanie podróży, rozpoczętej w skalistej zatoczce pod Paranaguą!...

Zanim zakręcili i wystartowali za mną, odskoczyłam o ładne kilkadziesiąt metrów. Też mieli zryw, ale ja już byłam rozpędzona i wcześniej weszłam na maksymalną szybkość. Na bezgranicznie pustej autostradzie odbywał się szaleńczy wyścig dwóch samochodów, z których co najmniej jeden miał za kierownicą najzupełniej nieodpowiednią osobę.

Jaguar frunął nad powierzchnią szosy, szedł jak szatan, z równym, cichym pomrukiem silnika, z wyraźnym zadowoleniem i satysfakcją, że wreszcie pozwolono mu pokazać, co potrafi, w mojej rozwścieczonej duszy zaś jak tajfun szalała dzika furia.

- Czekaście, chamy niemyte - powiedziałam, nie rozluźniając zacisku szczęk. - Niech was szlag trafi, dogonicie mnie po śmierci. Dostyc tego!

Jechałam w stanie czegoś w rodzaju amoku. Nadprzyrodzone szaleństwo niosło

mnie samo z całkowitym pominięciem moich umiejętności albo raczej ich braku. Odległość między nami zaczęła rosnać. Do granicy było blisko. Jeszcze chwila, obok mnie mignął nieco rozmazany znak, informujący o końcu autostrady.

- "Tam się coś zmienia!!! - przeleciało mi w panice przez głowę. - Jak wpadnę z tą szybkością na inną nawierzchnię, to koniec! Panie Zasada, ratunku!!!"

Nie wiedziałam, czy Sobiesław Zasada mnie usłyszał, więc na wszelki wypadek zaczęłam nieco zwalniać. Nagle usłyszałam jakiś nowy dźwięk, dość cichy, ale inny, odróżniający się wyraźnie od dźwięku silników. W pierwszym momencie przeraziłam się, że to strzela w mojej rurze wydechowej, ale przecież znałam ten dźwięk i natychmiast zobaczyłam przed sobą, z boku, obłoczki kurzu.

"Strzelają z tłumikiem! - pomyślałam w przerażonym oburzeniu. - Świnie!!! Zniszczą mi samochód!!!"

Celowali w opony. Zbliżyli się nieco, ale przede mną już było widać punkt graniczny. W przypływie natchnienia włączyłam długie światła i nacisnęłam śpiewający klakson. Ciągłe nie trafiali, pewnie dlatego, że mieli mnie pod słońce. Widziałam, jak z budynku niemieckiej straży granicznej wybiegają ludzie. Tamci za mną zwolnili. Straż graniczna widocznie zgłupiała, bo na mój widok podnieśli pierwszy szlaban. Możliwe zresztą, że uznali, że jedzie wariat, i po prostu chcieli uniknąć zniszczeń. W płasach i poślizgach, dziko piszcząc hamulcami, trąbiąc, wyjąc i świecąc, wpadłam na podjazd i wyhamowałam za budynkiem.

Jeszcze hamując widziałam, jak z jednej strony, z polskiego punktu celnego, również wybiegają ludzie, a z drugiej zawraca na szosie biały mercedes. Dwóch niemieckich żołnierzy skoczyło na motory i pognąło za nim, ale obaj jeszcze doskonale byli widoczni, kiedy mercedes już całkowicie znikł z oczu.

Nie miałam siły wysiąść. Wciąż na tych długich światłach, na pracującym silniku, oparłam się o kierownicę i było mi wszystko jedno. Polska Ludowa znajdowała się tuż obok, o kilkadziesiąt metrów i nic już więcej we mnie nie było, żadnej myśli, żadnych życzeń, tylko na litość boską znaleźć się wreszcie TAM!!!

Dokumenty miałam w porządku, jechałam tranzytem, nic niestosownego nie wiozłam, a za to byłam w stanie hysterii. Wydobywszy ode mnie z najwyższym trudem informację, że nic nie wiem, że jechałam sobie zwyczajnie do kraju, a ten mercedes dogonił mnie i z niepojętych przyczyn zaczął do mnie strzelać, że go nie znam i w ogóle

nie nie rozumiem, nieco zaskoczone władze niemieckie doszły do wniosku, że najlepiej będzie czym prędzej się mnie pozbyć i przekazać problem Polakom. Zgasiłam wreszcie światła, niemrawo wycofałam się z trawniczka i powolutku ruszyłam do ukochanej Ojczyzny. Przede mną otworzył się polski szlaban, a razem z nim otworzyło się wreszcie cudowne, bezgraniczne, upragnione nade wszystko w świecie, poczucie bezpieczeństwa!...

- Co ci do łba strzeliło, żeby kupować jaguara! - powitał mnie czule ukochany mężczyzna. - Chyba zupełnie zwariowałaś!

Szczęście ruszało we mnie pełną parą i z największą radością zgodziłam się, że oczywiście, zupełnie zwariowałam. Od pierwszego momentu, od pierwszych słów, polski problem samochodowy, nietypowy wóz, gdzie naprawiać, skąd części...? Bliskie, znajome, zwyczajne, prawdziwe życie! Boże drogi, gdybyż jeszcze zabrakło szynki albo chociaż wody sodowej!...

Niewiele brakowało, a zaczęłabym padać na szyję wszystkim napotykanym osobom. Bez mała na klęczkach prosiłam, żeby mi cokolwiek oclono, żeby mi zrobiono rewizję, przysięgałam, że sama nie wiem, co mam! Bez skutku, kontrola celna z pobłażliwym uśmiechem wyrzuciła mnie za drzwi, lekceważąco traktując zgłoszone do wwozu dewizy, odmawiając przyjęcia pieniędzy za samochód i ze wstrętem niemal patrząc na moje walizki. Zagroziłam, że następnym razem przewiozę jakąś potężną kontrabandę, co wywołało wybuch beztroskiego śmiechu i liczne dowcipy. Dostałam kawy i kawałek zwyczajnej kiełbasy. Szczęście kwitło i pejzaż jaśniał nadprzyrodzonym blaskiem.

Diabeł usiadł za kierownicą, co przyjął z najwyższą ulgą, bo wszelkich wyczynów motoryzacyjnych miałam już po dziurki w nosie.

- Kochanie, błagam cię, jedź bardzo wolno i ostrożnie - poprosiłam, zapalając wreszcie spokojnie papierosa - Proszę cię, żadnych pośpiechów, żadnych nerwowych czynów!

- Przecież jadę ostrożnie - odparł z niezadowoleniem, dodając, swoim zwyczajem, gazu przed zakrętem. - Gdzieś ty zginęła, co się z tobą dzieło. Alicja narobiła alarmu, milicja się o ciebie pytała, twoja matka dostaje ataków nerwowych. Co się stało?

- Opowiem ci wszystko po kolei. Porwali mnie bandyci.

- Nie żartuj! Jacy bandyci?

- Niesympatyczni. Słuchaj, czy możesz to zrobić dla mnie i na zakrętach schodzić poniżej setki?

- Nie przesadzaj, przecież wolno jadę. Co tam się działo, na niemieckiej granicy? Co to był za samochód, który tam zawrócił?

- Mówię ci przecież, że bandyci. Strzelali za mną.

- Wyglupiasz się!? - krzyknął nagle zaskoczony i wreszcie przejęty tematem.

- Nic podobnego. Jak ci wszystko opowiem, to sam zobaczysz, że strzelanie mi w opony na autostradzie jest niewinną rozrywką w porównaniu z resztą. Mnie już nic nie zdziwi. Boże, jaka jestem śmiertelnie zmęczona! Co za szczęście, że wreszcie tutaj dotarłam!

Diabeł milczał przez chwilę, zajęty wyprzedzaniem na trzeciego.

- Zabrałaś swoje rzeczy z Kopenhagi?

- Nic nie zabrałam. Jadę prosto z Paryża. Dopiero za naszym szlabanem przestałam się bać.

- No więc powiedz wreszcie, co to było!

Milczałam przez długą chwilę, zastanawiając się, jak on to przyjmie i czy znów powie, że sama jestem sobie winna. Uwierzyć mi chyba uwierzy, zna mnie przecież, a przynajmniej powinien znać. Winna, być może, istotnie jestem, komu innemu by się taki idiotyzm nie przytrafił, ale nie jestem pewna, czy to jest właśnie to, co chciałabym usłyszeć...

- Szczegóły zdradzę ci potem - powiedziałam. - Tego jest cholernie dużo. W skrócie wyglądało to tak...

Diabeł słuchał streszczenia nie okazując niedowierzania i z rzadka tylko przerywając pytaniami. Uczucie błęgiego szczęścia i piramidalnej satysfakcji ogarniało mnie coraz bardziej i przygłuszało nawet zmęczenie. Za szybą samochodu łagodnym blaskiem jaśniała późna, polska jesień. Miałam wrażenie, że opowiadam mu sensacyjny film, który ostatnio oglądałam w Kopenhadze, a nie własne przeżycia, i wręcz byłam skłonna krytykować niekiedy scenariusz.

- Nie do wiary - powiedział. - Gdyby nie to, że jesteś zdolna do wszystkiego, nigdy bym w to nie uwierzył. Co za pomysł, dłużyć szydełkiem? Ty jednak musisz mieć źle w głowie!

- Pewno muszę - zgodziłam się. - Najgorsze jest to, że, jak sam widzisz, znalazłam

się w głupiej sytuacji. Nadal ja jedna wiem, gdzie oni schowali swój majątek, i podejrzewam, że to nie koniec zabawy. Pojęcia nie mam, co z tym fantem zrobić.

- I w rezultacie w ogóle nie rozmawiałaś z Interpolem?

- Pewnie, że nie. Bałam się. Co ty sobie wyobrażasz, jeśli mieli swojego człowieka w duńskiej policji?! Ostatnie miejsce, gdzie spodziewałabym się zobaczyć gangstera! Dostałam kompleksu, urazu, każdy był dla mnie podejrzany. Tobie się to może wydawać nienormalne, ale ja się sobie nie dziwię. Jedź wolniej!

Diabeł wzruszył ramionami.

- Rzeczywiście masz kota. W naszej ambasadzie też nic nie mówiłaś?

- Nigdzie nic nie mówiłam. Nasza ambasada była dla mnie też podejrzana. Tu chciałam przyjechać, rozumiesz? Tu! Dopiero tutaj jestem bezpieczna i teraz mogę zacząć myśleć na nowo.

- Znów narozrabiałaś jak pijany zając. I co teraz chcesz zrobić?

- Przeanalizować sytuację. A co tutaj się działo? Czego chciała milicja?

- Pytali się o ciebie, czy nie ma jakichś wiadomości. Alicja zawiadomiła, że zniknęłaś i że szukają cię gliny w całej Europie. Pewno nawiązali jakiś kontakt z naszymi. Jakim sposobem, swoją drogą, na ciebie nie trafili?

- Byli zapóźnieni w rozwoju i nie zdążyli. Nie wiem, czy nie powinnam się tutaj zgłosić do naszych, ale mam nadzieję, że mnie zawezwą sami.

- Czekaj no, ale właściwie, o co tu chodziło? Jak to się mogło stać, że z tą ich forsą wynikło takie zamieszanie?

- Interpol chciał ich zniszczyć finansowo i skonfiskować całe mienie. Mieli mnóstwo różnych rzeczy, akcje, przedsiębiorstwa, gotówkę i nie wiem, co jeszcze. Przewidywali, że im to zabiorą i zablokują konta bankowe, więc w okropnym pośpiechu, podobno w ciągu jednego dnia sprzedali wszystko, podjęli pieniądze i zamienili na diamenty, złoto i platynę.

- Diamenty też im można było zabrać...

- Właśnie o to chodziło. Ich ludzie byli w policji, a oni bali się, że ludzie z policji są między nimi. Stąd tajemnica. Jedynym człowiekiem, który wiedział, gdzie to jest, był ten, który sam schował. Miał zawiadomić o tym szefa, mieli przeczekać dzień albo dwa, zabrać całość z kryjówki i zawieźć do Brazylii. Potem przez jakiś czas siedzieć cicho, przeczekać nagonkę, bogaci byli, mogli sobie pozwolić na urlop, a potem zacząć na nowo.

Sama jestem zdania, że to był bardzo dobry pomysł.

- A dlaczego od razu nie zawieźli do Brazylii?

- Bo istnieje takie coś jak kontrole celne. Wszystkie władze miały na nich oko. Tamten facet załatwiał skup walorów i gdzieś to musiał chwilowo ulokować, a szef przez ten czas organizował transport. Zorganizował bardzo ładnie, najlepszy dowód, że mnie przewieźli, tyle że poza mną nie było co transportować. Wcale to wszystko nie było takie proste, diamenty kupował podobno w Afryce Południowej. Spieszył się okropnie, przyjechał do Kopenhagi, mieli się skontaktować i chała. Wykorkował w moich objęciach, a pieniądź leży i czeka.

- I ty wiesz, gdzie?!

- Wiem - powiedziałam ze znużeniem, przemieszonym z satysfakcją. - Znalazłam to miejsce na mapie...

Przypomniałam sobie swój upór w kwestii grot na Malinowskiej Skale i pomimo zmęczenia poczułam się rozbawiona. Zaprezentowałam mu szczegółowo scenę podłączania mnie do wykrywacza kłamstw. Spojrzał na mnie zaskoczony, i dopiero teraz niedowierzająco.

- Nie żartuj! Jakim sposobem...?! To urządzenie działa zupełnie bezbłędnie!

- Pewnie, na osoby, które swoje łgarstwo mają w głowie. Ja miałam wyłącznie groty na Malinowskiej Skale. W ogóle nie słuchałam, o co mnie pytali.

- I tak dokładnie zapamiętałaś, co ten facet do ciebie mówił? Ten konający?

- Przecież wiesz, jaką mam pamięć do cytatów. Odtworzyłam sobie w samolocie każde słowo.

- I teraz też pamiętasz?

- A jak?

- I co mówił? - zaciekawił się nagle.

- Furmanka przed nami - powiedziałam odruchowo.

- Widzę. I co mówił?

- Jakbym szefa słyszała. Zamkniesz mnie w piwnicy? Mogę ci powtórzyć, proszę bardzo...

Bez namysłu, jednym ciągiem, wyrecytowałam mu cały tekst po francusku. Niech się uczy języków obcych, dawno go do tego namawiałam.

Diabeł się rozżościł.

- Nie wygłupiaj się, przetłumacz!

- Na tej mapie, którą mi pokazał... - powiedziałam tajemniczo, a przed oczami pojawiła mi się nagle monstrualnych rozmiarów płachta na abstrakcyjnym obrazie. - Rany, ale to była mapa! Cały świat w drobnych szczegółach!... Na tej mapie południki i równoleżniki były ponumerowane i on określił liczbami odległość od jednego południka i jednego równoleżnika. Pewno to przedtem zmierzył. Jeszcze to jest ekstra zamaskowane, a przynajmniej tak zrozumiałam...

- No dobrze, ale gdzie to jest?

Potrząsnęłam głową.

- Nawet gdybym chciała ci powiedzieć, to mi nie przejdzie przez usta. Udławiłabym się. Mam obsesję i ukrywanie tego w nałóg mi weszło. Nie powiem nikomu za skarby świata.

- Powiedz, bo jestem ciekaw. Gdzie, u diabła, w Europie można znaleźć takie miejsce, do którego nikt nie trafi?

- Mnóstwo jest takich miejsc - powiedziałam z westchnieniem. - Na przykład Rodopy. Znalazłbyś coś w Rodopach? Tam jest tysiące grot...

- Ale to nie jest w Rodopach?

Dokładnie w momencie pytania zrobił coś, co znałam aż za dobrze i od czego wszystko mi się zawsze przewracało do góry nogami. Rzucił okiem w lusterko i docisnął gaz. Nic więcej mi nie było potrzeba.

Gwałtownie poderwałam się i odwróciłam do tyłu.

- Gonia nas!!!? - krzyknęłam w panice. Serce nagle zabiło mi w gardle, popłoch zmaćcił umysł. Strzelać do nich...?

- Pistolet! - wrzasnęłam. - Gdzie masz pistolet?

Diabeł sam się przeraził i przyhamował, aż mnie rzuciło do przodu.

- Zwariowałaś!? Nie mam pistoletu, co wyprawiasz, nikt nas nie goni! Uspokój się, czego mnie straszysz?!

- Kto, kogo?! Nie ja ciebie, tylko ty mnie! Prosiłam, żebyś jechał wolniej! Przyspieszasz, bo coś jedzie za nami! Mnie gonia od Brazylii, ja mam uraz!!!

- O rany boskie, fiola masz, nie uraz! Jeszcze i mnie wpędzisz w rozstrój nerwowy! No dobrze, już dobrze... Zwyczajna wołga nas wyprzedza!

- A niech wyprzedza i trabant!!! Ja jestem w Polsce, ja chcę mieć wreszcie

spokój!!!

Zwolnił z wyraźnym, głębokim rozgoryczeniem. Zajął się przejazdem przez Pniewy. Przyszłam do siebie i na nowo zaczęłam się uspokajać. Ogarniało mnie narastające zmęczenie.

- To gdzie to w końcu jest ta wyspa skarbów? - spytał jakby z lekkim roztargnieniem.

- Gdzieś tam - mruknęłam. - Na końcu świata. Daj mi z tym spokój, muszę odtajać. Jedź wolniej.

Znów zaczął przyspieszać, ale nie miałam siły reagować. Parę minut jechałam bezmyślnie, wpatrzona w łagodzący niepokoję krajobraz, po czym na nowo zaczęło mi się coś lęgnąć w głowie. Nie mogłam jednak oderwać się od tematu.

Skąd właściwie oni się wzięli tutaj, przy samej polskiej granicy? O zamiarze powrotu przez Kopenhagę powiadomiłam bez mała pół Europy, trąbiłam o tym, gdzie się dało, i nie zdziwiłabym się, gdyby czekali na mnie na promie, ale dlaczego tu? Wyjechałam nagle, dokładnie w ciągu godziny. Jechałam przez Hannover i mogłam jechać dalej, do Hamburga i Puttgarten. Tam się powinni zacząć. Od Hannoveru jechałam już jednym ciągiem, tylko z tą kawą w Berlinie, no i przespałam się w nocy na szosie, ale wszystko jedno, ileż to było czasu? Bardzo mało od popołudnia jednego dnia do rana następnego. Stali tu, w tej zatoczce, czyli musieli przybyć wcześniej. Logicznie rzecz biorąc wszystko wskazywało na to, że udam się do Kopenhagi, tam zostawiłam nie załatwione sprawy, tam był mój cały dobytek... Wysłałam depezę do Alicji, że przyjeżdżam. Trzeba będzie do niej natychmiast zadzwonić, bo znów się zdenerwuje, że zginęłam. Kiedy mogli się zorientować, że jadę na Berlin? Dopiero za Hannoverem, na skrzyżowaniu autostrad. Jakim sposobem zdążyli przede mną?...

Przez chwilę rozważałam w skupieniu różne możliwości i nagle tknęła mnie potworna myśl. Błysk światła tak straszny, tak nieprawdopodobnie koszmarny, że niemal oślepił mnie i ogłuszył, jak eksplozja bomby przed samym nosem.

Wszyscy, absolutnie wszyscy ludzie, którzy ze mną rozmawiali, wiedzieli, że jadę do Kopenhagi. Ja sama byłam o tym święcie przekonana. Jeden tylko, jeden, jedyny człowiek dowiedział się już za Paryżem, że zmieniłam zamiar, dowiedział się, czym wracam, którędy i kiedy!...

Moje zmęczenie nagle znikło. Siedziałam jak sparaliżowana fizycznie i umysłowo i

kołowała się we mnie ta jedna, okropna myśl. Dzwoniłam do niego z Nancy, umówiłam się z nim, potem poszłam spać, wyjechałam dopiero nazajutrz o świcie, było mnóstwo czasu... On jeden o tym wiedział, on jeden...!

W głowie rozbłysła mi gwałtownie następna eksplozja. Skąd ta pewność, że kryjówka jest w Europie? Powiedział to przecież przed chwilą! Mówiłam o Brazylii, o Afryce Południowej, wspominałam o pobycie szefa na Bliskim Wschodzie... Do dyspozycji był cały świat! Skąd wiedział, że w Europie?...

Wszystko to, co wyłaniało się z paraliżującego chaosu, było potworne. Nie mogłam przyjąć do wiadomości nasuwających się logicznych wniosków. Nie, to niemożliwe, to zbyt okropne... Patrzyłam przed siebie, nic absolutnie nie widząc i bałam się spojrzeć na niego. Zimny dreszcz przelatywał mi po plecach. A równocześnie uświadomiłam sobie z przeraźliwą, brutalną jasnością, że jeszcze przed trzema laty wykrzyczałabym swoje podejrzenia, kazałabym mu natychmiast je rozproszyć, wyjaśnić, zrobiłabym awanturę, rozplakałabym się w jego objęciach... A teraz nie. Teraz już nie... Teraz jest coś okropnie niedobrze...

- Kogo zawiadomiłeś o moim przyjeździe? - spytałam w napięciu, z jakąś rozpaczliwą nadzieją, że może jednak...

- Nikogo - mruknął. - Kazałaś mi nikomu nie mówić.

- Jak to? Mojej matki też nie? Jerzego, Janki, kogoś u siebie w pracy? Nikogo?!

- Czy ty sobie wyobrażasz, że miałem czas? Byłem pewien, że każą płacić cło na granicy i musiałem zebrać pieniądze. Tobie się wydaje, że do tego cholernego Kołbaskowa tak łatwo dojechać? W piątek poleciałem samolotem do Szczecina, z Gorzowa jechałem taksówką. Z nikim się w ogóle nie widziałem, nikt nie wie, że wracasz, masz okazję zrobić im niespodziankę jak nigdy w życiu!

- Jesteś pewien, że absolutnie nikomu o tym nie mówiłeś?

Musiło chyba coś zabrzmieć w moim głosie, bo nagle spojrzał na mnie uważnie.

- Absolutnie nikomu - odparł stanowczo. - Dlaczego tak się tym interesujesz?

Teraz już wiedziałam na pewno, że zełgał. Nigdy żadna prawdziwa odpowiedź nie wyszła z niego tak zwyczajnie, odruchowo i wprost. Musiał powiedzieć o tym komuś, do kogo się nie chce przyznać. Jakaś podrywka?... Niech piorun strzeli podrywki, akurat mi teraz podrywki w głowie! Ale jeśli powiedział jakiejś dziewczynie, a ta dziewczyna jeszcze komuś...

I znów pojęłam nagle, że przed trzema laty uczyniłabym założenie, że to był z jego strony zwyczajny, nieprzemyślany wyglup. Powiedziałabym, o co mi chodzi. Uwierzyłabym, że doceni powagę sytuacji i moje idiotyczne położenie, przejmie się tym, nie przyznając się wprost, da mi jednak do zrozumienia, że się przed kimś zdradził, po czym wspólnie zaczniemy się zastanawiać i rozstrzygać. Będzie bardziej zdenerwowany i zaniepokojony niż ja...

Tak, przed trzema laty. A teraz już nie...

Ciągnął sto czterdzieści, ścinając zakręty. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Poczułam, jak mi się robi w środku coraz zimniej i włosy zaczynają mi stawać dęba na głowie. Jeszcze nie rozumiałam, co się stało, ale wiedziałam, że spotkało mnie coś okropnego. Miałam uczucie, jakby jedyne bezpieczne miejsce na ziemi zamieniło się nagle w jaskinię rozbójników. Świat dookoła mnie przeistaczał się w niepojętą, czarną otchłań, bez końca, bez granic i bez punktu oparcia. Pomyślałam, że się chyba za chwilę uduszę.

Nie, to niemożliwe. Ja rzeczywiście mam obsesję, zwariowałam i trzeba mnie zamknąć w sanatorium dla nerwowo chorych. Dostałam szmergla, fobii, obłądu, to niemożliwe, tak nie można żyć! Muszę się z tego otrząsnąć!

Co za pomysł, co za koszmarny pomysł!...

Uczyniłam gigantyczny wysiłek.

- Zatrzymaj się, kochanie - powiedziałam stanowczo. - Już odpoczęłam. Zrób mi tę przyjemność i pozwól, że dalej sama poprowadzę. Niech ja wreszcie mogę jechać sobie spokojnie znajomą drogą bez pośpiechu i przed nikim nie uciekając.

Przyhamował, ale po chwili znów przycisnął gaz.

- Od Poznania sobie pojedziesz - odparł nie mniej stanowczo. - Podjadę do Mercurego, napijemy się kawy i potem się zamienimy. Zgadzasz się?

To było tak normalne, tak naturalne, takie jakies zwykłe i znajome, tak bardzo przypominało chwile, które spędzaliśmy w porozumieniu i w zgodzie, tak dokładnie siedziało w realiach normalnego życia, że upiorny świat ustawicznego zagrożenia i śmiertelnych niebezpieczeństw nagle gdzieś znikł. Otrzeźwiałam. Rzeczywiście, zgłupiałam zupełnie i cierpię na manię prześladowczą...

A jednak biały mercedes czekał na mnie przed polską granicą...

Prowadząc sama czułam się pewniej. Wytrzeźwiałam do reszty i pomyślałam, że

nie mogę tego tak zostawić. Życie w atmosferze wiecznych podejrzeń i wątpliwości będzie nieznośnie. Po minionych przeżyciach nie przyjdę tak łatwo do siebie, odbiło się to na mnie bardziej, niż pierwotnie sądziłam, i moje zdrowie psychiczne wymaga wyjaśnienia sytuacji. Im prędzej, tym lepiej. Podjęłam temat.

- Dlaczego przypuszczasz, że to miejsce jest w Europie? - spytałam nagle zaraz za Koninem.

- Jakie miejsce?

Wbrew najszczerzym chęciom usłyszałam w duszy dźwięk alarmowego dzwonka. Przez te parę lat zdążyłam go poznać. Zawsze było to samo. Jeśli ciekawiło go coś zwyczajnie i łagodnie, maglował mnie pytaniami do upojenia, aż wydusił odpowiedź. Jeśli zależało mu na czymś szczególnie, a nie chciał tego zdradzić, udawał, że temat przestał go interesować. Słuchając, zaczynał wręcz ziewać i przybierał znudzony wyraz twarzy. Liczył na zwykłą ludzką przekorę i na moją głupią skłonność do szczerych zwierzeń i przeważnie osiągał pożądany rezultat.

- Miejsce, gdzie schowali te diamenty - wyjaśniłam uprzejmie. - Dlaczego uważasz, że w Europie?

- Sama to przecież powiedziałaś - odparł obojętnie, patrząc przed siebie.

Alarmowy dzwonek zawył jak syrena strażacka. Nie powiedziałam tego. Mam sklerozę i różne inne zaburzenia, ale na całkowity zanik pamięci jeszcze nie cierpię. NIE POWIEDZIAŁAM, że to jest w Europie. Diabli mnie zniecka podkusili i coś mnie napadło.

- Nic podobnego - oświadczyłam spokojnie. - To wcale nie jest w Europie. To jest w Kordylierach.

- Gdzie?!

Jego zaskoczenie trwało tylko ułamek sekundy. Opanował się błyskawicznie i spojrzał na mnie ze zwyczajnym, żywym zaciekawieniem. Nic bym nie zauważyła, w ogóle nie zwróciłabym na to uwagi, gdyby nie to, że w napięciu i czujnie czyhałam na każdy objaw jego reakcji.

- W Kordylierach. Nie znam Kordylierów i pojęcia nie mam, jak to wygląda, ale wydaje mi się, że zostało opuszczone do jakiejś jaskini. On to pewno jakoś zaznaczył.

- Jakim sposobem... - zaczął, jakby zde gustowany. Urwał, sięgnął po papierosy i ciągnął dalej - ...jeden facet mógł to schować w górach, tak, żeby o tym nikt nie wiedział?

Miałam nieodparte wrażenie, że zamierzał powiedzieć zupełnie co innego i zreflektował się w pół zdania.

- Możliwe, że wie ktoś jeszcze. Na pewno pomagali mu jacyś ludzie. Ale oni pewnie nie wiedzą z kolei, co transportowali i nikt ich nie zna. Zresztą, nie musiało ich być dużo. Nieboszczyk pobierał pakuneczki z majątkiem i udał się z nimi, dokąd chciał. Mógł wziąć osła i jednego poganiacza, na przykład niemowę albo półgłówka, dowieźć to w góry, poganiacza z osłem zostawić na uboczu, sam przenieść kawałek dalej, schować i cześć. Po krzyku. Mógł, nie?

- A miał na to czas? - spytał krytycznie. - Mówiłaś, że się spieszył. To by przecież długo trwało?

- Dwudniowa wycieczka. Nic szczególnego.

Zamilkł i ja też milczałam. Urządzenie alarmowe w mojej duszy wyło i błyskało czerwonym światłem. On wiedział. Wiedział o tym wszystkim niepojęcie dużo i z jakichś tajemniczych przyczyn ukrywał przede mną swoje wiadomości. Wszystkie moje władze umysłowe, maksymalnie wyostrzone, pracowały pełną parą i nagle w sercu zakwitła mi nowa nadzieja. Interpol! Może w Polsce już był ktoś z Interpolu, może nawiązał z nimi współpracę i kazali mu się do tego nie przyznawać? Wprawdzie od chwili, kiedy zmienił miejsce pracy, nie ma już nic wspólnego z władzami śledczymi, ale co z tego! Tych z Interpolu przecież zna, stykał się z nimi kiedyś, pozostał w kontakcie... Boże, co za idiotka ze mnie, oczywiście, że to musi być to! Te rzeczy zawsze utrzymywał przede mną w tajemnicy. Jasne, Interpol się wmieszał i stąd te dziwactwa, jasne, mam urojenia, zapadłam na manię prześladowczą!...

A dzwonek alarmowy ciągle dzwonił mi w duszy i czerwone światło błyskało ostrzegawczo...

Najbliższą przyjaciółkę zobaczyłam nazajutrz po przyjeździe. Udałam się do niej do pracy z zamiarem wykonania wielkiego entree. Specjalnie w tym celu zrobiłam się na bóstwo, zadbałam o stosowny makijaż i włożyłam platynową perukę. Nową, identyczną jak tamta, kupioną w Paryżu, głównie po to, żeby dokładniej ilustrować opowieści o sensacyjnych przeżyciach. Wyglądałam zupełnie tak samo jak w Charlottenlund, z tą tylko różnicą, że nie miałam na sobie zimowego palta i po Sycylii byłam znacznie piękniejsza.

- No wiesz! - powitała mnie Janka z oburzeniem i wyrzutem. - Co się wygłupiasz?

Dzwonię do ciebie i dzwonię, nigdy cię nie ma, dlaczego się nie odzywasz? Już myślałam, że się coś stało!

Zaskoczyła mnie tak, że zbaraniałam całkowicie i wytrzeszczyłam na nią oczy. O co jej chodzi?

- Przecież mnie nie było - powiedziałam w osłupieniu.

- No, ale już jesteś!

- No to właśnie przyszłam!

- No to teraz! Ale jesteś już dawno!

Zdziwiłam się jeszcze bardziej.

- Nie rozumiem, co ty mówisz. Wróciłam wczoraj wieczorem i natychmiast tu przyleciałam. Wczoraj siedziałam u mamusi, nie wymagaj za wiele!

Teraz ona się zdziwiła.

- Jak to wczoraj wieczorem? Skąd wróciłaś? Przecież cię widziałam chyba z miesiąc temu!

Poczułam, że mi się mąci w głowie. Nie rozdziwiłam się chyba bezwiednie?

- Widziałaś mnie? - powtórzyłam tępo i bezmyślnie. - Miesiąc temu?

- No właśnie! Doskonały jest ten kolor włosów, świetnie wyglądasz! Od razu, jak cię zobaczyłam, to sobie to pomyślałam i byłam ciekawa, gdzie farbowałaś.

W tak zwanym dołku zrobiło mi się okropnie gorąco i to gorąco zaczęło mi się rozchodzić w różne strony ze szczególnym uwzględnieniem góry. Pomyślałam sobie, że bezwzględnie muszę zachować kamienny spokój, i wszystko przed nią ukryć, bo ona jest nerwowa. W razie czego nie opanuje się i zdradzi.

- Primo, to jest peruka - powiedziałam z kamiennym spokojem. - A secundo, gdzie mnie widziałaś?

- Coś podobnego! - wykrzyknęła, zaskoczona. - Przysięgłabym, że to włosy! W tej peruce cię wobec tego widziałam, słuchaj, czy to nie szkodzi na włosy tak ją ciągle nosić?

- Tobie by nie zaszkodziło na włosy nawet, gdybyś nosiła na głowie krowie łajno - warknęłam, bo też istotnie jej włosy stanowiły zawsze przedmiot zazdrości całego otoczenia. - Gdzie mnie widziałaś?

- W samochodzie.

Opanowałam się z największym wysiłkiem.

- A można wiedzieć, gdzie ten samochód się znajdował?

- Na szosie. Wiesz, tam gdzie mieszkają ci nasi krewni, w Płudach. Akurat wyszłam na szosę, bo tam jest przystanek autobusowy, widziałam, jak wsiadaliście do samochodu i przejechaliście obok mnie i nawet chciałam na was machnąć ręką, ale zaplątałam się w paczki i rzodkiewki mi się rozsypały do rowu, i nie zdążyłam.

W nagłym przypiływie jasnowidzenia pomyślałam, że głupie rzodkiewki potrafią człowiekowi uratować życie.

- Diabeł był? - pytałam nadal z kamiennym spokojem.

- No, oczywiście, on prowadził, a ty siedziałaś obok i nie patrzyliście na mnie, i byłam na was wściekła. Czekałam na autobus trzy kwadranse!

- Jesteś pewna, że to był nasz samochód?

- Absolutnie - odparła z niejakim zdziwieniem. - Przecież nie byłam pijana. Poznałam was i poznałam samochód po tym wgnieceniu na tylnym błotniku.

- Jakim wgnieceniu? - spytałam odruchowo, zastanawiając się równocześnie, czy nie byłoby wskazane napić się zimnej wody.

- No jak to, nie widziałaś tego? To, co on wgniół na naszym podwórzu, jak się cofał i trafił na ten słupek, którego już nie ma.

Odetchnęłam głęboko.

- I myśmy cię nie widzieli? - upewniłam się.

- Nie. Nawet nie spojrzeliście! Stałam tak jak powietrze!

- Chwała bądź Panu na wysokościach! Ty ślepa komendo, to nie byłam ja! Wczoraj wieczorem wróciłam prosto z Paryża, a miesiąc temu siedziałam na Sycylii.

- No wiesz! - powiedziała Janka, wstrząśnięta, po chwili milczenia. - Nigdy bym ci o tym nie powiedziała! Byłam pewna, że to ty! To znaczy, teraz się upewniłam ostatecznie przez tę perukę. Bo jak się tak nie pokazywałaś, to zaczęłam mieć wątpliwości.

Zastanowiła się i spytała ostrożnie:

- Myślisz, że ona też miała perukę?

- A cholera ją wie - odparłam, popadając w zamyślenie.

Mgliste podejrzenie zabłysło nagle we mnie i przygasło. Jakaś dziewczyna, zaledwie miesiąc temu... Biały mercedes czekał na autostradzie z Berlina... Zełgał, że nikomu nie powiedział...

Janka popadła w okropne zdenerwowanie, wyobrażając sobie, że swoją nieprzemyślaną wypowiedzią wprowadziła rozdzwinki między Diabła i mnie. Usiłowała

mi wytłumaczyć, że to z pewnością nie miało znaczenia.

- Uspokój się, do pioruna! - powiedziałam gniewnie. - Dałby Bóg, żeby to była zwyczajna podrywka, a nie co gorszego!

- Jak to?

- Nijak. Jeszcze nie wiem. Albo cierpię na urojenie, albo nie. Chyba będę musiała coś zrobić...

Następnego dnia przed południem, wysiadając z samochodu na Marszałkowskiej, wciąż w tej platynowej peruce, którą nosiłam pchana czymś, czego nie umiałam sprecyzować, natknęłam się na jednego z przyjaciół.

- Cóż ty tak zmieniasz te samochody jak rękawiczki? - wykrzyknął, z zainteresowaniem oglądając jaguara. - Tydzień temu widziałem cię w oplu. Przywiozłaś dwa?

- W jakim oplu? - zaciekałam się.

- Ciemnoszarym rekordzie. Tak porosłaś w pierze, że już sama nie wiesz, co masz?

- Przeciwnie, wiem, co mam, i mogę cię zapewnić, że nie mam szarego rekorda.

Pewno to nie byłam ja.

- Co ty powiesz? - zdziwił się. - Niemożliwe! Nawet ci się ukloniłem i pomyślałem, że znów wróciłaś do tego koloru włosów, w którym ci było tak do twarzy przed laty. Znakomicie wyglądasz! Poważnie, to nie byłaś ty?...

Kiedy w dwa dni później trzecia osoba zapytała mnie, dlaczego rozmawiam z Diabłem po niemiecku, oświadczając, że słyszała to na własne uszy w Kamieniołomach przed trzema tygodniami, wtedy, kiedy jadłam tam z nim kolację i siedziałam tyłem do sali w białej, koronkowej kiece, musiałam się poddać. Nigdy w życiu nie miałam białej, koronkowej kiecki, pomijając już to, że nie umiem mówić po niemiecku, a przed trzema tygodniami kwitłam szczęściem w Taorminie.

Nie było siły. Zdarzają się rozmaite zbiegi okoliczności, ale ten byłby doprawdy przesadny. Platynowa blondynka z ciemnymi oczami, którą wszyscy biorą za mnie, wiadomości, posiadane przez Diabła, biały mercedes na szosie...

Tajemnicza Madelaine, którą zastąpiłam w kopenhaskiej melinie, w drodze rewanzu zastąpiła mnie teraz w Warszawie! Zwyczajna zemsta na tle osobistym czy coś znacznie gorszego?...

Właściwie spodziewałam się już czegoś w tym rodzaju i nawet wstrząsnęło to mną

mniej, niż powinno. Wściekła, zdeterminowana, z sercem pełnym jadowitej substancji, czekałam w domu na powrót Diabła w pełnym rynsztunku bojowym: w peruce i ze starannie poprawionym makijażem. Postanowiłam sprawdzić, jak zareaguje.

Wszedł, spojrzał na mnie jak na powietrze z bezgranicznie obojętnym wyrazem twarzy i nie powiedział ani słowa. Nieludzkość tego człowieka była niepojęta! Poczułam, jak w mojej duszy zaczynają rosnąć jakieś straszne rzeczy, przechodząc wszystko, czego kiedykolwiek do tej pory doznawałam.

Nazajutrz rano zadzwoniła Janka, bardzo zdenerwowana.

- Słuchaj, co się dzieje? Mam na myśli, między wami. On mnie spotkał wczoraj i zawiózł do domu...

- Diabeł? - przerwałam, bo w tym stanie ducha mogła mówić o każdym.

- Tak. I całą drogę wypytywał, co mi opowiadałaś o swoich przygodach. Aż się zaniepokoiłam, że może to jest jakaś tajemnica. Nawet się dość miło zachowywał, to znaczy z początku, bo potem, jak powiedziałam, że nic nie wiem, to się zrobił nieuprzejmy. I maglował mnie, i maglował, i ciągle mu chodziło o jakieś miejsce, do którego się podobno wybierasz, żeby czegoś szukać. Nic nie rozumiem, nic mi takiego nie mówiłaś. To prawda? I zdenerwowałam się okropnie, bo to było takie jakieś... Nie wiem, coś mi się w tym nie podobało. Jakby chciał ze mnie wywlec jakieś twoje tajemnice.

- Słuchaj no - powiedziałam, tknięta niepokojącą myślą. - Mam nadzieję, że mu nie powiedziałaś, że go widziałaś z tą dziewczyną?

- Nie, chociaż miałam ochotę, bo mnie w końcu zdenerwował.

- Niech cię ręka boska broni puścić parę na ten temat! Pamiętaj! Nic nie widziałaś, nie wiesz, jesteś ślepa, głucha i kompletnie głupia! Mam dość kłopotu z pilnowaniem własnej głowy, nie będę się jeszcze trzęsła o ciebie.

- Zwariowałaś - powiedziała Janka z niesmakiem.

- Możliwe. Daj Boże. Moja nadzieja leży w tym, że zwariowałam. Opowiem ci, o co chodzi, żebyś się z czymś nie wygłupiała. Sama zrozumiesz, że żarty się skończyły już jakiś czas temu.

Żarty się skończyły... Istotnie, z tym faktem trzeba było się wreszcie pogodzić. Wróciłam do własnego domu, wróciłam do normalnego życia i do faceta, którego postępowanie już od dawien dawna przyprawiało mnie o rozterkę. Coś musiałam teraz z tym fantem zrobić i jakoś to życie uporządkować. Rola wystraszonej, bezwolnej ofiary nie

leżała mi w charakterze.

W maksymalnym skupieniu rozważyłam wszystkie za i przeciw. Madelaine kolidowała mi z Interpołem. Istniała wprawdzie możliwość, że Diabeł zajmuje się działalnością podrywczą w ramach współpracy z międzynarodowymi władzami i to by nawet w pewnym stopniu tłumaczyło utrzymywanie mnie w nieświadomości, ale absolutne milczenie na ten temat stawało się podejrzane. Bardziej prawdopodobna wydawała się podrywka jako taka. Jego, co tu ukrywać, negatywne nastawienie do mnie wskazywało raczej na to, że przeniósł na nią swoje uczucia i nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, powiadomił ją o moim powrocie. Mógł nawet nie mieć pojęcia o jej powiązaniach. Ale myśleć potrafi, mercedesa sobie skojarzył i teraz powinien już być zorientowany w sytuacji. Tak czy inaczej powinien to odpracować. Jeśli zaś nie odpracuje...

Jeśli zaś nie odpracuje nie tylko tego ryzykownego wyglądu, ale także zadrażnień ostatnich trzech lat, to doprawdy nie pozostaje nam nic innego, jak tylko się rozstać!

Wbrew sobie samej, wbrew własnemu charakterowi, który domagał się otwartego wystąpienia, przystąpiłam do podstępnych działań wojennych. Pierwszy pocisk stanowiła peruka. Platynowy blask na mojej głowie musiał nim widocznie wstrząsać dzień po dniu i godzina po godzinie, a całe opanowanie, jakim dysponował, było mu zapewne potrzebne do czego innego, bo po tygodniu nie wytrzymał.

- Wolę cię w twoim własnym kolorze włosów - powiedział niechętnie. - Nie chodź bez przerwy w tej peruce. Ona mi się nie podoba.

- Nie lubisz platynowych blondynek? - zdziwiłam się obłudnie.

Skrzywił się z okropnym niesmakiem.

- Nie przepadam. A w ogóle w tej peruce wyglądasz nie najlepiej. Postarza cię.

Nieprawda, wcale mnie nie postarzała, a przy tym nic nie wskazywało na to, żeby istotnie wolał mnie w czymkolwiek, bodajby nawet w złotogłowie, ale osiągnęłam cel i zdjęłam ją z prawdziwą ulgą. Ustawiczne chodzenie po mieszkaniu w peruce było dla mnie samej nieznośne. Umyłam głowę i zaczęłam wyglądać normalnie.

Nie wiedziałam, co będzie, ale na wszelki wypadek zabezpieczyłam dzieci. Wbrew protestom całej rodziny wyraziłam skwapliwą zgodę na ich wyjazd wraz z ojcem do Związku Radzieckiego. Nagły wybuch rodzicielskich uczuć mojego eks-męża nastąpił w wymarzonej dla mnie chwili i chociaż wiedziałam, że mój starszy syn poświęci się

wyłącznie przeglądowi radzieckich kłusaków, a młodszy radośnie zaniedba naukę, to jednak wyekspediowałam ich z prawdziwą ulgą. Przez sześć tygodni mogli być bezpieczni.

Jak to zwykle po długiej nieobecności miałam do załatwienia mnóstwo rzeczy. Diabeł uprawiał jakieś służbowe wyjazdy w teren i na długie rozmowy nie było czasu. Nie wyjaśniona tajemnica wisiała między nami. Atmosfera była pełna napięcia, w powietrzu kłębiło się coś nie sprecyzowanego, od czego dostawałam palpitanie serca, zacisku szczęk i dławiącego globusa w gardle. Lepiej się czułam na mieście niż we własnym domu. Zastanawiałam się, czy nie udać się dobrowolnie do milicji albo do kontrwywiadu, dochodziłam do wniosku, że właściwie co ich to obchodzi, dziwiłam się, że nikt się mnie nie czepia, czekałam na jakąś okropność i czułam, jak stopniowo życie zaczyna być dla mnie za trudne. Doprawdy, nie do tego chciałam wrócić.

Dwunastego dnia po moim powrocie Diabeł ni z tego, ni z owego przyszedł do domu z butelką whisky i od razu skoczył po wodę sodową.

- Napiłbym się kieliszek - powiedział. - Ty nie?

Dobrze wiedział, że whisky to jest mój ukochany alkohol. Zadając pytanie spojrzał na mnie z dawnym błyskiem w oku. Wydawał się jakby nieco sympatyczniejszy. Nie było po temu żadnych powodów, bo wciąż prezentowałam sobą kamienny chłód, raczej zniechęcający do objawów sympatii i dlatego natychmiast wydało mi się to podejrzane.

- Też się napiję - powiedziałam stanowczo.

Po nadużyciu alkoholu zawsze miewam napady szczerości. Postanowiłam uważać. Jeśli uznał za słuszne urznąć mnie w czarnoziem, na co wskazywał wybór napoju, to widocznie miał po temu jakieś powody. Uznałam za wskazane poznać te powody.

Tematem pogawędki od pierwszych słów stały się moje niedawno minione przeżycia. Diabeł pilnował tempa dolewania. Ciekawiło mnie, po ilu kieliszkach zdechnie stojący obok mnie kaktus, ale był to kaktus, który się bardzo szybko rozrasta, więc postanowiłam go poświęcić.

Ukrywanie tylko jednej, ściśle określonej informacji, zakorzeniło się we mnie już tak dokładnie, że nawet nie musiałam się tym niepokoić. Swobodnie i bez oporów opowiadałam pominięte przedtem szczegóły, główny nacisk kładąc na słodką sielankę w kazamatach. Nie wahałam się ujawnić nadziei na poprawę naszych wzajemnych stosunków, która mnie wówczas podtrzymywała na duchu. Oczekiwałam jakiejś reakcji.

Nie ma chyba na świecie człowieka, którego by nie ruszyło serce w obliczu katuszy bliskiej kobiety!

Zareagował, czemu nie. Wpadł w szampański humor. Moją nadzieję pominął milczeniem, a za to dolał mi whisky. Zaczęło mnie to denerwować i stopniowo jęłam symulować stan upojenia alkoholowego.

- Słuchaj - powiedział wreszcie trochę przekornie, a trochę konfidencjonalnie. - Nigdy ci nie przyszło do głowy, żeby się tam dostać?

Już chciałam powiedzieć, że bez mapy szefa nie da rady, ale ugryzłam się w język. To by było za trzeźwe.

- Przyszło, oczywiście - odparłam triumfalnie. - Właśnie dlatego nie rozmawiałam z Interpolem. Jak będę chciała, to się wszędzie dostanę!

- Wcale w to nie wątpię. Wiesz, gdzie są te diamenty. Nie myślałaś o tym, żeby je wydostać? Miałabyś majątek wystarczający do końca życia. Mogłabyś podróżować po całym świecie. Słuchaj, wydostanemy je!

Kaktus był już kompletnie pijany.

- Myślałam o tym - powiedziałam tajemniczo. - Tylko ja wiem, gdzie one są. Poczekam trochę. Poczekam, aż mnie zupełnie porzucisz, pójdiesz precz, a potem tam pojedę, wydostanę je i na złość tobie będę przeraźliwie bogata. A ty sobie będziesz pluł w brodę, że mnie porzuciłeś. Na co czekasz? Dlaczego nie idziesz do tych wszystkich dziewczuch? Przecież wiesz, że cię nienawidzę!

Musiałam mówić te brednie, bo zawsze je mówiłam po pijanemu i nie chciałam w nim teraz obudzić podejrzeń, że jestem trzeźwa jak świnia.

- Nie ma żadnych dziewczuch i wcale cię nie chcę porzucać. Upiłaś się.

- Nic podobnego. Chcesz mnie porzucić już dawno. Pewno ci jest niewygodnie. Zabiję cię i będę miała z tobą spokój.

- Sam się zabiję, jak wpadnę do tej dziury z diamentami.

- To wcale nie jest dziura - zaprotestowałam z urazą.

- A co?

- A nie wiem. Może on to powiesił na drzewie?

- Jak zgadnę, to mi powiesz?

- Już te bandziory zgadywały. Wydostanę je i schowam w grotach na Malinowskiej Skale. Przewiozę przez granicę kontrabandę! Cha, cha! A ci celnicy mi nie wierzyli!

Z pewnym trudem wycisnęłam z siebie atak radosnego śmiechu. Ileż razy prowadziliśmy ze sobą takie kretyńskie rozmowy na bazie uczuć, których ciągle nam było za mało! Diabli wzięli uczucia już chyba dawno temu. W moim przerażonym sercu zaległa się rozpacz i wypchnęła resztki nadziei. Nie do śmiechu mi było, kiedy Diabeł z zimnym blaskiem w oczach otwierał święty atlas.

Natrętnie, z naciskiem, szybko, jakby nie chcąc mi pozwolić oprzytomnieć, stosował krzyżowy ogień pytań. Przyglądał mi się tak uważnie, jak chyba nigdy w życiu, wskazując rozmaite miejsca na mapach. Wykrywacza kłamstw nie było, ale on był zawsze lepszy od wszelkich wykrywaczy kłamstw i znów musiałam się ratować wiarą w Malinowską Skałę. Dolał mi whisky. Kaktus miał chyba przerwę w życiorysie. Oczami duszy zobaczyłam swoją własną piwnicę...

Do pytań na temat, gdzie to jest, dołączyły się nagle inne.

- Jakie on liczby wymieniał, ten nieboszczyk? Przecież mówił po francusku! Zrozumiałaś je? Lepiej umiesz liczyć po angielsku i po duńsku. Nie pomyliłaś czegoś? Zrozumiałaś te liczby po francusku? Jakie były? Powtórz! Co mówił?

Załamalam się. Miałam dość. Ruszyłam własne działa.

- A co? - spytałam nagle z niewinnym zaciekawieniem. - Kordyliery już całe przeszukali?

- Nie, ale... - urwał nagle.

Zagalopował się. Uwierzył w to, że jestem pijana i na chwilę stracił kontrolę nad sobą. Zgubiła go jednokierunkowość wysiłku.

- Przecież sama mówiłaś, że to jest w Europie...

Milczałam, patrząc na niego, zaniechawszy symulacji i ze zdziwieniem czułam, jak ginie gdzieś rozpacz, a ogarnia mnie wściekłość. Znana furia, która za chwilę dokona jakiegoś nieobliczalnego czynu.

On też milczał. Zdawał sobie sprawę z popełnionego błędu. Zapewne szukał w myśli sposobu odpracowania. Odwrócił oczy, odwrócił głowę, wziął butelkę i dolał do szklanek. Milczenie zaczęło się robić namacalne.

- Powiem ci prawdę - oświadczył nagle. - Widzę, że mi nic innego nie pozostaje.

- Słucham - powiedziałam uprzejmie. - Z przyjemnością będę świadkiem unikalnego zjawiska. Powiesz prawdę i nie udusisz się nią. Chciałabym to widzieć.

Spojrzał na mnie, zaskoczony.

- Ty jesteś trzeźwa?!

- Jak świnia - odparłam z nie ukrywaną satysfakcją i obejrzałam szklankę pod światło. - Słucham tej prawdy.

Jeden rzut oka na obficie podlany kaktus wystarczył mi w zupełności. Brak uwag na ten temat był nader znamienny.

- Znam tę sprawę - powiedział wreszcie niechętnie. - Wiesz przecież, że cały Interpol cię szukał. Parę miesięcy temu był tu jeden facet i rozmawiał ze mną. Podejrzewali, że nie żyjesz, ale stopniowo dostawali jakieś wiadomości o tobie, po czym szukali dalej. Ustawicznie im ginęłaś, myśleli, że wróciłaś do Polski i tu się ukrywasz. Ten facet z Interpolu jest ze mną w kontakcie. Obiecałem mu natychmiast przekazać wszystkie wiadomości od ciebie. Nie rozumiem, o co chodzi i po co się wygłupiasz.

- Aha - powiedziałam spokojnie. - I to wszystko?

- I to wszystko.

- Takie proste?

- Jak sama widzisz...

- Wzruszające. Wobec tego trzeba chyba wyleczyć moją manię prześladowczą.

- A chyba trzeba.

Zmiłowałam się nad kaktusem i wreszcie sama wypiłam trochę tej nieszczęsnej whisky. Uświadomiłam sobie, że aż do tej chwili kołatały się jednak we mnie resztki irracjonalnej nadziei. Nie chodziło o Madelaine, prawda o niej udusiłaby go z całą pewnością. Ale facet z Interpolu nie pytałby mnie o kryjówkę w Pirenejach, tylko o coś zupełnie innego. Dla faceta z Interpolu absolutnie bezcenną rzeczą, wartą wszystkich diamentów świata, byłyby moje notatki w kalendarzyku Domu Książki!

Wspominałam mu o tym. Mówiłam o podsłuchaniu konferencji w Brazylii. To było to, czym się powinien zainteresować! A nie zadał na ten temat ani jednego pytania, w ogóle nie zwrócił na to uwagi!

Wniosek nasuwał się tylko jeden. Oszalał z miłości do Madelaine i dla niej postanowił wywlec ze mnie informację o pieniądzach. Od Madelaine prosta droga prowadzi do szefa. Nic ich nie powstrzyma, staną na głowie, żeby osiągnąć cel, a głównego pomocnika mają w moim własnym, rodzonym domu! I pomyśleć, że gdyby zaczął inaczej, gdyby pytał o sekrety gangu, gdyby od pierwszej chwili wmawiał we mnie współpracę z Interpolem, gdyby jeszcze zdobył się na okazanie mi cienia uczuć, ja,

nieszczęsna, zmalretowana przeżyciami idiotka, dałabym się skołować!

- I pytasz mnie teraz o to wszystko w zastępstwie Interpolu? - powiedziałam z gryzącą ironią.

- Chciałem mieć jasny obraz sytuacji - odparł z urazą. - Ten facet pewnie niedługo przyjedzie.

Zgłupiał czy co?

- Przeceeniłam cię - oświadczyłam niechętnie po długim namyśle. - Głupio mi, ta pomyłka w ocenie fatalnie świadczy o mojej inteligencji. Widocznie przeceeniłam także i siebie.

- Co masz na myśli?

- Nic. Facetowi z Interpolu opowiem wszystko osobiście.

- Jak uważasz - powiedział tonem obrażonej primadonny. - Ciekaw jestem, czy i do niego będziesz się wygłupiać...

Kaktus wytrzeźwiał i wytrzymał. Nieufne napięcie ugruntowało się we mnie definitywnie. Świadomość, że mojemu życiu nic nie grozi, nie miała żadnego znaczenia. Oczekiwałam porwania, ogłuszenia, uśpienia, i Bóg wie czego jeszcze. Nastawiona byłam wyłącznie na wyszukane podstępny. W kieszeni płaszczka zaczęłam nosić sprężynowy nóż, rąbnięty w Brazylii. Nóż był nieco za duży na tę kieszeń, okropnie mi przeszkadzał i wzmagął narastającą we mnie furję. Zastanowiłam się, co ja bym sama ze sobą zrobiła, wymyśliłam mnóstwo rzeczy i założyłam w samochodzie kupione razem z nim urządzenie alarmowe. Po włączeniu urządzenia najmniejsze dotknięcie metalem karoserii wywoływało upiorne wycie. Włączałam je za każdym razem, kiedy oddalałam się od samochodu na dłużej niż pięć minut i dwukrotnie udało mi się ściągnąć radiowóz milicji. Raz jakiś pijak zatoczył się i oparł o bok sprzączką paska, a raz sama zapomniałam o nim i wetknęłam kluczyk w zamek przed wyłączeniem. Wbrew swoim zwyczajom na każdy dzwonek do drzwi pytałam głupio "kto tam", jadłam i piłam wyłącznie przez siebie kupowane i przyrządzane produkty i w ogóle pilnowałam się na wszystkie strony.

Diabeł demonstrował śmiertelną obrazę i nie ukrywaną niechęć. Mur, który nagle wyrósł pomiędzy nami, stał się nie do przebycia. Z niepojętych dla mnie przyczyn nie chciał się wynieść, chociaż proponowałam mu to prawie co dzień, czując masochistyczną ulgę na samą myśl, że mogłabym go stracić z oczu. Po dawnych rozterkach i nadziejach

nie zostało śladu. Wyzbyłam się złudzeń i pozostało mi już tylko śmiertelne rozgoryczenie, stopniowo przekształcające się w nienawiść do tego człowieka, który z taką przerażającą bezwzględnością poświęcał moje życie dla innej kobiety.

W faceta z Interpolu w ogóle nie wierzyłam i kiedy zgłosił się przez telefon, poczułam się zaskoczona.

- Madame - powiedział z kurtuazją - jestem zachwycony, że wreszcie mogę panią poznać. Przybyłem specjalnie w tym celu. Gdzie życzy pani sobie się spotkać?

- Najlepiej w Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej - odparłam bez namysłu, uważając to za dowcip tylko w pewnym stopniu. - Może nam użyczą jakiegoś pomieszczenia.

Pan roześmiał się uprzejmie.

- Nie jestem pewien, czy to istotnie najlepsze miejsce - powiedział z lekkim zakłopotaniem. - Nie występuję oficjalnie. Wolałbym rozmawiać z panią na neutralnym terenie. Więc gdzie?

Więc w końcu umówiłam się z nim, że po prostu wieczorem przyjedzie do mnie. Własne mieszkanie było mi dość dokładnie znane i jedynym niebezpiecznym elementem w nim był Diabeł. Nieufność krzyczała we mnie wielkim głosem. Odłożyłam słuchawkę, pozastanawiałam się przez chwilę i nagle podjęłam decyzję. Jeszcze mogłam zdążyć...

Majora Pawłowskiego znałam naprawdę dobrze. To znaczy nie wiedziałam, czy ma dzieci i w jakim wieku, nie wiedziałam, co lubi jadać na kolację i czy przeżył kiedykolwiek zawód miłosny, ale wiedziałam na pewno, że pracuje w Komendzie Głównej i to na odpowiedzialnym stanowisku, od wielu lat. W dziesięć minut potem pytałam się już o niego. Był u siebie i przyjął mnie, chociaż nie byłam umówiona.

- Drogi panie majorze - powiedziałam stanowczo - przede wszystkim nich pan założy, że nie zwariowałam. Później może pan to sprawdzić za pomocą badań psychiatrycznych, ale teraz niech pan się oprze na wierze w moje zdrowe zmysły. Wplątałam się w taką głupią sprawę, że nie dam sobie sama rady i nie wiem, do kogo z tym iść. Ratunku!

- Niech pani powie pokrótce, o co chodzi - zaproponował major.

Nie bardzo wiedziałam, jak przez to całe kłębowisko szaleństw przebrnąć pokrótce, ale wyteżyłam umysł.

- Byłam w Kopenhadze. Przez głupi przypadek, dowiedziałam się pewnego

drobiazgu od człowieka, który powiedział swoje i natychmiast umarł i w ten sposób uczynił mnie jedyną spadkobierczynią tej wiadomości. Rzeczą dotyczy likwidacji międzynarodowego gangu przestępczego, zajmującego się nielegalnym hazardem. Nie ja ich likwiduję oczywiście, tylko Interpol. Możliwe, że pan o tym słyszał, bo to się ciągnie od zeszłego roku.

- Nie wiem, czy słyszałem - powiedział major uprzejmie. - Zorientuję się, jak pani powie coś więcej.

- Interpol zrobił nagonkę i chciał im skonfiskować mienie. Gang zebrał do kupy całą forszę z zamiarem ukrycia jej przed władzami. W pośpiechu schowali to w jedno miejsce i to jest właśnie to, co mi przez pomyłkę powiedział nieboszczyk. Znam to miejsce. Te bandziory złapały mnie od razu, żeby wydoić ze mnie tajemnicę, ale szczęśliwie udało mi się podsłuchać, że potem zamierzają mnie zwyczajnie zabić. Sam pan rozumie, że wobec tego nic nie powiedziałam. Miałam dość skomplikowane i niemiłe przeżycia i stosowano wobec mnie rozmaite podstępny.

Wobec tego uciekłam i wróciłam do Polski w przekonaniu, że tu będę bezpieczna. Tymczasem mam podejrzenia, że i tu także zaczęli się na mnie.

- Dlaczego nie zwróciła się pani do Interpolu jeszcze będąc za granicą?

- Bo się bałam. Od razu się panu przyznam, że dostałam manii prześladowczej. Dwa razy nadziałam się na fałszywą policję, która okazała się członkami gangu w przebraniu, i nie miałam chęci na trzeci. Nie mogłam ryzykować. Powiem coś komuś z Interpolu, potem się okaże, że to znów przebrany bandzior, po czym dostanę w ciemną. Trochę za dużo o nich wiem, znam ich miejsce zamieszkania, jeśli tak to można nazwać, znam ludzi, znam adresy i inne takie. Oni też nie mogą ryzykować i wcale im się nie dziwię, że na mnie dybią. Tyle że nie mogą mnie zabić, dopóki nic nie powiem, bo im cała forsa przepadnie. Pana znam, wiem, kim pan jest, panu mogę zaufać. Oczywiście tylko w pewnym stopniu.

Major okazał lekkie rozbawienie.

- Dlaczego tylko w pewnym stopniu? Gdzie się zaczyna pani nieufność w stosunku do mnie?

Zawahałam się.

- Widzi pan... Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co mówię, brzmi nieprawdopodobnie. Ma pan prawo uważać mnie za mitomankę. Musi pan to sprawdzić,

żeby móc mi uwierzyć. Zanim pan mi uwierzy, może mnie pan trochę zlekceważyć, może pan być zdania, że ja przesadzam. I dlatego ani do pana, ani do nikogo nie wyjdzie z moich ust ani jedno słowo o tej forsie, dopóki banda nie będzie zlikwidowana. Ja sama, prywatnie, nigdy się o tym nie dowiem, mnie może byle kto oszukać. Ja wiem, że póki trzymam język za zębami, póty żyję, bo oni ciągle mają nadzieję. Beze mnie tego nie znajdą.

- I czego wobec tego oczekuje pani ode mnie?

- Dziś wieczorem mam rozmawiać z jednym facetem, który twierdzi, że jest pracownikiem Interpolu. Będzie u mnie. Ja nie wiem, czy mogę mu wierzyć, i ja się go nieco boję. Dzwonił z Grandu, mówił, że przyjechał dziś rano i nazywa się Gaston Miód...

- Jak proszę?!

- Pardon. Gaston Lemiel. Przetłumaczyłam sobie, żeby łatwiej zapamiętać. Chciałam przez pana dotrzeć do kogoś, kto się zajmuje takimi sprawami. Święcie wierzę, że policja wszystkich krajów w gruncie rzeczy współdziała ze sobą. Oni z nami i my z nimi też. Chciałam prosić o interwencję. Umówiłam się z nim na siódmą trzydzieści. Czy nie mogłoby tak ze dwóch panów w mundurach przyjść do mnie z wizytą parę minut po ósmej? W razie czego zaprotestowałiby przeciwko ukłecaniu mi łba.

Major przyjrzał mi się w zamyśleniu, zastanawiał się przez chwilę, po czym przycisnął guzik.

- Jest jeszcze pułkownik? - spytał biurka.

- Jest, ale zaraz wychodzi - odparło biurko damskim głosem.

- Niech pani poprosi, żeby zaczekał parę minut. Zaraz do niego przyjdę.

Pułkownik był uroczym, starszym panem w średnim wieku. Miał opaloną twarz i wesołe oczy. Na jego widok od razu zrobiło mi się jakoś lżej w środku, ale co z tego? W Taorminie nadziałam się na mężczyznę mego życia. Powstrzymałam majora.

- Chwileczkę - powiedziałam stanowczo. - Panie majorze, jak długo pan zna tego pana?

Na twarzy pułkownika ukazało się zaskoczenie. Chciał coś powiedzieć, ale major mnie zrozumiał.

- Muszę policzyć. Zaraz... Dwadzieścia dwa lata.

- I ten pan pracuje w milicji jak długo?

- Dwadzieścia pięć lat. Od końca wojny.

- I może pan za niego ręczyć?

- Jak za siebie. Nawet bardziej.

- W porządku. W razie czego moje zwłoki spadną na pańskie sumienie.

- Czy państwo są trzeźwi? - spytał pułkownik

- Raczej tak - odparł major, uśmiechając się lekko. - Zaraz pan zrozumie. Pani mi

tu opowiada dziwne rzeczy, chyba to pana zainteresuje. Urowadzona w Kopenhadze, jakieś powiązania z hazardem, tajemniczy skarb, ukryty przed ludzkim okiem...

- A! - powiedział pułkownik i twarz mu się rozjaśniła. - To pani?

- O, widzę, że pan o mnie słyszał! - ucieszyłam się.

- Nawet dość dużo. Cóż to się stało, że pani do mnie przychodzi? Jest coś nowego?

- Nie wiem, co dla pana jest stare - odparłam. - A przychodzę z prośbą o dwóch silnych panów w pełnym umundurowaniu. Uzbrojenie by się też przydało.

- No to chyba sobie porozmawiamy obszerniej. Dziękuję, majorze. Rzeczywiście, dostarczył mi pan dużej atrakcji.

Chyba wymówił to w złą godzinę. Gdyby przewidział, ile atrakcji będzie miał dzięki mnie, prawdopodobnie czym prędzej wyrzuciłby mnie za drzwi.

Major pożegnał się i poszedł. Powtórzyłam nieco szczegółowiej poprzednią relację. Pułkownik słuchał w milczeniu.

- Po co pani ta wizyta dwóch funkcjonariuszy? - spytał, kiedy skończyłam. - Ma pani w domu przecież najlepszą opiekę. Uśmiechnął się i w oczach mu wesołość błysnęła.

- Kogo pan ma na myśli? - spytałam nieufnie.

- Małżonek jest z nami w stałym kontakcie.

Przez krótką chwilę w ogóle nie mogłam zrozumieć, co on mówi, bo wydawało mi się, że chodzi mu o mojego pierwszego męża, który po pierwsze nie dostarczał mi żadnej opieki, a po drugie był w Związku Radzieckim. Potem nagle pojęłam, że ma na myśli Diabła.

Absolutny chaos z okresu przed stworzeniem świata był niczym w porównaniu z tym, co wybuchło nagle w moim umyśle. Patrzyłam na niego i patrzyłam, a z chaosu powoli coś się legło.

- A co pan wie o Madelaine? - spytałam nagle, ostro, napastliwie, zanim udało mi się uświadomić sobie, co mówię.

- O jakiej Madelaine? - spytał pułkownik równie ostro, a wesołe oczy nabrały

wyrazu czujności.

Odetchnęłam głęboko. Teraz wreszcie nadszedł czas, żeby się ostatecznie pozbyć wątpliwości. Chaos odrobinę przycichł.

- Panie pułkowniku - powiedziałam spokojnie - widzę, że pan zna aferę. Jeśli pan ją zna, to widzi pan, że umiem milczeć do grobowej deski. Świadczy o tym sam fakt, że żyję. Mam swoje poglądy na tę sprawę, mam swoje spostrzeżenia i wyciągam sobie wnioski. Od pół roku występuję w charakterze szczonego zwierza i należy mi się odrobina spokoju. Na wszystkie świętości pana błagam, niech pan powie prawdę i przysięgam, że ta prawda zniknie we mnie i nigdy jej nie zdradzę. Co pan wie o Madelaine?

- Kto to jest Madelaine?

Pułkownik patrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami, z wyrazem zastanowienia w oczach i doznałam uczucia, że mówi prawdę. Nie oszukuje mnie.

- Zanim panu powiem, kto to jest, powiem panu coś innego. Jeśli istotnie nic pan o niej nie wie, to znaczy, że jest niedobrze i że pan też jest kantowany. Niech pan sobie przypomni, niech pan pomyśli. Ja rozumiem takie rzeczy jak tajemnice służbowe i nie domagam się tajemnic. Ja już nie pytam, CO pan o niej wie, ja pytam, CZY pan wie.

Kiedy to mówiłam, przez głowę jeszcze raz przeleciała mi myśl, że może wygłupiłam się tym razem już zupełnie piramidalnie, ta dziewczyna to nie jest Madelaine, tylko jakaś przypadkowa podrywka, która utleniła się na platynowo i tyle. Ale pułkownik powinien wiedzieć o Madelaine i powinien wiedzieć, że to z nią zostałam pomyłona. A Interpol powinien pytać o gang, a nie o pieniądze. A Diabeł nie powiedział, że jest w kontakcie z naszą milicją...

- Nie - powiedział pułkownik po chwili. - Mówię to pani zupełnie uczciwie, bo zresztą nie widzę w tym żadnej tajemnicy. Nic nie wiem o żadnej Madelaine. Kto to jest?

- No to przypało - powiedziałam przygnębiona. - Zostałam sama przeciwko światu. Pan uwierzy jemu, a nie mnie. Ci z Interpolu znają prawdę, ale ich tu nie ma. Zresztą nie wiem, może oni jej też nie znają, może nikt jej nie zna. Nie ma dla mnie miejsca na ziemi.

- Niech pani nie dramatyzuje - powiedział pułkownik, żywo poruszony moją niewątpliwą rozpaczą. Czulałam się zgębiona do ostateczności i musiało to być widoczne.

- Niech pani powie, kto to jest Madelaine i o co tu chodzi?

- Dobrze. Służę panu faktami. W ich ocenie ja się mogę mylić, ale dużo wysiłku

trzeba będzie zużyć, żeby mnie o tym przekonać. Fakt pierwszy: ten facet, który umarł na mojej torbie, przyleciał tam, żeby przekazać wiadomości kobiecie, platynowej blondynce o ciemnych oczach, imieniem Madelaine. W pomieszczeniu było dość ciemno, a on umierał. Ja miałam na głowie platynową perukę, kolor oczu sam pan widzi, ponadto słyszałam, że nie znał jej osobiście. To jest jedna strona medalu.

Zatrzymałam się, czekając na ewentualne pytania. Nie padły, więc ciągnęłam dalej.

- Fakt drugi: po powrocie do Polski dowiedziałam się, że w towarzystwie mojego, jak pan to uprzejmie nazwał, małżonka, widziano platynową blondynkę o ciemnych oczach, tak podobną do mnie, że moja najlepsza przyjaciółka była pewna, że to ja. Było to na miesiąc przed moim powrotem. Jeden mój znajomy widział także blondynkę w szarym oplu i nawet uklonił się jej w przekonaniu, że to ja. Było to już po moim powrocie. Trzecia osoba z moich znajomych powiadomiła mnie, że nie tylko mnie widziała, ale też, że rozmawiałam po niemiecku. Nie potrzebuję chyba dodawać, że nie mam opla, nie mówię po niemiecku i nie było mnie wtedy w Polsce.

- To wszystko? - spytał pułkownik.

- Nie. Fakt trzeci: tenże, jak wyżej, małżonek, od pierwszej niemal chwili zadaje mi pytania na temat miejsca ukrycia pieniędzy. Zaproponował mi nadużycie alkoholu i w trakcie tego nadużycia, przeze mnie zresztą symulowanego, wziął mnie w krzyżowy ogień pytań. Jako narzędzia pomocniczego używał atlasu. Fakt czwarty: był bezwzględnie jedynym człowiekiem, który znał termin i sposób mojego powrotu do Polski. Wszystkie inne osoby do ostatniej chwili były święcie przekonane, że jadę przez Kopenhagę. Tuż przed samą granicą czekał na mnie na autostradzie samochód, który usiłował mnie zatrzymać. Zwracam panu uwagę, że jechałam w pośpiechu i jednym ciągiem.

- I co pani przypuszcza? - spytał pułkownik, bo znów zrobiłam przerwę.

- Nic. Na razie przekazuję panu fakty. Przypuszczenia niech pan sobie wymyśli sam. Powiadomiłam go, że kryjówka znajduje się w Kordylierach. Uprzejmie proszę, niech pan się dowie, czy Interpol przeprowadzał jakieś poszukiwania w Kordylierach. Jeśli tak, to być może, ja się zacznę nieco wahać, jeśli nie, zyskam pewność, że moje podejrzenia są słuszne. Królestwo za pewność!

- W porządku! - powiedział pułkownik. - Madelaine i Kordyliery to jest dla mnie coś nowego, ale możliwe, że oni już o tym wiedzą. Rozumiem, o co pani chodzi, ale niech

pani to powie wyraźnie. Co pani podejrzewa?

- Rzeczy obrzydliwe subiektywnie. Nie wiem, czy jest sens to wywlekać... Podejrzewam, że ta dziewczyna to jest Madelaine, że on się w niej zakochał, obiecał wydrzeć ze mnie lokalizację Sezamu i przekazuje jej wszystkie wiadomości, działając na moją szkodę. Dopuszczam okoliczności łagodzące. Być może, ona wmówiła w niego, że potem mi nic nie grozi, nie wykończą mnie, tylko mi dadzą święty spokój. Kordyliery są niejako ostatnim sprawdzianem, komuś przekazał informację, że to jest tam ukryte, albo jej, albo Interpolowi... Dlatego proszę, żeby się pan dowiedział...

- Rozumiem - przerwał pułkownik. - Rozumiem, że dla pani to jest bardzo niemiła sprawa z osobistego punktu widzenia. Nie będę pani teraz przekonywał o niczym. Może pani się myli, a może nie, to się okaże na końcu. Natomiast chciałbym wiedzieć, skąd pani ma tę pewność, że oni panią zabiją?

- Słyszałam na własne uszy, jak omawiali te czarowne plany - powiedziałam niechętnie. - Istniał co prawda projekt zachowania mnie przy życiu w trwałym zamknięciu, ale po ostatnich doświadczeniach sądzę, że z tego zrezygnowali. Myślę, że oni teraz żyją na wulkanie. Wiedzą, co wiem, ale ja wiem więcej, niż oni przypuszczają. Na razie nic nie mówię, trzymam to przy sobie z bardzo prostej przyczyny. Jeśli powiem, co wiem, nieodpowiedniej osobie i jeśli oni się zorientują, to oczywiście zareagują na to odpowiednio. Coś zmieniają, coś zlikwidują i znów ich nie wyłapią. Do sądnego dnia to się będzie tak wlokło. Niech pan coś zrobi.

- Widzi pani - powiedział pułkownik z lekkim zakłopotaniem - prawdę mówiąc, to jest nie nasza sprawa. My tutaj nie mamy z tym nic wspólnego, na naszym terenie nie popełniono żadnego przestępstwa...

- A, rozumiem! - przerwałam. - Musi pan poczekać, aż mnie zadźgają?

- No, nie przesadzajmy. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale sam nie mogę nic zrobić, muszę się z nimi porozumieć. My po prostu służymy im niekiedy pomocą na ich prośbę i nic więcej. Możliwe, że to, co pani mówi, ma bardzo duże znaczenie i oczywiście wezmę to pod uwagę. Niech pani teraz spokojnie idzie do domu porozmawiać z tym facetem. Sprawdzimy, kto to jest, i odpowiednio zareagujemy.

- Czy ja mogę przynajmniej poprosić o telefon? Bo inaczej też mu nic nie powiem.

- Dobrze, ktoś zadzwoni do pani około ósmej...

- Zaraz - przerwałam stanowczo. - Niech powie jakie hasło, bo mu nie uwierzę.

- Jakie hasło? - zdziwił się pułkownik, a zamyślane oczy znów mu błysnęły wesoło.

- Byle jakie. Najlepiej liczby, przywykłam do liczb. Niech powie: dwadzieścia cztery osiemnaście.

- Dobrze, dwadzieścia cztery osiemnaście. Chyba pani trochę przesadza, ale możliwe, że na pani miejscu też bym nie miał do nikogo zaufania. Niech się pani nie przejmuję, wszystko będzie w porządku.

Ledwo zdążyłam do domu przed wizytą zapowiedzianego faceta. Ciekawiło mnie, kto to jest, co z tego wyniknie i czego się sama dowiem. Byłam do nieprzytomności zdenerwowana. Wizyta u pułkownika z jednej strony podtrzymała mnie nieco na duchu, ale z drugiej napełniła obawami, że wszystko, co mówię, jest wołaniem kota na puszczy. Wygląda na to, że dotychczas Diabeł był łącznikiem pomiędzy mną a milicją. Kłamał na obie strony, licząc na brak bezpośrednich kontaktów moich z nimi i nic dziwnego, że mnie nie wzywali, przekonani, że wszystko wiedzą. Być może, jestem w ich oczach pomyloną histeryczką...

Nie szkodzi. Nigdy w życiu nie zależało mi na opinii. Zapałam się przy swoim zadnimi łapami i niech sobie myślą, co chcą!

Przybyły pan wyglądał bardzo wytwornie i nobliwie. Budził zaufanie. Jedyne, co mi się w nim nie podobało, to to, że przy szerszym uśmiechu błyskał złotym zębem, co prawda osadzonym na dalekich pozycjach, ale widocznym.

Diabeł z własnej inicjatywy zajął się zrobieniem kawy, a ja się oddałam konwersacji. Pan mówił równocześnie po francusku i niemiecku.

- Jestem zachwycony - powtórzył osiemdziesiąty piąty raz. Błysnął szlachetnym kruszcem i przystąpił do rzeczy.

- Zgromadziliśmy już bardzo wiele wiadomości - rzekł - ale najważniejsza jest w pani posiadaniu. Mam nadzieję ją od pani uzyskać i wówczas będziemy mogli zakończyć sprawę definitywnie. Widzi pani, rzecz polega na tym, że osoby, które zostały zatrzymane, nie przyznają się do niczego, kryją się wzajemnie i kryją tych, którzy są na wolności. Ich atutem jest ten majątek, na którego odzyskanie bardzo liczą. Z chwilą, kiedy go tracą, załamują się. Inaczej wygląda perspektywa lat więzienia, jeśli po wyjściu zeń będzie się miało miliony, a inaczej, jeśli po wyjściu nie będzie się miało nic. W takim wypadku będą woleli mówić, żeby złagodzić karę. Brzmiało to nawet dość rozsądnie, pan nie wydawał się nachalny, i byłam skłonna z nim podyskutować. Chciałam właśnie

powiedzieć, że przecież i tak już muszą tę forszę przypisać na straty, kiedy wtrącił się Diabeł.

- Przepraszam cię, nie wiem, gdzie jest cukier - powiedział przyniósłszy kawę.

Zdziwiłam się, bo rano była pełna cukierniczka, i sama poszłam do kuchni. Rzeczywiście, cukierniczka była pusta. Znalazłam cukier ukryty głęboko w szafce, mimochodem zastanowiłam się, co też u diabła mogło się z nim stać, skoro moich dzieci nie ma, nasypałam i przyniosłam do pokoju. Pan mówił właśnie po niemiecku:

- Oczywiście, ważna jest też kwestia sprzętu. Skonfiskowanie wszystkich stołów gry, wszystkich ruletek równocześnie byłoby wielkim ciosem.

Zupełnie mądrze mówił. Oczekiwałam teraz pytań odnośnie adresów nowych melin i domów gry na Bliskim Wschodzie. Sięgnęłam po torebkę i wyjęłam kalendarzyk Domu Książki, w którym miałam zapisane wszystkie podsłuchane wiadomości.

- Byłby to krach finansowy, coś w rodzaju bankructwa przedsiębiorstwa... - mówił pan i nagle urwał. Spojrzał na mój kalendarzyk, a potem obaj z Diabłem spojrzeli na siebie.

- Tyś to sobie zapisała? - spytał Diabeł, a w głosie jego zabrzmiało niebotyczne zdumienie.

Nie miałam wątpliwości, że mu chodzi o szyfr nieboszczyka i bez słowa, z politowaniem, popukałam się palcem w czoło, ale zachłanność ich spojrzeń zaniepokoiła mnie na nowo. Nie wypuszczając kalendarzyka z ręki, nasypałam sobie cukru do kawy i mieszałam ją, kiedy zadzwonił telefon.

- Dwadzieścia cztery osiemnaście? - powiedział jakiś facet.

- Tak, to ja, słucham.

- Chała, szanowna pani! To jest, przepraszam, chciałem powiedzieć, że on jest taki przedstawiciel Interpolu, jak ja jestem kardynał.

- No to dobrze, że mnie pan zawiadomił - powiedziałam z westchnieniem, nie czując nawet zdziwienia.

- On tam jeszcze jest?

- Aha.

- Niech pani nic nie mówi. I niech pani uważa na siebie, pułkownik kazał. Jeszcze kazał pani powiedzieć, że Kordyliery to lipa, podobno pani wie, co to znaczy. Ma pani tam pod domem dwóch naszych ludzi, jakby co, to wystarczy zawołać.

- Wolałabym na schodach - powiedziałam krytycznie. - Pod samymi drzwiami.
- Jeden będzie na schodach. Powodzenia.
- Dziękuję bardzo - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.
- Kto to był? - spytał Diabeł.
- Tapicer - odparłam bez namysłu. - Ma dla mnie szmatę na pokrowce.

Działania wojenne, jak się okazało, były w pełnym toku. Podeszłam do stołu i usiadłam nad kawą, zastanawiając się, co z tym fantem zrobić? W obliczu bliskiego niebezpieczeństwa moje zdenerwowanie, jak zwykle, przeistoczyło się we wściekłość. W głowie zaczął mi się lęgnąć mściwy plan.

- A jak się miewa szef? - spytałam może nieco zbyt jadownicie.
- Szef? - powtórzył pan, zaskoczony.
- Szef. Główna postać. Szefa panowie chyba też złapali?

- A nie, niestety, szef nam uciekł - odparł z obłudnym żalem. - Właśnie pozbawienie go pieniędzy umożliwiłoby...

- A sejf? - przerwałam niewinnie.
- Jaki sejf?

- Jego sejf, w Chaumont. Skoro panowie są w fazie likwidacji całego gangu, to chyba w Chaumont była rewizja?

W oczach pana pojawił się jakiś nowy błysk zainteresowania. Na myśl, że podkładałam właśnie szefowi monstrualną świnię, poczułam wręcz dreszcz rozkoszy.

- Była, oczywiście - powiedział z lekkim ociąganiem. Wyglądało na to, że zyskał nagle nowy temat do szybkiego przemyślenia.

- Ach, ja nie pytam o szczegóły - szczebiotałam słodko. - Rozumiem, że to tajemnica! Ale ciekawa jestem, jak panowie otwierali sejf? Bo tam są dwie możliwości...

W tym momencie zadzwonił telefon. Zamierzałam dopomóc sobie zamaszystym gestem w opisywaniu tych dwóch możliwości, machnęłam ręką i przewróciłam własną filiżankę z kawą, której nawet nie zdążyłam się napić.

- O Boże, przepraszam! - powiedziałam i podniosłam słuchawkę, ale wyłączyło się od razu i nikt się nie odezwał. Wróciłam do stołu.

- Pytała pani o sejf? - powiedział pan czujnie, kiedy serwetką wycierałam kawę. - Pani zna sposób otwierania?

Już chciałam potwierdzić, oczami duszy widząc, jak wspaniale rośnie ta

podkładana świnia, ale nie zdążyłam. Telefon zadzwonił ponownie. Znow podniosłam słuchawkę i znow się wyłączyło. Zaniepokoiłam się, że może dzwonią do mnie z automatu z jakimś nadprogramowym ostrzeżeniem i jadowne dowcipy odsunęły mi się chwilowo na dalszy plan. Rozmowa nagle zamilkła. Pan siedział, nic nie mówiąc, a Diabeł wycierał resztki kawy.

Nie zdążyłam podejść na powrót do stołu, kiedy telefon znow zadzwonił. Przeczekałam kilka sygnałów zanim podniosłam słuchawkę. Skutek był ten sam, brzęknęło i cisza. Siedziałam obok aparatu, czekając, aż się znow odezwie, bo mi się nie chciało latać tam i z powrotem.

Gaston Miód powoli podniósł się z fotela.

Zdążyłam szybko pomyśleć, że jakby co to zaprawie go w globus tą słuchawką, ale natychmiast okazało się, że nie ma potrzeby.

- Wydaje mi się, że mamy jeszcze bardzo dużo do omówienia - powiedział, nie zbliżając się do mnie. - Jeśli pani pozwoli, to spotkamy się jutro. Teraz, niestety, nie dysponuję czasem. Pozwolę sobie jutro zadzwonić, żeby ustalić miejsce i czas spotkania.

- A votre service, monsieur - odparłam niebotycznie zaskoczona, kiedy chylił się w wytwornym ukłonie. Znaleźliśmy się w punkcie konwersacji jednakowo emocjonującym tak dla mnie jak i dla niego. Co mu się stało, u diabła?...

Przez chwilę jeszcze siedziałam obok telefonu, usiłując coś z tego zrozumieć i węsząc nową komplikację, po czym zerwałam się i popędziłam wyjrzeć przez balkon na ulicę. Pod moim domem stał szary opel-record. Gaston Miód otworzył drzwiczki po stronie pasażera...

Jednakże udało mi się jakoś nie udusić na poczekaniu. Napiałam się zimnej wody w łazience, weszłam do kuchni i ujrzałam, że Diabeł myje filiżanki po kawie. W ułamku sekundy pojęłam wszystko i nie padłam trupem na miejscu chyba tylko dlatego, że byłam już nieźle uodporniona.

Od wielu długich lat każdą najmniejszą łyżeczkę myła w tym domu sprzątaczką. Wyręczała mnie w czynnościach, do których przez całe życie żywiłam najserdeczniejszą nienawiść, a oni wszyscy, moi synowie i Diabeł, skwapliwie z tego korzystali. Nie było wypadku, żeby cokolwiek umyli dobrowolnie, za moim złym przykładem wszystko zostawiając w zlewie. A teraz ni z tego, ni z owego on sam mył filiżanki!

Wylałam swoją kawę, nie zdążywszy jej wypić. Dziwny telefon odezwał się trzy

razy i zamilkł. Gaston Miód przerwał rozmowę w sensacyjnym momencie i uciekł, nic nie uzyskawszy. Wszystko stało się jasne.

Telefon był ostrzeżeniem dla nich, zapewne wcześniej ustalili ten sygnał. W kawie coś było, z kolei dla mnie. Nie trucizna, to pewne. Jakikolwiek środek usypiający. Nigdy niczego takiego nie używam, byle co mogło na mnie podziałać...

Stałam oparta o futrynę, bliska uduszenia, ze skamieniałym wnętrzem i z determinacją obmyślałam podstęp. Nie popełnili u nas żadnego przestępstwa... W porządku, wobec tego popełnią. Wystąpię w roli przynęty. Nie wytrzymam dłużej tego pełnego napięcia koszmaru, we własnym domu nie wezmę nic do ust, we własnym łóżku nie odważę się zamknąć oczu! Nie zabiją mnie od razu, będą musieli to sobie zorganizować, będą musieli sprawdzić, czy znów nie zełgałam, tak jak z tymi Kordylierami. Zyskam przynajmniej parę dni spokoju. Uprzedzę pułkownika. Usiłowanie zabójstwa w zupełności wystarczy...

- Nie mam już siły do tego galimatiasu - powiedziałam do Diabła z normalnym zniecierpliwieniem. - Cóż on tak nagle polecał?

- Nie wiem. Rozmawiałś z nim po francusku, to skąd mam wiedzieć? Powiedziałaś mu, gdzie jest ta forsa?

- A skąd! Właśnie miałam zamiar, ale wstał i polecał. Nic nie rozumiem.

Diabeł nie podjął tematu. Wycierał filiżanki, nie patrząc na mnie i czekając na coś w napięciu.

Wiedziałam, na co czeka.

- Zachowujesz się jak kretyn - ciągnęłam po chwili z niesmakiem, myśląc równocześnie, że nie ma siły, w tej całej imprezie skazana jestem widać na rolę słodkiej, nie słodkiej, ale w każdym razie idiotki. - Robisz jakieś głupie dowcipy, popadasz w tajemniczość i po co to? Nie lepiej było od razu powiedzieć, że kontaktujesz się z milicją? Po diabła się trzymasz Interpolu?

- Z jaką milicją? - spytał, odruchowo zamierzając skłamać.

- Obywatelską. Polską. Z tak zwanymi naszymi rodzimymi glinami. Czego mnie denerwujesz? Widzisz, że jestem w stanie hysterii i zamiast mnie uspokoić jeszcze dodatkowo kręcisz.

- Skąd wiesz, że jestem w kontakcie z milicją?

- Od pułkownika. Przez te twoje tajemnice robię z siebie idiotkę.

- Było ustalone, że mam ci nie mówić - powiedział spokojnie, przechodząc do pokoju. - Widocznie pułkownik zmienił zdanie. Teraz już wiesz i możesz się przestać wygłupiać. Gdzie to jest? Powtórzę mu jutro i będziesz miała z głowy. Mam już tego zupełnie dość.

- Ja też - powiedziałam z westchnieniem. - Mogę ci powiedzieć i odczepić się wszyscy ode mnie. Raz na zawsze.

Przez moment jeszcze zastanawiałam się, czy to nie jest zbyt ryzykowne, ale Diabeł już sięgnął po atlas.

- No więc? Gdzie?

- Jednak w Rodopach - powiedziałam niechętnie i z ociąganiem. - Po greckiej stronie, blisko bułgarskiej granicy.

Bardzo rzadko zdarzało się, że można było odczytać coś z jego twarzy. Ale ten wyraz znałam. Ukazywał się tylko wtedy, kiedy przy brydżu dostawał kartę-monstre, kartę-szał, coś, o czym się później opowiada w długie, zimowe wieczory. Wielka wygrana, wielka szansa! Trzeba go było dobrze znać, żeby zauważyć tę prawie nieuchwytną zmianę. Uwierzył mi...

Pochylona nad mapą Grecji usiłowałam szybko znaleźć coś prawdopodobnego.

- Tu - oświadczyłam, pokazując jakieś miejsce w górach. - On użył oznakowania z mapy szefa, a ja to sobie znalazłam.

- Nie zaznaczyłaś?

- Oszalałaś! Jak?! Przecież on podał odległości!

- Jakie? Co podał?

Zamknęłam oczy, usiłując gwałtownie przypomnieć sobie, jakie numery miały linie w tym miejscu. Jeśli się pomylę, wykryją łgarstwo już jutro. Co za szczęście, że mam pamięć wzrokową!

- Wszystko złożone - powiedziałam powoli... Przez moment widziałam wokół siebie czarny loch i bliska byłam ryknięcia tego pełną piersią w kierunku sufitu - sto jedenaście od dwadzieścia dziewięć i tysiąc trzydzieści dwa od... A jak Albert. Opuszczone w dół piętnaście metrów...

Otworzyłam oczy i dodałam:

- Dlatego byłam zdania, że to jest w jakiejś rozpadlinie albo czymś takim. Odległość podał od jednego południka i jednego równoleżnika. Tu ich nie ma, tamta

mapa była dokładniejsza.

- Sto jedenaście czego?

- A bo ja wiem? Może metrów, a może stóp, może jakichś innych jednostek, nie mam pojęcia. Pewno to mieli umówione. Podejrzewam też, że bez mapy szefa żadna ludzka siła tego nie znajdzie. Południki i równoleżniki na ogół nie są wyrysowane na gruncie. Na tamtej mapie były dowiązane do punktów, istniejących w terenie.

Zapisał sobie podane przeze mnie liczby i coś w nim się nagle zmieniło. Był przejęty, bardzo przejęty i starał się to ukryć. Ze skamieniałym na granit sercem przyglądałam mu się i zastanawiałam, czy to możliwe, żeby przyczyną były uczucia do Madelaine. Czy on jest w ogóle zdolny do aż takich uczuć? Nonsens! O co tu chodzi, do diabła? Wyglądał, jakby spadł z niego jakiś wielki, krępujący ciężar. Jak człowiek, przed którym po długiej niewoli stanął nagle otworem cały świat!

Coś rozbłysło w moim umyśle. Zrozumiałam.

- Mam nadzieję, że teraz się wreszcie ode mnie wyprowadzisz - powiedziałam ze znużeniem. - Osiągnąłeś cel i nic cię tu nie trzyma.

- Życzysz sobie tego? - spytał spokojnie.

- Życzę sobie. Nade wszystko na świecie nienawidzę niejasnych sytuacji. Wiesz o tym doskonale. Gdybyś zechciał wyprowadzić się jutro, doznałabym dużej ulgi.

- Jeśli ci na tym zależy, mogę się postarać - odparł z urazą. - Mam zabrać wszystkie swoje rzeczy?

- A na diabła mi twoje rzeczy?

- Jak uważasz. Myślałem, że coś nas jeszcze łączy...

- Łączyło. Szyfr nieboszczyka. Dostałeś go. Leć i wykorzystuj.

- Proszę cię bardzo. Będzie, jak sobie życzysz. Wyprowadzę się jutro.

Udawanie śmiertelnej obrazy tym razem mu nie wychodziło. Umiał zachować kamienną, nieprzeniknioną twarz, ale nie umiał zgasić blasku w oczach...

Pierwszy raz od wielu dni poszłam spać z uczuciem, że przynajmniej tej nocy nic mi nie grozi.

Telefon wyrwał mnie ze snu o dość późnej, porannej godzinie.

- Będzie mówił pułkownik Jedlina - powiedziała jakaś pani przyjaźnie i po chwili usłyszałam pułkownika. Coś przeszkadzało i trochę trzeszczało.

- Halo, słyszy mnie pani? Czy może pani przyjechać za godzinę na cmentarz w

Palmirach? Wie pani, gdzie to jest?

- Wiem, oczywiście - odparłam, nieco oszołomiona. - A co się stało?

- Kończymy aferę i sama pani zobaczy, jak wyglądają pani podejrzenia. Chce pani?

A poza tym potrzebna jest pani do rozpoznania jednego faceta. Za godzinę w Palmirach! Do zobaczenia!

Przez chwilę przyglądałam się bezmyślnie słuchawce. Dlaczego pułkownik nie podał hasła? Poczulałam się niemiłe urażona jawnym zlekceważeniem moich obaw i niepokojów. W końcu zgódźmy się, że ostatnie miesiące nie były dla mnie usłane różami! Miałam chęć zadzwonić do niego natychmiast, ale nie zapisałam sobie jego numeru telefonu, a poszukiwania w książce telefonicznej, a potem po całej Komendzie za długo by trwały. Jeśli mam być za godzinę w Palmirach, to muszę się cholernie spieszyć. Dlaczego w Palmirach?...

W pół godziny potem pchałam się przez całe miasto na północ. Zdążyłam wprawdzie napić się herbaty, ale nie oprzytomniałam jeszcze całkowicie i chyba to właśnie uratowało mi życie.

Zaraz za Łomiankami, na pustej prawie szosie, pojawił się jakiś facet i machnął na mnie lizakiem. Na autostop w tym pośpiechu nie zareagowałabym wcale, ale lizak to co innego. Zatrzymałam się i cofnęłam do niego.

- Czekam na panią z polecenia pułkownika Jedliny - powiedział. - Mam razem z panią podjechać. Można?

- Proszę bardzo. Hasła panu nie podał?

- Hasła? Nie, nic nie mówił.

- Chyba on mnie zdenerwuje - powiedziałam krytycznie i ruszyłam dość ostro.

Do drogi na Palmiry było niedaleko. Nie tylko niedaleko, ale nawet dostatecznie blisko, żebym w stanie normalnego, porannego oglupienia przejechała ją w rozpędzie. Mignął mi nagle w oczach drogowskaz i zahamowałam tak, że facet, który sięgnął właśnie do kieszeni zapewne po papierosa, oparł się obiema rękami o tablicę rozdzielczą i coś mu upadło.

- Bardzo pana przepraszam - powiedziałam ze skruchą. - Przejechaliśmy za daleko. Nie zdążyłam krzyknąć, żeby się pan trzymał.

Zawróciłam i nagle silnik kichnął. Raz kichnął, a potem cichutko sobie zagulgotał i

zamarł. Rozpędem zjechałam na pobocze i zatrzymałam się tuż przed skrzyżowaniem z drogą do Palmir.

- Co się stało? - zaniepokoił się facet.

- Nie wiem - powiedziałam z rezygnacją. - To znaczy wiem, zapomniałam wziąć benzyny.

- Czy pani zwariowała?! - wrzasnął z nieuzasadnioną wściekłością, czym mnie bardzo zdziwił. W końcu ludzie zapominają w pośpiechu o ważniejszych rzeczach niż głupia benzyna. Już miałam powiedzieć, że mam w kanistrze i zaraz doleję, bo znając siebie na wszelki wypadek zawsze woziłam ze sobą pełny kanister, kiedy nagle doleciał mnie jakiś zapach. Nikły, delikatny, znajomy zapach, kojarzący się ze szpitalem.

Zmartwiałam. Miękka rękawica duńskiego policjanta... Temu facetowi coś upadło! Pułkownik nie podał hasła!...

Bez sekundy namysłu otworzyłam drzwi i wysiadłam. Facet też wysiadł. Patrzył na mnie tępo, wyraźnie nie mając pojęcia, co teraz zrobić.

- Musi pan iść piechotą i to szybko, jeśli ma pan zdążyć - poradziłam mu życzliwie.

- Ja tu poczekam, może mi kto da trochę benzyny. Może pana nawet jeszcze dogonię. No, niech pan leci!

- Tak, ma pani rację - powiedział z niejaką ulgą i ruszył w stronę Palmir prawie kłusem.

Zapaliłam papierosa i patrząc za nim powoli przychodziłam do siebie. Takie tempo działania nieco mnie zaskoczyło. Tak szybko, tak od razu...? Czy oni nie przesadzają? Zastanowiłam się, jak ja bym to zrobiła, i doszłam do wniosku, że dość prosto. O tej porze roku w palmirskim lesie jest pusto. Zamroczyć tym świństwem, które mi jeszcze nieco śmierdzi w samochodzie, puknąć w łeb od lewej strony, upozorować ślad puknięcia na wewnętrznej ramie, samochód wepchnąć na drzewo, po czym przedziurawić lewą przednią oponę. Poszurać nieco w okolicy inną starą oponą albo moim własnym kołem zapasowym i katastrofa gotowa. Nawet nie trzeba bardzo niszczyć samochodu. Ewentualnie pchnąć na drzewo od strony baku i podpalić, też dobrze.

Wyobraziłam sobie to wszystko, wpadłam w stosowny nastrój, zgasiłam papierosa, otworzyłam bagażnik i dopiero teraz uprzytomniłam sobie, że mój kanister zawiera dwadzieścia litrów, że jest pełny i że za żadne skarby świata go nie podniosę, nie mówiąc już o jakichś manipulacjach przy wlewaniu do baku. Zaczęłam rozważać możliwość

posłużenia się rurką, ale na szczęście zobaczyłam z daleka nadjeżdżający samochód. Machnęłam ręką.

Piękne, czarne BMW 2000, jadące do Warszawy, wyhamowało tuż za mną. Siedzący przy kierownicy facet wyglądał sympatycznie, chociaż wydawał się odrobinę zniecierpliwiony.

- Słucham panią? - powiedział, otwierając drzwi.

- Bardzo pana przepraszam za kłopot - powiedziałam z westchnieniem. - A czy może mi pan pomóc podnieść tę kobyłę?

- Kobyłę? - spytał, marszcząc brwi, jakby szukał tego słowa w pamięci. Spojrzałam na znaki rejestracyjne. Francuskie. Może to cudzoziemiec?

- Kanister - wyjaśniłam. - Dwadzieścia litrów. Nie mam do tego siły, a muszę wlać benzynę.

- A, proszę uprzejmie. Gdzie pani go ma?

Wysiadł i spojrzałam na niego z powątpiewaniem, bo był wysoki i szczupły i nabrałam obaw, że też może nie mieć siły. Wyglądał na intelektualistę. Pokazałam kanister i otworzyłam bak.

- Czy pan sobie da radę? - spytałam z troską. - Może ja panu pomogę?

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie, jedną ręką wyjął kanister tak, jakby ważył dziesięć deka, podniósł go swobodnie, odkorkował i przechylił. Rzadko kto potrafi wlać dwadzieścia litrów benzyny z trzymanego w górze naczynia jednym ciągiem bez wysiłonego drżenia rąk. Facet wlał całość nie tylko bez drżenia rąk, ale w ogóle bez cienia wysiłku. Patrzyłam na niego z bezgranicznym podziwem.

Nie ma na świecie mężczyzny, który w takiej chwili nie doceni podziwu kobiety. Zdumiewający osobnik uśmiechnął się lekko, zatkał kanister, oko błysnęło mu sympatią, włożył go na miejsce i zamknął mi bagażnik.

- Służę pani. Czy coś jeszcze?

Ocknęłam się z zapatrzania.

- Ach nie, dziękuję bardzo. Przepięknie pan to zrobił! Dziękuję i najmocniej przepraszam, że pana zatrzymałam. Mam wrażenie, że pan się spieszy.

- Drobnostka. Cała przyjemność po mojej stronie. Życzę dalszej podróży bez przeszkód.

Wsiadając do BMW obrzucił jeszcze wzrokiem mojego jaguara, zawahał się,

wyglądało to tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował z tego. Gestem wskazał mi, żebym ruszyła pierwsza. Zawahałam się z kolei, bo już kołatała się we mnie dzika chęć zemsty, szaleńcza myśl o wścieklej szarży na tajemniczą zasadzkę w Palmirach, ale opanowałam się. Pomyślałam sobie, że może lepiej nie przesadzać z tą obłąkańczą odwagą i ruszyłam z powrotem do Warszawy, BMW ruszyło za mną.

Mniej więcej dwa tygodnie wcześniej późnym wieczorem przed małym domkiem w Birked zatrzymało się czarne volvo 144. Akurat w tym momencie Alicja wyjrzała przez kuchenne okno i nieco poruszona zawołała do Thorkilda:

- Thorkild, czy to przypadkiem nie Joanna? Tu stoi volvo 144!

Obydwoje z Thorkildem uwielbialiśmy się nad życie, przy czym moje uczucia do niego były w pełni uzasadnione, a jego do mnie nie, moim zniknięciem był bardzo przejęty, wobec czego teraz okrzyk Alicji oderwał go od telewizora. Oboje popędzili do wyjścia i w furtce natknęli się na wchodzącego pana inspektora Jensena we własnej osobie.

- Co się stało? - spytała Alicja, natychmiast zaniepokojona.

- Bardzo przepraszam, że tak późno - odparł pan Jensen łagodnie. - Ale sprawa jest pilna, a nie chciałem pani fatygować. Pani przyjaciółka znów zniknęła.

- W nałóg jej weszło! - wykrzyknęła Alicja ze zgrozą i zaprosiła pana Jensena do pokoju.

Spokojnie, bez emocji, duńską metodą, pan Jensen wyjaśnił, że zgodnie z wiadomościami, zawartymi w depeszy do Alicji, która przekazywała mu oczywiście wszelkie informacje o mnie, oraz z sygnałem z duńskiej ambasady w Paryżu, oczekiwano mnie w Danii już od dwóch dni. Już powinnam tu być, a tymczasem mnie nie ma. Skontaktowano się znów z Paryżem i okazało się, że tam mnie też nie ma. Czy przypadkiem skądś nie dzwoniłam?

- Nie wiem - powiedziała Alicja nieco zakłopotana i znacznie bardziej wściekła. - Nasz telefon od trzech dni nie działa. Mój mąż kopał w ogródku i urwał kabel. Był jakiś telefon do mnie do biura, ale akurat mnie nie było. Nie wiem.

Pan Jensen zmartwił się wyraźnie. Medytował przez chwilę, po czym spytał Alicję, gdzie też, jej zdaniem, mogłabym być. Alicja poprosiła o wyjaśnienie, o co tu w ogóle chodzi. Pan Jensen uprzejmie wyjaśnił.

Batalia, rozpoczęta przez Interpol jeszcze w końcu ubiegłego roku, zbliżała się ku

końcowi. Aresztowano bardzo wiele osób, zajmujących się przestępczą działalnością, zamknięto mnóstwo melin, skonfiskowano drobne kwoty, po czym natknięto się na nie przewidziane trudności. Cały zarząd gangu z szefem na czele uszedł wymiarowi sprawiedliwości oraz wyszło na jaw niepojęte ubóstwo szajki. Interpol bardzo liczył na zagarnięcie całego jej mienia, co by ucięło od razu największy łeb hydrze, tymczasem majątek diabli wzięli. Co gorsza, hydra rozrasta się na nowo w innych miejscach, gdzieś powstają jakieś nowe meliny i wszystko wskazuje na to, że zabawa potrwa do sądnego dnia. Sobie tylko wiadomymi drogami policja wywęszyła, iż wspomniany majątek został gdzieś ukryty i zabezpieczony, ale nikt nie wie gdzie. Z drugiej znów strony wiadomo, że w łonie policji ktoś współpracuje z gangiem, jakieś osoby udzielają informacji i ostrzeżeń, ale nikt nie wie, kto to jest. W dodatku daje się jeszcze zauważyć jakieś tajemnicze zamieszanie w organizacji rozrywek w Afryce Północnej. Wygląda na to, że nastąpiła tam jakaś zmiana, coś się dzieje, nie sposób rozgryźć co, a co najśmieszniejsze, policja ma wrażenie, że części świata straciły ze sobą kontakt. Afryka oderwała się od Europy i gang ma z nią zmartwienia. Policji jest to wprawdzie szalenie na rękę, ale wolałaby zrozumieć w czym rzecz.

Czekano na mnie bardzo niecierpliwie w przekonaniu, że niektóre sprawy potrafię wyjaśnić, zwłaszcza potrafię wskazać i zdemaskować rozmaite osoby, umówiono się ze mną na rozmowy w Paryżu tak przez polską, jak i przez duńską ambasadę, ja zaś zniknęłam z horyzontu. Oczywiście poszukiwania trwają. Jeśli opuściłam Francję, to z pewnością przez któryś fragment granicy, właśnie się to sprawdza, wiadomo już, że kupiłam beżowego jaguara, ale mogłam wszak jaguara zostawić byle gdzie i oddalić się czymkolwiek innym. Na domiar złego nie jest powiedziane, że pod własnym nazwiskiem. Może więc moja ukochana przyjaciółka mogłaby wysunąć jakieś przypuszczenia.

Alicja pomyślała głęboko i wysunęła przypuszczenia.

- Ona pojechała do Polski - powiedziała stanowczo. - Z jej depechy i z tego, co pan mówi, rozumiem, że ją wszyscy gonią i że nie jest pewna życia. Wiem także, może to dziwne, ale każdy ma swoje hobby, że ona wierzy wyłącznie w polską milicję. Jestem pewna, że pojechała do Polski.

Ewentualność wykorzystania przeze mnie ojczyzny jako ostatecznego azylu nie zdziwiła pana Jensena zbyt. Znow się nieco pozastanawiał, oświadczył, że sprawdzi, i poprosił o natychmiastowe zawiadomienie go, gdyby przyszedł ode mnie jakiś list.

List istotnie przyszedł. Był pisany kawałkami, prawie jak pamiętnik, i Alicja dostała go po dwóch tygodniach od owej rozmowy. Przeczytała epistołę trzykrotnie i okropnie się zdenerwowała. Siedem razy dzwoniła do pana Jensena, którego nie było, zdenerwowała się jeszcze bardziej i wreszcie doczekała się jego wizyty znów późnym wieczorem.

Pan Jensen wydawał się zakłopotany.

- Znaleźliśmy pani przyjaciółkę - powiedział dziwnie smutny. - Był u niej wysłannik Interpolu z Paryża. Niestety, pani przyjaciółka nie chciała z nim rozmawiać, nie wpuściła go do domu i nawet w towarzystwie tej polskiej milicji potraktowała go trochę nieuprzejmie. Nie wiemy, co o tym sądzić.

Po nauczeniu się na pamięć mojego listu Alicja wiedziała, co o tym sądzić.

- Byłam pewna, że do tego człowieka nie można mieć zaufania i od lat jej to mówiłam! - wykrzyknęła z irytacją: - Panowie muszą się pospieszyć! Nie życzę sobie, żeby moja przyjaciółka zginęła!

Pan Jensen nie miał nic przeciwko pośpiechowi, nie był natomiast zorientowany, o jakim człowieku Alicja mówi. Przetłumaczyła mu więc większą część korespondencji, traktującą o moich pomyłkach w ocenie umundurowanych osobników, o obecności w Polsce Madelaine, o faktach i podejrzeniach dotyczących Diabła i o mojej narastającej nieufności. Treść listu zgadzała się z informacjami, posiadanymi przez pana Jensena. Słuchając, kiwał ze zrozumieniem głową.

Wysłuchał następnie krytycznych uwag Alicji, pomedytował parę minut, po czym oświadczył, że wszystko się zgadza. Tak podejrzewał. Po okropnych przeżyciach załęgła się we mnie uzasadniona nieufność i tę nieufność trzeba będzie teraz wykorzenić. On sam wcale mi się nie dziwi, przeciwnie, byłby zaskoczony, gdybym na te tematy rozmawiała z byle kim, bardzo pochwała moją dotychczasową wstrzeźliwość, ale doprawdy chciałby teraz jakoś się ze mną dogadać. Wydawało mu się, że to będzie dość proste, ale zmienił zdanie od chwili, kiedy powiadomiono go, że paryskiego pracownika Interpolu usiłowałam zepchnąć ze schodów, publicznie określając go mianem "łysego knur". Może więc moja przyjaciółka zna jakieś sposoby upewnienia mnie, iż ten ktoś, kto zostanie do mnie wysłany, zasługuje na moje zaufanie.

Łysego knura Alicja była zmuszona znaleźć w słowniku, bo nie знаła tych duńskich słów. Poprosiła pana Jensena, żeby chwilę zaczekał, i zadzwoniła do Warszawy.

- Kto to był ten łysy knur? - spytała z zainteresowaniem na samym początku rozmowy, kiedy już przekonaliśmy się wzajemnie, że to my, a nie podstawione falsyfikaty.

Po drugiej stronie linii usłyszała coś jakby wściekły warkot.

- Następny tępy bandzior - zazgrzytałam. - Mały, z wielkim łbem, łysy! Różowy na pysku, ten łeb mu się świecił, z uszu mu kłaki wyrastały! I blondyn! Mam dość blondynów!!!

- Dlaczego go zrzuciłaś ze schodów? - spytała, pozostawiając na uboczu kwestię, skąd wiedziałam, że blondyn, skoro łysy.

- A co, miałam go może powitać z orkiestrą?! Nie zleciał, niestety! Złapał go jakiś kretyn, który szedł za nim!

- Ale to był pracownik Interpolu!

Po mojej stronie rozległ się szyderczy śmiech.

- W duchy wierzysz! Podszył się, tak jak wszyscy! Laźł za mną zaraz potem, jak mnie chcieli wykończyć w Palmirach! A chała!!!...

List, wysłany stosownie wcześniej, nie zawierał ostatnich wiadomości. Alicja zażądała szczegółów. Dowiedziała się, że dybano na moje życie, że uniknęłam śmierci przez roztargnienie, że gonił mnie wąsaty bęcwał z wielkim, różowym łbem, że podstępnie zwabiono mnie do gmachu Komendy Głównej, gdzie ówże bęcwał wkradł się w zaufanie niektórych funkcjonariuszy MO, że zelżyłam go rozmaitymi słowami, z których przetłumaczono mu tylko część, że z kolei podstępnie uciekłam i siedzę zabarykadowana w domu. Nikomu nie wierzę i nie dam się naciąć.

- No dobrze - powiedziała, nie wdając się na razie w ocenę moich poglądów. - Inspektora Jensena znasz?

- Znam, a bo co?

- Jemu wierzysz?

- Nie.

- Zwariowałaś?

- Nie. Mnie tam nie ma. Krowa na łące się nie zmienia, inspektor Jensen mógł.

- Ale ja tu jestem. Mnie wierzysz?

- Tobie tak - odparłam bez wahania.

- No więc ja ci mówię...

- Głupia jesteś - przerwałam jej. - Co z tego, że ci wierzę? Skąd mam wiedzieć, że to ty?

Alicję na chwilę zatkało.

- Przecież ze mną rozmawiasz! - wykrzyknęła ze zgrozą.

- No to co? Czy ja cię widzę? Głos można zmienić. A może trzymają ci przy łbie nabity pistolet? Ty ich nie znasz, ale ja ci mówię: oni są zdolni do wszystkiego!

Alicja uznała, że sprawa jest poważniejsza, niż się wydawało. Pomyślała przez chwilę.

- Dobrze - powiedziała stanowczo. - Obiecuję ci, że tu sprawdzę. Z facetem, który się na mnie powoła, możesz rozmawiać. Zgadzasz się?

- Jeszcze mi musi udowodnić, że przychodzi od ciebie - odparłam z zaciętym uporem.

- W porządku, udowodni...

Odłożyła słuchawkę i popadła w zamyślenie. Pan Jensen czekał cierpliwie. Tak jego stanowisko, jak i rodzaj pracy były jej doskonale znane, ale swoje obietnice miała zwyczaj wypełniać dokładnie. Z właściwą sobie bystrością pojęła przyczyny i skutki obsesji, która najwyraźniej w świecie opętała mój umysł. Myślała krótko, ale treściwie.

Uzgodniła z panem Jensenem, że osobnik, który będzie ze mną rozmawiał, zostanie do niej doprowadzony nazajutrz, pozwoli się oglądać przynajmniej przez jeden dzień, następnie zaś ona przekaże mu bezpośrednio sposób na mnie. Pan Jensen poszedł sobie, po czym obydwójce rozpoczęli ożywioną działalność.

Pan Jensen odbył kilka rozmów telefonicznych, posłużył się krótkofalówką, wysłał i otrzymał kilka depech, pojeździł dość szybko samochodem, odwiedził lotnisko i nazajutrz po południu zaprezentował wysłannika. Alicja ze swej strony poświęciła oczami przed kilkoma osobami, którym już od wieków była winna wizytę i które skandalicznie zaniedbywała, również odbyła kilka rozmów telefonicznych, dotarła tak wysoko, że wyżej został jej już tylko król, i zadowolona z rezultatów obejrzała przedstawionego jej pana. Pan wyglądał sympatycznie i uderzająco inteligentnie, nie był blondynem, nie był łysy i nie miał wielkiego, różowego łba. Obejrzała jego dowód tożsamości i kazała mu poczekać do jutra.

Czas do jutra spędziła nie mniej pracowicie, jej rachunki telefoniczne za zagraniczne rozmowy znacznie wzrosły i wreszcie jej sumienie uspokoiło się. Zażądała

rozmowy z sympatycznym panem w cztery oczy.

- Zanim pan zacznie z nią rozmawiać, musi pan powiedzieć słowa: mięsko na gorąco - oświadczyła stanowczo. - Nie wiem, czy pan potrafi...

Rozmawiała z nim po francusku, ale tajne hasło podała po polsku. Zaległy się w niej obawy, że cudzoziemiec coś przekręci.

- Różne hasła w życiu słyszałem, ale to jest z pewnością najdziwniejsze - powiedział pan po polsku z błyskiem rozbawienia w oczach. - Dzięki czemu jest łatwe do zapamiętania - dodał i skłonił się jej z galanterią.

- Czemu pan od razu nie mówi, że pan mówi po polsku! - wykrzyknęła z wyrzutem. - Kiedy pan tam jedzie?

- Ja tam cały czas jestem - odparł pan. - Od tygodnia siedzę w Warszawie. Przyjechałem tylko po to, żeby się zobaczyć z panią.

- I już pan z nią rozmawiał?

- Nie, byłem zajęty czymś innym...

Zawahał się, spojrział na Alicję, na twarzy ukazał mu się wyraz niesmaku, potem jakby żalu, potem westchnął i dodał:

- Ta cała historia jest naprawdę bardzo przykra dla pani przyjaciółki...

Następnie wsiadł w samolot, poleciał do Paryża, porozmawiał jeszcze trochę, tym razem już z własnej inicjatywy, wsiadł w inny samolot i wystartował w kierunku na wschód...

Stan umysłu i ducha, jaki zaprezentowałam Alicji w rozmowie telefonicznej, był wynikiem wydarzeń, zachodzących w szalonym tempie. Incydenty z łysym knurem rozpoczęły się natychmiast po moim powrocie z Palmir. Do Bielan ostrzasałam się jeszcze ze zgrozy i zdumienia, od Bielan zaś zaczęłam stopniowo wpadać w szal. Upór w utrudnianiu mi życia, nadmiar podstępów, łgarstw i oszustw doprowadził mnie do stanu, w którym chęć mordu wybiła się na pierwszy plan.

Łsny knur, dokładnie taki, jak go opisałam przez telefon, wyskoczył z samochodu, w którym czekał przed moim domem, i leciał za mną po schodach, natrętnie domagając się rozmowy. Jedyne dźwięki, jakie byłam zdolna z siebie wydawać, to zgrzyt zębów i wściekły bulgot. Za łysym knurem leciał jakiś facet i rzeczywiście złapał go w objęcia, kiedy ze zdławionym okrzykiem: "Won, merde!" odepchnęłam go od siebie na drugim piętrze. Wypowiedź była wprawdzie niegramatyczna, ale za to zrozumiała dla osobnika,

który zwracał się do mnie per "mademoiselle". Na trzecim piętrze zatrzymałam się i wydałam jeszcze kilka okrzyków podobnej treści, po czym wpadłam do mieszkania i zatrzęsnęłam drzwiami.

W godzinę później byłam zmuszona je otworzyć, ponieważ dwóch przedstawicieli MO przyszło w mundurach. Przynieśli mi wezwanie do pułkownika na piśmie. Sama myśl o pułkowniku napędzała mnie bezgranicznym rozgoryczeniem, wypadłam więc z domu, przedstawiciele MO ledwo mogli za mną nadążyć, pojechałam do Komendy w celu wygłoszenia kilku wyrzutów pod jego adresem, na samym wstępie natknęłam się na owego łysego knura, zaniedbałam pułkownika i zrobiłam potworną awanturę w holu na parterze. W kilku różnych językach odmówiłam wszelkich rozmów, postawiłam pod dużym znakiem zapytania przytomność umysłu naszej własnej milicji, naraziłam się na oskarżenie o obrazę władzy, zmieszałam z błotem wąsatego jełopa z łbem jak zwyrodniałe jajo, wyładowałam nieco furię i przycichłam. Zanim ktokolwiek z obecnych na przedstawieniu zdążył otrząsnąć się z osłupienia, oświadczyłam godnie, że muszę iść do toalety i pod tym pozorem podstępnie uciekłam.

Zacięta, rozgoryczona, zdecydowana przeciwstawić się im za wszelką cenę już chociażby na złość, wypchana podejrzliwością po dziurki od nosa, okreśną drogą wróciłam do domu. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy, wypadając w szale, zamknęłam drzwi. Włączyłam w jaguarze urządzenie alarmowe, wyjęłam ze skrytki nóż sprężynowy i na palcach weszłam na schody. Jeśli zostawiłam drzwi otwarte, to mogli się na mnie zacząć wewnątrz.

Dotarłam na górę bez przeszkód, bezszelestnie włożyłam klucz w zamek, przekręciłam go tak, jakbym od urodzenia uprawiała zawód włamywacza, cichutko, delikatnie nacisnęłam klamkę i otwierając drzwi schowałam się za futrynę.

Nic się nie działo. Przykucnęłam i zajrzałam do przedpokoju, wtykając głowę na wysokości kolan. Nie zauważyłam nic podejrzanego, wobec czego podniosłam się i weszłam do mieszkania już w normalny sposób. Na wszelki wypadek zamknęłam drzwi również bezszelestnie, zamierzając najpierw obejrzeć dokładnie cały apartament, a dopiero potem pozwolić sobie na hałasy. Dotarłam do progu pokoju i zatrzymałam się.

Diabeł pakował swoją największą walizkę.

Długą chwilę stałam, przyglądając mu się w milczeniu, zanim wreszcie odwrócił się po coś i jego oczy padły na mnie. Ten niepojęcie opanowany człowiek drgnął,

znieruchomiał i przez moment wyglądał tak, jakby zobaczył upiora. Nie zdziwiło mnie to, byłam pewna, że w Palmirach czekała zasadzka i że on o niej wiedział. Rzeczywiście, doszłam do stanu, w którym nie dziwiło mnie już nic.

- Widzę, że się istotnie nareszcie wyprowadzasz? - powiedziałam z uprzejmym zainteresowaniem.

- Przecież tak sobie życzyłaś - odparł spokojnie, odzyskując panowanie nad sobą.

- Wzrusza mnie ta skwapliwość w spełnianiu moich życzeń - oświadczyłam.

Zgodnie z planem obejrzałam mieszkanie, zajrzałam do pokoju dzieci, zajrzałam do szafy, stwierdziłam, że poza nami nie ma nikogo i zamknęłam drzwi na łańcuch.

- Pozwolisz, że część rzeczy jeszcze zostawię - powiedział Diabeł chłodno. - Trudno mi wszystko zabrać od razu. Zgłoszę się po nie za kilka dni.

- Rób, jak chcesz, bylebyś stąd poszedł - odparłam obojętnie.

Było mi wszystko jedno, co zrobi z rzeczami, ostatecznie rzeczy nie gryzą. Czekałam w napięciu, żeby wreszcie oddał swój klucz i zszedł mi z oczu. Jego obecność wywoływała we mnie wzburzenie nie do opisania, odczuwałam ją jak wieczną groźbę, jak śmiertelne niebezpieczeństwo, wiszące nad głową. Nie byłam mu już do niczego potrzebna, przeciwnie, byłam wręcz szkodliwa. Jego wplątanie się w aferę przez związek z Madelaine sprawiało, że usunięcie mnie z tego padoku leżało już teraz w jego interesach. O nim też za dużo mogłam powiedzieć. Zrozumiałam nagle bardzo dokładnie, jak czułabym się w towarzystwie szefa, gdybym w przypiływie zaćmienia umysłowego zdradziła tajemnicę.

Straszliwa, nieubłagana bezwzględność tych wszystkich ludzi, z nim włącznie, przeraziła mnie. Nalałam sobie herbaty, usiadłam w kącie na fotelu, nóż sprężynowy położyłam pod ręką i postanowiłam ratować życie. Przesadziłam z ryzykanctwem. Rola przynęty okazała się zbyt niebezpieczna i chyba do niej nie dorosłam.

- Zostawcie w spokoju te Rodopy - powiedziałam znienacka. - Zełgałam.

Gdybym z ogłuszającym grzmotem zionęła z pyska piekielnym ogniem, nie wstrząsnęłabym nim bardziej. Nigdy w życiu nie widziałam go w takim stanie. Poderwał się znad zamykanej walizki i stał, patrząc na mnie wzrokiem pełnym zdumionej zgrozy, zaskoczenia, nienawiści, z twarzą niepojęcie pobladłą. Nie rozumiałam, co się stało. Mógł, oczywiście, być zaskoczony, ale dlaczego do tego stopnia?!

- Robisz ze mnie idiotę? - spytał nieswoim głosem.

Ruszył w moim kierunku i nagle doznałam wrażenia że mnie za chwilę udusi. Z metalicznym szczękiem nóż sprężynowy sam mi się otworzył. Diabeł wrósł w podłogę.

- Nie podejdziesz do mnie - powiedziałam, nie zważając na sens tego, co mówię, i czując, jak czerwona mgła zasłania mi oczy. - Radzę ci, trzymaj się z daleka. Sam wiesz, że ci radzę dobrze.

W tym momencie zadzwonił telefon. Nie ruszył się ani on, ani ja. Telefon dzwonił jak wściekły i Diabeł opanował się pierwszy.

- Wariatka - powiedział, wzruszając ramionami. Odwrócił się i podniósł słuchawkę.

- Do ciebie - oświadczył po chwili.

- Cha, cha - odparłam drwiąco, zdecydowana nie ruszyć się z bezpiecznej forticy, jaką stanowił fotel w kącie i nóż.

- Przestań się zachowywać jak kretyńka. Pułkownik Jedlina do ciebie. Wzruszyłam ramionami.

- Powiedz mu, że nie podejść nawet, gdyby dzwonił Duch Święty.

Z szyderczą wzgardą słuchałam, jak Diabeł przekonywał rozmówcę, iż brak kontaktu ze mną wywołany jest wyłącznie moim nedorzecznym uporem. Rozmówca nie ustępował.

- Mówi, że chce się tylko przekonać, że żyjesz - powiedział z irytacją, znów wyciągając ku mnie słuchawkę.

Straciłam do nich cierpliwość.

- Odczep się!!! - wrzasnęłam okropnie. - Nie jego interes, czy żyję!!! Niech się wypcha!!!

- Trudno... - powiedział Diabeł do słuchawki. - A, słyszał pan? Proszę bardzo, do widzenia.

Nie patrząc na mnie wrócił do zamykania walizki. Przez chwilę panowało milczenie.

- Co to za dowcipy z tymi Ropodami? - spytał, dociągając paski i nadal omijając mnie wzrokiem. - Kłamiesz, oczywiście.

- Kłamię - przyświadczyłam.

Teraz wreszcie spojrzał.

- Kłamiesz - powtórzył. - Teraz kłamiesz. Chcesz znów wprowadzić jakieś

zamieszanie, nie rozumiem dlaczego.

- Żeby ci unaocznąć, jak przyjemnie jest żyć w niepewności. Uprawiałaś tę politykę od lat. Poczuj ją teraz na sobie.

- Postanowiłaś się na mnie mścić?

Pozwoliłam sobie zademonstrować niewinne zdziwienie.

- A cóż to ma wspólnego z zemstą? Jeśli zełgałam o Rodopach, to przecież ja wychodzę na wariatkę, a nie ty. Co to ma do rzeczy?

Nie odpowiedział, przyglądając mi się z namysłem. Widoczne w nim było jakieś rozpaczliwe napięcie. Udało mi się przyprawić go o rozterkę.

- Chcesz powiedzieć, że teraz mówisz prawdę? A przedtem zełgałaś? To nie było to, co on powiedział?

- A co, myślałaś, że zwariowałam zupełnie? Jasne, że to nie było to. O tyle nie zełgałam, że on istotnie wymienił liczby, dotyczące odległości i że bez tej mapy nikt tam nie trafi. Resztę wymyśliłam na poczekaniu. Rodopy, jak dla mnie, możecie sobie przeszukać kamień po kamieniu, znajdziecie pewno kozie łajno.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał cicho i pomyślałam sobie, że chyba nigdy w życiu nie był taki wściekły.

- Dobrze wiesz dlaczego - odparłam zimno. - Zasadniczym błędem twojego życia było przekonanie o moim trwałym zidioceniu.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- To nie rozum. Nie ma przepisu, że wszystko trzeba rozumieć.

Siedziałam skulona w fotelu, z otwartym nożem sprężynowym w garści i zastanawiałam się, czy całą resztę życia będę zmuszona spędzić w tej pozycji. Poruszony do głębi Diabeł najwyraźniej w świecie rozmyślał tylko o tym, jak ze mnie wydrzeć prawdę. Z pewnością posłużyłby się pistoletem, gdyby nie to, że stracił go wraz ze zmianą miejsca pracy. Nóż w moich rękach zniechęcał do bezpośrednich kontaktów.

O siódmej wieczorem zaniechał wreszcie wysiłków, zostawił walizkę i bez słowa wyjaśnienia opuścił mieszkanie. Zlazłam z fotela, założyłam za nim łańcuch i poprzysięgłam sobie nie wpuścić go na powrót.

O ósmej zadzwonił telefon. Zawahałam się, uznałam, że w zabójstwo przez telefon nie wierzę i podniosłam słuchawkę.

- Dwadzieścia cztery osiemnaście - powiedział pułkownik zirytowanym głosem. -

Rany boskie, co pani wyprawia?

- Dziękuję panu za opiekę - odparłam zjadliwie. - Normalny człowiek już by pewno nie żył. Więcej się narwać nie dam.

- Nic nie rozumiem, o czym pani mówi?! Niechże pani przestanie z tą swoją manią prześladowczą! Niech pani zaraz do mnie przyjeżdża, tu jest facet z Interpolu.

- Kto, znów ten łysy knur?

Pułkownik jakby się zawahał.

- No, jeśli pani koniecznie chce go tak nazywać... Miała pani być o siódmej. Czekamy na panią od godziny!

- W Palmirach też pan na mnie czekał? - spytałam złowieszczo.

- W jakich Palmirach?

- Na cmentarzu. Nawet dobre miejsce. Po jakiego diabła kazał mi pan jechać do Palmir? Za co pan mnie ma, za kretynkę? Teraz jest wieczór, ale ja poczekam. Do jutra rana nikt tu nie wejdzie, a jutro, może pan być dziwnie spokojny, zrobię piekło na całe miasto. Zawiadomię pańskich kolegów i zwierzchników, zawiadomię kontrwywiad, straż pożarną i prasę. Już mi nikt po cichu łba nie ukręci, jeśli zginę, to z dużym hukiem!

Pułkownik się okropnie zdenerwował.

- Czy pani oszalała? Kto ma pani łeb ukręcić?! Zaraz, spokojnie - zreflektował się nagle. - Co jest z tymi Palmirami?! O co chodzi?

- Chyba pan to wie najlepiej - powiedziałam jadowniczo.

- W porządku. Założmy, że wiem, ale chcę to usłyszeć od pani. Cholernie lubię słuchać o tym, co sam zrobiłem. Proszę, jak to było?

- Dosyć zwyczajnie. Zadzwoiła pańska sekretarka, oświadczyła, że pan będzie mówił, i rzeczywiście! Kazał mi pan za godzinę przyjechać do Palmir, bo tam łapiecie faceta i kończycie aferę.

- Powiedziałem hasło?

- Nie, i teraz rozumiem, dlaczego. Zamierza się pan wyprzeć tego telefonu.

- Zamierzam, słowo honoru - przyświadczył pułkownik. - Niech pani tam siedzi.

Zadzwoię za parę minut.

Przez te parę minut, które przeciągnęły się do pół godziny, utwierdziłam się w przekonaniu, że telefoniczną drogą nie zrobią mi żadnej krzywdy. Nic mi nie grozi, przez telefon możemy rozmawiać do upojenia.

- Chciałbym wiedzieć, co pani zdążyła zrobić w tym krótkim czasie pomiędzy wizytą u mnie a dzisiejszym porankiem - powiedział pułkownik, wyraźnie wściekły. - Był do pani taki telefon, ale ani to nie była moja sekretarka, ani ja. I jakim sposobem pani jeszcze żyje?

- Wyłącznie dlatego, że zabrakło mi benzyny - wyjaśniłam z ociekającą jadem satysfakcją. - Oraz dlatego, że mam dobry węch. Trzeba było użyć czego innego, a nie tego samego draństwa co w Kopenhadze. A umrzeć miałam, ponieważ uwierzyliście w Rodopy.

- W jakie Rodopy, do pioruna?! Co panią napadło z tymi Rodopami?!

W zniecierpliwionym tonie pułkownika było coś, co kazało mi się zastanowić i zrewidować poglądy. Jeśli przyjmę ostatecznie, że on sam również należy do szajki, że cała nasza milicja jest przekupiona, a Komenda Główna stała się siedzibą gangu po tej stronie granicy, to już nawet wyłożona materacami cela w Tworkach nie będzie dla mnie bezpiecznym schronieniem. Trzeba zmienić założenia, w końcu istnieje możliwość, że to pułkownik jest oszukiwany.

Opisałam wczorajszą wieczorną rozmowę i poranne wydarzenia. Wyjaśniłam, że rola przynęty jednak mi niezbyt odpowiada i że znów zmieniłam zeznania. Po czym dodałam:

- Ostatecznie mogę uwierzyć, że to nie pan nastaje na moje życie. Ale sam pan widzi, że pana kantują. Ta łysa małpa też jest podstawiona, ja to czuję. Nie ruszę się stąd, nie nie powiem i róbcie, co chcecie.

Pułkownik nie nalegał. Wyraził zgodę na mój dobrowolny areszt. Bardzo późnym wieczorem zadzwoniła Alicja. Doszłam do wniosku, że już i ją włączono w akcję przeciwko mnie, ale nie przejęłam się tym, bo byłam zdania, że Alicja się nie da. Jedyna osoba, która nie uwierzy w nic i nikogo, dopóki sama nie sprawdzi dokładnie i nie uzyska granitowej pewności.

Diabeł nie wrócił na noc. Miałam spokój i mogłam siedzieć w fortecy parę dni.

O poranku obudziło mnie szarpanie za łańcuch, wyszłam do przedpokoju i odmówiłam mu wstępu do domu. Zagroził mi przyprowadzeniem milicji, co natychmiast zaaprobowałam, po czym, po długich targach, podałam mu przez szparę w drzwiach przyrząd do golenia. Znów zszedł mi z oczu.

Zastanawiałam się, co właściwie mam teraz zrobić. On miał klucze. Bałam się, że

wejdzie w czasie mojej nieobecności i przygotuje następną zasadzkę. Kończyły mi się papierosy i herbata. Nie miałam lekarstwa na uspokojenie. Na wyniki działalności pułkownika czekałam w niepewności i rozterce. Nie widziałam żadnego wyjścia z idiotycznej sytuacji i ogólnie biorąc byłam bliższa obłądu niż kiedykolwiek w życiu.

Papierosy i artykuły spożywcze przywiozła mi nazajutrz zdenerwowana do nieprzytomności Janka, którą zawezwałam na pomoc przez telefon.

- Tutaj siedzi jakiś łobuz - powiedziała. - Przyglądał mi się.

- Gdzie siedzi?

- Piętro wyżej, w twojej pralni. Wystawił łeb i patrzył na mnie, jak tu stałam pod drzwiami. Słuchaj, ja tak nie mogę, ja jestem nerwowa, nic z tego nie rozumiem i w ogóle skończ te okropności.

- Bardzo chętnie, ale nie wiem jak.

- Ja się będę bała stąd wyjść!

- To nie wychodź. Ja też się boję.

- Kiedy muszę!...

W rezultacie przyjechał po nią jej mąż, którego nie wpuściłam do mieszkania. Nie wpuściłam także inkasenta z elektrowni, który bez oporu zgodził się wpisać podany przeze mnie stan liczników stojąc za drzwiami, mojej sprzątaczkę, i jakiegoś faceta, który podawał się za pracownika telefonów i z uporem domagał się wejścia. Jedenaście razy odmówiłam opuszczenia mieszkania na telefoniczne nalegania różnych osób, przy czym dwukrotnie na moje pytanie o hasło, po drugiej stronie zaległa cisza. Wreszcie, trzeciego dnia, pojawił się Diabeł.

- Życzyłbym sobie odzyskać walizkę - powiedział zimno.

- Trzeba było ją zabrać od razu - odparłam z gniewem.

- Ale nie zabrałem i może będziesz uprzejma oddać mi ją teraz.

- Mogę ci ją opuścić na sznurku przez balkon.

- I zrobić przedstawienie na całą ulicę? Przestań się wygłupiać. Mogę nie wchodzić, podaj mi ją tędy.

- Tędy nie przejdzie.

- Przejdzie, nie jest gruba. Możesz przynajmniej spróbować, nie?

W niepojętym przypiływie bezmyślności dałam się naciąć. Poszłam do pokoju po walizkę, zostawiając otwarte drzwi. Nie trwało to nawet pięciu sekund, ale kiedy

wróciłam, wlokąc ją z wysiłkiem, nie Diabeł był w drzwiach. Jakiś obcy facet usiłował przeciąć łańcuch nożycami do cięcia stali, trzymając równocześnie nogę tak, że zatrzaśnięcie drzwi było niemożliwe.

Walizka sama wypadła mi z rąk. Jedyne narzędzie, jakie było w pobliżu to jedna z potwornie ciężkich rzeczy, których moje dzieci używały do ćwiczeń gimnastycznych. O ile wiem, nazywa się to ciężarka, leżało na ławie w przedpokoju tuż przy drzwiach.

Chwyciłam to bez namysłu i z całej siły rąbnęłam w dostępną mi część faceta. Nadcięty łańcuch pękł, a ciężarek zleciał mu na nogę. Wrzasnął okropnie, odruchowo wyrwał nogę spomiędzy drzwi, kopnięciem wyrzuciłam za nim nożyce i zatrzasnęłam zamek. Przytomnie odsunęłam nieco zasuwę, zostawiając ją w pozycji, która blokowała coś w środku i uniemożliwiała otwarcie kluczem od zewnątrz. Słyszałam przez chwilę bezskuteczne grzebanie w zamku. Usiadłam na ławie i ochłonęłam.

Diabeł wspiął się na szczyty bezczelności. Po paru minutach zadzwonił z automatu, pomijając wydarzenie całkowitym milczeniem i domagając się walizki. Miałam ochotę zrzucić mu ją na głowę, ale powstrzymałam się w obawie, że jej zniszczenie da mu pretekst do dalszych pretensji. Będzie mógł jawnie wystąpić przeciwko mnie i ewentualni świadkowie wyrzucania walizki z trzeciego piętra staną po jego stronie. Znalazłam kłęb sznura, przywiązałam do rączki i bez szczególnego trudu opuściłam z balkonu, nie wdając się w dalsze konwersacje.

Zerwany łańcuch złączyłam na powrót grubym drutem, znalezionym wśród różnych śmieci. Nie było to dostateczne zabezpieczenie, podjęłam więc dodatkowe środki ostrożności. Wyszukałam w kredensie tłuczek do mięsa na bardzo długim trzonku i przygotowałam sobie kawał gazy, wypchanej kłębem waty, do obwiązania twarzy. Przyszło mi na myśl, że nakłoniwszy mnie znów jakimś podstępem do otwarcia drzwi, mogliby mnie zamrozić przez szparę owym środkiem nasennym. Miałam niejasne wrażenie, że przez kłęb waty ów środek będzie wolniej przenikał.

W trakcie opuszczania walizki przez balkon rozejrzałam się po okolicy i ujrzałam, że naprzeciwko mojego domu, na nieco zaniedbanym trawniczku, stoi rozbabrana syrena. Jakiś facet leżał pod nią i coś reperował. Drugi facet siedział obok na trawie i z męczeńskim wyrazem twarzy podawał mu narzędzia. Moje produkcje artystyczne oderwały ich od pracy. Obaj z żywym zainteresowaniem przyjrzeni się transportowi walizki, obejrzeni Diabła na dole i mnie na górze, po czym wrócili do swoich zajęć.

Gdybym miała granat, to pewnie bym w nich rzuciła. Zaopatrzona w różną broń zaczepną i odporną poczułam się nieco pewniej, a przy tym trzy dni, idiotycznie spędzone w domowym areszcie na bezczynnym oczekiwaniu, doprowadziły mnie do ostatecznych granic szaleństwa. Nadchodziła chwila, kiedy zawartość mojego wnętrza musiała się jakoś wyładować. Prawie z ulgą powitałam następny telefon.

- Dwadzieścia cztery osiemnaście - powiedział jakiś facet. - Proszę pani, pułkownik koniecznie prosi, żeby pani przysłała. Przyjechał nowy gość z Interpolu. Pułkownik kazał powiedzieć, że prawdziwy. Teraz są na mieście, ale za godzinę będą na panią czekali w Grandzie.

- Chwała - odparłam niezyczliwie.

- Proszę?

- Chwała. Mogą czekać do sądowego dnia. Mówiłam, że stąd nie wyjdę!

Po dziesięciu minutach znów zadzwonił.

- Dwadzieścia cztery osiemnaście, pułkownik mówi, że może przyjadą do pani?...

- Jak chcą rozmawiać na schodach, to proszę bardzo. Do domu nikogo nie wpuszczę.

- No to niech pani przyjedzie. Dostanie pani eskortę.

- Wypchajcie się eskortą...

W stanie skrajnego zniecierpliwienia czekałam na wiadomość od Alicji. Byłam zdecydowana nie wierzyć nikomu, dopóki nie uzyskam dowodu, że ten ktoś przybywa od niej. Furia kotłowała się we mnie jak lawa w czynnym wulkanie.

Po pół godziny ktoś zadzwonił do drzwi. Wzięłam do ręki tłuczek do mięsa, zdecydowana trzasnąć go nim przez szparę na pierwszy podejrzany gest i obwiązałam sobie twarz gazą z kłębem waty. Brak konkretnego znaku od Alicji utwierdzał mnie w przekonaniu, że gang zdobywa się na nadludzkie wysiłki, aby zwabić mnie w pułapkę. Być może uważają, że nadchodzi ostatnia chwila i idą już na całego.

Za drzwiami stał obcy mi facet.

- Czego? - spytałam niewyraźnie, bo kłęb waty dość porządnie mnie zagłuszał.

- Od pułkownika Jedliny - powiedział, patrząc na mnie dziwnie. - Dwadzieścia cztery osiemnaście. Mam pani towarzyszyć.

- Niech pan sobie znajdzie inne towarzystwo. Jak tu stanie na schodach pułk wojska w pełnym umundurowaniu, to może wyjdę, inaczej nie. I to jeszcze musi być z

nimi Cyrankiewicz, bo tylko jego na pewno znam z twarzy. Jazda w Rodopy! Cześć!

Zamknęłam drzwi, zanim zdążył odpowiedzieć. Po paru minutach znów zaczęły się targi przez telefon. Domagano się ode mnie wyboru jednej z dwóch możliwości. Albo pułkownik przyjedzie do mnie, albo ja do pułkownika. Wizytę u siebie z miejsca wykluczyłam. Ten nieszczęsny, oszukiwany człowiek nie zabierze przecież ze sobą całego swojego personelu, przyjedzie z jednym albo dwoma bandziorami, nie będzie niczego podejrzewał, wykończą i jego, i mnie. Z dwojga złego lepiej już jechać do niego, ale przecież nie do Grandu!.

Wreszcie odezwał się sam pułkownik.

- Wszystko rozumiem, ale przecież to nie może trwać wiecznie - powiedział ugodowo. - Podobno nie chce pani nas wpuścić do siebie. Nie chce pani przyjechać do tego Grandu. To co, u diabła, pani proponuje?

- Siłą też się wywlec nie dam - uzupełniłam. - Jest pan pewien, że on jest prawdziwy?

- Obaj są prawdziwi!

Straciłam cierpliwość. Dosyć tego.

- Mogę zaryzykować przyjazd, ale tylko do Komendy i to po uprzednim telefonie do pana. Już się raz pod pana podszyli. Teraz sama zadzwonię. Zakładam, że książka telefoniczna nie została sfalszowana przed dwoma laty w przewidywaniu obecnych wydarzeń i numer już mam. Ale zawiadamiam pana, że każdego faceta, który spróbuje się do mnie zbliżyć na ulicy, leję w łeb bez uprzedzenia. Żeby potem nie było pretensji.

- Dobra, niech pani leje. Za piętnaście minut jestem w Komendzie, niech pani dzwoni i przyjeżdża. Ale już bez żartów, sprawa zrobiła się pilna!

Przeczekałam piętnaście minut i zadzwoniłam do Komendy. Centrala połączyła mnie bez oporów. Po kilku sygnałach odezwał się nieco zdyszany głos pułkownika.

- Ja się zatchnę przez panią, biegiem leciałem po schodach! Ma pani w projekcie jeszcze jakieś ćwiczenia gimnastyczne dla mnie?

- Nie wiem. Spróbuję przyjechać.

- Pod pani domem jest dwóch moich ludzi. Ich niech pani nie leje. Zresztą mają polecenie służbowe nie zbliżać się zanadto. Czekam.

Było już ciemno. Na klatce schodowej paliło się światło. Z nożem sprężynowym w jednej ręce, a tłuczkiem do mięsa w drugiej ostrożnie opuściłam mieszkanie, pierwszy raz

po trzech dniach niewoli. Zamknięcie drzwi w pełnym uzbrojeniu było nieco kłopotliwe, ale jakoś mi się udało. Zeszłam na dół. Zaczęłam się zastanawiać, jakim sposobem wyłączę urządzenie alarmowe bez wypuszczania z rąk noża i tłuczka, bo na domiar złego przeszkadzała mi przewieszona przez rękę torebka.

Przełożyłam broń do lewej ręki, prawą sięgnęłam pod tylny błotnik i oczywiście dotknęłam kluczykiem karoserii. Na krótką chwilę wybuchło przenikliwe wycie, sama się nim przeraziłam, pomacałam już bez ostrożności i wyłączyłam. Wycie umilkło. Rozejrzałam się dookoła. Po drugiej stronie ulicy przyglądali mi się z nadzwyczajnym zainteresowaniem dwaj faceci, słabo widoczni w świetle latarni obok zreperowanej już syreny. Spojrzałam na nich na wszelki wypadek wrogo, wsiadłam, położyłam sobie tłuczek w poprzek na kolanach i ruszyłam.

W trzy sekundy potem ruszyła za mną syrena. Wzruszyłam ramionami do siebie i docisnęłam lekko gaz, patrząc w lusterko i oczekując gwałtownego wzrostu odległości pomiędzy mną a nimi. Nic takiego nie nastąpiło, niezrozumiałym sposobem syrena trzymała się za mną.

Nie pojmując zjawiska sprawdziłam ręczny hamulec, czy przypadkiem nie jest zaciągnięty. Znowu spojrzałam w lusterko i nagle kątem oka dostrzegłam, że tuż przede mną coś runęło na jezdnię.

Nie było siły, przejechałam to coś. Samochód lekko podskoczył.

Myśl, że to człowiek, sprawiła, że zrobiłam się nieprzytomna. Nigdy w życiu nie przejechałam człowieka! Przejechałam kiedyś kurę i już wtedy zdenerwowałam się okropnie. Teraz przestałam działać na rozum, wszystkie czynności stały się odruchowe!

Wyhamowałam na pięciu metrach, zatrzymując się w poślizgu na skos pośrodku idącej pod górę jezdni. Zostawiłam na pierwszym biegu, nie wiedząc nawet, kiedy zdążyłam go wrzucić. Wyszarpnęłam kluczyki ze stacyjki, wypadłam z samochodu, łapiąc w locie staczający mi się z kolan tłuczek do mięsa i runęłam w kierunku przejechanego czegoś. Potknęłam się i padając na kolana jeszcze wyróżnęłam to tłuczkiem!

Gdyby to istotnie był człowiek, to chyba bym się potem zabiła! Ale to nie był człowiek. To był kłęb szmat, w środku którego tkwiła starannie owinięta deska. W świetle latarni dało się to stwierdzić od pierwszego rzutu oka.

Poczułam, jak mi się robi słabo i w ogóle jakoś dziwnie niedobrze. Nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca i klęczałam bez sił nad upiornym przedmiotem. Obok mnie

pojawił się nagle jakiś facet, chwycił mnie pod rękę i zaczął ciągnąć do góry.

- Prędezej! - syknął mi w ucho.

Przez moment dałam się wlec w kierunku jaguara, jeszcze ciągle bezwładna, ogłuszona, bez mała w stanie szoku. Nagle dotarło do mojej świadomości to, co widzę. Za kierownicą jaguara ktoś siedział. Facet, wlokący mnie pod ramię, zaczął mi wydobywać kluczyki z zaciśniętych palców. Z zatrzymanej przed kłębem szmat syreny wyskakiwali tamci dwaj.

Nieznośna, otepiająca słabość minęła mi nagle jak ręką odjął i zmieniła się w wybuch szaleństwa. Jednym ruchem wyrwałam mu ramię.

- Won, świniou!!! - wrzasnęłam okropnym głosem i z całej siły trzasnęłam go tłuczkiem.

Facet wykonał unik, ale w coś go trafiłam, aż jęknęło. Nie wiedziałam w co i nie interesowałam się tym. Jak rozszalała harpia ruszyłam w stronę tego za kierownicą. Trafiony nie zrezygnował z kontaktów i złapał mnie z tyłu za kołnierz od żakietu. Kołnierz został mu w ręku, bo w tym momencie byłam zdolna rozszarpywać na strzępy pancerne blachy stalowe, a nie tylko zwyczajne tekstylia. Z rozmachem łupnęłam tłuczkiem tego w samochodzie, ale on właśnie skulony wypadł na zewnątrz i trafiłam w siedzenie. Jęknęło jeszcze lepiej. Dwaj faceci z syreny włączyli się do akcji, jeden zaczął się szarpać z trafionym, a drugi usiłował przeszkodzić mi wsiąść.

- Won!!! - wrzasnęłam ponownie i zamierzyłam się na niego tłuczkiem. Zniknął mi z oczu błyskawicznie. Nie zważając, czy nie mam czegoś pod kołami, z czynnym wulkanem w duszy, z rykiem silnika, wyprysnęłam pod górę.

Za sobą widziałam w lusterku zamieszanie, które się nagle uspokoiło i już po chwili wystartowała za mną syrena. Dostałam szału. Na klaksonie, na długich światłach, wypadłam na ulicę Puławską jak czterech jeźdźców Apokalipsy razem wziętych.

Z przeraźliwym piskiem opon zahamowałam na podjeździe przed Komendą Główną. Z budynku wyskoczyło kilku zaniepokojonych ludzi w mundurach. Tuż za mną wpadła na podjazd przeklęta syrena. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, z pianą na ustach, przepełniona niezaspokojoną żądzą mordy, z tłuczkiem do mięsa wzniesionym nad głową, wypadłam z jaguara i runęłam w kierunku upiornego pojazdu.

- Won!!! - wrzeszczałam dziko, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Nie wiem, co by było, i nie wiem, jakich zniszczeń dokonałabym niewinnym

narzędziem kuchennym, gdyby nie to, że, zanim jej dopadłam, syrena dmuchnęła na tylnym biegu na powrót na ulicę. Przez moment jeszcze pchało mnie, żeby ją gonić jaguarem, zapewne też na tylnym biegu, ale w tym celu musiałam wrócić do samochodu. Po drodze ujrzałam, że otacza mnie coś jakby kordon milicji i zwolniłam kroku. Opuściłam w dół rękę z bronią, jeszcze nie będąc w stanie nic normalnego powiedzieć.

- Pani do pułkownika, prawda? - spytał bardzo łagodnie jeden z milicjantów.

Spojrzałam na niego podejrzliwie i kiwnęłam głową.

- Przepraszam bardzo - powiedział drugi z nieśmiałym zdziwieniem. - Dlaczego wyrzuciła pani stąd nasz samochód?

Odzyskałam głos.

- Jaki wasz samochód?

- Tę syrenę... Oni teraz boją się wjechać...

- Nie życzę sobie żadnych halucynacji!!! - zawarczałam z wściekłością, oglądając się w kierunku wjazdu, czy przypadkiem nie ma tam złośliwego widma. Nie było.

Wyjęłam torebkę, zamknęłam jaguara i ruszyłam do pułkownika, poprzedzana przez jednego z milicjantów. Wyglądałam prześlicznie, rozczochrana, z urwanym kołnierzem, z rozszarpanym nie wiadomo kiedy rękawem, z podartą na kolanie pończochą, z tłuczkiem do mięsa w ręku i z błyskiem szaleństwa w oku.

Razem z pułkownikiem siedział w gabinecie jakiś facet, którego twarz wydała mi się znajoma. Wrosłam w ziemię na progu, zrezygnowałam z uprzejmości, wychowania i jakichkolwiek form towarzyskich.

- Tego łobuza znam - powiedziałam z zimną nienawiścią, oskarżycielsko wskazując go tłuczkiem. - Pan uważa, że kto to jest?

Obaj spojrzeli na mnie wzrokiem pełnym zdumienia. Zapewne odjęło im mowę, bo pułkownik bez słowa skierował pytające spojrzenie na mojego towarzysza.

- Melduję, że nic nie rozumiem - powiedział ten ostatni pospiesznie. - Zdaje się, że obywatelka pobiła naszych ludzi. Porucznik już idzie.

Usunęłam się na bok, wpuszczając następnego faceta. Miał rozciętą wargę i wycierał sobie krew chusteczką, ale pomimo tego uszkodzenia jego wyraz twarzy wydawał mi się dziwnie rozweselony.

- Co się dzieje? - spytał pułkownik. - Co to znaczy?

- Kuchenne narzędzie w rękach kobiety jest straszliwą bronią - powiedział

poszkodowany i złożył mi uprzejmy ukłon. - Mógł pan nas nie wysyłać, pułkowniku, niepotrzebnie zmarnowaliśmy dzień. Pani tą wajchą rozpędziłaby cały batalion. Słowo honoru, że się wystraszyłem jak nigdy w życiu, kiedy wystartowała pani do nas tu, na parkingu.

- Prosiłem, żeby pani naszych nie lała! - powiedział pułkownik z wyrzutem i oczy zaczęły mu wesoło błyskać. - Mówcie jakoś wyraźniej i po kolei. Dlaczego pani tak wygląda?

- Była próba zatrzymania. Dwóch ludzi rzuciło na jezdnię przeszkodę. Usiłowali wepchnąć potem panią do samochodu i odjechać, sami prowadząc. Co z kluczykami? - zwrócił się nagle do mnie.

- Chciał mi wydłubać z ręki - odparłam mściwie. - A chała!

- Właśnie, tak mi się wydawało. Było dość ciemno. Jechaliśmy tuż za panią i wyskoczyliśmy na pomoc, ale zanim zdążyliśmy dobiec, pani ich już rozgoniła. Nie udało się pani ich pozabijać tylko dlatego, że na nasz widok uciekli. Chciałem pani pomóc wsiąść i zobaczyć, czy się pani nic nie stało, ale zamierzyła się pani na mnie tym drągiem, więc dałem spokój. Zrezygnowaliśmy z zatrzymania ich, nie było czasu, musieliśmy panią gonić. Nie wiem, czy pani wie, że o mało nas pani nie wpakowała pod tramwaj.

- Co pani na to? - spytał pułkownik z westchnieniem.

Nieufnie przyglądałam się opowiadającemu.

- On bredzi - powiedziałam stanowczo. - To wariat. Gonił mnie syreną. A przedtem przeszkadzał mi wsiąść. Wypraszam sobie te głupie złudzenia optyczne. Ile mieliście tych syren po drodze? Co pięć metrów jedna?

- Powiedzieć...? - spytał niepewnie porucznik, patrząc pytająco na pułkownika.

Pułkownik kiwnął głową.

- Mówcie. Inaczej nam się dziewczyna nie uspokoi. Trzeba jej wytłumaczyć...

- Ta syrena ma wmontowany silnik jaguara - powiedział porucznik, wzdychając. - To jest tajemnica, nie wolno pani o tym nikomu mówić. Sprzęgło, skrzynię biegów i jeszcze parę innych rzeczy. Właściwie z syreny ma tylko karoserię.

- A zawieszenie? - spytałam mimo woli z zainteresowaniem.

- Z volkswagena.

- I nie rozlatuje się?

- Nie, jakoś się trzyma. Dobrze zespawana...

- No dobra, skończcie to szkolenie - przerwał pułkownik. - Co pani dać, kawy, herbaty, wody?

- Sama się napiję prosto z kranu. Widzi pan? Słusznie wolałam siedzieć w domu. Niech się panu nie wydaje, że ja już tak zaraz we wszystko uwierzę. Ten tutaj to kto pańskim zdaniem?

- Moim zdaniem to jest mój współpracownik od... majorze, od ilu lat?

- Czternaście - powiedział major z miłym uśmiechem i w tym momencie przypomniałam sobie, skąd go znam. Uczestniczył w konferencji, którą odbywałam w tym samym gmachu trzy lata temu i nawet udzielił mi bezcennych rad w kwestii działalności przemytniczej.

- O, przepraszam pana - powiedziałam z odrobiną skruchy i wreszcie zdecydowałam się usiąść. - No dobrze, mogę się napić zimnej wody i gorącej kawy. Ale wszyscy mają pić to samo.

- Niech nam pani chociaż wodę daruje! - poprosił pułkownik i nagle poczułam w atmosferze wyraźną, zdecydowaną zmianę na lepsze. Świat jakby nieco znormalniał. Jeszcze nie chciałam w to uwierzyć.

Mściwie, z gniewem, ale wciąż ostrożnie i z pewnymi oporami opowiedziałam wydarzenia ostatnich trzech dni. Wyjawiłam udział Diabła. Coś się stało, coś się zmieniło we mnie, nagle przestał to być człowiek, którego kiedykolwiek uważałam za kogoś bliskiego. Innymi oczami spojrzałam na nasze wzajemne stosunki na przestrzeni ostatnich lat. Moje wszystkie, najgorsze podejrzenia były słuszne, oszukiwał mnie już dawno, a teraz oszukał mnie ostatecznie w sposób bezwzględny, brutalny, cyniczny, oszukał mnie w chwili, kiedy widziałam w nim swoją ostatnią podpórę, ostatnią deskę ratunku, kiedy wróciłam do niego jak do jedyne go bezpiecznego azylu. Usiłował wykorzystać moją głupią ufność i nagle pojęłam, że już od dawna ten człowiek był moim zdeteminowanym wrogiem.

Zrelacjonowałam fakty, zacytowałam słowa i powstrzymałam się od komentarzy. Pułkownik słuchał w milczeniu, zamyślony, już bez wesołości w oczach, a potem spojrzał na porucznika.

- Volkswagen wjechał na podwórze o szesnastej zero osiem - mruknął porucznik. - W środku dwóch ludzi. Do chwili pani wyjścia jeszcze nie wyjechali.

Pułkownik wykonał jakiś gest brodą i porucznika wymiotło z pokoju.

Sekretarka, która nie wiem skąd tam się wzięła o tej porze, przyniosła kawę dla wszystkich i wodę dla mnie. Wodę wypiliśmy, a filiżankę z kawą demonstracyjnie wymieniliśmy z majorem, zaczekawszy uprzednio, aż wsypał do niej cukier i zamieszał. Prawie odjęłam mu od ust. Nieufność tkwiła we mnie zakorzeniona i rozrosła.

Na biurku pułkownika zadzwoniło. Przycisnęła jakiś guzik.

- Przyjechali - rzekło biurko przytłumionym głosem.

- Niech wejdą - powiedział pułkownik, po czym zwrócił się do mnie. - To są przedstawiciele Interpolu. Ręczę pani za nich. Może pani już z nimi rozmawiać, czy też będzie pani usiłowała zrobić im jakąś krzywdę?

- Nie wiem - powiedziałam ponuro. - Zobaczę.

Dwóch panów weszło do pokoju. Znałam obu. Jednym był rozpromieniony, jaśniejący różowym blaskiem łysy knur, drugim zaś facet, który nalewał mi benzyny pod drogowskazem do Palmir!

Nie czyniłam żadnych gwałtownych gestów. Powoli podniosłam się z krzesła i podeszłam do fotela, stojącego w kącie pod ścianą. Życzyłam sobie mieć zabezpieczone tyły. Przysiadłam na poręczy. W lewej ręce ze szczękiem otworzył mi się nóż sprężynowy, prawą trzymałam tłuczek do mięsa.

- Mogę zamienić kilka słów - powiedziałam zimno do pułkownika. - Ale wyjdę stąd tylko pod eskortą uzbrojonej milicji. Ten łysy wyłazi mi już czubkiem głowy, a na tego drugiego nadziałam się pod Palmirami. Benzyny mi nalewał. I pan chce, żebym im uwierzyła?! Fakt życia do tej pory zawdzięczam milczeniu. Pomilczę sobie dalej.

- Na litość boską! - wykrzyknął pułkownik i otarł pot z czoła. Spojrzał na tamtych z rozpaczą i przeszedł na język francuski. - Panowie, ja nie mam wpływu. Pani miała przeżycia, które tłumaczą ten dziwny stan, ale ja nie widzę wyjścia. Może lekarza, neurologa...

- Chwileczkę, może ja znajdę wyjście - powiedział cicho pan spod Palmir po polsku.

Uśmiechnął się, spojrzał na mnie i nagle pod wpływem tego spojrzenia uświadomiłam sobie wyraziście swój wygląd. Przeżycia przeżyciami, niebezpieczeństwo niebezpieczeństwem, dramat osobisty dramatem osobistym, ale życie ma swoje niewzruszone prawa. Są podobno takie kobiety, w których obecności mężczyźni gwałtownie zaczynają się czuć mężczyznami i z całą pewnością są mężczyźni, przy

których kobieta czuje się przede wszystkim kobietą. Nie ma mocnych na różnicę płci!

Odczułam palącą potrzebę przejrzenia się w lustrze i absolutna niemożność zaspokojenia tej potrzeby okropnie pogorszyła mi humor i tak już nie najlepszy. Zdeterminowana, rozgoryczona, wściekła, zbuntowana przeciwko światu, przyglądałam mu się ponuro i czekałam, co wymyśli.

- Jest chyba na świecie ktoś, komu pani może wierzyć, prawda? - spytał spokojnie i życzliwie.

- Ze dwie sztuki by się znalazły - odparłam drwiąco. - Ściśle biorąc dokładnie dwie sztuki. Ciekawe, od kogo z nich ma pan rekomendacje.

Pan patrzył na mnie z uwagą.

- Mięsko na gorąco - powiedział powoli. - I nie wchodzi się dwa razy do tej samej wody...

Długą, nieskończenie długą chwilę panowało milczenie. Nie wierzyłam własnym uszom. Z wolna, z trudem, poprzez grubą skorupę koszmaru docierała do mnie treść jego słów. Poczułam, jak mi nagle mięknie w środku jakiś okropnie wielki, twardy kamień, jak opada ze mnie całe to straszliwe napięcie, w którym trwałam tyle czasu, jak mi napływają do oczu łzy bezgranicznej ulgi i jak ze wzruszenia zaczyna mi brakować tchu. Tłuczek do mięsa i nóż sprężynowy wyleciały mi z rąk. Złapałam powietrze, zachłysnęłam się nim, padłam na gors temu cudownemu człowiekowi i rozplakałam się rzewnymi łzami.

Pan cierpliwie trzymał mnie w objęciach, ja zaś szlochałam mu w kamizelkę, ściskając go kurczowo za klapy marynarki i równocześnie myśląc z rozpaczą, że teraz już chyba będę musiała siedzieć na twarzy. Do niczego innego moja rozmazana gęba nie będzie się nadawać!

- Jakim cudem - powiedziałam, siąkając nosem w jego chusteczkę i nie kryjąc szczęścia. - Jakim cudem pan do nich dotarł?!

- Pani przyjaciela znam od dawna i tak się składa, że to jest także i mój przyjaciel. A pani przyjaciółkę widziałem kilka dni temu w Kopenhadze. O ile wiem, sprawdziła moją tożsamość z przerażającą dokładnością.

Uśmiechał się z sympatią, przyjaźnie i patrząc na mnie, taktownie nie okazywał wstrętu. Łysy knur przyglądał nam się życzliwie i z zainteresowaniem, chociaż widać było, że nic nie rozumie. Pułkownik i major nie kryli żywego zaciekawienia. Świat zmienił swoje posępne oblicze i rozbłysnął wszystkimi kolorami tęczy!

Z trudem oderwałam się od najwspanialszego mężczyzny wszechczasów.

- Lustro! - zażądałam z jękiem. - Przecież macie chyba jakieś lustro w tej Komendzie!...

- Sam nie wiem, od czego zacząć - powiedział w kwadrans potem łysy knur, z zakłopotaniem przyglądając jasne włoski dookoła różowego łba. - Może niech pani po prostu opowie dokładnie wszystkie wydarzenia od chwili, kiedy zniknęła nam pani z oczu w Kopenhadze.

Szampański humor, który zakwitł we mnie znienacka, sprawił, że wszystkie minione, okropne przeżycia zamieniły się w radosne rozrywki. Taśma małego magnetofonu sunęła bezszelestnie. Od czasu do czasu panowie przerywali mi pytaniami, domagając się precyzowania szczegółów technicznych. Sterownię w brazylijskiej rezydencji musiałam narysować razem z mapą świetlną. Lata studiów znów mi się przydały.

- A tak naprawdę to umie pani pływać czy nie? - zainteresował się pułkownik.

- A skąd! Ale lubię wodę i niech pan sobie wyobrazi, że pod koniec nauczyłam się z tym jachtem nawet nieźle obchodzić!

- Coś o tym wiemy - powiedział łysy knur i radośnie mrugnął jednym okiem. Atmosfera beztróskiego szczęścia udzieliła się wszystkim. Najcudowniejszy mężczyzna świata roześmiał się nagle.

- To, co panią goniło u wybrzeży Hiszpanii, to były nasze ścigacze - wyjaśnił. - My też mieliśmy swoje wiadomości, tyle że nieco spóźnione. Czekali na panią, ale potem nie byli już tacy pewni, czy to pani, czy też może jakiś przemytniczy statek. Płynęła pani bez światła...

Na moment mnie zatkało, kiedy uprzytomniłam sobie, jak bliska byłam strzelania do nich nie tylko z karabinów maszynowych, ale nawet z armaty. Wyznałam to, wywołując wybuch wesołości. Po czym opowiadałam dalej.

Dokładny opis lochu w Chaumont i metoda, jaką wybrałam, aby wyjść na wolność, sprawiły, że na wszystkich twarzach pojawiło się coś w rodzaju osłupienia. Udzieliłam wiadomości o sposobie otwarcia sejfu i o dziwacznie ponumerowanej mapie. Moi słuchacze byli coraz bardziej poruszeni, łysy lśnił jaskrawą purpurą.

- Chaumont! - zawołał nerwowo. - Chaumont! Wynajęte pięć lat temu prywatnej osobie! Nic na to nie wskazywało, żadne nici tam nie wiodły!... Nikt z nas nie

przypuszczał!

Pospiesznie wyciągnął z płaskiej teczki wielką kopertę i wysypał na stół mnóstwo rozmaitych zdjęć. Z pierwszego spojrziała na mnie niemowlęce niewinna twarzyczka rozczochranego, na drugim był nie znany mi budynek wśród palm, na trzecim nobliwie wyglądający pan o siwych skroniach, ten sam, który po niemiecku wyraził wątpliwość, czy można mnie wziąć za Madelaine... Na którymś z następnych, w pełnym blasku słońca, kołysał się na falach piękny jacht "Stella di Mare". Popatrzyłam na niego dłużej i ze zgrozą poczułam, jak w moim lekkomyślnym sercu zaczyna się budzić tęsknota za szumem rozcinanej dziobem wody, za bezgraniczną przestrzenią nieba i oceanu, za łagodnym kołysaniem długiej, atlantyckiej fali... Rany boskie, jeszcze mi było za mało!???

- Nie ma szefa - powiedziałam z dezaprobatą, przejrzawszy wszystko i odłożywszy na bok znajomych.

Oprócz szefa brakowało też pięknej, męskiej twarzy o oczach jak refleks na skałach w Grotta Azzura. Doznałam niejakiej ulgi i pominęłam to milczeniem. Nie miałam do niego najmniejszej pretensji, w końcu to nie jego wina, że ubzdurzyłam sobie blondyna w charakterze mężczyzny życia. Lepiej niech go sobie łapią beze mnie.

Panowie rzucili się na odłożone podobizny jak sępy na żer. Zdumiona byłam ogromem ich dotychczasowych wątpliwości. Nie przypuszczałam, że tak rozgałęziona szajka umiała się do tego stopnia konspirować! Talenty organizacyjne szefa przechodziły ludzkie pojęcie.

- I dopiero teraz pani to wszystko mówi! - wykrzyknął łysy ze zgrozą. - Dlaczego nie chciała pani z nami rozmawiać w Paryżu?!

- Musiałam szybko uciec, bo śledzili mnie pod duńską ambasadą - wyjaśniłam.

- Pod duńską ambasadą? - zastanowił się łysy. - A tak, tam był nasz pracownik, widział panią. Widział, jak pani wchodziła, miał pani fotografię.

- A?... - zdziwiłam się uprzejmie i poniechałam tematowi.

Wyciągnęłam kalendarzyk Domu Książki. Przekazałam im wszystkie zapisane jeszcze w Brazylii nazwiska, adresy i pseudonimy. Zgodnie z przewidywaniami uszczęśliwiłam ich niebotycznie. Łysy świecił własnym światłem, oko pana spod Palmir błyskało przejęciem, pułkownik nie krył ulgi.

- Myślę, że teraz szybko z tym skończycie? - powiedział z zainteresowaniem.

- W ciągu tygodnia - powiedział pan spod Palmir. - Wszystko wskazuje na to, że

oni istotnie nie byli zorientowani, co pani wie. Jeśli teraz uderzenie pójdzie we wszystkich kierunkach naraz... Ważne jest to, że nie odzyskają swoich pieniędzy. Domyślaliśmy się, że zostały jakoś ukryte, ale mieliśmy obawy, że zdołają do nich dotrzeć. Są w bardzo trudnej sytuacji.

Łysy pieczołowicie zbierał zdjęcia, taśmy i dokumenty, upewniając się, czy wszystko powiedziałam i czy nic więcej nie wiem. Przed wyjawieniem ostatniej informacji powstrzymał mnie gestem.

- Nie - powiedział. - To w tej chwili nieważne. Skarb niech spoczywa w spokoju. O dane, dotyczące kryjówki, poprosimy panią dopiero na końcu, po likwidacji gangu. Mamy jeszcze jeden problem, ale widzę, że i pani również nic o tym nie wie. Cała Afryka Północna jest dla nas niedostępna, boimy się trochę, że stamtąd wszystko zacznie się na nowo. Może uda nam się do tego nie dopuścić.

- No, u nas jest koniec - powiedział z ulgą major. - Reszta należy do panów, życzę powodzenia.

Spojrzałam na niego i straciłam nieco na humorze.

- Wszystko pięknie - oświadczyłam, zwracając się do pułkownika. - Ale mnie się też coś należy. Lubię jasne sytuacje. Tak prywatnie chciałabym się dowiedzieć, co z Madelaine?

Pan spod Palmir spojrzał nagle na mnie bystro.

- Madelaine?...

- Ta dama interesuje panią z przyczyn osobistych... - zaczął pułkownik z lekkim zakłopotaniem.

- Wiem - przerwał pan spod Palmir.

Na moment zapanowało milczenie. Co wiedział? Skąd? Patrzyli na siebie wzajemnie i u wszystkich widać było wahanie. Westchnęłam ciężko.

- Niech się pan nie przejmuj - pocieszyłam pułkownika. - Mnie już nic nie zaskoczy. Nie po raz pierwszy w życiu ktoś mnie puszcza w jerychońską trąbę dla innej osoby płci żeńskiej. Tyle że tym razem to tak jakoś nieładnie wyszło i chciałabym już wszystko wyjaśnić.

Panowie wahali się nadal.

- Myślę, że już wkrótce będę mógł pani służyć informacjami na ten temat - powiedział wreszcie pan spod Palmir z namysłem. - Kwestia kilku dni. Uprzejmie proszę

wybaczyć pierwszeństwo Interpolu.

- Dobrze. A pan co? - spytałam pułkownika nieustępliwie.

Westchnął jeszcze ciężiej niż ja i przycisnął guzik.

- Wrócił Kazio? - spytał biurka.

- Wrócił przed chwilą. Czeka - odparło biurko nieco ochryple.

- Niech wejdzie.

Wszedł porucznik, któremu udało się uniknąć kontaktu z moim tłuczkiem. Spojrzał na mnie, a potem na pułkownika.

- Mówcie, mówcie - mruknął pułkownik niechętnie. - Ja już jestem w tym wieku, że mam prawo się czasem pomylić.

- Wszystko się zgadza - powiedział porucznik, robiący wrażenie nieco zmęczonego.

- Stwierdzono liczne kontakty z tą samą kobietą, platynowa blondynka, ciemne oczy, młoda, przystojna. Jeździ szarym oplem recordem numer rejestracyjny zapisany, francuski. Widywana od paru miesięcy, ale parę miesięcy temu jeszcze się nią nikt nie interesował. To znaczy nikt z nas. Mieszka w Bristolu w czwartek o godzinie zero szesnaście centrala łączyła rozmowę miejscową w języku niemieckim z pani telefonu... Co pani, u diabła, wtedy robiła?

- Pewnie siedziałam w wannie - odparłam. - Jak się woda leje, to nic nie słyhać.

- Aha. Powiadomiono ją, że pani się złamała i dane są zapisane. Rano, w piątek, o szóstej czterdzieści dwa krótkie spotkania, rozmowa w volkswagenie. O dziewiątej opel pojechał do Palmir, wrócił około pierwszej. Następne spotkanie tego samego dnia o dziewiętnastej trzydzieści trzy. Uczestniczył w nim obywatel francuski, zamieszkały w Grandzie, niejaki Gaston Lemiel, który w sobotę rano odleciał do Paryża. Ostatnie spotkanie było dzisiaj o drugiej dziesięć po południu. Mamy dwóch facetów, jeden opowiadał po pijanemu, że za udział w porwaniu kociaka dostał pięćset dolarów, drugi przyznaje, że był w Palmirach, bo chciał zażyć świeżego powietrza. Ja streszczam, może trzeba dokładniej?... Volkswagen wyjechał z bramy w dziesięć minut po naszym odjeździe i oddalił się w nieznanym kierunku. Już szukają.

- Jak dla mnie, to pan trochę za bardzo streścił - powiedziałam z niesmakiem. - Nic z tego nie rozumiem. Odnoszę wrażenie, że po prostu miałam rację, on z nią współdziałał, donosił jej wszystko i godził się na usunięcie mnie z tego świata. Oprócz tego wynajęli sobie naszych chuliganów do pomocy. Tak czy nie?

- Tak - powiedział pułkownik z determinacją. - Diabli nadali. Cholernie głupia historia. Mogę panią tylko przeprosić i pogratulować, że się pani dostatecznie wcześniej zorientowała.

Skrzywiłam się z jeszcze większym niesmakiem.

- Właściwie to ja się zorientowałam już trzy lata temu, że jest coś niedobrze, ale sama w siebie wmawiałam, że się mylę. Drobnostka. Mówi pan, że volkswagen wyjechał w dziesięć minut po nas? On miał klucz do mieszkania, a ja mam teraz w domu bombę zegarową albo truciznę w herbacie. Nie wiem, gdzie się podziać.

- Mam nadzieję, że pani przesadza, ale niech będzie. Sprawdzimy. Porucznik z panią pojedzie i poszuka tej bomby, a herbatę niech pani na wszelki wypadek kupi nową. A w ogóle będzie pani miała obstawę jeszcze przez jakiś czas, dopóki to się ostatecznie nie skończy. Niech pani nie używa tego tłuczka tak bez opamiętania...

Późną nocą opuściłam Komendę w licznym towarzystwie. Panowie z Interpolu wyszli równocześnie. Najchętniej przyczepiłabym się do tego spod Palmir jak pijawka, bo tylko jego obecność napępiała mnie otuchą i dawno nie zaznanym spokojem. Z drugiej znów strony mój czarowny wygląd kazał mi jak najprędzej zejść mu z oczu. Rozterkę zakończył on sam, umawiając się ze mną na spotkanie za kilka dni.

- Dużo o pani słyszałem - powiedział, uśmiechając się tajemniczo. - Zechce mi pani wybaczyć, ale myślałem, że została pani trochę przereklamowana. Okazuje się, że wręcz przeciwnie, raczej niedoceniona. Pozwoli pani sobie złożyć wyrazy uznania i podziwu.

Nie bardzo wiedziałam, co chce przez to powiedzieć, ale już mi było wszystko jedno. Sam fakt jego istnienia i perspektywa następnego spotkania pozwalały mi ufnie patrzeć w przyszłość. Porucznik, ziewając okropnie, przeprowadził u mnie dokładną rewizję, po czym przysiągł, że bomby nie ma. Pierwszy raz od nieskończonego wielu długich miesięcy poszłam spać jak zwyczajny obywatel PRL...

W cztery dni później zostałam telefonicznie powiadomiona, że moi znajomi siedzą pod kluczem, zamek w Chaumont został skonfiskowany i znów przeszedł na własność państwa, szef natomiast dał nogę i cieszy się nadal wolnością. Wątpliwe, czy uciecha jest pełna, władze bowiem następują mu na pięty i teraz on zastępuje mnie w roli ściganej zwierzyny. Na wszelki wypadek kategorycznie odmówiłam wyjazdu do Francji.

Diabeł znikł z horyzontu. Sprawdziłam, czego brakuje w domu, i w mojej duszy

zakwitła pewność, że go nigdy więcej na oczy nie zobaczę. Z uczuć, których doznawałam, na pierwszy plan wybijała się zaskakująca ulga.

Nazajutrz po telefonicznych informacjach pułkownik zaprosił mnie na rozmowę.

- Mam dla pani dwie wiadomości - powiedział i zamilkł.

Wyglądał jakoś nieswojo i chyba nie bardzo wiedział, jak zacząć.

- Niech pan wali najpierw tę gorszą - zaproponowałam. - Głowę daję, że jedna jest gorsza, a druga lepsza, zawsze tak bywa. Nie lubię, jak coś takiego wisi nade mną, na każdy egzamin zawsze wchodziłam pierwsza.

- Rzeczywiście, ma pani rację - westchnął dość ponuro. - Ta gorsza jest gorsza także i dla mnie. Człowiek ma niby jakieś doświadczenie, a zawsze go coś zaskoczy. Myślałam, że pani się ubzdryło, że ma pani tam jakieś takie... jak to kobiety. Ale okazuje się, że pani wiedziała lepiej.

- Co zrobił? - spytałam, nie mając wątpliwości, czego rzecz dotyczy.

- Wyjechał na Zachód. Odleciał wieczornym samolotem do Paryża tego samego dnia, kiedy tutaj rozmawialiśmy. Powiem pani szczerze, że tego pod uwagę nie brałam. Kazałam szukać samochodu i człowieka po całej Polsce. Samochód sprzedał już kilka dni wcześniej, tyle że jeździł nim do ostatniej chwili, na co nabywca się zgodził z uwagi na atrakcyjną cenę. A na punktach granicznych zaczęliśmy sprawdzać dopiero wczoraj. Paszport miał, zastrzeżenia w biurze paszportowym nie było... To przecież nie ma żadnego sensu.

- Wyjazd rozumiem - przerwałam, zdziwiona. - Ale atrakcyjna cena? To byłby pierwszy wypadek w jego karierze, że coś sprzedał tanio. Nie do wiary.

Pułkownik niecierpliwie wzruszył ramionami.

- A po co mu były pieniądze? Te parę tysięcy mniej czy więcej... - zatrzymał się, jakby się ugryzł w język, po czym ciągnął dalej: - Nie rozumiem, po co on to zrobił. Przecież mu tu nic nie groziło! Nie popełnił żadnego przestępstwa w pojęciu kodeksu, najwyżej można się było przyczepić o zdradzenie tajemnic służbowych, ale to też prędzej do mnie niż do niego. Występował jako prywatny człowiek. Pani nie zabił... Przepraszam.

- Drobnostka. Niech pan mu to wybaczy, starał się, jak mógł.

- Ewentualnie można by go oskarżyć o udział w zamachu na panią w Palmirach, ale po pierwsze do zamachu w rezultacie nie doszło, a po drugie, poza zeznaniami tych dwóch facetów, nie ma żadnego dowodu. Wybroniłby się, nawet łatwo. W ogóle to nie

nasza sprawa. Po jaką cholerę tam pojechał? No, inna rzecz, że pojechał legalnie, z paszportem, zawsze może wrócić.

- Pewno nie wróci - powiedziałam w zamyśleniu. - Może było coś, o czym pan nie wie. Widzi pan, ja go znam. Nie ma na świecie takiej kobiety, dla której on poświęciłby cokolwiek, nie mówiąc o życiu. On tam pojechał nie dla niej. Musiało coś być...

Pułkownik spojrzał na mnie dziwnie.

- A, wiem, co pan myśli. Że ja mam złudzenia i głupie nadzieje. Przyjemniej jest stracić faceta przez jakieś wielkie rzeczy, niż tak zwyczajnie, prosto, banalnie. Tak pan myśli, nie?

- No... Czy ja wiem... Niezupełnie. Widzi pani, ona wyjechała wcześniej. Nie mieliśmy podstaw, żeby ją zatrzymać, ale oni już ją tam mają. Jego z nią nie było, nie zetknęli się jakoś. Może pani ma rację...

Dziwaczna ostrożność i powściągliwość pułkownika była dla mnie niezrozumiała, ale w końcu nie miało to już teraz znaczenia.

- Wszystko jedno - powiedziałam. - Niech robi, co chce, nic mnie to nie obchodzi. A druga wiadomość?

- A rzeczywiście, lepsza. Mają tę mapę, o której pani mówiła, i dopadli tę pani sympatię.

- Szefa?

- No chyba szefa. Chodzą za nim po Bagdadzie, lada chwila go zamkną. A skoro pani nie chce jechać do Francji, to pytają, czy mogą liczyć na rozmowę z panią jutro około południa. To znaczy po prostu uprzejmie prosimy, żeby pani przyszła tu jutro o dwunastej.

- Panie pułkowniku, co pan tak? - spytałam z łagodnym zdziwieniem. - Kto tu właściwie powinien być zdenerwowany, pan czy ja? Przecież to ze mnie zrobiono dętego balona?...

- E, niech mi pani da spokój! - rozżościł się nie wiadomo dlaczego pułkownik. - Na idiotę w tym wszystkim wyszedłem! Niech pani przyjdzie jutro, a teraz nie mam czasu!

Kiedy nazajutrz podjechałam do Komendy, na parkingu ujrzałam czarny BMW 2000 i z tajemniczych przyczyn humor mi się od razu poprawił. Przed wejściem do pułkownika obejrzałam się w lustrze.

Pan spod Palmir zgiął się w ukłonie. Łysego knura nie było, widocznie przyjechał sam. Zademontrował mi dość duże zdjęcie.

- Ta mapa?

- Ta...

Ze wzruszeniem przyjrzałam się znajomej karcie, ponumerowanej bez sensu, z pominięciem powszechnie przyjętej kolejności. Ze wzruszeniem spojrzałam na pana. Na krótką chwilę pojawiło się obok niego widmo szefa, blade, zamazane, i już niegroźne...

- Zgadza się pani powiedzieć?

- Woli pan francuski tekst czy polskie tłumaczenie?

- Jeśli pani uprzejma, to dosłownie tak, jak on to mówił.

Zamknęłam oczy, zobaczyłam zadymiony pokój, głowę konającego człowieka opartą o moją siatkę i powiedziałam:

- Wszystko złożone sto czterdzieści osiem od siedem tysięcy dwieście dwa od be jak Bernard dwa i pół metra do centrum wejście zakryte wybuchem. Połączenie handlarz ryb Diego pa dri...

Otworzyłam oczy i dodałam:

- Od razu zawiadamiam pana, że nie mam pojęcia, co to jest pa dri. Do niczego mi nie pasuje. Możliwe, że nie skończył wyrazu.

- Że też pani tak to pamięta - mruknął przysłuchujący się ciekawie pułkownik.

Pan spod Palmir patrzył na mnie, nieco jakby wstrząśnięty.

- Co pani powiedziała? Połączenie handlarz ryb... Wielkie nieba!

Zdziwiłam się.

- A co? On to naprawdę powiedział, w ostatniej chwili. Myślałam, że może to jest jakiś pomocnik, imieniem Diego, który z nim razem nosił paczki w góry...

- Nic podobnego - powiedział pan spod Palmir, nie kryjąc radosnego poruszenia. - To jest niejaki Diego Padrillho, autentyczny handlarz, jedyny łącznik z ludźmi gangu w Afryce Północnej! To jest właśnie to, czego nam brakowało! Przepraszam państwa, ja muszę natychmiast zużytkować tę bezcenną wiadomość. Państwo wybaczą, za kwadrans wracam...

Obydwoje z pułkownikiem popatrzyliśmy za nim, a potem na siebie nawzajem. Pułkownik pokręcił głową.

- Szczerze pani wyznam - powiedział - że się bardzo dziwię, że pani żyje. Nie takie

wiadomości wpędzały ludzi do grobu. Przecież w rezultacie wykończyli ich tylko dzięki pani! Siedziała pani na beczce z prochem. Dopiero teraz rozumiem, skąd ta mania prześladowcza u pani, rzeczywiście, na ich miejscu sam bym panią zamordował!

- Dziękuję za uznanie - powiedziałam z umiarkowaną wdzięcznością.

Pułkownik nadal kręcił głową.

- Tak się zastanawiam, wie pani... W końcu człowiek ma trochę doświadczenia w tej pracy. Faktem jest, że przypadki grają większą rolę, niż się na ogół przypuszcza. Cały ten galimatias, którego pani narobiła...

- Proszę?!

- Co?... A, przepraszam. W który pani została wplątana. Cały ten galimatias, mówię, musiał być wynikiem jakiegoś przypadku, nieprzewidzianego dla żadnej ze stron. Skąd to się właściwie wzięło?

- Z mojej peruki - powiedziałam niepewnie.

- Nie. Myślałem nad tym. Przecież ten człowiek został zastrzelony. Czy oni to mieli w planach? Czy ten ich szef to jakiś wariat, maniak, szaleniec? Kazał sprzątnąć jedyne go faceta, który znał sposób odzyskania jego całej forsy? Jak to się stało?

Patrzyłam na pułkownika nieco bezmyślnie, zaskoczona. Przed oczami zobaczyłam nieprzytomną twarz i dziki wzrok człowieka, strzelającego w lampę w zadymionej melinie. Rzeczywiście. Jakoś głupio im to wyszło.

Rozważania na ten temat zajęły nam czas aż do powrotu pana spod Palmir, którego powitaliśmy pełnym zaciekawienia pytaniem. Pan spod Palmir machnął ręką.

- To był istotnie idiotyczny przypadek - zgodził się. - Strzelał zupełnie obcy facet, który z tym nie miał nic wspólnego. Hazardzista, narkoman, nieodpowiedzialny histeryk, który zgrał się tego wieczoru do zera. Policja go oczywiście zatrzymała, załamał się, płakał, mówił różne brednie, przysięgał, że jeszcze chwila, a byłby się odegrał. Działał w stanie szoku. To jest środowisko, w którym wszystko się może przytrafić.

- Coś podobnego! - powiedziałam, nieco wstrząśnięta.

- Niezależnie od tego szef także jest typem patologicznym - ciągnął dalej. - Talenty organizacyjne tego człowieka są imponujące, ale opiera je... przepraszam, opierał je na bazie jakiegoś nieodpowiedzialnego ryzykanctwa. Krótko mówiąc, trochę miał fioła i po licznych sukcesach uwierzył w swoją wszechwładzę i nieomylność. Zgroza mnie ogarnia na myśl, że mógł panią trzymać w tych podziemiach całe lata!

- Mnie też zgroza ogarnia - mruknęłam.

- Dlaczego pan mówi w czasie przeszłym? - spytał pułkownik.

- Mam nowe wiadomości. Zatrzymali go dziś o szóstej rano. Zastrzelił policjanta, więc istnieje pewność, że łatwo nie wyjdzie. Może jednak da się pani namówić na wycieczkę?

Pochylił się nad fotografią mapy i studiował ją, porównując z podanymi przeze mnie liczbami.

- Znam trochę te tereny. Trudno dostępne, trzeba będzie użyć helikopterów. To może być ciekawe, nie ma pani ochoty zobaczyć?

Moja zmaltretowana dusza widocznie już nieco odżyła, bo coś się w niej poruszyło.

- Czy ja wiem?... Może istotnie?... Może bym przy okazji wstąpiła do Kopenhagi i uwolniła Alicję od moich rzeczy? Powinnam przeprosić byłego zwierzchnika...

- Niech się pani namyśli - powiedział pułkownik zachęcająco. - Biuro paszportowe jest zawiadomione, może pani jechać w każdej chwili.

- Widzę, że koniecznie chce się pan mnie pozbyć - powiedziałam podejrzliwie. - Właściwie trudno się panu dziwić. No nie wiem, zastanowię się...

- Gorąco panią namawiam - powtórzył stanowczo pułkownik. - A teraz nie chcę być nieuprzejmy i nie chcę państwa wyrzucać, ale mam wrażenie, że pan ma do pani jeszcze jakieś interesy, więc...

Pan spod Palmir podniósł się nagle.

- Słusznie, nie będziemy zabierać panu czasu. Serdecznie dziękuję. Mam nadzieję, że zechce mi pani towarzyszyć?

Głupie pytanie. Jasne, że chciałam mu towarzyszyć. Patrzyłam w niego jak sroka w gnat i coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że w jego towarzystwie udam się bez protestów nie tylko w Pireneje szukać diamentów, ale też i na koniec świata, bez żadnego racjonalnego uzasadnienia. Od nieskończonych wieków nikt nie napelniał mnie takim poczuciem bezpieczeństwa i taką ufnością jak ten właściwie zupełnie mi obcy facet.

Bez namysłu przyjąłam zaproszenie do hotelu, w którym mieszkał. Wyraźnie było widoczne, że jeszcze nie wszystko zostało powiedziane, że zostało coś więcej, coś, co dotyczy już tylko mnie. W milczeniu przyglądałam się, jak przygotowywał mikroskopijny magnetofon z taśmą, wyglądającą jak spłaszczona nitka. Usiadł obok i spojrzał na mnie.

- Dużo o pani słyszałem - powiedział. - Już drugi raz to mówię. Wydaje mi się, że

znam panią dość dobrze i chyba się nie mylę, sądząc, że lubi pani prawdę?

- Lubię prawdę - odparłam i już wiedziałam, co będzie. - Pewnie nawet bardziej lubię prawdę, niż pan to sobie może wyobrazić. Lubię nawet najgorszą prawdę.

Pan kiwnął głową z namysłem i sięgnął po papierosa.

- Tak mi się właśnie wydawało, że powinna pani to usłyszeć. Może to brutalne i moja rola w tym jest na pewno niewdzięczna. Bardzo niewdzięczna. Z pewnych przyczyn wolałbym, żeby na moim miejscu był ktokolwiek inny, tylko że to akurat tak się składa, że właśnie ja panią znam i właśnie ja o pani słyszałem. Trudno, zdecydowałem się zaryzykować.

Jasność trwała w moim umyśle. Patrzyłam na szczupłą twarz faceta, twarz o nieregularnych rysach, o ciemnych, żywych oczach i pełnym wdzięku uśmiechu i ze zdumieniem myślałam sobie, że ten człowiek ma duszę. Duszę! Dziwny element, którego już dawno przestałam doszukiwać się w mężczyźnie...

- Chwileczkę - powiedziałam szybko. - Z jakich przyczyn?

Pan patrzył na mnie, ja patrzyłam na niego i już po chwili byłam pewna, że znam odpowiedź na swoje pytanie.

- W takim razie jestem gotowa zrezygnować z tej prawdy - oświadczyło z determinacją coś we mnie. Oświadczyło na głos i nie zdążyłam tego powstrzymać.

Błysk w oczach pana rozjaśnił mu całą twarz.

- W takim razie słusznie postanowiłem zaryzykować. Cieszę się, że jest pani właśnie taka.

Ściśle biorąc, to nie ja byłam taka, tylko to coś we mnie, ale nie wyprowadzałam go z błędu z nadzieją, że będę mu się wydawała właśnie taka jeszcze przez jakiś czas i nie zauważy tak od razu, że w rzeczywistości jestem znacznie gorsza. Im dłużej, tym lepiej.

- W takim razie słucham - powiedziałam stanowczo.

- Ten przyrząd - powiedział, wskazując magnetofon był zainstalowany w samochodzie Madelaine. Włączał się automatycznie w chwili otwarcia prawych drzwi przy równoczesnym nacisku na fotel kierowcy. Wychodziliśmy z założenia, że pasażer nie wsiada lewymi drzwiami, a samotny kierowca na ogół nie rozmawia. Nie mieliśmy żadnego kontaktu z panią i tą drogą usiłowaliśmy się czegoś dowiedzieć i zdobyć jakieś dowody. Oczywiście są tu nagrane tylko fragmenty. Madelaine przyjechała do Polski natychmiast po pani ucieczce jachtem i natychmiast nawiązała kontakty z pani...

przyjacielem.

- Nie jestem pewna, czy to właściwe słowo - zauważyłam nieco krytycznie.

- Ja też nie jestem pewien. Posługiwała się językiem niemieckim, w czasie pobytu tutaj nauczyła się nieco po polsku, a jej zadaniem było wyłapywanie wiadomości o pani. Jak pani sama dobrze wie, żadnych wiadomości nie było. Została odwołana po odnalezieniu pani we Francji, ale nie opuściła Polski od razu. Przedłużyła swój pobyt tutaj, narażając się nawet na wymówki szefa.

- Kim ona właściwie była - przerwałam. - Jego podrywka?

- Zapewne też. Ale przede wszystkim była jedyną kobietą w gangu załatwiająca sprawy, do których nie nadawał się mężczyzna. Przyjechała ponownie po pani ucieczce z Chaumont i już została do końca. Była pewna, że jej uroda będzie dostatecznym atutem, ale okazało się, że się myliła. Te taśmy dotyczą ostatniego okresu. Chce pani posłuchać?

- Chcę.

Zrobił coś przy małym magnetofoniku. Usłyszałam ciche prztyknięcie i natychmiast potem przytłumiony cichym warkotem głos:

- Co się stało?

Głos był kobiecy i mówił po niemiecku.

- Dostałem wiadomość...

To był głos Diabła. Też po niemiecku.

- Jaką wiadomość? Mów!

Chwila milczenia. Warkot stał się głośniejszy.

- Co dostanę?...

- ... przestań! Dostaniesz wszystko razem! Najpierw trzeba ją znaleźć!...

- Znalazła się. Co dostanę zaraz za wiadomość, gdzie jest?

Chwila milczenia.

- ... co chcesz?

Znów chwila milczenia.

- Dziesięć tysięcy. Jutro chcę mieć dowód wpłaty...

Przez moment nic nie można było zrozumieć, bo warkot głośzył słowa. Potem znów wyróżnił się głos Diabła.

- ... chcę zobaczyć te pieniądze...

- Dobrze. Jutro dostaniesz dowód. Jaki bank?

- Credit Lyonnais.

- Dobrze. Mów!

- Pojutrze rano... przez granicę w Kołbaskowie... beżowym jaguarem przez Berlin...

- To pewne? Skąd wiesz?

- Dzwoniła pół godziny temu z Nancy...

Warkot wzmógł się, głosy znów stały się niewyraźne. Z urywanych fragmentów można było wywnioskować, że omawiana jest kwestia dojazdu do Kołbaskowa. Wyglądało na to, że zdecydowali się pojechać jej samochodem.

W milczeniu przyglądałam się, jak pan spod Palmir zmieniał taśmę. Moim wnętrzem miotały mieszane uczucia. Zgroza i satysfakcja, politowanie i wstręt, zapiekła nienawiść, rozgoryczenie i bezgraniczna ulga...

Znów przytknięcie, warkot i fragmenty rozmowy.

- ... nie dotrzymałaś warunków... - głos Diabła brzmiał lodowatą urazą.

- O co ci chodzi? - pełen niechęci głos Madelaine. - Dostałeś pieniądze? Dostałeś! Czego jeszcze chcesz?

- ... strzelali! Na tej szybkości... pewna śmierć...

Znów przeszkody w postaci jakichś dodatkowych odgłosów.

- ... nie bądź dzieckiem... - to Madelaine. - Mówmy otwarcie, ona musi zginąć!

- Ja o tym nie chcę wiedzieć!...

Tego było za wiele.

- Sprzedał mnie za dziesięć tysięcy?! - krzyknęłam. - Czego? Złoty?

Pan spod Palmir drgnął i wyłączył magnetofon.

- Nie - powiedział spokojnie. - Za pół miliona dolarów.

Ochłonęłam. Przez głowę przeleciała mi głupawa myśl, że to zupełnie niezła cena i właściwie świństwem z mojej strony było pozostać przy życiu. Zapaliłam papierosa i gestem poprosiłam go, żeby kontynuował.

Warczało, trzeszczało i źle było słyhać, ale udało mi się zrozumieć fragmenty sprzeczki o wysokość zapłaty. Z ożywieniem i triumfem przekazał jej informację o Rodopach. Wyimaginowane przeze mnie piętnaście metrów w dół ukrył, oświadczając, że resztę powie na miejscu. Dowiedziałam się, jak miałam zginąć w Palmirach i zrobiło mi się raczej nieprzyjemnie, kiedy oczami duszy ujrzałam płonący samochód ze sobą w

środku. Wysłuchałam jakiejś awantury, której zasadnicza treść do mnie nie dotarła, bo mowa była o oszustwie, i nie mogłam zrozumieć, czy ona czuje się oszukana prywatnie, czy niejako służbowo.

Pan spod Palmir wyłączył magnetofon. Milczeliśmy długą chwilę. Zbierałam myśli i opanowywałam uczucia.

- Wydawało mi się, że powinna pani to wiedzieć - powiedział cicho.

- Słusznie się panu wydawało - odparłam. - Właściwie mogłam się czegoś takiego spodziewać. Przyjemnie pomyśleć, że się jednak poznało człowieka. I na czym w rezultacie stanęło?

- Na tych dziesięciu tysiącach, wpłaconych wcześniej na konto. Reszta miała być płatna po wydobyciu pieniędzy. Oczywiście, to przepadło. Pani śmierć była pomysłem Madelaine, bo szef zamierzał raczej uwięzić panią do chwili przekonania się, że powiedziała pani prawdę. W chwili kiedy nalewałem pani benzynę, był już w Rodopach. Zorientował się w sytuacji w ciągu jednego dnia, bo trafiła pani na sam środek skrzyżowania dwóch szos. Dość podrzędnych, ale jednak szos.

- Na oko wydawało mi się, że trafiam obok - wyznałam melancholijnie i gestem wskazałam magnetofon i taśmy. - Pułkownik wie o tym?

- Wie. Ale chyba...

- Drobiazg - przerwałam. - Rozumiem, dlaczego był taki zły i dlaczego namawiał mnie na wyjazd. Mam się rozerwać po ciosie i widokiem diamentów uleczyć złamane serce.

- Nie wydaje mi się, żeby diamenty miały być najlepszym lekarstwem dla pani serca.

- Mnie się też nie wydaje. Ale oglądać mogę. Cieszę się, że mi pan to zaproponował.

Zawahałam się i powiedziałam, co myślę:

- Strasznie długo wydawało mi się, że jestem związana z tym człowiekiem. Poznałam go trochę i musiałam pogodzić się z tym, że był pozbawiony ludzkich uczuć. Okropnym zaskoczeniem stała się teraz dla mnie myśl, że te uczucia nagle się w nim obudziły, że był gotów bez mała popełnić zbrodnię z miłości dla jakiejś kobiety. Uważałam, że to niemożliwe, i okazuje się, że miałam rację. Ta nieszczęsna Madelaine to jest następna kolejna, wykantowana idiotka, nawet nie mam do niej żalu, przeciwnie,

prawie litość mnie bierze. Mam natomiast satysfakcję, która wprawdzie źle o mnie świadczy, ale za to dobrze mi robi...

Równocześnie, mówiąc to, myślałam sobie, że przecież żadne łamanie serca w ogóle w tej chwili nie wchodzi w grę. Na dobrą sprawę wiedziałam wszystko już od trzech lat. Mówiła mi to moja dusza, mówił rozum i jedyne, co im nieśmiało przeczyło, to była głupia nadzieja, właściwa każdej kobiecie. Jak to dobrze, że spadło to na mnie właśnie teraz, od razu, bezpośrednio po tej całej obłędnej historii, w jakiś dziwny sposób oddzielającej wszystkie poprzednie lata życia od tych następnych, które dopiero mają przyjść. Przeszłość zdechła i niech ją diabli wezmą! Nie wchodzi się dwa razy do tej samej wody...

Usłyszałam, co on mówi.

- ... to jak, zdecydowała się pani? Za jakiś tydzień zorganizuje się ekspedycję po skarb. Mogę zaczekać dwa, trzy dni i pojedziemy razem... Przepraszam, może w tej sytuacji nie odpowiada pani żadne towarzystwo?

- Mam wrażenie, że nastrój zaczyna mi się zmieniać - powiedziałam z namysłem. - Na bardziej towarzyski. Chyba pułkownik ma rację, że przydadzą mi się jakieś rozrywki, niegroźne dla zdrowia. A czy ja panu nie będę przeszkadzać?

- Ta obłuda jest niegodna pani - odparł żywo. - Przecież nie będę tego wyciągał osobiście! Natomiast potem należy mi się urlop i właśnie chciałem pani powiedzieć, że odkupiłem skonfiskowany jacht "Stella di Mare". Trochę się potłukł o skały, ale nieznacznie i już jest w remoncie. Przyszło mi na myśl, że może miałyby pani ochotę na taki rejs, bez pośpiechu, w dowolnie obranym kierunku...

Rozsłoneczniona przestrzeń wody i nieba otworzyła się przed oczami mojej duszy. W uszach zabrzmiał niebiański szum rozcinanej dziobem wody. Ściany, podłoga i sufit pokoju w hotelu Europejskim zdematerializowały się nagle i na ich miejscu ukazała się oszklona wokół sterówka, pokład kołyszący się łagodnie na długiej, atlantyckiej fali, nieskończone bezgraniczne niebo, na którym świecił Krzyż Południa...

Zanim się zdążyłam opamiętać i pohamować, usłyszałam własny głos, pytający z ożywioną, radosną nadzieją:

- I naprawdę potrafi pan tam znaleźć i włączyć autopilota?! koniec pieśni, cześć pracy, rodacy